

*Beata Majewska*



ZDAŻYĆ



Z MIŁOŚCIĄ



Książnica

POLECAMY

Beata Majewska

*Konkurs na żonę*

*Bilet do szczęścia*

*Zdążyć z miłością*

Zofia Mąkosa

*Wendyjska Winnica*

*Beata Majewska*



ZDAŻYĆ



Z MIŁOŚCIĄ



Książnica

WROCLAW 2017

Projekt okładki ILONA GOSTYŃSKA-RYMKIEWICZ Fotografie na okładce  
© Africa Studio/Fotolia © kvdkz/Fotolia © goodween123/Fotolia Redakcja  
ELŻBIETA SPADZIŃSKA-ŻAK Korekta IWONA HUCHLA Redakcja  
techniczna LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN Polish edition ©  
Publicat S.A. MMXVII (wydanie elektroniczne) Wykorzystywanie e-booka  
niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie  
i rozpowszechnianie, jest zabronione. All rights reserved. Wydanie elektroniczne

2017 ISBN 978-83-245-8293-8



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

e-mail: [office@publicat.pl](mailto:office@publicat.pl), [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

e-mail: [ksiaznica@publicat.pl](mailto:ksiaznica@publicat.pl)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



## Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Parę lat później...

## Rozdział 1

Stuk, stuk. Stuk, stuk...

Obcasy wybijały idealnie równy rytm o posadzkę i choć Olga nie patrzyła pod nogi, bo zajęta była przeglądaniem oferty na nowe meble do swojego gabinetu, nawet na centymetr nie zboczyła z kursu. I nie zeszlaby z niego do końca, aż do drzwi z tabliczką informującą, że tu urzęduje CEO of LABBE magister Olga Becker, gdyby nie zapomniała o szklanym przepierzeniu, które kiedyś rozdzielało długi korytarz na dwie części. Nie weszła w nie, bo od pół roku już go nie było. Niestety ktoś z ekipy remontowo-budowlanej zapomniał zdemontować metalowy element przytrzymujący jedno z nieistniejących skrzydeł i cieniutki obcas zgrabnego bucika Olgi wbił się w sam jego środek.

– Niech to szlag! – zaklęła, bo tylko trochę brakowało, a leżałaby jak długa.

Wysunęła stopę z buta i przykucnęła. Próbowwała wyszarpać obcas z idealnie okrągłego otworu, ale tkwił jak przyspawany. Gdy w końcu udało jej się uwolnić but, była zmęczona jak po treningu kardio. Okolicznością łagodzącą dla tej bardzo kiepskiej formy fizycznej był fakt, że właśnie dzisiaj Olga pierwszy raz stawiała się w pracy, na dodatek zaledwie dwa tygodnie po dosyć ciężkiej chorobie i zabiegu operacyjnym.

– I po bucie – jęknęła, oceniając straty fachowym okiem.

Rzeczywiście, elegancki but ulubionej marki bohaterki serialu *Seks w wielkim mieście* przedstawiał żalony widok. Czarna lakierowana skóra tuż nad flekiem obcasa kompletnie się zdarła, a szarpanie spowodowało, że drapieżna i seksowna szpilka zamieniła się w balerinę z wysoko zadartym nosem.

Olga pokuśtykała do jednego z krzeseł stojących pod ścianą i usiadła. Właśnie zaczęła rozmyślać, czy lepiej będzie urwać też drugi obcas, czy może jednak rozważyć skorzystanie z pomocy jakiegoś szewca, który zająłby się tym ciężkim, o ile nie beznadziejnym przypadkiem, gdy ujrzała przed sobą wyciągniętą rękę dzierżącą katalog mebli, czyli współwinnego nieszczęścia.

– Wypadło to pani. – Dziewczynka położyła folder na krzesło obok.

– Dziękuję. – Olga podniosła wzrok na dziecko.

Stała przed nią dosyć pulchna, ale na pewno nie gruba, śliczna bruneteczka z uroczyimi warkoczykami. Na oko mogła mieć jakieś siedem lat. Uśmiechała się wesoło, a jej lewy policzek ozdabiał mały dołek.

– Odłamał się? – Dziewczynka zerknęła pytająco na szpilkę.

– Obawiam się, że tak.

– I co teraz?

– Chyba je wyrzucę. Trochę szkoda, bo wczoraj kupione. – Olga lekko wzruszyła ramionami i odłożyła oba buty na to samo krzesło, na którym leżał folder. – Nawet gdy naprawią obcas, but już nigdy nie będzie stabilny.

– Uhm – mruknęła mała, po czym nieśmiało przysiadła na wolnym krzesle

po lewej stronie. – Jak wrócisz do domku? Na bosaka? – Zachichotała, bezwiednie przechodząc na ty.

– Mam w biurze zapasowe buty. A tak w ogóle, co tu robisz sama? – zainteresowała się Olga, bo ostatnie, najcichsze piętro budynku laboratorium wypełniały wyłącznie biura administracji.

– Nie jestem sama. Tatuś poszedł odebrać wyniki i kazał mi poczekać tutaj.

– Rozumiem. – Olga czuła się dziwnie, gdy mała siedziała tak blisko i badawczo wlepiała w nią czekoladowobrazowe oczy ocienione gęstymi rzęsami. – Jestem Olga Becker – przedstawiła się i wyciągnęła rękę, bo nic innego nie przyszło jej w tym momencie do głowy.

– A ja jestem Faustyna Polska – odpowiedziała bardzo poważnym tonem dziewczynka i z równym namaszczeniem uściśnęła dłoń Olgi. – Dla przyjaciół Fisia, Fiśka albo Fausia. Jak wolisz. Możesz też mówić mi Faustyna. To piękne, ale bardzo długie imię, bo składa się aż z trzech sylab. Bardzo niepraktyczne, no ale przecież imienia się nie wybiera. Rodziców też – dodała i nagle nerwowo zachichotała, jakby powiedziała coś bardzo niestosownego. – Mój brat ma na imię Maksymilian. Jeszcze gorzej, bo więcej liter. Ale na szczęście na niego można mówić Maksio. Albo Maksiur, ale to gdy mnie wnerwi, a kiedy Sabinki mówią na niego Maksik, wtedy się strasznie wkurza, bo brzmi, jakby sikał. Nasze imiona są po świętych. Moje po Faustynie Kowalskiej, a Maksia po Maksymilianie Kolbem.

– Aha. – Olga wytrzeszczyła oczy, uniosła brwi i na moment popadła w lekki stupor.

– Ten Maksymilian Kolbe miał jeszcze na imię Maria. Pewnie po Matce Boskiej. A twoje? – Faustyna przechyliła głowę i taksowała Olgę świdrującym wzrokiem.

– Moje co?

– Imię. Od kogo pochodzi twoje imię? – zapytała. – Od jakiej świętej?

Stwierdzić, że Olga Becker zbaraniała, byłoby dużym niedopowiedzeniem. Jej rodzice jeszcze za młodu wystąpili z Kościoła katolickiego, jawnie głosili, że są ateistami, a gdy w ich „bezbożne” szeregi zawitała córka, postanowili, że wychowają dziecko dokładnie w takim samym świeckim duchu. Skąd miała wiedzieć, czy kiedyś żyła jakaś jej imienniczka obwołana po śmierci świętą?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia – wyznała po chwili namysłu.

– Musisz spytać mojego tatę. On na pewno wie. – Faustyna poklepała ją krzepiąco po ręce. – Ile masz lat? Bo ja osiem, a Maksio cztery.

Olga odetchnęła z ulgą. Przynajmniej na to pytanie znała prawidłową odpowiedź.

– Za tydzień skończę trzydzieści.

– Dużo. – Dziewczynka lekko zmarszczyła nos. – Ale nie tragicznie.



– Ile to jest tragicznie? – spytała Olga, rozciągając usta w uśmiechu, bo ta rozmowa nieoczekiwanie zaczęła ją bawić.

– Nie wiem. Chyba czterdzieści.

– Hm... Skoro tak uważasz.

– Masz raka?

– Słucham?! – Olgę zamurowało z wrażenia.

– Oj. Nie chciałam ci sprawić przykrości. – Faustyna wyraźnie się stropiła. Wyciągnęła szyję i szybciotko cmoknęła policzek Olgi. – Przepraszam. Tata mówi, że czasami jak coś palnę, a nie nabiję... Przepraszam, nie gniewaj się.

– Nie gniewam się – wykrztusiła z trudem Olga. – Powiedz, dlaczego mnie o to spytałaś?

– Ale masz raka?

– Kiedyś byłam chora, ale już wyzdrowiałam.

– O, jak dobrze! – Dziewczynka podskoczyła na krześle, wyraźnie ucieszona. Jej oczy natychmiast odzyskały blask, a w policzku znów pojawił się dołeczek.

Olga nachyliła się, żeby lepiej widzieć Faustynę. Nie miała pojęcia, co sprawiło, że sama z siebie wzięła małą za rękę i ścisnęła jej pulchną dłoń. Przecież nie lubiła dzieci. Wręcz nie znosiła. Według niej wszystkie dzieciaki były hałaśliwe i irytujące, ale nie to było najgorsze. To, co najbardziej ją odstręczało od dzieci, to nuda. „Dzieci są nudne i przewidywalne” – twierdziła. Tymczasem ta dziewczynka była naprawdę wyjątkowa, bo najwyraźniej temu przeczyła.

– Dlaczego to cię tak ucieszyło? – spytała szczerze zainteresowana.

– Rak to straszne świństwo. A gdzie go miałaś?

– Miałam guza, nie raka. O, tu. – Wskazała miejsce wolną ręką.

– Nie miał zbyt wiele miejsca – zachichotała Faustyna, patrząc na płaski brzuch Olgi ukryty pod czarną obcisłą dzianiną. – No, chyba że ci go wycięli razem z brzuchem.

– Z całym brzuchem nie, ale zabrali trochę. A skąd wiedziałaś, że byłam chora? – spytała.

– Bo masz perukę. Jak ci, co mają raka.

Gdy tylko Fisia skończyła mówić, Olga od razu bezwiednie poprawiła włosy. Myślała, że nikt nie zauważy, a tu proszę: pierwszy dzień w peruce i już. Została zdemaskowana przez ośmiolatkę! Zerknęła na prawą dłoń, żeby stwierdzić, że ciągle jeszcze ma siniaka po wenflonie, ale akurat tym się nie przejmowała. Gorszy był ślad po wkluciu centralnym. Właśnie dlatego włożyła czarny golf.

– Serio, tak od razu widać, że to nie moje włosy? – Olga szczerze się przejęła, bo peruka, choć z syntetycznych włosów, sporo kosztowała. – Jest bardzo podobna do mojej fryzury sprzed leczenia. Myślałam, że nikt nie zauważy – wyjaśniła nieco zmartwiona.

– Nie. Jest bardzo ładna. I prawie jak naturalna – pocieszyła ją natychmiast Faustyna. Chciała wytłumaczyć, że kiedyś też nosiła perukę i dlatego zwróciło to jej uwagę, gdy nagle usłyszały za plecami:

– Fiśka! Wszędzie cię szukam!

Zajęte rozmową nie zauważyły, kiedy podszedł do nich jeszcze jeden niespodziewany gość.

– Tatusi! – Dziewczynka zerwała się z krzesła, objęła mężczyznę i mocno ścisnęła w pasie. – Czemu tak długo cię nie było? – Popatrzyła na niego, zadzierając głowę.

– Szukam cię od kwadransa – stwierdził z wyrzutem przystojny blondyn. W jego głosie pobrzmiwały jednocześnie ulga, że dziecko się znalazło, i złość na nie, bo przecież to nic miłego biegać po całym budynku w poszukiwaniu niesfornej córeczki.

– Kazałeś mi tu czekać. Powiedziałeś: „Idź na korytarz i poczekaj”. A to nie w a t p l i w i e jest korytarz – orzekła z emfazą, używając słówka, którego ostatnio się nauczyła i które nazbyt często powtarzała.

Olga parsknęła śmiechem, od razu skupiając na sobie uwagę mężczyzny. Zerknął na nią, ale szybko znów nachylił się nad dzieckiem i spytał:

– Kazałem ci iść na trzecie piętro?

– Chyba nie. – Faustyna wzruszyła ramionami. – Ale najważniejsze, że mnie znalazłeś. Po co ta awantura? Stres skraca życie, a ty nie rób mi wstydu. Poza tym byłam zajęta, rozmawiałam z kimś. – Odkleiła się od ojca i popatrzyła na nową znajomą. – To Olga. Moja koleżanka.

– Kamil Polski. – Mężczyzna lekko skłonił głowę.

„Dobrze wychowany, pierwszy nie pcha ręki” – skonstatowała w myślach Olga. Uniosła się z krzesła i wyciągnęła prawą dłoń.

– Olga Becker. Miło mi poznać tatę Faustyny. – Uśmiechnęła się do mężczyzny.

Od razu wpadł jej w oko. Był jej wzrostu lub ciut niższy, ale, prawdę mówiąc, rzadko który mężczyzna górował nad Olgą i jej metrem osiemdziesiąt wzrostu. Jeśli chodzi o sylwetkę, zbyt wiele nie mogła zauważyć pod nieco obwisłym i grubym swetrem, ale na pewno pan Polski nie miał wydatnego brzuszka. Za to patrzył na świat najpiękniejszymi oczami, jakie Olga kiedykolwiek widziała u mężczyzny. Jego tęczówki były jasne, błękitnoseledynowe, otoczone cienką obwódka w bliżej nieokreślonym rdzawym odcieniu. Gdy się w nie wpatrywała, na ich dnie coś zdawało się migotać, zupełnie jak promienie słońca przenikające wodę górskiego strumyka płynącego wartko po drobnych kamyczkach.

– Tatusiu, bucik Olgi się zepsuł. I co teraz? – Faustyna przerwała jej kontemplację urody pana Polskiego.

– Ach, no tak. – Olga natychmiast puściła dłoń mężczyzny. – Faktycznie, złamałam obcas. – Zagryzła wargi, zawstydzona, że tak długo trzymała rękę ojca Faustyny i gapiła się nań jak cielę na malowane wrota.

– Proszę pokazać.

– Już.

Kamil przez chwilę oglądał uszkodzony but, później sięgnął po drugi, jeszcze raz wrócił do poturbowanego obcasa wiszącego na wąskim paseczku skóry i wyraźnie się skrzywił. Nie wyglądało to dobrze, ale przecież nie był głupi i zdążył zauważyć, że buty musiały sporo kosztować. Akurat w tym przypadku naprawa miała sens, w przeciwieństwie do reperacji butów Fiśki czy Maksia, które szybko lądowały na śmietniku, bo tylko tam się nadawały po pół roku żywiołowej eksploatacji.

– Chyba znam niezłego szewca. Nomen omen, urzęduje na Szewskiej. – Popatrzył na Olę i zaśmiał się ze swojego żartu, choć nie zakończył go żadną sensowną puentą, bo takiej po prostu nie było. – Żona kilka razy zaniósła tam moje buty do podzelowania. Będzie pani zadowolona – oznajmił, wręczając Oldze szpilki. – Niestety nie mam przy sobie numeru telefonu do tego pana, ale mam w domu, zapisany w notesie. Zaraz dam pani wizytówkę. Oczywiście moją, nie tego szewca – dodał, sięgając do tylnej kieszeni spodni po portfel. Przez chwilę w nim szperał, aż w końcu wyjął sfatygowany kartonik. – Prawie wszystko nieaktualne, ale nazwisko się zgadza, a mój numer znajdzie pani z tyłu – oświadczył, wkładając wizytówkę do wnętrza uszkodzonej szpilki. – Proszę o telefon za jakieś trzy godziny. Będę już w domu.

– Mam do pana zadzwonić? – Olga uniosła brwi.

Zdziwiło ją zachowanie mężczyzny. W zasadzie nigdy nie dzwoniła pierwsza do żadnego faceta, ale szybko uznała, że Kamil na pewno nie zalicza się do grona chętnych, żeby pójść z nią na randkę czy zawlec do łóżka. Poza tym miał żonę.

– No tak. – Pokiwał głową. – Może też pani wysłać SMS-a, odpiszę.

– E... bardzo dziękuję. To może SMS będzie lepszy.

– Proszę wybaczyć, ale trochę się spieszymy. – Znów skłonił głowę.

– Przepraszam, już pana nie zatrzymuję. – Uśmiechnęła się blado, wyraźnie zawstydzona nagłym zakończeniem spotkania. – Trzymaj się, Faustynko, miło było cię poznać – powiedziała ciepło do dziewczynki.

– Mnie też było miło. – Mała obdarzyła ją „dołeczkowym” uśmiechem. – Pa, pa.

– Do widzenia – dodał Kamil.

Chwilę później Polscy dotarli do schodów i wtedy Faustyna obróciła się i pomachała ciągle stojącej na korytarzu Oldze.

– Ona jest bardzo miła – powiedziała do ojca, gdy szybkim krokiem

przemierzali parking przed budynkiem laboratorium.

– Fisiu, nie możesz tak biegać, gdzie chcesz i zaczepiać obcych osób – strofował ją Kamil. – To niegrzeczne i niebezpieczne.

– Olga nie jest obca. Przecież ją znamy – odparła niezrażona Faustyna.

– Tak, znamy. Pięć minut – westchnął Kamil.

Mimo to musiał przyznać, że nawet te kilka minut wystarczyło, żeby dokładnie się przyjrzeć nowej znajomej córki. Nie wątpliwie była atrakcyjną kobietą: smukła czarnula, może ciut za szczupła jak na swój wzrost, z twarzą jak u porcelanowej lalki i prawie czarnymi oczami spoglądającymi bystro i przenikliwie. Jednak to ustami najbardziej go urzekła. Ich kształt, pełność warg, karminowy kolor od razu rzuciły mu się w oczy. „Niestety, poza zasięgiem. Piękna, ale nie wątpliwie za wysoka. Nawet boso niezła z niej żyrafa, a co dopiero w szpilkach” – uznał w myślach Kamil.

– Wiesz, że Olga nie zna swojej świętej? – spytała Faustyna, zajmując miejsce na tylnym siedzeniu.

– Hm... Ja chyba też nie kojarzę żadnej świętej Olgi. – Kamil zmarszczył czoło. – Ale mogę sprawdzić w Internecie. A teraz jedziemy po Maksia, później do McDonalda, jak wam obiecałem, a na koniec odwiedzimy mamę. Pasuje ci ten plan?

– Pasuje! – odrzyknęła uradowana Faustyna, bo tata tylko dwa razy w roku dawał się namówić na wizytę w tej restauracji serwującej najpyszniejsze jedzonko na świecie, jak uważała.

– To w drogę!



Olga jak zawsze wróciła do domu dopiero pod wieczór. Rzuciła torebkę na podłogę, płaszcz wylądował na oparciu kanapy, a ich właścicielka padła jak kawka na skórzane siedzisko. Ułożyła się wygodnie, wsparła głowę o podłokietnik i nie zzuwając butów, oparła nogi o niską ławę.

Sięgnęła po pilota i przez chwilę bezmyślnie skakała po kanałach, ale nic jej nie zainteresowało. W końcu zatrzymała się na jakimś programie informacyjnym, żeby cokolwiek rozbijało tę okropną ciszę panującą wokół. Mówi się, że dźwięki są czyste lub mają brudne brzmienie, są łagodne albo ostre i bolesne. Olga do tego repertuaru mogła dodać coś jeszcze. Czasami miała wrażenie, że w jej rodzinnym domu cisza ma zapach stęchlizny.

Schyliła się i podniosła torebkę, odnalazła telefon oraz wizytówkę Polskiego i opadła z powrotem na kanapę. Może to było śmieszne, ale już od godziny zastanawiała się, czy napisać SMS-a w sprawie superszewca z Garncarskiej, czy też samej spróbować go jutro odnaleźć. „Przecież to nie najdłuższa ulica w mieście – dumiała, wpatrując się w poźółkły kartonik. – Becker, nie zachowuj się jak

idiotka. To nic nadzwyczajnego: koleś dał ci wizytówkę, więc napisz tego cholernego SMS-a i nie cuduj – ochrzaniła się w duchu, a za moment znów napłynęło pytanie: – A jeśli to jakiś świr?”

Była na siebie zła. Jak zawsze, gdy coś ją zafrapowało, a tak właśnie było, chciała od razu wiedzieć jak najwięcej. Po dziwnym spotkaniu z jeszcze dziwniejszą dziewczynką Olga wróciła do swojego biura, w komputerze odnalazła kartotekę Faustyny oraz, co jeszcze bardziej zaskakujące, jej taty Kamila, i przeanalizowała wszystkie badania, które ta tajemnicza dwójka z zadziwiającą regularnością robiła od ponad czterech lat.

Co trzy miesiące przychodzili oboje. Na zleceniu małej powtarzały się w kółko te same badania: morfologia krwi, białko CRP i odczyn Biernackiego, jej ojciec z kolei robił różne: i te podstawowe, jak morfologia, i bardziej specjalistyczne, na przykład TSH, próby wątrobowe czy poziom trójglicerydów; ale jedno je łączyło: zarówno mała Faustyna, jak i Kamil Polski byli zdrowi jak ryby.

Właśnie wtedy pomyślała pierwszy raz: „A może to jakiś świr?”. Owszem, zdarzali się klienci, którzy co tydzień przychodzili na morfologię, bo była tania, a uspokajający wynik otrzymywali natychmiast i prawie zawsze prawidłowy, ale hipochondria rozciągnięta na własne dziecko? Swego czasu Olga interesowała się różnymi odchyleniami od normy, czytała o zastępczym zespole Münchhausena, ale nie знаła osobiście takiego przypadku. Nie mieściło jej się w głowie, żeby świadomie i niepotrzebnie narażać dzieciaka na stres, bo przecież to nic miłego mieć pobieraną krew. A czemu tylko Faustyna? A nie ten Maksio? I co na to żona tego dziwnaczego koleśia?

Rozważała też jakąś odmianę kancerofobii ze względu na zaskakującą wiedzę dziewczynki o skutkach chemioterapii. Żeby dojść do jakichkolwiek wniosków o Polskim, przeanalizowała również wizytówkę. Niestety, nic nie odkryła poza dwoma przekreślonymi adresami mailowymi i informacją po angielsku, że inżynier Kamil Polski pełnił obowiązki kierownika działu o tajemniczym numerze XR453EE. Po dogłębnym sprawdzeniu obu adresów okazało się, że wskazują na domenę jakiejś zagranicznej firmy zajmującej się tworzeniem specjalistycznego oprogramowania dla wojska. „Pewnie go zwolnili i zaczęło mu odbijać. Albo zaczęło mu odbijać i dlatego go zwolnili” – wysnuła naprędce dwa różne, choć dosyć jednoznaczne wnioski.

Właśnie dlatego się wahała. No i jeszcze te imiona! Kto to widział, żeby dać dziecku na imię Faustyna? Nie trzeba mieć szczególnie rozwiniętej wyobraźni, żeby wiedzieć, jaki los czeka dzieci o takich bardzo rzadkich i oryginalnych imionach. Z reguły były przyczyną ciągłych drwin i prześladowań każdego Mściwoja, Ścibora, Eurydyki czy jak w tym przypadku – Faustyny. I to już od przedszkola.

Kusiło Olgę, żeby zadzwonić do Dorotki, jedynej osoby z laboratorium, która była z nią na ty i na dodatek pobierała materiał do badań, więc na pewno co najmniej kilka razy, o ile nie kilkanaście, miała możliwość porozmawiania z Polskim i jego córką, ale trochę się wahała. Pewnie usłyszałyby mnóstwo informacji, mniej lub bardziej prawdziwych, bo Dorotka stanowiła swoistą wewnętrzną rozgłośnię BBC krakowskiego oddziału sieci laboratoriów LABBE, ale to była broń obosieczna. Nazajutrz wszyscy by wiedzieli, i to jeszcze przed poranną kawą, że szefowa interesuje się jakimś pacjentem i jego córką.

– Jezu... Co ja robię?! – warknęła Olga i plasnęła się w czoło. „Zamiast wziąć prysznic, zjeść coś, siedzę tu jak debilka i myślę o bzdurach. Pewnie ten szewc klepie buty w jakiejś norze od podwórza i nigdy go nie znajdę”. Szybko wstukała bardzo lakoniczną treść SMS-a oraz numer Kamila i wcisnęła „wyślij”. – I już. Gotowe – burknęła do siebie.

Odłożyła telefon, pewna, że odpowiedź dotrze za chwilę lub wcale, bo z tym się też liczyła, ale ku jej zaskoczeniu aparat zabrzączał prawie natychmiast.

– Matko! – jęknęła. – To na stówę świr. Czekał z telefonem w łapie?

Kręcąc głową z niedowierzaniem, podniosła komórkę. Na szczęście to była wiadomość od Izki. Olga przeczytała, odpowiedziała szybko, że nigdzie się nie wybiera przez weekend, bo nie ma siły ani ochoty, i ledwie zdążyła ją wysłać, a otrzymała kolejny SMS. Polski podał jej numer telefonu stacjonarnego do mistrza Jana Kozy, napisał również, pod jakim numerem domu urzęduje fachowiec, ale oprócz tych informacji i standardowych pozdrowień dodał coś jeszcze:

*Na prośbę Fisi i w wielkim skrócie: Święta Olga Kijowska, zwana Olgą Mądrą, znana z tego, że jej ciało nie uległo rozkładowi po śmierci i stanowiło relikwię, która miała uzdrawiającą moc. Jeśli Pani chce, mogę zdobyć znacznie więcej materiałów na temat tej świętej niż to, co można przeczytać w Wikipedii. Chętnie je Pani przedstawię osobiście, na przykład przy filiżance kawy lub dobrej herbaty. Proszę napisać, czy jest Pani zainteresowana.*

– Nie wierzę. – Olga bezwiednie złapała się za czoło. – Kato-podryw na Świętą Olgę i niegnijące zwłoki? Trzeba przyznać, koleś jest oryginalny albo nieźle walnięty – mruknęła. – Co to ma być? Za plecami żony zapraszać jakąś świeżo poznaną kobietę na kawę, żeby gadać o świętych?

Szybko odpisała, że bardzo dziękuje za wszystkie informacje i że w zupełności jej wystarczą. Poprosiła o przekazanie pozdrowień Faustynie i wysłała SMS-a.

– Co za ulga... – stęknęła pół minuty później, gdy dotarł kolejny SMS od Polskiego, zawierający wyłącznie trzy słowa: *Ok. Pozdrawiam. Kamil.* Na wszelki wypadek od razu wyłączyła aparat. – Najwyższy czas umyć zwłoki, żeby się nie zepsuły. Każda mądra Olga tak robi – sarknęła i poczłapała do łazienki.

Miała dość tego dnia. Zresztą jak i wszystkich poprzednich.



Od kiedy dzieciaki odwiedziły z ojcem fabrykę cukierków, a raczej malutką manufakturę na Grodzkiej, i własnoręcznie ulepiły dwa dosyć koślawe lizaki o smaku truskawkowo-śmietankowym, Kamil nie mógł ich odciągnąć od tego miejsca.

Gdy tylko zbliżali się do Rynku, Maksio zaczynał przynudzać, że chce do „Ciuciu”, Fiśka mu wtórowała, a biedny ojciec dawał się tam zaciągnąć, bo nie miał innego wyjścia. Jego narzekania, że to sam cukier, barwniki i aromaty, nie odnosiły żadnego skutku. Tak samo jak roztaczana przez niego wizja popsutych zębów i groźba związanych z tym częstszych wizyt u pani Wandzi, stomatolożki.

– Mój jest anyżkowy – powiedziała Faustyna i z lubością oblizała sporą zieloną kulę.

– Mój jest lepszy, bo truskawkowy, a wszyscy ludzie na świecie lubią truskawki. Nawet Eskimosy.

– Eskimosi – poprawił syna Kamil. On też musiał kupić dla siebie lizaka. Wybrał najmniejszego i o smaku mięty, ale i tak czuł, że jeszcze chwila i zwymiotuje od nadmiaru słodyczy. – No, chodźcie – popędził dzieciaki, bo wlokły się noga za nogą. – Kwiecień nas zastanie, jeśli w tym tempie będziemy iść na parking – burknął.

– A kiedy będzie kwiecień? – spytał ojca Maksio.

– Za tydzień.

– Panikujesz, tato – orzekła Fiśka.

– Niewątpliwie – dodał jej brat.

– Niewątpliwie to już nigdy nie zabiorę was do „Ciuciu”, jak tak się będziecie wlec.

– Psujesz nam zabawę! – fuknęła pod nosem Faustyna. – Tak nie wolno. Nie wolno wykorzystywać...

– Wykorzystywać – poprawił Kamil.

– Wykorzystywać – powtórzyła szybko Fisja – swojej przewagi ekonomicznej. Mężczyzna nie może wykorzystać przewagi ekonomicznej. To jest bardzo słabe.

– Ekonomicznej, jeśli już. A teraz chodźcie szybciej, bo na miły Bóg wykorzystam swoją przewagę, ale tę fizyczną, i zabiorę wam to słodkie świństwo. – Popchnął lekko dzieciaki, stawiając w głowie diagnozę: „Za dużo Sabineki”.

– Płacisz pięć złotych do kasy – burknęła z satysfakcją Fiśka i polizała anyżkową kulę, która była już bardzo mała.

– Za co? – spytał Kamil, próbując odtworzyć w głowie to, co przed chwilą wyszło z jego ust.

– Za miłego Boga – usłużnie podpowiedział Maksio.  
– To wy płacie po dwa pięćdziesiąt – orzekł, z ulgą wyrzucając patyczek do najbliższego kosza na śmieci.

– Za co?! – ryknęły chórkami dzieciaki, stanęły jak wryte i z oburzeniem wpatrywały się w ojca.

– Za to, że mnie sprowokowaliście – odpowiedział, łapiąc swoją niesforną dwójkę za poklejone cukrem ręce. – Idziemy!

– To demagogia – stwierdziła Fisia po udanej próbie przypomnienia sobie kolejnego fajnego słówka, które ostatnio usłyszała od Inki.

– I populizm – dodał Maksio.

– Populizm – sprostował bezwiednie Kamil. – Nigdy nie strzeliłem was w tyłek i teraz widzę, że to był błąd. Już ja wam zrobię populizm, ale w domu – warknął, ciągnąc ich za sobą. – I macie szlaban na Sabinki, bo znów sprząły wam mózgi.

– Do kiedy? – Maksymilian jak zawsze chciał być dobrze poinformowany.

– Do odwołania. – Z obu dziecięcych gardeł od razu wyrwał się jęk, więc Kamil szybko dodał: – Jak przyspieszycie, wszystko wam daruję.

– No dobra... – burknęła Fiśka.

Przyspieszyli. Na szczęście lizaki zostały już schrupane i dzieci nie miały powodu, żeby spacerować wolnym krokiem, jak przedtem. Minęli Rynek, weszli na plac Szczepański, gdy nagle Fiśka pisnęła na całe gardło:

– Olga!!!

I faktycznie, to właśnie Olga wychodziła z budynku, gdzie mieścił się prywatny gabinet jej lekarza ginekologa.

– Faustyna! – Podeszła do dziewczynki, nachyliła się i podała jej rękę. – Cześć. Jak miło cię zobaczyć. A ty to pewnie Maksio? – Uniosła lekko brwi, zerknąwszy na chłopca, który wyglądał jak zminiaturyzowana kopia ojca.

– Dzień dobry, jestem Maksymilian Maria Polski. – Podał jej lepką dłoń.

– A ja Olga Becker.

– Fisia powiedziała, że pani nosi perukę. I że miała pani guza w brzuchu. To jest bardzo dziwne, bo ja też miałem guza, jak mnie Matryna z mojego przedszkola uderzyła w głowę samochodziem. Ale mój guz był tutaj. – Dotknął się nad czołem.

Kamil przewrócił oczami, myśląc że koniecznie musi wdrożyć ten „populizm” w domu i za brak dyplomacji oraz długie ozory natrzeć obu swoim pociechom uszu.

– Dzień dobry i przepraszam. Za nich – dodał znad głów dzieci.

– Dzień dobry i nic się nie stało. – Olga wyprostowała się i podała dłoń Kamilowi.

Z premedytacją przywitała się najpierw z dziećmi. Było jej bardzo głupio,



gdy parę dni temu wysłała Kamilowi krótkie podziękowanie za zamiary na tak doskonałego szewca, jakim okazał się Jan Koza, a Polski nie odpisał ani jednym słowem. Chyba wyczuł, że się o to dąsa, bo podjął temat:

– Przepraszam, że nie odpisałem na pani SMS-a.

– Był zbyt oficjalny? – zakpiła z pozornie niewinnym uśmiechem na twarzy.

– Nie aż tak oficjalny, jak ten przedostatni – odparował, bo ciągle pamiętał, że poczuł się jak idiota, gdy na swoją zawołaną propozycję spotkania uzyskał odmowną odpowiedź. – Mimo to bardzo przepraszam. Mam nadzieję, że pan Janek się spisał.

Olga już miała na końcu języka ripostę, że nie tylko z kulturą i wiernością małżeńską u Polskiego na bakier, lecz także z umiejętnością czytania ze zrozumieniem, ale się powstrzymała. W sumie, co by jej dała wymiana „uprzejmości” z tym dziwnym człowiekiem?

– Tak, spisał się. Jak widać. – Spuściła wzrok na swoje stopy obute w szpilki.

– Ojej, masz naprawiony but! – pisnęła Faustyna.

– Uhm. Pośrednio dzięki twojemu tacie. To naprawdę bardzo pomocny człowiek. – Popatrzyła na Kamila i lekko skinęła głową.

– E... No tak. – Wyraźnie się spieszył pod jej spojrzeniem. – To my...

– Ach, na pewno znów się pan spieszy. Pewnie żona przygotowała kolację. Nie zatrzymuję – wycedziła słodkim tonem. – Faustynko, Maksiu, miło było was spotkać. – Zerknęła na dzieci.

– Tata nie ma żony – oświadczył malec.

– Mama umarła – dodała Fisia i jak zawsze, gdy o tym mówiła, nieświadomie uniosła ramiona do góry, jakby miało to jej pomóc zbagatelizować własne słowa albo wrażenie, jakie wywierały.

– Kolację robi nam tatuś – dopowiedział Maksio. – Ja jem chrupki z mlekiem, a Fiśka jajecznicę albo budyń. Też lubię budyń, ale na deser. Nie na kolację.

– Och! – wyrwało się Oldze. – Ojej, bardzo mi... – Zawiesiła głos, bo poczuła się nieprawdopodobnie głupio. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię, a dokładnie pod granitowe płytki, którymi wyłożono chodnik.

– Nic się nie stało – ulitował się nad nią Kamil.

Szybko doszedł do wniosku, że trochę winy za to nieporozumienie leżało po jego stronie. Gdy mówił o szewcu, wspomniawszy przecież, że żona zanosila tam jego buty. Skąd pani Becker mogła wiedzieć, że Ania nie żyje już od kilku lat?

– Bardzo mi przykro. – Olga zagryzła wargę. – Przepraszam, że... – Pokręciła głową nad własnym zachowaniem.

– Tatuś chciał cię do nas zaprosić na kawę. Ale się nie zgodziłaś. Dlaczego?

– Faustyna zrobiła smutną minę. – Nie lubisz kawy?  
– Fisiu, przestań. – Kamil położył rękę na głowie córki i lekko poczochnął jej włosy.  
– Czemu nie przyszedłaś do nas? – zainteresował się Maksio. Przy okazji postanowił nie mówić do Olgi per „pani”, tylko dokładnie tak, jak mówiła Fiśka.  
– Nie męczcie pani Olgi.  
– Nie męczą mnie, panie Kamilu – odparła szybko. – Lubię kawę. Nawet bardzo. Ja... wtedy naprawdę nie miałam czasu. – Jakoś wybrnęła, choć uważne spojrzenie mężczyzny wcale jej nie pomagało.  
– Tatusiu, zaprosz jeszcze raz Olgę! Proszę! – Faustyna uwiesiła się ręki ojca i parę razy nią szarpnęła.  
– Tak! Tatusiu, zaprosz Olgę! – powtórzył Maksymilian, choć wcale mu nie zależało na wizycie tej wysokiej pani, ale przecież nie mógł być gorszy od siostry.  
– Sama pani widzi... – Polski zaśmiał się i rozłożył ręce. – Nie mam, a raczej nie mamy innego wyjścia, więc chyba musi nas pani odwiedzić.  
– Dobrze – zgodziła się prawie od razu.  
– Jupi!!! – pisnęła Fisia. – Ale dzisiaj?  
– Dzisiaj? – Olga była zaskoczona.  
– Czemu nie? – dodał Kamil. – Chyba że ma pani inne plany na wieczór?  
– Nie mam planów, ale już za późno na kawę, a ja właśnie wyszłam od... – Zawiesiła głos i popatrzyła przez moment na tabliczkę informującą, że w podwórzu znajduje się wejście do gabinetów lekarskich.  
– Rozumiem. Mam nadzieję, że wszystko w porządku? – Stropił się, bo przecież on pierwszy wysłuchał historii o Oldze i wiedział, że kobieta stojąca przed nim prawdopodobnie jeszcze niedawno walczyła o zdrowie, o ile nie życie.  
– Tak. Dziękuję. Panie Kamilu, proszę się nie gniewać, ale jedyne, o czym teraz marzę, to wrócić do domu, wziąć gorącą kąpiel i iść spać – pozwoliła sobie na szczerość.  
– Nie, no jasne, że się nie gniewam. – Uśmiechnął się. – Gdy będzie pani miała ochotę nas odwiedzić, proszę wysłać SMS-a, na pewno się dostosujemy. Prawda, dzieciaki? – Zagarnął je ramionami i przez moment patrzył na nie z czułością.  
– Tak. Poczekamy na ciebie – potwierdziła Faustyna.  
– To może jutro? O ósmej? – zaproponowała Olga.  
– Tak późno? O ósmej idziemy spać – powiedział Maksio i wykrzywił buzię w podkówkę.  
– O szóstej?  
– Tak! O szóstej!!! – Głosy dwójki dzieci przeszły wilgotne marcowe powietrze i odbiły się od ścian budynków po drugiej stronie placu, żeby wrócić do nich w postaci echa.

- Dobrze, będę o szóstej.
  - Wyślę pani adres SMS-em.
  - A tak, przecież nie wiem, gdzie mieszkanie.
  - Dzielnica Prądnik Biały, osiedle Azory, ulica Marii Jaremy... – zaczęła recytować Faustyna, ale Kamil jej przerwał.
  - Jeszcze dzisiaj napiszę pani adres. A teraz dajcie już spokój pani Oldze. A może panią podwieźć? – zaproponował ku uciesze dzieci, dla których każda zmiana planów mogła oznaczać coś ciekawego.
  - Dziękuję. Mam samochód tu niedaleko. – Wskazała brodą w bliżej nieokreślonym kierunku.
  - Rozumiem. To my się już pożegnamy. – Kamil z niepokojem spojrział na Faustynę, której z zimna posiniały usta.
  - Do zobaczenia jutro.
- Olga podała rękę całej trójce, tym razem zaczynając od Polskiego, i z ulgą poszła do samochodu. Wsiadła, uruchomiła ogrzewanie i dopiero wtedy pozwoliła sobie na okazanie złości na samą siebie. Ale szybko jej przeszło, bo była zbyt zmęczona, żeby długo się wkurzać.
- No, Becker, randki z wdowcem to ty jeszcze nie miałaś. A już z wdowcem i dwójką jego dzieci? – Zachichotała, wyjeżdżając z parkingu. – Nikt mi nie uwierzy. Nawet ja sama...

## Rozdział 2

Trzy godziny snuła się Olga po galerii, żeby ostatecznie znów wrócić do Matrasa. Kupiła dwie książeczki dla Faustyny, grę planszową dla Maksia, niestety, dla ojca dzieci nie znalazła nic właściwego. Bo i jak miała to zrobić, skoro nie wiedziała, czy Kamil lubi czytać? Pomaszerowała do delikatesów, gdzie zainwestowała w najdroższą nalewkę, jaka stała na półce, poprosiła o swojskie wędliny, słoik różnych konfitur, dwa mniejsze z jasnym i ciemnym miodem, owocową herbatę, butelkę soku i coś słodkiego dla dzieciaków. Całość ekspedientka spakowała do wiklinowego kosza i pięknie ozdobiła kokardami z papieru i rafii.

Blok, w którym mieszkał Kamil, wyglądał całkiem nieźle. Jedyne napisy i proste rysunki przedstawiające organy rozrodcze człowieka i „zdobiące” boczna elewację mogłyby kogoś zniesmaczyć, ale nie Olgę. Widziała gorsze, i to nieraz. Dotarła pod klatkę schodową, stwierdziła, że domofon nie działa, a drzwi są uchylone, więc weszła.

Oj, ucieszyły się dzieciaki, gdy wkroczyła do mieszkania. Nie spodziewały się, że coś dla nich przyniesie. Kamil ku wielkiej radości pozwolił im rozszabrować koszyk. Usiadły na dywanie na środku gościnnego pokoju i wykrzykiwały radośnie przy każdym produkcie, nawet przy suszonej kielbasie jałowcowej, co wprawilo go w poważne zakłopotanie.

– Zachowują się, jakbym je głodził – powiedział, kręcąc głową.  
– Mogłam wziąć trzy razy większy kosz. – Olga zerknęła na dzieci i na porzucone obok nich książeczki.

– To soczek? – spytał Maksio, pokazując nalewkę.  
– Soczek dla taty – wyjaśniła Olga. – Dla was jest ten jasny, z jabłek.  
– Aha. To proszę. – Malec wstał i postawił butelkę na ławie.  
– Na pewno nie jesteś... nie jest pani... – zająknął się Kamil.  
– Nie jestem głodna. Na pewno – stwierdziła Olga. – Może przejdziemy na ty?

– Doskonały pomysł! To ja idę po kieliszki. – Chciał zadośćuczynić tradycji, ale gość od razu zaoponował:

– Nie piję. Przyjechałam samochodem, poza tym ciągle biorę leki i nie mogę pić alkoholu – wyjaśniła. – Wystarczy uścisk ręki. Olga. – Uniosła się lekko z fotela i podała mu dłoń.

– Kamil.

– Możemy to zjeść? – Faustyna pokazała słoik z konfiturą. – Jeszcze nie jadłam dżemu z kwiatków.

– Ja też chcę dżem z kwiatków! – Maksio zerknął łapczywie na słoik.

– Idźcie do kuchni, tam jest pokrojony chleb, weźcie nóż do masła i zróbcie sobie kanapki, ale najpierw daj mi to, Fisiu, odkręć – polecił Kamil. – Zjedzcie w kuchni, bo cały dom zakleicie tym dżemem.

– Słuchają cię – stwierdziła z podziwem Olga, gdy dzieci pomaszerowały do kuchni, zabrawszy nie tylko konfiturę, lecz także butelkę z sokiem oraz jeden z miódów.

– Wyjątkowo. Tak brykali po południu, że im zagroziłem: „Zadzwoń do pani Olgi i powiem, żeby nie przychodziła”. Pewnie dlatego.

– Rozumiem. – Pokiwała głową, uśmiechając się. – Ładnie tu. – Rozejrzała się wokół.

Mówiła prawdę. Mieszkanie urządzone było bardzo gustownie. Przytulnie, choć bez zbędnych bibelotów i chaotycznej plątaniny wzorków, ale nie surowo, a raczej po kobiecemu, w pastelowych kolorach. Na środku pokoju królowała biała sofa, obok stały dwa wygodne fotele, przed nimi ława, a pod ścianą regał w naturalnym odcieniu klonu. Na jasnym parkiecie leżał dywan o barwie moreli, zaskakująco czysty, chociaż na pewno nienowyy, a naprzeciw okna stała komoda ozdobiona zdjęciem w białej ramce przedstawiającym państwa Polskich w ślubnych strojach.

– Dziękuję, choć to nie moja zasługa. Ja tu tylko sprzątam, a uwierz, mam co robić. – Kamil wskazał brodą na leżące na dywanie wiktuały i walające się wokół fragmenty opakowania koszyka.

– Wierzę na słowo. Muszę, bo nie mam dzieci.

– Pół godziny spokoju – orzekł Kamil, słysząc że dzieciaki włączyły w kuchni telewizor. – Będą przeżuwać i oglądać bajkę. Korzystają, bo raczej im nie pozwalałam oglądać telewizji w czasie posiłków.

– Groźny jesteś.

– Pozory – odparł, uśmiechając się lekko. – Przepraszam, ale chciałbym cię o coś spytać. Fiśka mówiła, że...

– Nie przepraszaj. Rzeczywiście, byłam chora. Miałam guza na macicy, dokładnie mięsaka. Na szczęście nie był złośliwy, ale musieli go usunąć razem z narządem. Z macicą – dodała.

– Bardzo mi przykro – chrząknął Kamil, myśląc, że to straszne przeżycie dla takiej młodej kobiety. – Wody? – zapytał, mimo że już sięgnął po karafkę i zaczął napełniać dwie szklanki.

– Dzięki, może być.

– Co mówią lekarze? – kontynuował, podając jej szklankę.

– Rokowania są bardzo dobre. Bałam się, że coś z genami BRCA jeden i dwa, na pewno słyszałeś o tym w telewizji. Niedawno mówili, że Angelina Jolie ma taki właśnie problem, ale nie mam żadnych mutacji, więc prawdopodobnie mój guz to incydent. Na razie chodzę co dwa tygodnie do kontroli. I biorę leki – dodała jeszcze raz usprawiedliwiająco. – Najadłam się trochę strachu przed samym zabiegiem, bo oprócz guza wykształcił się niewielki tętniak i lekarz mnie ostrzegł, że to kłopot, ale opanowali sytuację.

– Dzięki Bogu – westchnął Kamil. – Będzie dobrze, teraz tylko dbaj o siebie.

– Dbam.

– No właśnie widzę. – Puścił do niej oczko. – Nie chciałaś zjeść kolacji. Może krzyknę, żeby dzieciaki zrobiły ci kanapkę z miodem? A jak hemoglobina? A płytki krwi, że nie wspomnę o leukocytach?

– Nie jestem głodna – powtórzyła jak mantrę. – Myślałam, że jesteś informatykiem, a widzę, że chyba mam do czynienia z domorosłym panem doktorem.

– Fiśka też była taka szczupła po chemii. Tak, dobrze słyszysz. Parę lat temu przeżywaliśmy z Anią – na moment zatrzymał wzrok na zdjęciu – prawdziwy koszmar.

– Co jej było? – Olga wzięła głęboki oddech, bo właśnie odkryła powód, dla którego Faustyna tak często odwiedzała laboratorium i skąd wzięła się ta cała medyczna wiedza u Kamila oraz zainteresowanie stanem jej zdrowia.

– Ostra białaczka limfoblastyczna. Zaczęło się, gdy miała dwa latka. Zachorowała dosłownie w ciągu tygodnia. Obudziła się w nocy, płacząc, że bolą ją nóżki. Ania dała jej panadol, a rano, gdy wychodziły do ośrodka, Faustynce poleciała krew z nosa. Przytomnie lekarka skierowała małą na badania od razu w tym samym dniu. Gdy zobaczyła wyniki morfologii... – Kamil przełknął ślinę.

– Co teraz? Nadal jest chora? – Olga nie mogła uwierzyć, że ta wesoła, pulchna dziewczynka z warkoczykami przeżyła taką chorobę, chociaż akurat jej wiedza o białaczce nie była zbyt dogłębna, ot, tyle, ile usłyszała czasami w telewizji lub przeczytała w jakiejś gazecie.

– Zaraz po urodzinach Maksia zaczęła się remisja. Gdy mały skończył pół roku, skończyła się też choroba Fisi. Całkowita remisja trwa już prawie cztery lata. Jeszcze rok i będzie można mówić, że jest zupełnie zdrowa. Codziennie się o to modlę – wyznał. – Mam nadzieję, że Ania nie pozwoli na powrót choroby. – Uśmiechnął się nieznacznie.

– Bierze jakieś leki?

– Już nie, ale co trzy miesiące robimy badania. Zostawiłem w LABBE prawdziwą fortunę. – Kamil się zaśmiał. – Na pewno znasz panią Dorotkę, pobiera krew u was w laboratorium. Fiśka ją uwielbia, tylko jej pozwala się kłuć. Nic dziwnego, bo pani Dorotka jest bardzo delikatna i skuteczna. Wiem, co mówię, bo też się daje. Od początku choroby Fiśki któremuś z nas również pobierali krew, żeby było jej raźniej. Najczęściej to ja padałem ofiarą. Jestem najbardziej przebadanym zdrowym mężczyzną w Polsce – zażartował.

– A co się stało twojej żonie? Jeśli nie chcesz o tym mówić, zrozumieć – dodała prędko.

– Zmarła kilka dni po urodzeniu Maksia.

– Jakież powikłania po porodzie?

– Rodziła normalnie, bez cięcia. Tak samo jak Faustynkę. Lekarze stwierdzili, że Ania miała wylew krwi do mózgu, co było dla mnie strasznym zaskoczeniem, bo nigdy się nie skarżyła na bóle głowy, nie chorowała na nadciśnienie, nie doznała też żadnego urazu, o którym byśmy wiedzieli. Nic. Po prostu pękło jej w głowie jakieś naczynie, nazajutrz... – Chrząknął i kilka razy przełknął ślinę. – Nazajutrz stwierdzili śmierć pnia mózgu. Zrobili niezliczoną ilość badań, a po trzech dniach odłączyli ją od aparatury podtrzymującej życie.

– Nikt tego nie przewidział? Nie wiem, nie sprawdzają, czy kobieta może rodzić naturalnie? – Olga była wyraźnie wstrząśnięta i choć starała się zachować spokój, jej głos lekko się załamywał.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek myślał o takiej ewentualności. Ania zawsze była zdrowa. Gdy Fiśka zaczęła chorować, oboje gruntownie się przebadaliśmy. Lekarze na to nalegali, chodziło o zgodność do ewentualnego przeszczepu szpiku. Niestety, nie mogliśmy być dawcami dla naszej córki, ale przy okazji zrobiono nam mnóstwo badań i wszystkie wyniki wypadły idealnie.

– Strasznie mi przykro. Sporo przeżyłeś. – Olga zagryzła wargę.

Potaknął.

– Najgorsza była chwila, gdy odbierałem Maksia ze szpitala. To było w tym samym dniu, w którym... – Znów lekko odkaszlnął.

Zapadła cisza. Olga pomyślała, że zaraz się rozplacze. To był jeden z najbardziej przejmujących momentów w jej życiu, gdy siedziała naprzeciw Kamila i bezradnie patrzyła, jak mężczyzna próbuje się nie rozkleić.

– Zjedliśmy! – Do pokoju wpadł Maksio. Podbiegł do ojca, oparł lepkie rączki na jego udach i uśmiechnął się od ucha do ucha. – To był zwykły dżem, tatusiu. Wcale nie kwiatkowy! Tam nie było żadnych kwiatków, ani pół. Oszukali cię! – Odwrócił się i popatrzył na Olgę.

– Maksiu! Wracaj! Nie posprzątałeś! – Z kuchni dobiegł głośny krzyk.

– Schowaj mnie! – pisnął malec i błyskawicznie wspiął się na kolana ojca. Naciągnął na głowę i drobne ramionka sweter Kamila, co sprawiło, że ten wyglądał trochę jak kobieta w zaawansowanej ciąży.

– Gdzie ten bałaganiarz?! – Faustyna stanęła w drzwiach i rozejrzała się uważnie.

Maksio cicho zachichotał pod granatową dzianiną i to go zdradziło. Fiśka dopadła brata, wyciągnęła go siłą i zawlokła do kuchni.

– Sama widzisz, jakie z nich łobuzy. Muszę trzymać towarzystwo w ryzach – westchnęła z uśmiechem Kamil.

– Dobrze, że ich masz – stwierdziła Olga, też rozbawiona tym krótkim incydentem, który zapobiegł ich obopólnej rozsypce.

– Dobrze. To najlepsze, co mogło mnie spotkać w życiu. Dzieci są błogosławieństwem – rzekł niefrasobliwie Kamil. Dopiero po sekundzie pojął, że mógł sprawić Oldze przykrość swoimi słowami, więc zerknął na nią kontrolnie, ale na szczęście sprawiała wrażenie spokojnej.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę o metodach wychowawczych, zwłaszcza o tak zwanym bezstresowym wychowaniu, bo Kamil rozpoczął ten temat, i trochę się pośmiali, gdy dzieci zaczęły się dosyć ostro kłócić i ostatecznie ojciec musiał iść do kuchni, żeby zainterweniować. Później oddelegował je do łazienki, sarkając pod nosem: „Dzień w dzień ta sama śpiewka, nie chcecie się myć, nie chcecie iść spać, a Olga to wszystko widzi i na pewno już nigdy nie przyjdzie odwiedzić takich niegrzecznych dzieci”.

Prawie udało się opanować niesforny duet. Prawie, bo jakiś kwadrans po tym, jak dzieci wyszły z łazienki i ułożyły się w łóżkach, nagle w całym mieszkaniu zgasło światło, a do Olgi i Kamila dobiegł wrzask Maksia. Akurat rozmawiali o swoich zainteresowaniach, a dokładnie o ulubionych książkach, gdy niespodziewana awaria zakończyła pogawędkę.

– Jezu! – Kamil zerwał się na równe nogi, żeby sprawdzić, co się zdarzyło w dziecięcym pokoiku, a zaraz za nim, choć po omacku, podążyła Olga.

Wyjęła z kieszeni zakietu komórkę i włączyła, żeby cokolwiek widzieć.

– Sparzył się! – Faustyna klęczała na łóżku z przytkniętymi do buzi dłońmi.  
– Dotknął żarówki i się sparzył! Ale żyje!

– Chyba prąd go kopnął – zauważyła Olga, dostrzegłszy chłopca, który siedział na podłodze, trzymając się za rączkę i trzęsąc jak w febrze.

– Chyba tak – potwierdził Kamil. – Przyświeć tu – poprosił Olę.

Razem pooglądali paluszki malca, który popiskiwał przy każdym najlżejszym dotknięciu.

– Nic się nie stało – orzekł Kamil po minucie. – Trochę mięśnie mu chwyciło. Poboli i przestanie. Na szczęście przepięciówka zadziałała. Zamontowali w zeszłym roku w każdym mieszkaniu. Chwała Bogu, że nad wami czuwał! – Wziął Maksia na ręce i mocno przytulił, bo ten ciągle pochlipywał. – Już dobrze, już dobrze – powtarzał, kołysząc go w ramionach.

– Ale co on robił? – zastanawiała się głośno Olga. – Jak to się stało?

– Dotykał lampki? – spytał Kamil, zerkając na Faustynę znad ramienia synka.

– Uhm. Bo migąła. Mówiłam, że ma przestać, ale mnie nie słuchał. Chwycił żarówkę, a potem to nie wiem. Błysnęło i już. – Dziewczynka wzruszyła ramionami. – Dobrze, że go nie zabiło. Ale byłby kłopot... – orzekła tonem „starej malutkiej”.

– Kłopot? Głupia jesteś! – oburzył się Maksio. – To targedia by była! Tato, powiedz, że targedia – wychlipał w tors ojca.

– Targedia. Okropna – potwierdził Kamil. – Maksiu, nie wolno dotykać lampki. Nigdy. Jeśli migąła, miałaś mnie zawołać, a nie naprawiać samemu. Nie wolno się bawić prądem. Rozumiesz?

– Uhm.

– Poczekaj, pójdziesz do Olgi na rączki, a ja spróbuję włączyć światło. Okej?

– Okej.

Olga z wrażenia zapomniała, że nie wolno jej dźwigać niczego o wadze większej niż dziesięć kilogramów. Położyła komórkę na nocną szafkę i wzięła chłopczyka na ręce, mile zaskoczona okazanym zaufaniem. Przyłgął do niej i od razu poczuła, że zmoczył łzami jej policzek.

Kamil wypiął z gniazdka kabel lampki i wyszedł z mieszkania, a Olga przysiadła z Maksiem na skraju łóżka, bo ręce błyskawicznie zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa.

– Smoka – wymamrotał po chwili chłopczyk.

– Co? – Nachyliła się, żeby lepiej go słyszeć.

– On chce smoka – wyjaśniła Fiśka, która przycupnęła tuż obok nich.

– Smoka? Jakąś maskotkę? – Olga zmarszczyła czoło.

– Nie. Chce smoczek. Taki do mulania w buzi – uzupełniła.

– Aha. A gdzie on jest?

– Tata schował. – Faustyna dyskretnie zerknęła na górę czerwonej szafy mammut. – Schował, bo Maksior mnie uszczypnął, gdy rano mówiliśmy pacierz.



– Nieprawda – wybulgotał Maksio. – Wcale cię nie uszczyplem.  
– Uszczypleś.  
– Nie. Prawie zginałem, a ty mi dokuczasz – burknął spod pachy Olgi. – Nie masz serca.

– Mam. Tatuś mówi, że mam wielkie serce. Okropnie się przestraszyłam, że coś ci się stało, a ty pyskujesz, że nie mam serca.

– Masz wielki brzuch. – Ledwie to powiedział, a Faustyna od razu spuściła wzrok na spodenki flanelowej piżamy trochę zbyt mocno opięte w pasie.

– A ty jesteś głupi. Mogłeś się zabić z tej głupoty – zripostowała.

– No właśnie. A ty w ogóle tego nie przeżywasz. A już więcej braciów nie będziesz miała. Bo nie ma mamusi i kto ich urodzi?

– Jesteś głupi. Mogę mieć braci, bo surykatka ich urodzi. Inka mówiła, że tak mówili w telewizji.

– Wymyśliłaś to. Olga, powiedz, że nie ma tej sukiratki.

– Surykatki? – wykrztusiła z trudem Olga. Prawie się udusiła ze śmiechu, gdy Fiśka zaczęła dyskutować z bratem. – Surykatka to takie małe zwierzątko. Trochę mniejsze od kota.

– No widzisz! – wrzasnął z tryumfem Maksio i nawet odkleił się od Olgi, żeby obrzucić siostrę pogardliwym spojrzeniem. – Jak takie małe zwierzątko urodzi dzidziusia? Aleś ty głupia. Inka cię nabrała.

– Na pewno mnie nie nabrała.

– Olga, powiedz jej, że ma powiedzieć tacie, że tata ma mi oddać smoka. – Maksio popatrzył na tymczasową opiekunkę.

– Hm... Chyba musisz najpierw przeprosić Faustynkę. – Olga domyśliła się, w czym tkwi problem.

– Nie.

– N i e w ą t p l i w i e mnie uszczypleś, więc przeproś.

– Nie uszczyplem.

Na szczęście Kamilowi udało się właśnie odblokować drzwiczki skrzynki i w całym mieszkaniu rozbłysło światło. Również na korytarzu.

– Jestem! – oświadczył, wchodząc do pokoju i zapalając główną lampę nad ich głowami. – Gówniarz wybił prąd na całej klatce, o ile nie w bloku. Dobrze, że udało mi się to uruchomić, bo sąsiedzi by nas zlinczowali. I jak? Maksio, pokaż łapkę – powiedział, przysiadając się z wolnej strony do Olgi.

Synek od razu wyciągnął małą rączkę, kilka razy wyprostował i zgiął palce, jak polecił mu tato, i zadowolony, że jest w centrum zainteresowania, spojrzał na Fiśkę.

– Mam moc. Zabiłem prąd. W całym bloku – dodał bardzo poważnym tonem.

– Taaa... istny Superman. – Jego ojciec pokiwał głową.

– Chyba wszystko w porządku? – spytała Olga, zerkając na ciągle jeszcze zdenerwowanego Kamila.

Ten skinął potakująco głową.

– Posłuchajcie, dzieciarnia! Jutro pogadanka o elektryczności, bo widzę, że macie poważne braki w tym temacie, a teraz do łóżka, a to dziadostwo idzie w kosz! – Podniósł się i chwycił lampkę za podstawę. – To znak, że koniec spania przy zapalonym świetle. Zrozumiano?

– No – mruknął bez przekonania Maksio, bo trochę bał się ciemności, nawet takiej rozświetlonej latarniami stojącymi na parkingu przed blokiem. – Mogę za to dostać smoka?

– A przeprosiłeś Fisię?

– Tato... – jęknął z wyrzutem. – Prawie zginałem.

– Masz moc, to sam znajdź. – Głos Faustyny aż zawibrował z nieskrywanej ironii.

– Ech, święty by z wami nie doszedł do ładu... – Kamil machnął ręką. – Na raz Maksio przeprosza Fiškę! Na dwa oddaję mu smoka! Na trzy oboje jesteście pod kołdrą! Na cztery gaszę światło i wychodzę stąd z Olgą! Na pięć śpicie! Jasne?!

– Jasne!

– Raz!!! – huknęło w pokoju...



Końcówka marca była bardzo obiecująca. Słońce przygrzewało tak mocno, że krakowskie kwaciarki zappełniły płytę Rynku swoimi pachnącymi stoiskami, a i restauratorzy zaczęli im dzielnie pomagać. Olga z Izą znalazły wolny stolik przed kawiarnią Wedla, zamówiły po filiżance gorącej czekolady i nawet skusiły się na coś słodkiego. Przy torciku wymieniły się ploteczkami, choć akurat w tej materii zdecydowany prym wiodła Iza jako znacznie lepiej poinformowana, co dzieje się w ich paczce.

Za to Olga koniecznie musiała się podzielić swoimi przeżyciami z soboty. Już w niedzielę zadzwoniła do Izy, ale ta nie miała sił, bo odsypiała nocne szaleństwa w klubie. Dlatego spiknęły się w poniedziałek, urwawszy się z pracy, choć Izie było zdecydowanie trudniej wyjść w południe z wydawnictwa i zniknąć choćby na godzinkę.

– Opowiadaj! – Iza przełknęła ostatni łyżeczek czekolady i odstawiła filiżankę.

– To jakiś kosmos – zaczęła Olga. – Wiesz, wdowiec, te dzieciaki, na dodatek on, a raczej oni wszyscy, mają niezłego bzika na punkcie Kościoła. Sama nie wiem, od czego zacząć.

– Najlepiej od początku. Trzy „wu”, czyli wiek, wygląd, wykształcenie, potem co robi, gdzie mieszka, czym się wozi, gdzie spędza urlop, a reszta już sama

poleci.

– Trzydzieści sześć lat, całkiem przystojny, podobny trochę do Ryana Goslinga, ale ma lepszy nos, mojego wzrostu, sylwetka naturalna, bez szalu, ale i bez żadnych defektów, naturalny blondyn, piękne oczy...

– Na które dałaś się złapać jak muszka na lep? – przerwała jej Iza.

– Jeszcze nie! – Olga pokręciła głową. – Magister inżynier, jest nauczycielem informatyki, uczy w szkole podstawowej na Azorach, gdzie zresztą mieszka.

– W bloku? – znów wtrąciła się Iza.

– A w czym? Przecież nie w willi. – Olga puściła do niej oczko. – Ma całkiem ładne to mieszkanko. Drugie piętro, na oko jakieś pięćdziesiąt metrów, trzy pokoje...

– Pięćdziesiąt metrów i trzy pokoje? Chyba pokoiki?

– Dwa pokoiki i jeden pokój – zgodziła się Olga i szybko opisała wnętrza. Szybko, bo przecież nie było się o czym rozgadywać.

– A co robią jego rodzice? Ma rodzeństwo?

– Rodzice nie żyją. Nie wiem dlaczego, ale pewnie zmarli ze starości, bo matka urodziła go grubo po czterdziestce. Cudem udało jej się zająć w ciążę.

– Aha, czyli jedynak. Coś jeszcze?

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Hobby? Dzieci! – zażartowała. – Wczasami się nie chwalił, więc pewnie nie jeździ. Może gdzieś tu, lokalnie? Z dziećmiakami trudno się wyrwać, i to kosztuje, a on raczej nie zarabia kokosów w tej szkole i nawet z rentą po żonie ma kłopot z domknięciem budżetu.

– Żalił się?

– Nie, ale myślę, że mu się nie przelewa.

– A co się stało z jego żoną?

– Zmarła przy porodzie, a dokładnie trzy dni po urodzeniu synka, Maksymiliana. Chłopczyk ma ponad cztery lata, a Faustyna osiem.

– A co jej się stało? – Iza ze zgrozą pokręciła głową. Planowała zamążpójście w lecie, a i o dzieciach rozmawiała już z narzeczoną, więc gdy słyszała takie historie, włos się jej jeżył na głowie.

– Wylew krwi do mózgu. Trzy dni trzymali ją pod respiratorem, a gdy stwierdzili śmierć pnia mózgu... – Olga zawiesiła głos, bo przypomniała sobie wyraz twarzy Kamila, gdy jej to opowiadał.

– Jezu! Zmieńmy temat.

– Pięć złotych do kasy – odparła natychmiast Olga i wykrzywiła twarz w coś, co miało przypominać uśmiech.

– Jakie pięć złotych?

– I tu płynnie, i zgodnie z twoim życzeniem przechodzimy do innego tematu, a mianowicie fanatyzmu religijnego pana Kamila i tego, co włacza do głów swoim

dzieciom – prychnęła Olga. – Znasz przykazania? Powinnaś znać, przecież bierzesz ślub kościelny. Chodźcie na nauki z Arkiem! Nie uważasz na zajęciach?

– Aaa! – Iza natychmiast skojarzyła. – Za Jezusa?

– Owszem.

– Serio? Każe płacić dzieciakom za to, że powiedzą „Jezu”?

– Za wszystko. Za „Boże”, za „Jezu”, a nawet za „Matko”, choć trzeba przyznać, że sam też płaci, gdy mu się wymsknie.

– Niech zgadnę, zebrane pieniądze wpłacają na konto ojca dyrektora? – Iza prawie się zakrztusiła, tak bardzo ją rozbawił własny żart.

– Nie pytałam, ale na pewno przeznaczają na jakiś zbożny cel.

– No dobrze, podstawowe dane mam. A jak randka? Ogólne wrażenia? Sorki, ale zaraz muszę lecieć. – Iza zerknęła na ekran komórki, w której co chwilę coś pikało.

Olga zamierzała podzielić się informacją o chorobie Faustyny, ale nie wiedząc do końca dlaczego, zmieniła zdanie:

– Ogólnie było miło, choć krótko, bo dzieci ustąpiły z pola dopiero o dziewiątej, a ja pojechałam godzinę później. Nie wypadało mi przecież siedzieć do północy. Na dodatek wydarzyła się mała katastrofa, bo młodego trzepnął prąd z lampki nocnej i pół godziny beczał, a Kamil go pocieszał. Masakra, takiego wrzasku dawno nie słyszałam.

– Umówiłaś się z nim? Z nimi – poprawiła się Iza.

– Chyba tak. Wstępnie na środę, ale mamy się dzwonić.

– Wiesz co, Olga? Nie wydaje ci się to dziwne? Przecież ten facet jest totalnie nie dla ciebie.

– Dlaczego tak uważasz?

– Serio nie wiesz? Zróbmy porównanie. Weźmy chociażby Hajduka czy tego... Łukasza Stawskiego, albo Kolasę. Wszystkich łączy jedno: to ludzie z naszych kręgów i nie mam na myśli jedynie hajsu, ale całokształt: ogar życiowy, światopogląd, sposób spędzania wolnego czasu, pasje, podróże i tak dalej. Już to, że Kamil ma dwójkę dzieci, powinno cię wyrzucić poza jego orbitę, przecież ty nie znosisz dzieci. Nigdy nie chciałaś mieć dzieciaków, więc jak? Po co się z nim spotykasz, skoro to absolutnie nie rokuje? Nawet na seks bez zobowiązań bym nie liczyła, bo to raczej typowy kościółkowiec.

Olga zagryzła wargi, bo ledwie Iza wymieniła przezwisko jej największej miłości, poczuła ostre piknięcie w sercu. Tym ostrzejsze, że Hugo Hajdukiewicz zaczął prowadzić dokładnie takie życie, o jakim nigdy nie myślała w kategoriach atrakcyjnego dla siebie: dom, żona, gromadka dzieci, spokój, rodzinna sielanka i stabilizacja plus coniedzielne wizyty w kościele.

– Nie zamierzam go uwodzić. Nie potrzebuję sobie udowodniać, że jestem atrakcyjna.

Iza już miała na końcu języka uwagę, że nie jest tego taka pewna, ale spasowała. Dobrze pamiętała, jak mizernie wyglądała Olga miesiąc temu, zaraz po zabiegu usunięcia macicy. Może nie były najlepszymi przyjaciółkami chodzącymi po tej planecie, ale kopanie leżącego nie było w jej stylu.

– Chcesz się z nim związać na poważnie? Dlatego idziesz na kolejną randkę czy jak to nazwać? – spytała. – Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– Nie jestem – odpowiedziała po namyśle Olga. – Nie wiem, po co chcę się z nim spotkać, ale uwierz, naprawdę tego chcę, choć świetnie zdaję sobie sprawę, że to nie ma sensu. Wycięli mi narząd rodny, nie mózg. – Zamknęła na moment oczy i zwróciła twarz w stronę słońca.

Jego promienie przenikały przez powieki, rozlewając pod nimi ocean płonącej czerwieni. Ta sama energia płynęła od Kamila i od dzieci, uświadomiła sobie nagle Olga. Może o to chodziło? O ogrzanie się w ich ciepłe, które generowali bardziej skutecznie niż wiosenne słońce wiszące nad jej głową? I dzielili się nim równie ochoczo, bez najmniejszych lęków i obaw, że kiedyś je roztrwonią.

– A może zgodziłaś się, bo doskonale wiesz, że nic z tego nie będzie? Kolesi ma być plastrem? Oderwiesz go i wyrzucisz do kosza, gdy twoje serduszko się zagoi? Coś jest na rzeczy, chyba wiem, po kim próbujesz się wykurować. Zauważyłam, jak zareagowałaś, gdy powiedziałam „Hajduk”. Olga, tak nie można. Pogrywaj z mężczyznami, ale nie z dziećmi. A co będzie, gdy one cię polubią?

– Nie pogrywam z nim. I nie zamierzam – oburzyła się. Otworzyła oczy i przez chwilę patrzyła na postać koleżanki unoszącą się w zielonej mgle. Dopiero po chwili jej przeszło i zaczęła widzieć normalnie. – Nie zamierzam z nim pogrywać – powtórzyła. – A już zwłaszcza próbować wkraść się w jego łaski, manipulując dziećmi. Za kogo ty mnie masz?

– To co?

– Mówiłam ci: nie wiem. To coś irracjonalnego – przyznała po chwili. – Od początku.

– Co masz na myśli? Szczerze mówiąc, zabrzmiało to bardzo dziwnie, zwłaszcza w twoich ustach – oceniła Iza swoją przyjaciółkę, znaną z bardzo trzeźwego, wręcz naukowego podejścia do świata.

– Nie wiem. Coś mnie do niego ciągnie. Wystarczy takie wytłumaczenie?

– Musi. – Iza puściła do niej oczko. – A teraz sorki, kochana, ale muszę lecieć. – Podniosła się z wiklinowego fotelika i ucałowała Olgę w policzek.

– Dzięki za spotkanie. Leć, a ja jeszcze chwilę posiedzę. Całkiem tu miło.

– Pa.

Olga przez kilka minut napawała się słoneczną energią. Była jej bardzo potrzebna. Wstała od stolika dopiero wtedy, gdy przy sąsiednim zebrała się grupka wyjątkowo hałaśliwych licealistek, co jej wybitnie przeszkadzało.

Też miała zamiar pojechać do pracy, ale nie zdążyła odejść nawet pięciu metrów od kawiarnianego ogródka, gdy usłyszała sygnał nadchodzącej wiadomości. *Gdzie jesteś?* – spytał Kamil. – *Na Rynku, a Ty?* – odpowiedziała. – *W pracy. Możesz coś dla mnie zrobić?* – kontynuował. Zamierzała odpisać: *Zależy, co to ma być...*, ale ostatecznie wklepała tylko słówko: *Tak*. Kamil odpisał: *Bardzo się cieszę. Wobec tego proszę Cię, podejdź do jakiejś kwiaciarki i kup jedną najpiękniejszą czerwoną różę, byle nie metrową, bo one nie pachną, a gdy to zrobisz, odpisz.*

Olga parsknęła śmiechem, ale posłusznie skrzyła w stronę najbliższego stoiska z kwiatami, których zapach wydał jej się dzisiaj wyjątkowo mocny. Troszkę jej zeszło, bo nie potrafiła zdecydować, który kwiat jest „najpiękniejszy”. W końcu się udało. Zapłaciła, powąchała różę, a potem owinęła łądygę w cieniutką bibułę, żeby nie pokłuć palców. Podeszła do pomnika Adasia, przysiadła na murku i odpisała Kamilowi, że misja się powiodła.

Była ciekawa, co ma zrobić z różą. Spekulowała, że Kamil powie: *Zanieś ją do kościoła*, może dlatego zrobiło jej się dziwnie na sercu, gdy przeczytała: *Ta róża jest dla Ciebie, ode mnie*. Szybko odpisała: *To bardzo miłe z Twojej strony, ale musiałam sama ją sobie kupić i sama za nią zapłacić, i chociaż nie jestem małostkowa, uważam, że nie wysiliłeś się szczególnie* – i okrasila odpowiedź emotką z przymrużonym okiem. – *A ja myślałem, że mam do czynienia z kobietą wyzwoloną i niezależną, ale masz rację. Nie wypada, żeby dama sama sobie kupowała kwiaty. Mogę to naprawić?* – zapytał. – *Możesz, ale nie wiem jak.* – *Mam pomysł...* – odpisał i zamilkł.

– Hm... trochę banalny ten podryw na bycie „Panem Mocno Tajemniczym” – mruknęła, zanurzając nos w czerwonych płatkach.

Zamknęła oczy i zaciągnęła się wyjątkowo mocnym zapachem. Był słodki i kojarzył jej się z perfumerią Molinard, którą odwiedziła kiedyś przy okazji jednego z urlopów na Lazurowym Wybrzeżu. Nagle poczuła, że coś delikatnie dotknęło jej policzka. Natychmiast uniosła powieki.

– Kamil? – Zdumiona spojrzała na mężczyznę. I na spory bukiet róż, który trzymał w prawej ręce. To nimi musnął ją po twarzy. – Co tu robisz?

– Jestem w pracy. Przyjechałem po myszki. Do komputerów – odparł, unosząc do góry reklamówkę wypełnioną jakimiś pudełkami. – Mam dwugodzinne okienko, a siedzieć w taki piękny dzień w pokoju nauczycielskim to marnotrawstwo i głupota – dodał i usiadł obok niej. Podał jej kwiaty, mówiąc: – Te sam kupiłem.

– Śliczne. Dziękuję. – Olga wtuliła twarz między delikatne płatki.

Zawstydzila się, bo Kamil ją zaskoczył swoim nagłym pojawieniem i tym, że wydał jej się nagle najfajniejszym facetem, jakiego spotkała w życiu. Siedział tuż przy niej i nucił pod nosem. Dopiero po chwili poznała, że to *Something stupid*

Franka Sinatry.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – spytała, sądząc, że to nie przypadek.

– Idę po te myszki i kogo widzę? Olgę. Przechodziłem tuż obok ciebie i jakiegoś ładnego rudzielca, ale tak byłyście zaaferowane rozmową i pićm kawy, że mnie nie zauważyłaś.

– Czekolady. Piłyśmy czekoladę, a ten ładny rudzielec to Iza, moja przyjaciółka.

– Tak myślałem, że przyjaciółka. Postanowiłem, że gdy będę wracać, a ty nadal będziesz w kawiarni, podejść się przywitać i przedstawić, ale rudzielec zdążył uciec. Tobie też prawie się udało.

– Podglądałeś mnie, kiedy kupowałam różę? – Uśmiechnęła się, patrząc w jego rozjaśnione promieniami słońca oczy.

– Można tak powiedzieć, choć raczej użyłbym słowa: obserwacja, ewentualnie monitorowanie, ale nie bój się, nie jestem stalkerem, to chyba naleciałość z poprzedniej roboty. A tak w ogóle, to masz dzisiaj wolne? – spytał, licząc na to, że jeszcze przez chwilę będzie mógł z nią pogawędzić przy pomniku.

– Hm... Mam nienormowany czas pracy. Nadrobię wieczorem – wyjaśniła.

– Fajnie. Też lubiłem taki system – westchnął.

– Dlaczego zmieniłeś pracę?

– Nie było innego wyjścia. Mogłem pracować w domu, z reguły tak właśnie było, ale raz na kwartał, czasem częściej, musiałem lecieć do Waltham, to w stanie Massachusetts, i siedzieć tam tydzień, a nawet dwa, i ustalać pewne kwestie osobiście. Miałem fajnego menedżera, lubiliśmy się z Noahem – westchnął ciężko.

– Czym dokładnie zajmuje się ta firma?

– Netcracker? Oprogramowaniem dla wojska. Głównie komunikacyjnym.

– Aha. – Olga pokiwała głową.

Nie musiała pytać, dlaczego Kamil zrezygnował. Domyśliła się, że gdy został sam z dwójką dzieci stale wymagających jego obecności, takie wyjazdy nie wchodziły w grę.

– Żałuję, bo naprawdę lubiłem tę pracę.

– Dobrze zarabiałeś?

– Tak. Gdy dowiedzieli się, co mnie spotkało... – dodał w zadumie, bo znów ogarnęły go przykre wspomnienia – najpierw zaproponowali, że ktoś przez pół roku będzie przyjeżdżał do mnie, ale odmówiłem. Wiedziałem, że to nie kwestia pół roku, tylko co najmniej dwóch lat. Nikt nie będzie tyle czekał. Złożyłem wypowiedzenie, a menedżer wypłacił mi taką odprawę, że kupiłem za to całkiem niezły samochód i jeszcze spłaciłem siostrę Ani za połowę mieszkania.

– Nie możesz tam wrócić?

– Raczej nie. Nie pytałem. Zresztą sytuacja się nie zmieniła, więc po co drążyć?

– A jak tam się dostałeś? Szczerze mówiąc, taka praca nie leży na ulicy. W urzędzie pracy też nie znajdziesz takiej oferty.

– Będziesz się śmiać, ale to przypadek. Byłem wielkim fanem Diablo, a Noaha poznałem na jednym z amerykańskich forów miłośników tej gry. Od słowa do słowa i okazało się, że spośród graczy werbował potencjalnych pracowników ze wschodniej Europy.

– Brzmi jak bajka.

– Bo to była bajka – rozmarzył się Kamil.

– I jak każda bajka szybko się skończyła.

– Ale zaczęła się inna – dodał natychmiast. – Nie narzekam na szkołę. Jest blisko, szybko kończę, są wakacje i ferie, a najważniejsze, że lubię te moje dzieciaki, choć co rocznik to gorsze łobuzy. I łobuziary, bo dziewczyny w niczym nie ustępują chłopcom.

– Nadmiar testosteronu z kurczaków.

– To co? Idziemy do KFC? – zażartował Kamil, bo już miał dosyć grzebania w przeszłości.

– O nie! Nie jadam fast foodów. I nie lubię drobiu.

– Wobec tego zapraszam cię na żeberka w pepsi.

– A dokąd?

– Do mnie – odpowiedział, spoglądając na Olgę wesoło.

– A kiedy?

– Jutro?

– Dobrze. Mam coś przynieść?

– Siebie. I dobry humor.

– Hm... Postaram się.

– Przemięło się siedzi, ale... – Kamil znacząco unióśł brwi.

– Spiesz się panu? – zażartowała Olga.

– Spiesz, ale zdążę cię odprowadzić, choć nie wiem, gdzie. – Stał i wyciągnął do niej dłoń, ale udała, że jej nie zauważyła, zajęta zbieraniem swoich manatków z murku pomnika.

– Zrobimy inaczej, ja odprowadzę ciebie. To z wdzięczności za wszystko – odpowiedziała, nie patrząc na niego.

– Liczysz na podwójną porcję żeberka?

– Ech! Przejrzałeś mnie na wylot – odparła, dopiero teraz spoglądając na Kamila.

Wstała i wzięła go pod ramię. Spacerowym krokiem dotarli aż pod Bagatelę, gdzie Polski zaparkował samochód.

– To do zobaczenia jutro – westchnął, bo wcale mu się nie chciało rozstawać z Olgą, tym bardziej że pogoda dopisywała, a pogawędka była interesująca.

– Do jutra – powtórzyła Olga.



Na moment zapadło między nimi dziwne skrepowanie. Stali naprzeciw siebie, jakby każde z nich czekało na jakiś ruch tego drugiego. Choćby na wyciągnięcie ręki. Ale żadne nie chciało pierwsze wykazać inicjatywy i w końcu Kamil nacisnął pilota. Piknęły zamki.

– To do zobaczenia. – Chrząknął.

– Do zobaczenia.

Olga jeszcze przez moment stała i patrzyła, jak Kamil wsiada, zapina pasy, uruchamia samochód i powoli wycofuje, żeby łatwiej włączyć się do ruchu. Pomachała mu lekko wiazanką róż, znów myśląc, że ich znajomość jest kompletnie bez sensu. Westchnęła głęboko i pomaszerowała z powrotem na Rynek.

### Rozdział 3

– Dobry humor jest, no to do dzieła – mruknęła z przekąsem Olga, naciskając dzwonek.

Odczekała chwilę, by z gwaru słyszalnego przez drzwi wyodrębnić głębokie huknięcie i coś podobnego do odgłosów galopującego źrebaka. Od razu się domyśliła, że to najpewniej Faustyna przywita ją w progu i nie myliła się.

– Olga! Tatusiu, już jest Olga! – wrzasnęła dziewczynka, aż zatrzeszczało coś w głośniku zepsutego domofonu wiszącego na ścianie.

– Jestem przed czasem? – spytała Olga, całując Faustynę w zarumieniony policzek.

– Nie! Chodź.

– Muszę zdjąć płaszcz. Poczekaj!

– Tylko szybko! – Mała podskakiwała w miejscu.

– Już.

Zanim Olga zdjęła okrycie i buty, Fisia opowiedziała, że tata jest w kuchni i gotuje, dlatego ona ją wita, i że dzisiaj oni mają dla niej niespodziankę. Co sekundę zerkała na zamknięte drzwi dużego pokoju, zza których ryczał niemiłosiernie głośno nastawiony telewizor z jakąś kreskówką, i zanosila się nerwowym chichotem.

W końcu wzięła Olę za rękę i podprowadziła pod drzwi, ale nie zdążyła ich otworzyć, bo Kamil wychylił głowę z kuchni.

– Cześć! Przepraszam, że nie przywitałem się z tobą, ale właśnie wyciągałem naczynie żaroodporne i... – Podniósł dłonie w grubych kuchennych rękawicach. – Zaraz do was dołączę.

– Cześć i nie ma sprawy – odpowiedziała Olga. – A czemu zamknęliście Maksia w pokoju?

– Nie mów! – pisnęła Faustyna.

Kazała Oldze zamknąć oczy, nacisnęła klamkę i popchnęła gościa przez lekko uchylone drzwi. Od razu wszystko ucichło, ktoś po prostu wyłączył telewizor.

– Już możesz otworzyć!

– Och! Dobry wieczór – wyjąkała cicho Olga. Ale to nie bogato zastawiona ława tak ją zaskoczyła, lecz Maksymilian siedzący na sofie między dwiema młodymi kobietami. Cała trójka wesoło się uśmiechała, a raczej szczyrzyła zęby. Zwłaszcza ostrzyżona na męsko szczupła szatynka.

– Dobry wieczór – odpowiedział mieszany chórek.

Olga podeszła bliżej, panie dokonały wzajemnej prezentacji i uściśniły sobie dłonie, Maksio na chwilę wydostał się spomiędzy swoich towarzyszek, żeby uściśnąć Olę, ale zaraz tam wrócił.

– Proszę usiąść. – Fiśka wskazała Oldze miejsce na fotelu. – Zaraz wracam,

muszę iść pomóc tatusiowi.

– To jakaś okazja? – Olga uniosła brwi, bo zauważyła stojący na regale wazon ze sporym pękiem czerwonych tulipanów.

– Nie. Czasami lubimy przynieść mu kwiaty. Ot tak, bez okazji – odpowiedziała ładniutka blondyneczka, drobna, choć nieco przy tuszy.

– Uff... – odetchnęła Olga. – Inka? Dobrze usłyszałam? Przepraszam, ale czasami moja pamięć krótkotrwała szwankuje. – Popatrzyła na szatynkę odzianą w coś, co do złudzenia przypominało męski strój, a mianowicie w zapiętą pod szyją klasyczną białą koszulę i czarny sweter z dekoltem w serek.

– Tak. A to Sabina, moja partnerka.

– Teraz rozumiem, Saba i Inka, czyli Sabinki? – Olga zerknęła pytająco na Fiśkę, która właśnie wkroczyła do pokoju, dzierżąc dumnie koszyczek z czosnkowym pieczywem.

– Zapamiętałaś! – ucieszyła się dziewczynka. – Masz doskonałą pamięć, tylko raz wymieniałam tę nazwę.

– Czasami mam, czasami nie mam. – Uśmiechnęła się blado.

„Przyjaciółki lesbijki?” – Uznała w myślach, że to faktycznie niespodzianka. Zapadło dziwne milczenie, bo obie panie taksowały ją wzrokiem, a ona nie miała pojęcia, co powiedzieć. Już zamierzała zagaić coś w bezpiecznym tonie, na przykład spytać Maksia, jak miewa się jego rączka, ale na szczęście do pokoju wszedł Kamil, niosąc przed sobą żaroodporny garnek wypełniony po brzegi kawałkami żeberek.

– Pachną bosko! – Inka oblizwała się jak kot.

– Zaraz przyniosę twoje warzywka – Kamil zwrócił się do Sabiny. – Nasze Serduszko jest wege, więc dla niej muszę szykować inne danie – wyjaśnił, nie patrząc na Olę, ale wiedziała, że to do niej się zwraca.

W pokoju zabrzmiało najpierw „Smacznego”, a potem wszyscy ochoczo zabrali się do jedzenia. Oczywiście nikt nie milczał i w ciągu pół godziny Olga musiała zreferować, gdzie pracuje i jakie ukończyła studia. Wyjaśniła, że zrobiła dyplom z zarządzania personelem medycznym, co bardzo zainteresowało Inkę, bo ta była lekarzem rodzinnym i zasuwała na dwóch etatach w ZOZ-ie na Nałkowskiego i w prywatnej klinice w śródmieściu. Dowiedziała się, że Sabcia spełnia się w ośrodku wychowawczym jako psycholożka, a jej specjalizacja to pomoc uzależnionej młodzieży.

Obie panie okazały się bardzo przyjaźnie nastawione do Olgi, choć wyraźnie się różniły. Głowa rodziny, czyli Inka, wyraźnie podkreślała swoją główną rolę w związku. Pewnie dlatego pracowała więcej i dłużej niż Sabina, która pełniła funkcję żony. Inka mówiła głośno i dobitnie, tak samo się śmiała, a jej dziewczyna sprawiała wrażenie cichej, spokojnej i nieco wycofanej. „Typowa romantyczka” – oceniła ją Olga, patrząc na dziewczęcą fryzurę, czyli nisko upięty nad szyją

delikatny koczek i sukienkę z popielatej dzianiny ozdobioną przy szyi bawełnianą koronką.

Gdy skończyli jeść, to właśnie Sabina pierwsza wstała i zaoferowała pomoc przy uprzątnięciu stołu, ale Kamil nie pozwolił. Zaangażował dzieciaki, a potem ku ich wyraźnemu rozżaleniu nakazał, aby poszły się umyć i przebrać w piżamy, bo było już grubo po siódmej. Buntowały się, więc im asystował. Z łazienki dobiegały na przemian to śmiechy dzieci, to pohukiwania ich ojca, żeby uczciwie myły zęby i buzie, bo poprawi cifem i myjką do garnków.

– Dyscyplina musi być – orzekła Inka, widząc minę Olgi.

– Nie dałby sobie z nimi rady – dodała łagodnie Sabina. – Samemu ciężko opanować taką ruchliwą dwójkę. Wiem, jak szaleją u nas.

– Raczej u ciebie. Gdy ja wracam do domu, zaraz jest spokój – dopowiedziała Inka.

– Skąd się znacie? – spytała Olga.

– Mieszkamy trzy bloki dalej. Chodziłam z Anią, żoną Kamila, do szkoły – wyjaśniła Inka.

– Aha.

– Nie powiedziałaś wszystkiego. – Sabina poprawiła się na sofie, podwijając pod siebie nogi. – To bardzo ładna historia z tą naszą bliższą znajomością z Kamilem. Choć troszkę smutna.

– Mogę ją poznać? – zainteresowała się Olga, widząc zagadkowy uśmiech na jej twarzy.

– Mów szybko, wiesz, że Kamil to bardzo przeżywa – popędziła ją partnerka.

– Nieprawda. Już nie przeżywa.

– Czego już nie przeżywam? – spytał gospodarz.

Nie zauważyły, że właśnie wszedł do pokoju, niosąc tym razem małą metalową tackę zastawioną kieliszkami. Pod pachą miał butelkę jakiegoś alkoholu.

– Kto pije wino?

– Ja dziękuję, prowadzę – odezwała się Olga.

– Pół lampki? Nie powinno się stać nic złego.

– Naprawdę dzięki, ale nie.

Kamil rozlał wino do trzech kieliszków, dla Olgi przyniósł karafkę z wodą, usiadł przy stole i od razu zerknął kontrolnie w stronę przedpokoju, bo właśnie w drzwiach pokazały się dzieciaki. Wyciąłowały wszystkie trzy ciotki oraz ojca i z nieszczęśliwymi minami poszły do swojego pokoju, żegnane przypomnieniem o pacierzu.

– Więc czego nie przeżywam? – podjął Kamil po krótkiej przerwie.

– Sabcia chciała opowiedzieć historię naszej przyjaźni. Wytłumaczyłam twojej dziewczynie, że...

– Zaszło nieporozumienie – przerwała jej Olga stanowczo, ale z uśmiechem.  
– Nie jestem dziewczyną Kamila, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

– Obawiam się, że Olga ma rację. Na razie – dodał, zerkając na nią spod przymrużonych powiek.

– Ej! Przestańcie flirtować, bo zaraz sobie pójdziemy – burknęła Inka ze zdegustowaną miną.

– Ups – syknęła Olga.

– Wiecie co? Myślę, że Kamil sam najlepiej przekaże Oldze tę historię. I nie dzisiaj, a kiedyś – zaproponowała Sabina.

– To bardzo dobry pomysł – zgodził się Kamil. – A teraz wnieśmy toast. Za spotkanie.

– Za spotkanie.

Jak to często bywa, temat zszedł na politykę i ogólnie rozumiane kwestie światopoglądowe, a to, co ostatecznie zwarzyło miłą atmosferę wieczoru, zaczęło się przy drugiej i ostatniej butelce wina. Kamil stwierdził nieco prowokacyjnie, że świat się kończy, bo siedzi tu z trzema pięknymi kobietami i w normalnej sytuacji wszystkie powinny go uwodzić jako jedyne gościa w tym zacnym gronie, a zamiast tego dwie mają go w nosie, a o trzecią jest zazdrosny, bo boi się konkurencji.

Oczywiście odpowiedział mu wybuch ogólnej wesołości, nawet Olga się roześmiała, choć nie piła alkoholu, a żart nie należał do tych najwyższych lotów.

– Wiem, jestem w mniejszości. Jestem rzecznikiem białych heteroseksualnych mężczyzn. I oczywiście jem mięso. To potworne. – Kamil wzdrygnął się jak na widok czegoś absolutnie obrzydliwego. – Nie potrafię sobie wyobrazić, jak znosicie moje towarzystwo, a uprzejme ignorowanie oczywistych różnic nie sprawdza się na dłuższą metę. Macie jakieś pomysły, jak to rozwiązać?

– Ja mam. Jeden. Weź się zamknij – zasugerowała żartobliwie Inka.

– To ciekawe, że potraficie się porozumieć – zauważyła Olga. – Kiedyś bardzo interesowałam się polityką i wszystkim, co się z tym łączy, ale na szczęście mi przeszło. Mimo to dobrze pamiętam, jak te kwestie potrafią poróżnić ludzi.

– Można się pięknie różnić. – Sabina obdarzyła ją jednym ze swoich łagodnych uśmiechów.

– Nie tylko można, ale wręcz trzeba – podkreślił Kamil. – Wy macie tu... – dotknął się w okolicę piersi – i tu... – jego dłonie zjechały na miejsce tuż nad pośladkami. – A my, mężczyźni, tu... – wskazał równocześnie na rozporek i głowę.

– Tu to rzeczywiście coś masz. Nie tak jak trzeba – zripostowała Inka, pukając się w czoło.

– Tia... Zaraz się zacznie udowadnianie, że kobiety i mężczyźni niczym się nie różnią, bo nasza kochana Ineczka tak właśnie uważa. Żadnych różnic. Nic. Zero. Null. Już wam mówiłem, skoro nie ma różnic, nie liczcie na moje

nasienie, a wiem, że tego pragniecie. Nie ma mowy, nawet za pieniądze. Radźcie sobie same. Zróbcie sobie megaplemniki, przecież to takie proste: wystarczy kupić świńskie ogonki i dokleić je do kurzych jaj. Tylko pamiętajcie, że potrzebujecie minimum pięć milionów takich zestawów.

Ledwie skończył swoją perorę, a salwa śmiechu ze wszystkich kobiecych ust prawie go ogłuszyła.

– Kobieta mnie bije! – zacytował Maksa z *Seksmisji*, bo Inka rzuciła w niego małą poduszką.

– Kiedyś też byłam wielką orędowniczką równouprawnienia – zagaiła Olga. – Niektórzy moi znajomi, oczywiście zwłaszcza faceci, twierdzili, że mam zapędy, żeby stać się wręcz nazifeministką. Na dodatek od zawsze byłam zdeklarowaną ateistką, co jeszcze bardziej wyrzuca mnie na lewo, więc takie kwestie jak aborcja, eutanazja i tak dalej uznawałam za normalne w dzisiejszych czasach, ale teraz, gdy trochę się zestarzałam – parsknęła pod nosem – parę poglądów zrewidowałam, i to istotnie. Między innymi ten, że kobiety i mężczyźni niczym się nie różnią, oczywiście pomijając biologię.

– Dlaczego jesteś ateistką? – Inka nagle spoważniała. Wyglądała, jakby właśnie ujrzała ducha. – Przepraszam, nie powinnam wnikać, to twoja prywatna sprawa – wycofała się szybko, bo zerknęła na Kamila i zobaczyła, że ma wyjątkowo głupią minę.

– Nic się nie stało. Jestem niewierząca, bo moi rodzice też byli ateistami. Wystąpili z Kościoła i mnie również wychowywali świecko. Może gdybym urodziła się w bardzo katolickiej rodzinie, byłoby inaczej, choć nie sądzę, żeby to trwało długo. Prawdopodobnie wystąpiłabym z Kościoła. Jestem za wolnością światopoglądową, ale taką zupełną. Dlatego okropnie mnie drażnią te wszystkie popkulturowe bzdury, choinki, jajeczka i zajączki, cały ten cyrk odbywający się z okazji świąt. To wyjątkowo uciążliwe dla ateisty – wyrzuciła prawie na bezdechu.

– Aha – powiedziała Inka, bo tylko to była w stanie z siebie wydobyć.

– Ja po prostu nie wierzę w Boga i żadne nadprzyrodzone moce. Hm... Widzę, że chyba popełniłam jakieś *faux pas*, mówiąc o tym otwarcie? – zorientowała się Olga.

– Nie, no skąd. Domyśliłem się, że religia i wiara nie odgrywają ważnej roli w twoim życiu – odparł natychmiast Kamil. Trochę zbyt szybko, bo wyraz jego twarzy wskazywał coś zupełnie innego.

– Nie odgrywają żadnej – doprecyzowała Olga. – Po prostu ich nie ma.

– Ale jakie to ma znaczenie, kto w co wierzy? – Sabina próbowała zbagatelizować to, co właśnie wybrzmiało. – Ja i Inka wierzymy w Boga, chodzimy do kościoła, ale z wiadomych powodów nie możemy przystępować do sakramentów pokuty i komunii. Inni mogą korzystać ze wszystkich

dobrodziejstw wiary, ale nie chcą. Różnie bywa, ale różnie nie znaczy gorzej czy lepiej. A najważniejsze to być dobrym człowiekiem. Po prostu.

Od zawsze cechowała ją ogromna empatia i bez problemów odczytała emocje, które malowały się na twarzy Kamila. Był wstrząśnięty, bo gdyby nie wiara, nie podniósłby się po śmierci Ani. Dla niego wiara w Boga stanowiła podstawę życia, funkcjonowania i postępowania. Wszyscy o tym wiedzieli, a zwłaszcza najbliższe mu osoby, czyli właśnie one: Sabina i Inka, i oczywiście sąsiedzi, państwo Walczykowie.

– No cóż, problem polega na tym, że ja w nic nie wierzę – skwitowała słowa Sabiny Olga. – Zdaję sobie sprawę, że dla niektórych osób to może być zbyt duża różnica. I wcale nie piękna. – Okrasiła twarz bladym uśmiechem.

Nie miała odwagi popatrzeć na Kamila. Wbiła wzrok w blat stołu, w końcu sięgnęła po szklankę i upiła parę łyków wody.

– Kamil, tylko nie próbuj jej nawracać! – zażartowała Inka, choć wcale jej nie było do śmiechu, gdy błądziła wzrokiem między swoim przyjacielem, siedzącym ze zgarbionymi plecami, a jego nową znajomą, dla odmiany wyprostowaną na fotelu jak struna.

– Bez obaw – odparł. – Uczę informatyki, nie mam uprawnień do nauki katechezy.

– To dobrze. Wiecie co? Świetnie się siedzi, ale jutro wszyscy idziemy do pracy, więc... – Inka podniosła się z sofy. – Pobudka o piątej, bo tylu jest pacjentów przez tę dziką pogodę, że przyjmujemy od szóstej rano.

Dziewczyny podziękowały za wspaniałą kolację, zaprosiły do siebie, wylewnie pożegnały się z Olgą i w ciągu pięciu minut ich nie było.

– Ja też już pojedę – oświadczyła Olga.

– Dlaczego? Też musisz wstać o piątej? – Kamil popatrzył na nią. Stał, opierając plecy o drzwi wejściowe, które przed chwilą zamknęły się za Sabinkami.

– Nie muszę.

– Ja też nie muszę. Wystarczy o siódmej.

– Kamil... – Olga spuściła wzrok na swoje stopy obciążone cielistymi rajstopami. – Tak sobie myślę, czy...

– Czy cię jeszcze zaproszę? A dlaczego miałbym tego nie zrobić? Choć nie powiem, kiedyś chyba mogę liczyć na wizytę u ciebie? Oczywiście cały nasz tercet na to liczy. Chyba że nie chcesz kontynuować tej znajomości? – Nagle wpadło mu do głowy, że przecież tak właśnie może być.

– Ja? – Spojrzała na Kamila. – Chcę.

– W porządku. – Stał przed nią, myśląc, czy powinien zrobić krok do przodu i ją pocałować, choćby w policzek, ale ku swojej irytacji stchórzył. – To jak? Zostaniesz jeszcze chwilę?

– Nie. Już późno. Bardzo ci dziękuję za ten wieczór, było naprawdę miło,

a żeberka wspaniale. Jesteś świetnym kucharzem.

– Odprowadzę cię do samochodu. O tej porze różnie bywa, łążą jakieś gnojki i szukają ofiary, żeby coś jej zwinąć – powiedział, patrząc, jak Olga wkłada płaszcz. – Co robisz w sobotę?

– Niestety, mam zajęte popołudnie i wieczór. Iza, moja przyjaciółka, zaprosiła mnie na urodziny.

– A w niedzielę?

– Raczej będę wolna. Zadzwoń do ciebie. Dobrze?

– Jasne.

Zeszli na parking i tam Kamil znów nie wykorzystał okazji do pocałunku. Wracił, psiocząc na swój brak męskości. Wszedł do klatki schodowej, minął pierwsze piętro, gdy usłyszał dźwięk domowego telefonu. Błyskawicznie pokonał resztę schodów.

– Halo – burknął cicho, domyślając się, kto może dzwonić o tej porze i na dodatek na domowy, żeby nikt nie zauważył imienia na wyświetlaczu komórki.

– Możesz spokojnie pogadać? – spytała Inka.

– Uhm – odpowiedział, kucając przy komodzie z butami. Czuł, że tak szybko się nie wywinie ze szponów przyjaciółki.

– Wy na poważnie? Ty i Olga?

– Nie wiem. Przecież jeszcze za wcześnie o tym mówić – oświadczył. – Raptem drugi raz u mnie była.

– No właśnie. Drugi raz, a my już miałyśmy okazję ją poznać. Pamiętasz tę Zosię z twojej szkoły? Spotykałeś się z nią pół roku i nigdy nam jej nie przedstawiłeś. Więc? O co chodzi?

– To ona się spotykała ze mną. A raczej bardzo chciała się spotykać.

– Jezu... – jęknęła Inka. – Nie pogrążaj się jeszcze bardziej. Minęły cztery lata, dotychczas nie przedstawiłeś nam żadnej laski, Olga jest pierwsza, a ty bredzisz, że to nie na poważnie?

– No dobra. Niech ci będzie. Mam śmiertelnie poważne zamiary. I lecisz mi pięć zyla. Przypominam, same się zobowiązałyście – parsknął do słuchawki.

– Z tego, co zdążyłyśmy zauważyć, ty jej w ogóle nie znasz.

– Boże! A jak mam ją znać, skoro drugi raz się spotkaliśmy? – Kamil przewrócił oczami. – Logika, kobieto. Logika się kłania.

– Teraz ty lecisz mi piątała, więc jesteśmy kwita – zauważyła przytomnie Inka. – A co do Olgi, to chyba wiesz, kim ona jest?

– Niby kim? Jasne, że wiem. Przecież mówiła, że pracuje w LABBE, w administracji. Pewnie coś z kadrami. Chodzi ci o to, że jest ateistką? Przyznaję, tego nie wiedziałem, ale jak zauważyła nasza ukochana Sabcia, czy to ważne, w co wierzymy?

– Ważne, zwłaszcza dla ciebie. I nie chrzań, że tak nie jest! – ofuknęła go



Inka, ale czuła, że to nie skutkuje, więc kontynuowała: – A gdybyś zajrzał do KRS-u spółki akcyjnej LABBE, dowiedziałbyś się, że głównym udziałowcem tej sieci jest Olga Becker. To córka Eryka Beckera. Na pewno słyszałeś to nazwisko. Ona jest milionerką, ale oczywiście to nieważne. Prawda?

– Poczekaj – odezwał się Kamil po chwili milczenia i bezradnie pokręcił głową. – Poczekaj, o czym ty mówisz? – Na moment zamknął oczy, bo nagle sobie uświadomił, że chyba to wszystko go przerasta.

– Nie powiedziała ci?

– Nie. Mówiła, że tam pracuje.

– Bo pracuje. Od razu skojarzyłam, bo nasz ośrodek, jak i prawie połowa ZOZ-ów w Krakowie, podpisał z nimi umowę w tym roku. Ona robiła jakieś problemy, kierowniczką mówiła. Nie chciała się zgodzić na niektóre dodatkowe badania, nie pamiętam dokładnie.

– *Business is business.*

– Za własną kasę kupujesz sprzęt do szkoły. Też się biznesmen znalazł – fuknęła Inka. – Szef firmy „Frajer pompka i spółka”.

– Dlatego jestem dziadem – przyznał trochę na odczepnego. – Nie miałem takiego startu w życiu jak ona, ale daję radę. A tak na marginesie, to chyba nic złego mieć zaradnych rodziców, którzy coś zbudowali? Komu mieli dać ten majątek? To nie jej wina ani też zasługa, że go odziedziczyła.

– Okej, ale chyba powinna ci powiedzieć, że to jej laboratorium, jak i czterdzieści siedem pozostałych? Bo właśnie tyle jest placówek LABBE w samej Polsce. Sprawdziłam przed chwilą. Za granicą dopiero zaczynają się rozwijać, ale już jest ich dwanaście. W Czechach i na Słowacji. Czemu nic nie mówisz? – spytała po chwili.

– Chyba nie mam nic do powiedzenia.

– Kamil, to się nie uda. Wiesz o tym. Ona jest z innego świata.

– Wiem – przyznał po chwili.

– Zakończ to, zanim się zaangażujesz. Ty, dzieciaki.

– Zobaczę. Muszę pomyśleć.

– Już się boję – prychnęła Inka.

– To się nie bój.

– Tylko głupiec nie odczuwa strachu.

– Niech ci będzie. Jestem głupcem i gołodupcem, jak właśnie ustaliliśmy – stwierdził ironicznie. – I dlatego nie mogę spotykać się z milionerką.

– Kamil! – warknęła Inka. – Nie przeinaczaj. Nic takiego nie powiedziałam.

Chcesz, spotykaj się nawet z szachem Iranu.

– Jestem hetero, a on chyba nie żyje?

– Rób, co chcesz, tylko nie labidź, że cię nie ostrzegłam.

– Jesteś kochana, dziękuję, że mnie ostrzegłaś. Zapamiętam.

- Nie pomyślałaś, dlaczego taka piękna, bogata kobieta jest sama?
  - Nie. A ty pomyślałaś?
  - Naturalnie, że tak – odparowała Inka.
  - I jaka diagnoza, pani doktor?
  - Nijaka, ale na pewno coś z nią jest nie tak.
  - A ze mną? Chyba też jestem całkiem niezłą partią? – zażartował, żeby ją sprowokować.
  - Jesteś głupi i oporny na wiedzę jak schizofrenia hebefreniczna na leczenie.
  - To jedyny defekt? Chyba nieźle?
  - Masz jeszcze dwa: miękkie serce i miękką dupę, a na dodatek podejmujesz życiowe decyzje za pomocą organu usytuowanego poniżej pasa.
  - Auć! – pisnął Kamil. – Nie ma to jak seksistowska szpileczka z ust lesby. – Specjalnie użył tego słowa, wiedząc że Inka go nie znosi.
  - Jeśli myślisz, że Olga to kandydatka na stereotypową strażniczkę domowego ogniska, już kupuj worek rozpałki.
  - Pamiętasz, kiedyś powiedziałaś, że dzisiejsi faceci są tchórzliwi, mało męscy i sporo im brakuje do ich „penisoporywczycy” ojców, cokolwiek to znaczy. Mogłabyś się zdecydować, czy myślenie fujarą to dobry objaw, czy odwrotnie, bo się zgubiłem jak dziecko – odbił.
  - Nie łap mnie za słówka. A tak w ogóle to jesteś za miękki, żeby myśleć fujarą.
- Kamil prawie skręcił się ze śmiechu, kucając na coraz bardziej ścierpiętych nogach.
- Jeśli będziesz chciała mnie przeprosić, to nie krępuj się, przyjmę twoje przeprosiny – wykrztusił, z trudem dusząc w sobie śmiech.
  - Okej, jutro.
  - Szorstki typ z ciebie, a raczej typiara, ale i tak cię lubię. Nawet gdy stylizujesz się na wszechwiedzącą przekupę z targu. Przypominam, że jutro musisz wstać, więc...
  - Już kończę.
  - Alleluja! – zakrzyknął zduszonym głosem Kamil.
  - Chodzi mi tylko o to, żebyś nie zachowywał się tak jakbyś uznał, że właśnie wrota Królestwa Niebieskiego stanęły przed tobą otworem, i żebyś zachował zwykłą ludzką ostrożność. Kapujesz?
  - Kapuję. I dzięki za troskę. Serio. – Nagle zmienił ton, wiedząc, że czasami z Inką nie warto zbyt długo się spierać.
  - Nie ma za co, a teraz mówię dobranoc.
  - Dobranoc – odpowiedział.

Przez chwilę czekał, aż Inka się rozłączy, a potem wstał i odwiesił słuchawkę na ściennym aparacie, myśląc, że koniecznie musi kupić przenośny.

Czuł, że będzie potrzebny...

#### Rozdział 4

Nie miała ochoty iść na te urodziny, ale obiecała Izce. Zresztą jak mogła zawieść jedyną osobę, która wspierała ją w trakcie choroby? To byłoby bardzo nie fair, a Olga zawsze starała się być fair wobec przyjaciół, choć wobec wrogów niekoniecznie. Zdążyła się przekonać, że trzeba upaść, żeby zobaczyć, kto tak naprawdę jest po jej stronie, i stwierdzić, jak bardzo się czasami myliła.

Zwlokła się rano z łóżka, wrzuciła na siebie kilka przypadkowych ciuchów i pojechała do miasta, przeklinając swoją tendencję do zostawiania niektórych ważnych spraw na ostatni moment, zwłaszcza tych związanych z kupowaniem prezentów. Znalazła całkiem ładny szlafroczek i parę mięciutkich paputków, do tego jak ulał pasowała efektowna wiązanka kwiatów, naturalnie zamówiona w Fantasmagorii, i butelka wyśmienitej whisky, bo Iza od czasu do czasu lubiła wychylić szklaneczkę bursztynowego trunku.

Dziękowała losowi, że Izka zrezygnowała z pomysłu wyprawienia swoich urodzin w Prozaku. Kiedyś, owszem, Olga lubiła tam poszaleć, ale nie ostatnio. Może powodem było to, że ona i jej paczka coraz bardziej oddalali się średnią wieku od gości tego studenckiego klubu. Stało na stosunkowo niedawno otwartym klubie COCO i sali VIP, żeby ktoś przypadkowy nie wszedł na imprezę.

Stawili się prawie wszyscy: oczywiście solenizantka i jej narzeczony Arek oraz jego brat z żoną, druga Iza, Patrycja „Sweet” Tyszkiewiczówna, Anka z narzeczonym, Diana chwilowo wolna jak ptak, Marcin Konik – ze względu na wydatną szczękę zwany też Kobylą – wraz ze swoją dziewczyną, Mateusz Kolasza ksywka Matias, bo jego starzy mieli fabrykę konserw rybnych na Pomorzu, Łukasz Skalski i jeszcze z dziesięć osób od zawsze stanowiących ich paczkę. W zasadzie brakowało jedynie dwóch gości: Hajdukiewicza, ale on został skreślony ze względu na status dzieciatego żonkosia, oraz jego najbliższego przyjaciela, czyli Adasia Solińskiego.

Olga wcale nie ubolewała z tego powodu. Wręcz przeciwnie. Hajduk był jej niespełnioną miłością, z kolei z Adasiem łączył ją później krótki romans, co samo w sobie nie byłoby niczym złym czy też zaskakującym, gdyby nie fakt, że chodziła z nim do łóżka wyłącznie w celu wzbudzenia zazdrości w Hajdukiewiczu. Pikanterii tej sytuacji dodawała coraz częściej powtarzana plotka o tym, że Sola wyemigrował do Niemiec, bo ponoć przeszedł na różową stronę mocy, czyli został gejem. Choć Izka twierdziła, że to prawdziwy wyczyn uwieść geja, Olga wcale nie czuła się z tego powodu dumna. Po tej krótkiej przygodzie pozostały jej raczej niesmak i wstyd aniżeli duma.

Próbowała się nieco rozerwać, zrelaksować jak kiedyś, ale bez powodzenia. Do głowy uparcie wracały słowa ojca: „Dzisiejsza młodzież nie umie się bawić bez alkoholu i narkotyków”. Pamiętała, jak się wtedy oburzała. Teraz, z perspektywy

czasu, przyznawała mu rację. Zwłaszcza po ostatnim pół roku spędzonym praktycznie bez krzty alkoholu. Patrzyła uważnie na coraz mocniej zalanych znajomków i dziwiła się, że dotychczas nie dostrzegала, jak bardzo śmieszni potrafią być pijani ludzie. Zupełnie jakby ktoś wymontował im błędniki, a niektórym nawet pokaźne fragmenty mózgu. Mimo to lubiła ich towarzystwo, nawet dzisiaj, gdy nie szalała razem z nimi. Jedyne, co jej wyraźnie przeszkadzało, to ten okropny, dudniący hałas przenikający przez ściany łoży.

Gdzieś z rogu pomieszczenia dobiegł ją śmiech Patrycji i dwóch chłopaków. Pewnie znów zorganizowała jakieś tabsy z Belgii. Gdy Olga spróbowała kiedyś mefedronu, najpierw poczuła się jak najbardziej błyskotliwa i atrakcyjna kobieta świata, żeby dosyć szybko przejść w tryb niemalże epileptyczki i skończyć nad ranem jako „wyżęta ścierka”. Właśnie wtedy stwierdziła, że alko owszem, i to bez specjalnych ograniczeń, ale twarde narko nie jest dla niej. Nawet koka, powszechnie stosowana jako remedium na kaca.

– Słodziotka skołowała amfę – wyjaśnił siedzący obok Łukasz, zauważywszy wcześniej, gdzie błądzi jej spojrzenie. – I jeszcze całkiem niezłego Holendra. Prosto z plantacji. Może wyjdziemy i puścimy parę buchów? – zaproponował.

– Nie mam ochoty – odparła Olga.

– Jak tam chcesz. – Wzruszył ramionami. – Zatańczysz?

– Dzięki, ale nie. Bołą mnie nogi.

– Tańczyć nie, pić nie, zajarać nie... Może jednak się skusisz, choć jeden kawałek?

– Skusiłam się na niejedną. Szampana piłam, tort też zjadłam – powiedziała, patrząc na tacę z resztkami niemiłosiernie słodkiego, piętrowego tortu ozdobionego cukrową figurką mającą przypominać tancerza w stylu chippendales.

– A może masz ochotę na... – Nie dokończył, bo Olga mu przerwała:

– Nie rozumiesz po polsku? – W jej głosie wyraźnie słyhać było irytację. Nie znosiła, gdy ktoś ją nagabywał, a już zwłaszcza pijany ekschłopak, który wyraźnie liczył na coś więcej.

– Rozumiem, rozumiem! – Uniósł obie ręce. – Księżniczka Olga ma zły humor, jak zawsze. – Parsknął śmiechem, wstał i poszedł w stronę rozchichotanej trójki.

– Idiota – podsumowała Olga, patrząc, jak się nachyla nad Patrycją i coś do niej mówi, a ta kręci głową.

Nagle poczuła, że ma dość tej imprezy. Iza nie powinna była mieć do niej zastrzeżeń, bo i tak została dłużej, niż obiecywała. Zdjęła specjalną opaskę z ręki, zabrała torebkę i wyszła z VIP-roomu. Chciała odnaleźć solenizantkę, żeby się pożegnać, ale na parkiecie panował tłok, machnęła więc ręką na poszukiwania, oddała opaskę kelnerce, odebrała swój kożuszek i wyszła z klubu, szczęśliwa,

że ma za sobą ten zgiełk i nieznośny zapaszek spoconych i przepitych ciał. Zostawiła samochód pod teatrem, już prawie tam dotarła, gdy zza pleców dobiegł ją męski głos:

– Olga! Poczekaj!

Odetchnęła z ulgą, stwierdziwszy, że to Mateusz. On też był jej eksfacetem, ale miał znacznie więcej klasy od Łukasza, no i nie był tak pijany jak tamten.

– Coś się stało? – spytała, widząc, jaki jest zdyszany. Musiał biec, bo ciężko oddychał, choć kondycję zawsze miał świetną, wypracowaną przez godziny spędzane w fitness klubach i na basenie.

– Szukałem cię po całym Krakowie – odparł, stając przed nią. – Zauważyłem, że wyszłaś, a chciałem z tobą pogadać.

– Tak? A o czym?

– O niczym szczególnym. Tak po prostu, niezobowiązująco. – Na jego twarzy błąkał się leniwy uśmiezek.

– Teraz? – Olga zerknęła przelotnie na zegarek. – Trochę późno na pogawędkę.

– A może pospacerujemy? Popatrz, jaka piękna noc... – Rozejrzał się wokół.

Rzeczywiście, było przyjemnie. Olga włożyła śliczny kremowy kożuszek sięgający prawie kostek nóg, ale bardziej dla lansu, niż z potrzeby uchronienia się przed zimnem, bo w ciągu ostatnich dwóch dni znacznie się ociepliło, nawet w nocy.

– Hm... Możemy się przejść, ale muszę zmienić buty, bo te są okropnie niewygodne. – Spuściła wzrok na wysokie szpile. – Mam w samochodzie.

– Okej. – Mateusz podał jej ramię i podprowadził do range rovera.

Olga otworzyła bagażnik, wyjęła swoje ukochane UGG i z niewypowiedzianą ulgą je włożyła.

– Teraz mogę iść nawet na koniec świata – powiedziała, naciskając pilota samochodu, żeby kłapa bagażnika opadła.

– Aż tak daleko? Ze mną? Jesteś pewna? – Mateusz uraczył ją lekko kpiącym uśmiezkiem. Choć zdarzyło się to dawno temu, jeszcze pamiętał, jak przebiegła ich ostatnia rozmowa, a raczej przemowa Olgi, kiedy z nim zrywała.

– Chciałeś pogadać, a teraz, gdy się zgodziłam, zaczynasz być niemiły – fuknęła, ale żartobliwie. Znów wzięła go pod ramię i rzuciła: – Prowadź.

– Podobają mi się te buty – ocenił. – Od razu czuję się lepiej, gdy nie górujesz nade mną.

– Boże, co wy mężczyźni macie z tym wzrostem? – sarknęła. – Moja wina, że jestem wysoka?

– Raczej nasza, że jesteśmy niscy – odpowiedział, choć akurat nie miał podstaw do narzekania, bo był wyższy od Olgi o dobre dziesięć centymetrów.

Zawsze jej się podobał. Swoją sympatyczną twarzą trochę przypominał

Jamiego Dornana. Nawet czesał się podobnie i dobierał eleganckie, markowe ciuchy prawie tak samo jak pewna postać z filmu, kreowana przez tego aktora. Oczywiście ku uciesze kolegów z paczki, którzy nie omieszkali się z niego nabijać przy każdej okazji.

– Dokąd idziemy? – spytała, gdy doszli do końca Szpitalnej.

– Obejdziemy całe Planty – odparł Mateusz. – I to najdłuższą trasą, przy ulicy.

– Dlaczego tak?

– Bo to zajmie nam sporo czasu. Poza tym chciałaś iść na koniec świata, więc potraktuj ten spacer jako trening – oświadczył, poprawiając jej dłoń spoczywającą w zgięciu łokcia.

– Aha. Uznałaś, że mam kiepską formę, bo mało się udzielałam na parkiecie?

– Szczerze? Wiem, czemu się oszczędzasz. Izka mi powiedziała.

– Papla – podsumowała Olga.

Pomyślała, że brak jej takiej przyjaciółki, która potrafi zatrzymać dla siebie słowa przekazane bez klauzuli „tajne”, bo sama wie, że nie powinna puszczać ich w obieg; milczy, gdy trzeba słuchać, i mówi w odpowiednim momencie. Iza spełniała wiele kryteriów dobrej przyjaciółki: odwiedzała Olgę w czasie jej pobytu w szpitalu, zawsze odbierała telefon i nigdy nie knuła za plecami, niestety, z powściągliwością i trzymaniem języka za zębami stała średnio. Olga znów o tym zapomniała.

– I co o tym myślisz?

– Nic szczególnego poza tym, że się o ciebie martwię. Czemu nie zadzwoniłaś? Nie powiedziałaś ani słowa?

– Widocznie uznałam, że to moja sprawa.

– Wszystko w porządku? Co mówią lekarze? – Jego głos brzmiał szczerze.

– W porządku. Nic mi nie jest. Zmieńmy temat, okej?

– Okej – zgodził się natychmiast. – Czego chciał Łukasz?

– A jak myślisz? – odparła Olga. – Nie wiem, jak mogłam się z nim spotykać.

„Idiota. Palant. Nieszanujący kobiet dupek. Miękką faję strugającą mężczyznę. Atrapa. Żaloszny koleś, któremu się wydaje, że jest samcem alfa, bo przeleciał kilkadziesiąt lasek w ciągu pięciu lub mniej lat” – pomyślała i aż się wzdrygnęła, bo przecież ona też należała do tej grupki. Jedyne, co ją pocieszało, to fakt, że nie poszło mu tak szybko i łatwo: pół roku zabiegał, żeby poszła z nim do łóżka. Jeszcze trochę, a pognałby po zaręczynowy pierścionek.

– Zimno ci? – spytał Mateusz.

– Nie, dlaczego?

– Trzęsiesz się – stwierdził. – Zaraz temu zaradzimy. – Nie oponowała, gdy wziął jej rękę i jeszcze mocniej wsunął pod swoje ramię. – Powiedz, spotykasz się

z kimś?

- Pytasz, jakbyś nie wiedział – prychnęła pod nosem.
- Nie wiem.
- Nie spotykam się z nikim na poważnie. Zadowolony?
- Owszem – potaknął i przytulił ją przez moment.
- Dlaczego? – zapytała po dłuższej chwili milczenia. Byli już blisko przecięcia ścieżki z Mikołajską.
- Moglibyśmy spróbować.
- Być razem? Znowu? – Uniosła sceptycznie brwi.
- A czemu nie? Trochę czasu upłynęło. Nie chcesz się zakochać? – Mateusz wysunął prawą dłoń i chwycił palce jej ręki wystające spod swojego ramienia.
- Nie wiem, czy potrafię się jeszcze zakochać.
- A chcesz?
- Chyba tak.
- To dobrze. Gdybyś nie chciała, na pewno nic by z tego nie wyszło.
- To, że chcę się zakochać, nie znaczy, że już. I w tobie. – Zaśmiała się lekko. – Jestem samotna, ale równocześnie cudownie wolna. Nikt bliski mnie nie ocenia, na szczęście. A uwagi od innych osób nie robią na mnie wrażenia.
- Chyba nigdy nie robiły? – W głosie Mateusza pobrzmiwały nutki ironii.
- Owszem, nigdy. Nie czuję presji, by być żoną i matką. I choć wiem, że raczej nie poznam ciężaru rodzicielskich obowiązków, nie żałuję. W zasadzie chciałabym skupić się wyłącznie na sobie, na chwili obecnej, mieć głowę wolną od rozważania przyszłości. Czyjejkolwiek, w tym własnej. I to mi odpowiada. To chyba całkiem niezłe rozwiązanie, pomysł na życie. Jak sądzisz? – spytała nieco prowokacyjnie, nie będąc do końca pewną, czy mówi szczerze.
- Jestem za – odpowiedział. – Ja też nie czuję presji. Ale mimo wszystko bycie z kimś, kto podziela twoje zapatrywania na konkretny model życia, jest lepszym rozwiązaniem niż samotność. A druga prawda jest taka, że związek z kimś tylko ze strachu przed samotnością jest beznadziejny. Musimy jedynie odnaleźć swoje ideały i wtedy się uda.
- Optymista – prychnęła Olga i wydeła usta. – Jak mam znaleźć kogoś idealnego dla siebie, skoro ja sama taka nie jestem? Czasem z trudem znoszę własne towarzystwo. Po co mi czyjeś? Nie łudzę się, że znajdę w stu procentach odpowiadającego mi mężczyznę. Jak można mieć tak irracjonalne przekonania, że taki się trafi? Jakim sposobem? To niemożliwe.
- Wszystko jest możliwe. To, że do siebie wrócimy, również.
- Czy to propozycja?
- Tak.
- Aha. Nie będę pytała, jak to sobie wyobrażasz. Chyba nie jestem ciekawa.
- Jestem skłonny poczekać, aż trochę się oswoisz z tą koncepcją, i wtedy

wytłumaczę.

– Już się oswoiłam.

– Co mogę powiedzieć: jesteś inteligentna, czarująca i błyskotliwa, piękna, w odpowiednim wieku, dowcipna i interesująca, i co bardzo ważne – uwodzicielska. Innymi słowy, wymarzona kandydatka dla mnie. – Błysnął zębami w uśmiechu, gdy na nią spojrział.

– Zawsze myślałam, że spełniam kryteria wszystkich facetów żyjących na ziemi. Idealna partia dla każdego mężczyzny – ironizowała. – Zapomniałeś jeszcze dodać, że majątna. – Tak samo jak on wygięła usta, ale jej uśmiech podszyty był czymś, co jasno wskazywało, że kpi z niego.

– Owszem, majątna.

– I bardzo wysoka. – Teraz już jawnie parsknęła pod nosem.

– Na szczęście w łóżku to nie ma znaczenia.

– A może mnie przeszkadza? – Olga przechyliła głowę.

– Kotku, pokazujesz pazurki? Lubię cię taką – mruknął Mateusz i musnął lekko palcami jej podbródek.

– Dupek – burknęła, choć musiała przyznać, że schlebiało jej to niespodziewane zainteresowanie byłego faceta.

– Proszę, już połowa trasy za nami – powiedział po kilku kolejnych minutach spędzonych bez słowa.

– Połowa? Raczej jedna trzecia. Sorry, ale chyba się przeliczyłam – westchnęła Olga, zerkając na ławkę. – Usiądziemy?

– Chcesz wracać? – spytał, gdy chwilę odpoczęli.

– Nie wiem, czy dam radę. To mnie załatwiłeś.

– Daj kluczyki, pobiegnę i przyjadę tu samochodem.

– Przestań. To strasznie daleko. Poza tym bałabym się tu sama siedzieć tyle czasu.

– Zróbmy inaczej. Złapię taksówkę, pojedziemy do ciebie, a jutro wrócę po twój samochód. – Nachylił się i objął ją ramieniem.

– Mateusz... Ja... – zająknęła się.

– Trochę niefajnie, że masz mnie za takiego, który nie potrafi utrzymać łap przy sobie – chrząknął. – Będę spał na kanapie.

– No cóż, chyba jeszcze się nie oswoiłam z tą koncepcją – powtórzyła jego wcześniejsze słowa.

– Ale nie skreślasz jej?


– Nie.

– Okej. To idziemy poszukać taksówki, wrócimy pod teatr, ty jedziesz do siebie, a ja do siebie. Pasuje?

– Pasuje.

Wstał i wyciągnął do niej dłoń. Chwyliła ją bez wahania.





Wróciła do domu nieco podbudowana. Nie spodziewała się takiego obrotu wypadków. Biorąc prysznic, przypomniała sobie jedno z ulubionych powiedzonek ojca: „Diabeł sra na wielką kupę”. Zawsze ją śmieszył ten tekst, bo gdy padał, matka natychmiast ripostowała: „Diabła nie ma, to ludzie są idiotami i padają ofiarą owczego pędu”.

Na razie o owczym pędzie nie było mowy, bo raptem dwóch mężczyzn to żaden tłum, za to obaj sprawiali wrażenie mocno zainteresowanych. Olga usilnie próbowała sobie przypomnieć, co tak bardzo przeszkadzało jej w Mateuszu, że go rzuciła, ale czas zatarł niemiłe wspomnienia. Poza tym okoliczności się zmieniły, i to istotnie. Choroba pozbawiła ją nie tylko energii, lecz przede wszystkim szansy na naturalne macierzyństwo. Dopiero teraz zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście nie zależy jej na tym, i musiała przyznać, że gdzieś w tyle głowy, bo na pewno nie w sercu, czuła pewien żal do losu. Co innego mieć wybór i coś odrzucić, a co innego zostać wykluczonym spośród tych, którzy mogą wybierać.

Wyboru, czy chce zostać matką, czy nie, już nie miała, ale pojawił się inny. Skończyła zabiegi pielęgnacyjne i wyszła z łazienki pokrzepiona myślą, że jeszcze całkowicie nie wypadła z gry. A tak właśnie sądziła, gdy przez kilka długich tygodni zmagala się z chorobą, z oszpecającą i demolującą organizm chemią i zabiegiem histerektomii, który był, jak sądziła, gwoździem do trumny jej kobiecości.

Położyła się spać, ale sen nie nadchodził. Na przemian wspominała urywki rozmowy z Mateuszem i to, co ostatnio wydarzyło się w mieszkaniu Kamila. Jeśli chodzi o tego mężczyznę, było sporo znaków zapytania. Nie wiedziała, co ma myśleć o tym dziwnym człowieku. Owszem, kolejny raz zaprosił ją do siebie, ale gdy stali przy jej samochodzie, już opadły ją wątpliwości, czy nie było to typowe kurtuazyjne zaproszenie. Liczyła, że Kamil pocałuje ją na pożegnanie, a tu nic. Nawet koleżeńskie cmoknięcie w policzek.

Gubiła się w domysłach, czy specjalnie tak postępuje, żeby wymóc na niej pierwszy krok, czy kieruje się jakimiś religijnymi zasadami, czy też po prostu nie widzi przyszłości z Olgą jako swoją partnerką, a jest na tyle uczciwy, że nie dopuszcza do zbytnej bliskości między nimi.

W końcu zasnęła, mając głowę przepełnioną spekulacjami, nadzieją i obawą jednocześnie.

Obudziła się zmęczona. Pijąc poranną kawę, próbowała sobie przypomnieć, czy coś się jej śniło, ale bez powodzenia. Z każdą godziną popadała w coraz większe zniechęcenie. Brak wiary, że kiedyś będzie szczęśliwa, wrócił ze zdwojoną siłą. Czuła się jak po narkotyku: wczoraj pełna euforii, dzisiaj przygaszona i smutna.

Włożyła nowe dzinsy i białą koszulę z naturalnego lnu, zrobiła makijaż i ułożyła włosy. Stojąc przed wielkim lustrem, przekrzywiła głowę i przez chwilę przyglądała się swemu odbiciu. Kiedyś, gdy czuła się atrakcyjna, dodawało jej to animuszu i energii życiowej. Teraz już tak nie było. Zupełnie jakby ktoś, odbierając jej tę głęboko ukrytą część kobiecości, przy okazji wziął jeszcze to, co na zewnątrz. Nagle boleśnie zatęskniła za tamtą Olgą, pełną i kompletną, choć nieszczęśliwą po związku z Hajdukiewiczem i samotną. Dzisiaj miała jeszcze mniej.

W końcu poszła do salonu, wyjęła z torebki komórkę i odkryła, że Mateusz wysłał jej SMS-a. Pytał, czy dotarła szczęśliwie i czy mogą się spotkać w przyszłym tygodniu. Odpisała tylko na pierwsze pytanie, podziękowała i dołączyła pozdrowienia. Nie odpowiedział, uznała więc, że pewnie śpi. Wybrała numer Kamila. Długo nie odbierał. Wolnym krokiem przeszła do okna wychodzącego na taras i spojrzała na ogród. Drzewa dopiero zaczynała otulać delikatna, prawie niewidoczna zielona mgielka, podobnie, jak krzewy. Zza chmur wyglądało słońce. Jego ostre promienie na przemian pojawiały się i znikwały, rażąc Olgę w oczy.

Już zamierzała zrezygnować i odłożyć telefon, gdy w słuchawce coś delikatnie zatrzeszczało.

– Cześć – przywitał się Kamil. Jego głos brzmiał dziwnie matowo i Olga od razu pomyślała, że jednak intuicja jej nie zawiodła.

– Cześć. Dzwonię, żeby spytać, czy plany są aktualne. O piątej u was?

– Właśnie miałem dzwonić do ciebie. Przepraszam, ale nic z tego. Fisia... – Nie dokończył, bo Olga weszła mu w słowo.

– To przez moje ostatnie wyznanie? – Starła się mówić spokojnym głosem.

– Nie bardzo rozumiem.

– Doskonale rozumiesz.

Na chwilę zapadła cisza. Olga na moment zamknęła oczy. Zastanawiała się, czy koniecznie musi dopowiedzieć to, że dzieli ich przepaść światopoglądowa i kontynuacja tych spotkań nie ma sensu, ale nie zdążyła.

– Okej, źle się wyraziłem. Nie bardzo wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć – zabrzmiało w słuchawce.

– Prawdę. Po prostu... – zaczęła.

Ponieważ znów się nie odzywał, spróbowała ponownie:

– Nie chcesz tego kontynuować?

– Dlaczego tak sądzisz?

– Kamil...

– Tak?

– To nie ma sensu.

– Co? Ta rozmowa?

– To też.

– Czy nikt nigdy ci nie powiedział, że jeśli nie chcesz znać odpowiedzi na jakieś pytanie, wystarczy po prostu go nie zadawać?

– Czy nikt nigdy ci nie powiedział, że czasami nie ma innego wyjścia? – wykrztusiła z trudem, bo coś zaczęło ją łaskotać w gardle.

– Fisia jest chora – oznajmił. – Wieczorem źle się poczuła, nagle dostała bardzo wysokiej gorączki. Prawie czterdzieści stopni. Poprosiłem Inkę, żeby wpadła ją obejrzeć. Od razu przepisała antybiotyki, bo to jakaś paskudna grypa. Pojechałem wykupić, zbijam temperaturę okładami i czopkami, i na razie tyle możemy zrobić. Nie spałem całą noc z nerwów – wyznał, a z każdym jego zdaniem Olga czuła coraz większy wstyd.

– Jak ona się czuje? – spytała, gdy przełknęła rosnącą w gardle gulę.

– Teraz śpi. Zobaczymy, co będzie, gdy się obudzi. Ania wpadła rano i zabrała Maksia, żeby nie przeszkadzał.

– Co mówi Inka?

– Była przed chwilą. Jeśli gorączka do jutra nie ustąpi, nie wiem, czy nie da nam skierowania do szpitala. Wiesz, Fisia jest pod specjalnym nadzorem. Nawet zwykle przeziębienie może być groźne.

– Rozumiem. Ale to raczej nic...

– Raczej nie. Inka stawia na grypę.

– Mogę jakoś pomóc?

– Poradzimy sobie. Wezmę jutro urlop na żądanie, zresztą Inka może w każdej chwili wystawić mi zwolnienie. Ale dzięki.

– Kamil, ja... Bardzo cię przepraszam. Nie wiem, co powiedzieć – stropiła się. – Mogłabym jutro was odwiedzić? Przyjadę, posiedzę z Fisią albo pobawię się z Maksiem. Proszę.

– Jeśli masz ochotę, choć nie wiem, czy to jest bezpieczne dla ciebie. Masz zrujnowany system immunologiczny, a co, jeśli się zarazisz? Nie chciałbym narażać twojego zdrowia.

– Nic mi nie będzie. Poza tym szczepiłam się na grypę.

– Skoro tak, przyjeźdź, chociaż nie wiem, czy ona będzie jutro w ogóle kontaktować. Majaczyła przez temperaturę i ogólnie trochę kiszka – westchnął.

– Może inaczej. Przyjadę zaraz. Odpoczniesz, a ja przy niej posiedzę. Mówiłeś, że nie spałeś. Przywiozę coś do jedzenia. Okej?

– Bardzo miło z twojej strony, ale nie wiem, czy powinienem tak cię wykorzystywać.

– Nie wykorzystujesz. To ja kończę. Będę do godziny. Pa. – Szybko się pożegnała i rozłączyła, żeby nie zdążył jej odpowiedzieć.

Uwinęła się w trzy kwadransy. Przywiozła chińszczyznę, na szczęście Kamil lubił makaron sojowy i kurczaka z grzybami, więc zjadł ze smakiem. Powiedział, że wystarczy mu godzinna drzemka, ale Olga, widząc, jak marnie wygląda,

orzekła: „Śpij, obudzę cię, gdy coś się będzie działo”. Poszła do dziecięcego pokoju, zabrała ze sobą jakąś książkę i usadowiła się na łóżku Maksia.

Faustyna spała. Dwie godziny wcześniej zażyła leki, wypila dwa duże kubki kakao, a teraz nabierała sił, bo gorączka prawie ustąpiła. Minęło trochę czasu, Olga bezszelestnie wyszła z pokoju, skorzystała z toalety i postanowiła zerknąć do Kamila. Spał w sypialni przy uchylonych drzwiach.

Wsunęła głowę i przez chwilę patrzyła na śpiącego mężczyznę. Musiał być skrajnie wyczerpany, bo nawet nie ułożył swoich ciuchów: zmięte dzinsy wraz ze swetrem i skarpetkami leżały rzucone niedbale na podłogę tuż przy łóżku. Opatulił się kołdrą, spod której wystawała jedynie głowa. Nie chrapał. Do uszu Olgi docierał tylko cichy, równy oddech.

Pomyślała, że na pewno nie raz i nie dwa było mu bardzo ciężko samemu, zwłaszcza gdy urodził się Maksymilian, a Faustyna skończyła zaledwie cztery lata i chorowała na białaczkę. Olga nie знаła Kamila zbyt dobrze, a mimo to miała pewność, że nie znosi litości. Ona też nie znosiła. Zawsze mówiła, że litość potrafi zmęczyć, a czasami nawet zamęczyć. Westchnęła, wycofała się z pokoju i na palcach wróciła do swojej podopiecznej. Minęła kolejna godzina. Trochę czytała, ale większość czasu spędziła, patrząc na śpiącą Fisię i rozmyślając.

Nagle zabrzączał telefon. Na szczęście wyciszyła go, więc sygnał przychodzącej rozmowy nie obudził małej. Olga zerwała się i zabrawszy aparat, wyszła z pokoju. Odebrała po drodze do kuchni, ale odezwała się dopiero wtedy, gdy tam dotarła, i to w najbardziej oddalony zakątek, czyli przy oknie.

– Hej – przywitała się. – Sorki, ale nie mogę głośno mówić.

– No hej... – mruknął Mateusz. – Zgłośnię u siebie, żebym cię lepiej słyszał. A co się stało? Czyżby spacer zaszkodził? Boli cię gardło? – zainteresował się.

– Uhm – skłamała Olga. Przecież nie mogła mu powiedzieć, że pilnuje chorego dziecka, którego tato właśnie odsypia noc. Nie uwierzyłby, a nawet jeśli, zaczęłyby się niewygodne pytania.

– Mam nadzieję, że wydobrzejesz do soboty, bo chciałbym cię gdzieś porwać.

– A gdzie?

– Zabiorę cię właśnie tam... – zanucił. – Znasz to miejsce, zapewniam doskonałe warunki lokalowe, pyszną kolację, niezłą muzę w tle i samego siebie jako towarzystwo.

– Zapraszasz mnie do siebie? – upewniła się Olga.

– Owszem. Zainteresowana?

– Poczekaj sekundę, muszę się zastanowić. – Przełknęła ślinę. Coś ścisnęło ją w sercu, gdy usłyszała fragment utworu Kancelarii. Utworu, który tak bardzo lubił Hugo i przy którym tańczył ze swoją obecną już żoną Łucją. To było rok wcześniej, w sylwestra. Gdy Olga widziała, jak Hajduk czule tulił tę młodziutką

drobną dziewczynę, miała ochotę krzyknąć, wpaść na parkiet i zrobić coś strasznego swojej następczyni. Zresztą później nie omieszkała wprowadzić w życie planu zniszczenia tego związku.

– I jaka decyzja? – Mateusz przerwał jej niemiłe wspomnienia.

– W sobotę? U ciebie?

– Tak.

– Mati... może jednak spotkajmy się u mnie. Okej? – zaproponowała, myśląc że to nie będzie takie jednoznaczne, jak wizyta u niego.

– Okej. Może być u ciebie. Przyniosę dobre wino. Wiem, że nie pijesz, ale lampka ci nie zaszkodzi.

– Wolę kwiaty.

– To jesteśmy umówieni – podsumował.

– Poczekaj – powiedziała trochę głośniej. – Może przełożmy to na następną sobotę? Przypomniałam sobie, że obiecałam Izce tournée po sklepach. Jak ją znam, zejdzie nam do nocy.

– Hm... – mruknął wyraźnie zawiedziony. – Przegrałem z Izą. Trochę mi przykro, bo po wczorajszym pocałunku sądziłem, że stoję trochę wyżej w rankingu osób, z którymi spędzasz czas.

– To był koleżeński pocałunek. Nie przybieraj sobie do głowy – zganiała go, choć żartobliwie.

– Koleżeński czy nie, ale był.

Nagle usłyszała za plecami jakiś szelest. Od razu pomyślała, że to Faustyna, i aż ją zmroziło ze strachu o małą.

– Przepraszam, muszę kończyć – rzuciła do słuchawki. – Zadzwoń do ciebie wieczorem i dogramy szczegóły, pa.

Rozłączyła rozmowę, nie czekając na odpowiedź Mateusza i szybko skierowała się w stronę przedpokoju.

– Kamil! – Wpadła na niego i z wrażenia aż złapała się za serce.

– Usłyszałem jakieś głosy, a że mam lekki sen... – Nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

Nie zdążył się ubrać, stał przed Olgą w pomiętym białym T-shircie i bokserkach, a jego zmierzwiłone włosy do złudzenia przypominały gniazdo drozda śpiewaka.

– Rozmawiałam przez telefon. Przepraszam, że cię obudziłam – mruknęła, przygryzając wargę. Czowała, że się rumieni, bo nie wiedziała, co z jej rozmowy z Mateuszem dotarło do uszu Kamila.

– Jak Fiśka?

– Zaraz zobaczę. Nie gadałam dłużej niż dwie minuty – usprawiedliwiła się.

– Spokojnie. Pewnie śpi. – Kamil wzruszył ramionami, zerkając w stronę drzwi do dziecięcego pokoju. – Włożę gacie i chyba zrobię kawę. Chcesz?

– Nie położysz się?

– Nie. Dwie godziny snu to aż nadto – stwierdził, patrząc na zegar ścienny.

– Okej. To ja idę do Fiśki, a ty zrób kawę. Ja też wypiję. Może być z mlekiem.

– Jasne.

Zajrzała do Faustyny, ale tu nic się nie zmieniło. Spała z rękami założonymi za głowę. Wystarczył rzut oka, żeby stwierdzić, że nie ma gorączki i wygląda całkiem nieźle. Jej okrągła buzia nie była blada, a czoło nie błyszczało potem. Na wszelki wypadek Olga musnęła delikatnie policzek Faustyny, upewniając się, że temperatura spadła.

Odczekała trzy minuty, żeby mimowolny świadek rozmowy z Mateuszem miał czas się ogarnąć, i wyszła z pokoiku, ciągle próbując sobie przypomnieć, co oprócz pożegnania powiedziała na końcu.

– W porządku? – Zerknął na nią Kamil, ledwie weszła do kuchni i rozejrzała się za jakimś krzesłem.

– Tak. Cały czas śpi. Sprawdziłam i chyba nie ma gorączki. Jest dobrze – uznała, choć jej pytający wzrok nie wskazywał, że jest w stu procentach tego pewna.

– Najgorzej pod wieczór, ale nie ma co krakać. Inka dała jej jakiś mocny antybiotyk i jeszcze taki specjalny lek hamujący rozwój wirusów. Powinny zadziałać. Jestem dobrej myśli. – Kamil postawił przed Olgą kubek z parującą kawą, a sam usiadł ze swoim po drugiej stronie niewielkiego stolika. – Dzięki, że przyjechałaś. Złapałem trochę snu.

– Nie ma sprawy.

Zapadła cisza. Póki pili kawę, jeszcze było znośnie, ale gdy Olga wychyliła ostatnią kropelkę, a Kamil milczał jak zaklęty, nie wytrzymała.

– Słyszałeś? – spytała i od razu wbiła wzrok w pusty kubek przed sobą.

– Trochę. Sorki, ale mówiłaś dosyć głośno, poza tym tak tu dzisiaj spokojnie, że...

– Uhm – mruknęła. – Ja...

– Naprawdę nie musisz się tłumaczyć – wszedł jej w słowo. – Nie jesteśmy parą, możesz spotykać się, z kim chcesz. I robić, co chcesz. Nie oczekuję od ciebie spowiedzi co do twoich planów na czas, gdy się nie widzimy. – Uśmiechnął się blado. – Inka wysłała mnie w nocy po leki. Antybiotyk kupiłem w pierwszej aptece, która miała dyżur, ale to cholerstwo na wirusy przegoniło mnie po całym Krakowie. Dorwałem je dopiero w aptecę niedaleko Rynku. Gdy jechałem wokół Plant... – Zawiesił głos. – Ten twój kożuszek rzuca się w oczy nawet w nocy. Pewnie przez to, że jest jasny. I długi – dodał po chwili, jakby to był bardzo istotny szczegół.

Olga na moment ukryła twarz w dłoniach i potrząsnęła głową ze zdumienia.

Różne zdarzały się jej sytuacje, ale na dwa fronty nie grała nigdy. I właśnie sobie uświadomiła, że ma wyjątkowego pecha, bo ledwie przespacerowała się z Mateuszem wokół Rynku, a Kamil przypadkowo to odkrył.

– Wiem, że nie muszę się tłumaczyć, ale i tak ci coś wyjaśnię. – Chrząknęła, spoglądając na Kamila. – Byłam na urodzinach Izki, jak mówiłam. Wyszłam o północy, zamierzałam jechać do domu, ale znajomy mnie dogonił i poszliśmy na spacer. I tyle.

– Ale po co mi to mówisz?

– Żebyś nie myślał, że cię okłamałam. Iza naprawdę miała urodziny.

– Okej.

– Kamil, nie jestem idealna, ale jakąś podłą kłamliwą szują też nie jestem. Choć zdarzyło mi się kiedyś zrobić coś naprawdę paskudnego.

– Jeśli sądzisz, że będę cię oceniał, źle trafiłaś. Nigdy nie czułem się autorytetem moralnym, no, chyba że dla dzieci. Nie zgadzam się na pogardę, na zło, na poniżanie, ale nie oceniam ludzi. Mogę co najwyżej ocenić postępek, choć niechętnie. Zwłaszcza gdy nie dotyczy mnie bezpośrednio.

– Wobec tego nie masz nic przeciwko temu, żebym spotkała się z Mateuszem? To ten kolega, z którym mnie widziałeś w nocy. – Olga przechyliła głowę i popatrzyła na Kamila spod lekko przymrużonych powiek. – Kiedyś byliśmy razem. Ponad pół roku.

– Interesuje cię, czy jestem zazdrosny? – odpowiedział pytaniem. – Nie wiem, czy mam prawo. Raczej nie. Przecież my tylko luźno się spotykamy.

– Chyba że tak.

– Chciałaś usłyszeć coś innego? Jakąś deklarację? Przecież się nie znamy. Dopiero zaczynamy się poznawać. – Wstał, zebrał kubki i łyżeczki i włożył do zmywarki. – Może pójdziemy do dużego pokoju, tam jest wygodniej?

– Dobrze.

Poszła za nim, usiedli w fotelach i znów zapadła między nimi nieznośna cisza.

– Powiedziałaś, że zrobiłaś coś paskudnego – przerwał milczenie Kamil. – Szczerze mówiąc, właśnie dlatego współczuję niewierzącym. Nie, źle się wyraziłem. Podziwiam, że to wytrzymujecie. Jeśli to nie jakaś tajemnica, powiedz, jak sobie radzisz z głosem sumienia, nie mając możliwości wypowiedziania się z takich spraw.

– Mogę się wypowiadać komukolwiek. – Na twarzy Olgi błąkał się blady uśmiech. – Choć to prawda, że trudno znaleźć odpowiedniego słuchacza.

– Fakt. Nie każdy ksiądz jest dobrym spowiednikiem. Mam swojego ulubionego. Raz w miesiącu jadę aż do Nowej Huty do pallotynów, na Bulwarową.

– A może chcesz usłyszeć moją historię? – Olga zagryzła kącik ust w oczekiwaniu na odpowiedź.

Z jednej strony chciała wreszcie ją komuś opowiedzieć, ale z drugiej okropnie się wstydziła i bała, że gdy Kamil ją pozna, na zawsze straci w jego oczach.

- A ty chcesz mi ją opowiedzieć? Czy powinienem ją usłyszeć?
- Chcę ją komuś opowiedzieć – orzekła po chwili namysłu.
- Wobec tego mów.

Kamil oparł głowę o poduszkę fotela i popatrzył na Olgę z uwagą, ale nie czuła się niezręcznie, jak na przesłuchaniu, raczej jak w obecności kogoś, kto chce jej pomóc zrzucić chociaż część tego balastu, który obciążał jej myśli. Czy to były wyrzuty sumienia? Nigdy nie określała w ten sposób swoich wątpliwości natury moralnej. Dla niej historia, którą zamierzała opowiedzieć, stanowiła swoisty ciężar będący konsekwencją postępów.

– Tylko raz w życiu byłam zakochana – zaczęła i od razu przełknęła ślinę, bo zabrzmiało to dziwnie żałośnie. – Prawie dwa lata temu zaczęłam się spotykać z moim rówieśnikiem. To znajomy ze szkoły podstawowej. Ma na imię Hugo, ale ja mówiłam do niego Hajduk. Jest prawnikiem, przystojny, postawny. Ma pieniądze. Nieważne. – Nagle machnęła ręką. – Zakochałam się. Wpadłam po uszy. Wydawało mi się, że on też mnie kocha... – Przerwała i popatrzyła w odsłonięte okno, jakby chciała tam ujrzeć twarz Hajdukiewicza, ale jedyne, co zauważyła, to coraz ciemniejsze chmury zwiastujące opady deszczu ze śniegiem.

- Ale nie kochał – dopowiedział męski głos.
- Nie. – Obróciła głowę, żeby znów widzieć Kamila. – Hugo miał inne priorytety. Chciał założyć rodzinę, mieć dziecko, a mnie się wydawało, że jest taki jak ja.
- Czyli jaki?
- Książd też tak dopytuje w czasie spowiedzi? – prychnęła pod nosem.
- Jeśli jest dobrym spowiednikiem, wtedy owszem, dopytuje – potaknął Kamil.

– Okej. Nie wiem, więc uwierzę ci na słowo. Jaki? Chyba wygodny. Bo ja jestem wygodna. Nie chciałam mieć dzieci, całe życie chciałam podróżować, zwiedzać ciekawe miejsca, ale i pracować. Lubię moją pracę, jestem ambitna. Zależy mi na sukcesie. Hugo podobnie: skończył renomowane studia za granicą, ma dobrą pracę, pieniądze. Spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu, świetnie się dogadywaliśmy, w łóżku było po prostu... – Zaczerwieniła się, bo zauważyła uniesione w górę brwi Kamila. – Było okej. Po prostu. Na wszystkich możliwych płaszczyznach. On znał moje poglądy na życie i plany, więc dokładnie wiedział, jaki obrałam azymut.

- Ale któregoś pięknego dnia...
- Wyznałam mu miłość. To było zaraz po tym, jak skończyliśmy się kochać.
- A on tego nie odwzajemnił.



– Tak. Właśnie wtedy opadły mi klapki z oczu, bo tylko Hugo znał świetnie moją wizję związku z nim.

– A ty nie.

– Nie. Gdy powiedziałam, że go kocham...

– Wyśmiał cię?

– To niezbyt celne określenie, ale tak. Stwierdził, że wydaje mi się, iż go kocham, i żebym nie odgrywała greckiej tragedii, bo oczywiście rozryczałam się jak dziecko. Parę dni później poprosił o rozmowę.

– I zerwał z tobą.

– Tak. – Olga znów odwróciła głowę. Patrzyła tępo w szary kwadrat okna i na nowo przeżywała ten moment. – Zaprosił mnie do restauracji, wręczył kwiaty, a ja głupia przez chwilę pomyślałam, że zaraz poprosi mnie o rękę.

– Ale nie poprosił.

– Nie. Podziękował za wspólnie spędzony czas i przeprosił za wysyłanie niewłaściwych komunikatów, które mogły sprawić, że zbyt mocno się zaangażowałam. Coś chrzanił, że nie nadajemy na tych samych falach, że byłabym z nim nieszczęśliwa, że mnie ograniczał i tym podobne bzdury. Fakt: od początku mnie ostrzegał, że nie angażuje się w stałe związki i w najbliższej przyszłości nie zamierza zakładać rodziny.

– Okazało się, że to z tobą nie chciał się ożenić.

– Dokładnie tak. Jakies pół roku później dowiedziałam się o jego zaręczynach. To było jak cios nożem. – Olga skupiła wzrok na Kamilu. Gdzieś w tyle głowy błąkała się myśl: „Byłbyś świetnym spowiednikiem”, ale nie chciała przerywać swojej „spowiedzi”, bo odbywała się zaskakująco spokojnie.

– Wkurzyłaś się?

– Strasznie. Znienawidziłam go. Zanim przygruchał sobie tę dziewczuchę, myślałam, że mam jakieś szanse. Dzwoniłam, nagabywałam go, prowokowałam, ale wszystko na nic, odbijałam się jak piłka od kortu. Może gdyby to była kobieta podobna do mnie, jakoś wbiłabym między nich klina, ale Łucja jest zupełnie inna. Chyba pasowałaby do ciebie. – Zaśmiała się i pokręciła z niedowierzaniem głową, że to powiedziała. – Myślę, że ona pasuje do każdego faceta – dodała po chwili. – Jest wymarzoną kandydatką na żonę: ładna, młoda, spokojna, religijna, wierna, posłuszna i pracowita, dobra gospodyni. Taka kurka domowa. Zaprzeczenie mnie.

– Nie wiem, jak z resztą atrybutów, ale młodości i urody nie można ci odmówić. – Usta Kamila rozciągnęły się w szczerym uśmiechu. – I co było dalej?

– Łucja zaszła w ciążę. Błyskawicznie. Kwestia miesiąca? Ledwie ochłonęłam po wieści o zaręczynach, a już dowiedziałam się, że dziecko w drodze. Łudziłam się, że Hugo jakoś się z tego wymiksuje, że będzie płacił alimenty, a tu znowu kolejna rewelacja: planują ślub w czerwcu. Wszystko na bieżąco relacjonował mi jego przyjaciel Adam. Postanowiłam wejść między niego

a Hugona. Zaczęłam kręcić z Adasiem, parę razy poszłam z nim do łóżka, żeby wywołać między nimi jakiś konflikt, ale Hugo to olewał. Wtedy uderzyłam pierwszy raz. Chciałam, żeby Hugo cierpiał. Mam dostęp do bazy z wynikami badań każdego pacjenta LABBE, a lekarz Łucji wszystkie badania zleca swoim pacjentkom właśnie w naszym laboratorium. Śledziłam jej kartotekę i zauważyłam, że robiła test NIFTY, to takie specjalistyczne, dosyć drogie badanie prenatalne. I podmieniłam wynik. Wysłałam na skrzynkę mailową Hugona wynik innej pacjentki, ale podpisany imieniem i nazwiskiem Łucji.

– Co w nim było? – Kamil skrzyżował palce i lekko je ścisnął, bo domyślał się kolejnych słów Olgi.

– Diagnoza, że dziecko ma zespół Edwardsa. To genetyczna wada letalna. Dosyć rzadka. W zasadzie, odkąd pamiętam, wykryto ją tylko dwa razy u naszych pacjentek na przestrzeni ostatnich pięciu lat. Rzadka i bardzo ciężka. Prawie wszystkie płody giną...

– Dzieci – poprawił ją Kamil niespodziewanie surowym głosem.

– Prawie wszystkie dzieci umierają w łonie matki – powtórzyła, częściowo zmieniając dobór słów. – Taka diagnoza oznacza tylko jedno: śmierć dziecka jeszcze w trakcie ciąży albo wkrótce po urodzeniu. Bardzo często lekarze zlecają terminację ciąży, bo dziecko nie ma szans na przeżycie więcej niż roku.

– Ale chyba wykonuje się jakieś dodatkowe badania, zanim... – Nie potrafił dokończyć.

– Oczywiście, że tak: biopsję trofoblastu. NIFTY to test przesiewowy, nie diagnostyczny. Choć rzetelność jego wyniku oscyluje w granicach zbliżonych do stu procent, zwłaszcza wyniku pozytywnego, jak właśnie w tym przypadku. Wyniki wykluczające daną wadę są obciążone większym błędem, ale to też kwestia procentów.

– Jak długo się czeka na wynik biopsji?

– Różnie, ale co najmniej kilka dni. Czasem dłużej: tydzień lub dwa. Muszą założyć hodowlę komórek.

– Rozumiem. – Kamil zamknął oczy, bo coś boleśnie zakłuło go w sercu.

Pamiętał, co czuli z Anią, gdy czekali na wynik pierwszego badania szpiku kostnego Faustyny i jak każda minuta wlokła się jak godzina, a godzina trwała tyle co doba, a oni spędzali cały ten czas, modląc się o cud, który wtedy nie nastąpił. Nigdy nie zapomniał rozpacz swojej żony i bólu serca, gdy nieudolnie próbował ją pocieszać, podczas gdy sam przepelniony był tymi samymi emocjami. Razem szlochali, choć on bezgłośnie, żeby nie dokładać cierpienia Ani. Stwarzał pozory opanowanego, mającego niezbitą pewność, że malutka Faustynka wyzdrowieje, i wiarę, że wszystko będzie dobrze. Ale to były tylko pozory, maska założona naprędce, by całkowicie się nie rozsypać.

– Kamil, widzę, że... – Olga wzięła głęboki oddech. Zauważyła, co malowało

się na twarzy Kamila, i pomyślała, że zaraz wstanie, wyjdzie z tego domu i nigdy nie wróci. Czuła wstyd i zażenowanie, ale postanowiła coś jeszcze wyjaśnić. – Jedna z dziewczyn, która pracuje u nas, zorientowała się, że nastąpiła pomyłka, i powiedziała kierownicze działu. Ta zadzwoniła i sprostowała. To wszystko trwało nie dłużej niż dwie, może trzy godziny.

Miał ochotę wykrzyczeć jej w twarz, że przez te dwie godziny Łucja i Hugo przeżyli piekło, spytać, jak mogła być aż tak okrutna i bezmyślna, ale jakoś się powstrzymał. Zacisnął szczęki, żeby ani jedno słowo nie wymknęło się niepostrzeżenie. Kilka razy głęboko odetchnął i nagle poczuł, że choć przez chwilę musi być sam.

– Poczekaj. – Podniósł się z fotela. – Pójdę sprawdzić, co u Fisi.

– Okej.

– W kuchni jest butelka z wodą i szklanki. Mogłabyś przynieść? – spytał, odwracając się w drzwiach.

– Już idę.

Wszedł do pokoiku, gdzie spała córka. Przykucnął przy jej łóżku i ucałował ciepłą, pulchną rączkę. Czuł w oczach łzy gniewu. Zastanawiał się gorączkowo, czy jest w stanie wrócić do Olgi i dalej słuchać jej opowieści. Nie mógł objąć rozumem ani sercem, jak można było tak postąpić. Kolejny raz pomyślał, że kapłaństwo, które kiedyś chciał obrać jako upragnioną ścieżkę życia, byłoby dla niego zbyt trudne. Jak w ogóle mógł rozważać taką możliwość, skoro w sercu czuł jedynie przeogromną niechęć, obrzydzenie i złość na Olgę. I nic więcej.

– Boże, daj mi siłę wysłuchać jej do końca i zrozumieć – szepnął do siebie. – I wybaczyć – dodał po chwili.

Wrócił do pokoju, oznajmił że z małą wszystko w porządku, nawet wypił szklankę wody, żeby choć na moment czymś zająć ręce, ale to nie pomogło. W sercu czuł tępy ucisk, a gardło odmawiało posłuszeństwa, gdy usiadł i poprosił siedzącą naprzeciwko Olgę o kontynuację opowieści.

– Kamilu, ja to sobie przemyślałam i jeśli to dla ciebie zbyt trudne, a widzę, że tak jest, mogę na tym skończyć. Chyba najlepiej będzie, gdy wrócę do domu, i to natychmiast. Mam nadzieję, że... – wyrzuciła jednym tchem Olga i popatrzyła w stronę drzwi. – Że szybko o mnie zapomnisz, dzieci też. Przepraszam, niepotrzebnie tu dzisiaj przyjechałam.

Powoli, z dziwnie niepasującą do tej gwałtownej wypowiedzi ostrożnością, podniosła się z fotela. Bezwiednie wygładziła nogawki spodni opięte na udach i rozejrzała się wokół, jakby chciała zapamiętać to miejsce jako takie, w którym czuła się mimo wszystko dobrze, bo przecież przeżyła tu parę miłych chwil. Nagle jej wzrok spoczął na ramce ze ślubnym zdjęciem państwa Polskich. Podeszła bliżej, przez moment próbowała zakodować w głowie wyraz oczu Kamila i tego szczęścia, które z nich wyzierało, ale czuła, że nie powinna tego robić.

– Jeszcze raz przepraszam – wykrztusiła z trudem, bo Kamil nawet na nią nie zerknął. Siedział z łokciami opartymi na kolanach i twarzą skrytą w wyciągniętych dłoniach. – Życzę ci wszystkiego dobrego. Dzieciom też – dodała, czując w gardle kulę skłębionych emocji.

Wyszła do przedpokoju, sięgnęła po swój kożuszek i bardzo wolno, wręcz z namaszczeniem go włożyła. Poprawiła kaptur, wzięła buty, na ramieniu zawiesiła torebkę. Jeszcze tylko kontrolnie zerknęła do lustra, żeby stwierdzić, że wygląda tragicznie: blada, z zaczerwienionymi oczami i wargą zagryzioną aż do krwi. Czekwała na jakiś ruch, na to, żeby Kamil ją zatrzymał, ale w mieszkaniu panowała niczym niezmacona cisza.

Pomyślała, że w tych wszystkich amerykańskich filmach kłamią, gdy pokazują, jak mężczyzna biegnie za kobietą, przeprasza i prosi, żeby nie odchodziła, ale zaraz przyszła refleksja: „Żadna z nich nie była taka podła jak ty”. Westchnęła, wyszła z mieszkania i bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi.

## Rozdział 5

Z sobotniego spotkania nic nie wyszło, bo Wielka Sobota to niezbyt dobry dzień na ciuchowe zakupy, a Olga zapomniała o świętach, których zresztą organicznie nie znosiła. Przez cały tydzień łudziła się nadzieją, że... Co chwilę sprawdzała, czy nie przyszła do niej jakaś wiadomość, nerwowo podrygiwała, kiedy telefon oznajmiał o przychodzącym połączeniu, ale żaden SMS ani żadna rozmowa nie były od Kamila.

Iza przeprosiła, powiedziała, że dzwonią się we wtorek. Mateusz też się zgłosił, żeby ustalić konkrety co do jego wizyty. Gdy Olga z nim rozmawiała, coś ją podkuśiło i zaproponowała kilkudniowy wyjazd, na przykład w piątek wieczorem. Poczła się jak niepyszna, kiedy Mati wymówił się wizytą rodziny. Może jakoś zniosłaby ten ciut dłuższy niż zazwyczaj świąteczny weekend, gdyby nie zaproszenie od Łucji.

Kiedy odkryła w skrzynce na listy kopertę, a w środku kartkę z wizerunkiem zmartwychwstałego Jezusa i propozycją, żeby wpadła do Hajdukiewiczów w któryś dzień świąt, poczuła się jak śmieć. Jakby ktoś dał jej w twarz. Pewnie dlatego, że odebrała ten gest wyłącznie w kategoriach litości.

„Co sobie wyobraża to młodziutkie, głupie i naiwne dziewczątko? Że pojedę tam i będę siedzieć radosna i wesoła i razem zjemy po wiejskim jajeczku, a potem poda mazurek, który sama upiekła, a ja będę chwalić, że przepyszny? – wściekała się w duchu, gdy po raz kolejny czytała lakoniczną treść zawartą na kartce, oczywiście wyjątkowo tandetnej i kiczowatej. – Nie tędy droga!”

W pierwszym odruchu zamierzała spalić kartkę i nie odpowiadać na zaproszenie, ale po jakimś czasie ochłonęła. Ustawiła kartkę na obramowaniu kominka i zapomniała o niej. Dwa dni później Łucja zadzwoniła i ponowiła zaproszenie. Olga podziękowała wylewnie i na odczepnego powiedziała, że się z kimś spotyka i właśnie z tą osobą spędzi święta.

Decyzję o wyjeździe podjęła minutę po zakończeniu tej rozmowy. Znalazła dosyć atrakcyjną ofertę w jednym z luksusowych hoteli spa w Zakopanem i pojechała tam już w piątek. Liczyła na relaks, spokojne spacerunki po górach, a może nawet na jakieś miłe, niezobowiązujące towarzystwo. Wyszło tylko to pierwsze.

Pogoda zawiodła, przez całe trzy dni Olga nie wychyliła nosa z hotelu. Deszcz próbował splukać turystyczne miasteczko, ustąpił dopiero w lany poniedziałek, ale późnym popołudniem. Co do gości, tu też doznała porażki. W hotelu rezydowały wyłącznie pary, przeważnie z małymi dziećmi, ewentualnie bez potomstwa, za to w wieku mocno zaawansowanym i najczęściej z zachodniej granicy.

Dobrze, że choć w trakcie licznych zabiegów nieco się rozluźniła. Wykupiła najbogatszy pakiet i większość czasu spędziła w gabinetach odnowy biologicznej i na basenie. Obdarzała personel sowitymi napiwkami, w ten sposób próbując

wkraść się w ich łaski. Wszak pracowali w czasie, który woleliby spędzić z rodziną na celebrowaniu idiotycznych według niej ceremoniałów, polegających głównie na „żarciu, chlaniu i kretyńskich rozmowach o polityce, aborcjach i innych rzeczach, o których oczywiście nie mieli pojęcia”.

Odetchnęła z ulgą, kiedy we wtorkowy rano zadzwonił budzik. Z zapalem pojechała do pracy, zjadła nawet kawałek ciasta przyniesiony z domu przez panią Jadzię, główną księgową, a pod wieczór zadzwoniła do Izy, żeby sfinalizować ich babski wypad.

Spotkały się nazajutrz w centrum handlowym Plaza. Olgę śmieszyły pustki w sklepach. Skwitowała ten fakt, mówiąc: „Polaczki cebulaczki wypruły się z kasy, aż przyjemnie robić zakupy”. Tak poprawił jej się humor, że postanowiła coś kupić dla Łucji, Hajduka i ich dziecka. Wybrała jakieś klocki, oczywiście odpowiednio wypasione i kosztowne, butelkę niezłej whisky i flakon drogich francuskich perfum. Pomyślała, że to będzie bardzo ostentacyjny gest, ale właśnie taki miał być, bo jeszcze ciągle czuła złość i irytację, że potraktowano ją jak ubogą krewną, która nie ma z kim spędzić świąt.

Usiadły z Izą w kawiarni, zamówiły po filiżance espresso i wymieniły się plotkami, choć zbyt wiele do powiedzenia nie miały, nawet Iza.

– Czyli koniec romansu z panem świętoje... – chrząknęła Izka.

– Raczej tak – potwierdziła Olga, uprzednio wprowadziwszy przyjaciółkę w szczegóły, choć bardzo ogólnie i bez detali, i oczywiście pomijając opowieść o Hajdukiewiczu.

– I dobrze, bo nie pasowaliście do siebie pod żadnym względem. Jaką płaszczyznę do wspólnego życia miałybyś z kimś takim? Żadną. A z Matim też radzę ci uważać. Jeszcze bardziej niż z Kamilem. Nie myśl, że jestem zazdrosna i nie chcę twojego szczęścia, bo wiesz... – znów delikatnie zakaszła – kiedyś interesowałam się Mateuszem, ale teraz mocno bym się zastanowiła, czy warto z nim wiązać jakieś nadzieje na coś poważnego.

– O! – Usta Olgi ułożyły się w idealnie równe kółeczko. – A to dlaczego?

– Krążą plotki, a w zasadzie to nie plotki, tylko sprawdzone informacje, że to koniec dobrej passy Matiasa.

– Czyli?

– Jego stary ponoć zbankrutował. Coś musi być na rzeczy, bo siostrunia Mateusza, ta pyskata i wypindrzona Luizka, właśnie wróciła do Krakowa. Rzekomo zrezygnowała ze studiów, ale kto rezygnuje z uniwersytetu Columbia i to na czwartym roku? No, powiedz sama? Dokładnie nie wiem, bo Mateusz mówił, że wzięła roczny urlop, coś jak naszą dziekanę, ale po co niby ten urlop? W trakcie roku? Żeby choć w ciąży była, to rozumiem, ale siedzi tu na miejscu i nic nie robi.

– Ale jak zbankrutował? Przecież oni mają tyle inwestycji, nieruchomości

i tę fabrykę, co ty mówisz? – Olga aż nachyliła się nad stolikiem, żeby lepiej słyszeć Izę.

– Właśnie przez tę fabrykę Kolasa popłynął. Miał podpisać umowę z jakąś wielką siecią, rzekomo z Biedrą, na stałe dostawy konserw do sklepów w całej Europie i wystawił dwie ogromne hale, do tego ściągnął maszyny, a z kontraktu wyszły nici. Stary Matias zadłużył się po szyję. Wszystko przejął bank, również nieruchomości, które miał. Na szczęście część majątku ocalała, bo Kolasowie mają intercyzę, więc teraz żyją z tego, co wisi jako własność matki Mateusza.

– Skąd to wiesz? – Olga przymrużyła oczy, nie mogła uwierzyć, że ominęły ją te informacje.

– Trochę mówił sam Mati na moich urodzinach. Trochę przeczytałam w necie, ale głównie to ta idiotka Luizka wypaplała większość tych rewelacji na jakiejś imprezie, na której była Diana.

– Upsik.

– No upsik. Dlatego radzę ci ostrożnie z nim pogrywać, żebyś nie wpadła na jakąś minę. Kiedy widziałam, jak poleciał cię szukać, od razu wyczułam, że coś się święci.

– Cielątkiem życiowym nie jestem, ale dzięki, że mi powiedziałaś. Chociaż z drugiej strony raczej nie podejrzewam go o wyrachowanie. Mimo wszystko. Kiedy się spotykaliśmy, ewidentnie był zainteresowany mną, a nie moją kasą.

– Ale wtedy jeszcze nie miał pojęcia, że tak się im wszystko rozpieprzy – dodała Iza. – Moim zdaniem on zawsze świrował na twoim punkcie. Pamiętam, jak chodził do tyłu, gdy go zostawiłaś. Długo nie mógł się pozbierać. Wtedy na pewno nie chodziło o hajs. Nie poruszałam z tobą tematu, bo głupio komuś obrabiać tyłek, poza tym, gdy to się rozgrywało, miałaś inne problemy na głowie, ale teraz, gdy Mati znów czyni ci awanse, uznałam, że powinnaś wiedzieć, co w trawie, a raczej w puszcze piszczy – zachichotała niefrasobliwie Iza. – Ja bym go aż tak całkowicie nie skreślała. Założył jakąś firmę na Pomorzu. Ergo: na laurach nie spoczął, w rozpaczę się nie pogrążył. Próbuje działać.

– Nie skreślam go ani też nie biorę poważnie pod uwagę. Nie potrzebuję męża. Coś mnie goni? Nic. Zegar biologiczny nie tyka, bo wyjęli ze mnie baterię – zaśmiała się gorzko Olga. – Równie dobrze mogę wcale nie wyjść za mąż albo zrobić to po menopauzie.

– Przestań! – Iza przykryła jej dłoń swoją. – Co to ma do rzeczy?

– W sumie nic. Masz rację. – Na twarzy Olgi malował się dziwny grymas, ni to uśmiech, ni skrzywienie, jak na widok czegoś wyjątkowo odpychającego.

– Kochana, widzę, że ten urlop niewiele pomógł. W górę cellulit, idziemy się dalej kurować. Może jakaś elegancka i nieprzyzwoicie droga bielizna pomoże?

– Okej. Poszukam eleganckiego i nieprzyzwoicie drogiego pasa cnoty – stwierdziła z przekąsem Olga, podnosząc się z fotelika. – Tylko w tym gatunku

bielizny widzę *raison d'être*.

– Zdrowiejesz... – skwitowała Iza.

Nie wiadomo jak długo łąziłyby po galerii, gdyby Arek nie zadzwonił do swojej narzeczonej i nie przypomniał o zaplanowanej wcześniej wizycie w cukierni. Samej nudno robić zakupy, więc Olga wróciła do domu. Wyjmując z bagażnika sześć papierowych toreb, stwierdziła, że coraz mniej ją to cieszy. Kiedyś spacerowanie po galeriach handlowych bawiło ją i relaksowało, a teraz? Ta forma rozrywki straciła swój blask.

Mimo to postanowiła przymierzyć nową sukienkę i sandałki na szpilce. Wzięła ze sobą rzeczy i poszła na piętro, żeby tam, w garderobie przylegającej do sypialni, sprawdzić, czy dobrze leżą.

Po kilku minutach obracania się wokół własnej osi i prób dopasowania jakiegoś żakietu do miętowego odcienia kiecki uznała, że ten zakup nie był dobrym pomysłem.

– Wyglądasz jak topielica... – westchnęła do odbicia w lustrze. Pomyślała, że może jakiś sweterek będzie lepszy, gdy usłyszała dźwięk telefonu dobiegający z parteru. – Kocha, to zadzwoni jeszcze raz – burknęła z irytacją, bo nie chciało jej się iść po aparat. Ale za moment zreflektowała się, że może to jakaś ważna sprawa.

Zzula szpilki i zbiegła szybko po schodach. Nie zdążyła odebrać. Sięgnęła po telefon i bezskutecznie próbowała sobie przypomnieć, czy może być ten dziwnie znajomy ciąg cyfr. Stawiała na jednego z lekarzy opiekujących się matką. W końcu oddzwoniła.

– Halo, Becker przy telefonie, ktoś przed chwilą dzwonił do mnie z tego numeru – powiedziała, przysiadając na podłokietniku kanapy.

– Hej... To ja, Kamil. Dzień dobry.

– Hej... – wykrztusiła po kilku sekundach Olga. Aż zaszumiało jej w uszach, gdy usłyszała głos mężczyzny.

– Skasowałeś mój numer? – spytał bez namysłu. – Ja... Bardzo żałuję, że tak wyszło. Przepraszam. Jest mi podwójnie głupio, bo nie złożyłem ci życzeń z okazji świąt wielka...

– Nie obchodzę świąt – przerwała mu Olga. – A co do przeprosin, okej, przyjęte. Nie ma tematu. Coś jeszcze?

– Jesteś na mnie zła.

– Już nie. Zresztą nie wiem, czy byłam na ciebie zła. Jeśli tak, to raczej na samą siebie. A jak czuje się Faustyna? Wszystko z nią w porządku? – spytała, starając się utrzymać w ryzach własne emocje i nie zdradzić ich drżącym głosem.

– Tak. Dziękuję. Fisia poczuła się lepiej już w piątek. W sobotę poszła ze mną i z Maksiem do kościoła, bo nic jej nie dolegało. To jakiś wyjątkowo szybki wirus. Zaatakował błyskawicznie i tak samo prędko zniknął.

– Bardzo się cieszę. Pozdrów i ucałuj ją ode mnie, i Maksia też. Chyba że nie



chcesz im mówić, że kontaktowałeś się ze mną. Przeżyję – stwierdziła na pozór beznamiętnie, choć gdyby teraz Kamil ją widział, nie umknęłyby mu jej do białości zacisnięte na telefonie opuszki palców.

– Dzwonię, bo...

– Dzieci kazały ci zaprosić mnie na kawę? – Nagle domyśliła się intencji Kamila i parsknęła pod nosem zduszonym śmiechem.

– Coś w ten deseń, ale nie myśl, że tylko dlatego.

– Dziękuję za zaproszenie, ale nie wybieram się do ciebie.

– Rozumiem – odparł po dłuższej chwili.

– Nic nie rozumiesz. Bardzo mnie cieszy, że Faustyna i Maksio chcą się ze mną zobaczyć, dlatego ja zapraszam ich tutaj, do mnie. – Z satysfakcją usłyszała, jak Kamil bierze głęboki oddech, pewnie zaskoczony jej reakcją, więc po paru sekundach dodała: – Naturalnie, jeśli masz ochotę być tu z nimi, ciebie również ugoszczę z przyjemnością. Może w piątek? Niestety, sobotę mam zajęta, odwiedza mnie kolega, Mateusz.

– Tak, pamiętam.

– To jaka odpowiedź?

– Okej. Wpadniemy. Nie będziemy długo, nie chcemy ci...

– Nie będziecie mi przeszkadzać – ucięła. – Piąta? Czy wcześniej? O której odbierasz Maksia z przedszkola?

– O czwartej.

– Doskonale, wobec tego przyjdźcie po czwartej. Wyślę ci adres i opis, jak do mnie trafić. Mieszkam zaraz obok parku Decjusza, łatwo znaleźć.

– Olga...

– Tak?

– Wiem, że zachowałem się beznadziejnie. Masz prawo czuć się...

– Kamil, to nie jest rozmowa na telefon. Zresztą nie czuję potrzeby omawiania tego w jakiegokolwiek formie, *face to face* również. Po prostu przyjdźcie, posiedzimy, mile spędzimy czas jak znajomi i tyle.

– Dobrze.

– To ja się pożegnam. Pozdrów dzieciaki, pa.

Z niewymowną ulgą odłożyła aparat na blat ławy. Zakryła twarz dłońmi, spod których po chwili zaczęły wyślizgiwać się pierwsze nieśmiałe łzy żalu. Myślała, że to już za nią, starała się wykasować z pamięci rodzinę Polskich, lecz gdy usłyszała głos Kamila, wszystko wróciło ze zdwojoną siłą. Niestety, nagle rozbudzona nadzieja, że ma szansę u tego mężczyzny, zgasła jeszcze szybciej, a jej pozostała tylko bezradność...



– Ojej! Tatusiu, Olga mieszka w prawdziwym zamku! – Maksymilian zadarł

wysoko głowę, próbując dostrzec szczyt dachu wielkiej willi.

– To nie zamek – sprostował Kamil, choć też był pod wrażeniem imponujących rozmiarów budynku.

Już w trakcie parkowania na podjeździe czuł, że czeka ich zderzenie z całkiem inną rzeczywistością niż ta, której doświadczali na co dzień, ale aż takiego zaskoczenia nie przewidział. Obrócił się, żeby sprawdzić, czy zamknął samochód, i zauważył, że dwa ogromne skrzydła bramy właśnie bezszelestnie się zasuwały, odgradzając posesję od ulicy.

Olga powitała ich w holu i poprosiła, żeby absolutnie nie zdejmowali butów. Przeszli przez cały dom i dotarli na zadaszony taras z tyłu budynku.

– Tu mieszkają jakieś dzieci?! – pisał Maksio na widok tego, co stało w ogrodzie, czyli huśtawek, trampoliny i niewielkiej piaskownicy.

– Nie – odpowiedziała gospodyni, promiennie się uśmiechając. – Nie wiedziałam, co chcielibyście na spóźnionego zajęczka, więc wymyśliłam taką niespodziankę. Mam nadzieję, że to was zachęci, żeby często mnie odwiedzać. To wszystko jest wasze.

– Tato, możemy? – Faustyna spojrzała niepewnie i pociągnęła ojca za rękaw wizytowej koszuli.

– Skoro to dla was, lećcie. Tylko bez szaleństw, bo jeszcze nie wyzdrowiałaś do końca.

– Poskaczysz z nami? – spytał Maksio.

– Raczej nie. – Kamil zerknął na swoje czarne spodnie na kant.

– Ja też nie – uprzedziła Olga. – Na razie nie mogę skakać, ale pod koniec wakacji już będę mogła.

– Uhm. Trudno. – Malec pokiwał głową.

Kamil i Olga jak na komendę parsknęli śmiechem na widok dzieci, które wpadły do ogrodu, same nie wiedząc, z czego skorzystać w pierwszej kolejności. Na szczęście okazji do konfliktu nie miały, bo huśtawki były dwie, trampolina na tyle duża, że mogła pomieścić pięć dorosłych osób, a w piaskownicy leżały dwa komplety plastikowych zabawek.

– Pięknie dzisiaj – stwierdziła Olga, podchodząc do krawędzi tarasu i wystawiając na moment twarz do słońca.

Kwiecień był ciepły. Na drzewach pojawiły się pierwsze pąki, strzelając w stronę słonecznego nieba, a krzewy i trawa mieniły się świeżą mgiełką tu i ówdzie bardzo soczystej, wręcz jaskrawej zieleni.

– Tak. Bardzo ładnie – zgodził się Kamil.

– Przygotowałam coś na ząb, ale chyba musi poczekać – uznała Olga, widząc szalejące dzieciaki. – A na razie może kawa? – zaproponowała.

– Chętnie.

Usiedli blisko siebie przy niewielkim okrągłym stole, tak żeby mieć na oku

Faustynę i Maksia. Olga do kawy podała ciasto i zapobiegliwie przyniosła dzbanek soku oraz szklanki. Czuła, że rozbrykana dwójka z tego skorzysta.

– Nie powinnaś była. To musiało sporo kosztować. – Kamil odchrząknął.

– A czy to ma jakieś znaczenie? – odpowiedziała, patrząc na Maksia, który właśnie odkrył wielką plastikową ciężarówkę zaparkowaną pod starym świerkiem i obwieszczal swoją radość donośnym piskiem. – Jak oni się cieszą... – westchnęła.

– To jest warte każdych pieniędzy.

– Dzięki. Nie spodziewałem się, że...

– Ja też się nie spodziewałam, że jeszcze kiedyś się spotkamy – weszła mu w słowo, odwracając się, żeby na niego spojrzeć. – Powiedz, gdyby nie oni, zadzwoniłbyś?

– Szczerze? Nie wiem. – Kamil lekko zakasłał w ramię, bo ciągle coś łaskotało go w gardle.

– Chodzi o różnice światopoglądowe? – upewniła się Olga.

– Też.

– Też? – W jej głosie zabrzmiało zdziwienie. – Ach, czyli to nie wszystko?

– Nie.

– Bardzo mi przykro, że zwierając ci się z moich błędów, tak bardzo straciłam w twoich oczach, ale nie żałuję.

– Nie chodzi o to. Przeprosiłem cię i jeszcze raz to robię. Zachowałem się podle, pozwalając ci wyjść i nie próbując cię zrozumieć. Nie pożegnałem się. Wstydę się tego, uwierz... – Kamil ostrożnie wyciągnął rękę, chcąc położyć ją na dłoni Olgi, ale zauważyła jego gest i objęła się ramionami. Nie chciała, żeby jej dotykał.

– To co jeszcze stanowi problem? – spytała po chwili.

– Nie byłaś ze mną do końca szczerą.

– Nie pozwoliłeś mi dokończyć – przypomniwała.

– Mam na myśli coś innego. LABBE to twoja firma. Odziedziczyłaś ją po zmarłym ojcu, jak pewnie i ten wielki dom. Masz tyle pieniędzy, że to dla mnie jakaś abstrakcja. Gdybym sto lat zasuwał w Netcracker, nie zarobiłbym nawet ćwierci tego, co masz. Mylę się?

– Nie. Skąd o tym wiesz? I od kiedy? Sprawdzałeś mnie? – Z niedowierzaniem pokręciła głową, bo to były raczej jej metody.

– Nie sprawdzałem. Wiem od Inki. Powiedziała mi w dniu, w którym się poznałyście.

– Aha. Masz do mnie żal, że to ukryłam przed tobą?

– Trochę tak – przyznał po namyśle. – Mówiłaś, że pracujesz w LABBE. To nie kłamstwo, ale cała prawda też nie.

– Okej. Teraz już wiesz i stanowi to dla ciebie problem.

– Chyba tak.

– No cóż, nie zamierzam się tłumaczyć. Zresztą to nie ma znaczenia, bo dosyć jasno przedstawiłeś swoje stanowisko. Będziemy znajomymi i nic więcej.  
– Zamilkła, by po chwili dodać: – Sąsiedzi uznają mnie za wariatkę.

– Dlaczego?

– Te huśtawki i wszystko... – Wskazała brodą. – Ale co mi tam. I tak pewnie myślą, że mam coś z głową. Jak moja mama. Głupcy – prychnęła pod nosem.

– Mieszkasz sama? – zapytał Kamil.

– Wczoraj przyjechało tu dwóch kolesiów, montowali huśtawkę. Jeden z nich spytał, jak to możliwe, że taka piękna kobieta jest samotna. Widocznie skądś to wiedział.

– Co mu powiedziałaś?

– Że nie płacę mu za gadanie i za zadawanie idiotycznych pytań.

– W sumie racja. Czyli moje pytanie też było idiotyczne?

– Poniekąd. Mieszkam sama, jak widać. Mama jest w specjalnym ośrodku, kilkanaście kilometrów za Opolem. Leczy się na nerwicę i depresję. Swego czasu podejrzewali u niej schizofrenię. Jeszcze nie wykluczyli, ale i nie potwierdzili, bo nie wykazuje typowych objawów. Pewnie dodałeś kolejny punkt w tabeli moich wad? Bez obaw, schizofrenia ponoć nie jest dziedziczna, poza tym nie jestem biologiczną córką moich rodziców – nieoczekiwanie dla samej siebie wyznała kolejną część prawdy.

Dobrze skrywanej prawdy, o której nikt nie wiedział poza samymi zainteresowanymi, Izą i Hajdukiem. Olga dowiedziała się przez przypadek. Miała siedem lat, gdy pewnego wieczoru podsłuchiwała niechcący kłótnię rodziców. Ojciec próbował coś wymóc na matce: „Ma prawo wiedzieć, że ją adoptowaliśmy. Musimy jej powiedzieć”. Gdy matka stwierdziła: „Ona ma zaledwie siedem lat”, Olga zrozumiała, że chodzi o nią, wpadła do sypialni i szlochając, wydobyla od rodziców potwierdzenie tych słów.

– Bardzo mi przykro... Ze względu na twoją mamę – powiedział Kamil, przerywając jej rozmyślenia nad przeszłością.

– Dziękuję. To się stało niedługo po śmierci ojca. Może miesiąc później. Mama popadła w katatonię. Jakoś z tego wyszła, ale zaczęły się inne objawy. W końcu uznała, że nie chce tu mieszkać i wyniosła się do ośrodka.

– To jej decyzja, żeby tam być? – zdziwił się Kamil.

– Tak. Mieszka tam już prawie pięć lat. To luksusowy ośrodek. Nie żadne wariatkowo z kratami w oknach i strażnikami na korytarzu. Raczej określiłabym to miejsce jako połączenie sanatorium, spa i domu pobytu dla dobrze sytuowanych osób pragnących spokoju i odosobnienia. Coś jak świecki zakon dla bogatych – podsumowała.

– Odwiedzasz ją?

– Bardzo rzadko. Raz na rok. Dzwonię też rzadko. Mama nie życzy sobie

kontakty z nikim. Ze mną też. Za to jej lekarz co tydzień wysyła mi raport o stanie zdrowia i tak dalej. – Olga wzruszyła ramionami, jakby to, co mówi, nie robiło na niej żadnego wrażenia.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Kamil przełknął ślinę, ale nie pomogło. Sięgnął więc po szklankę i nalał trochę soku. – Byłaś bardziej związana z mamą czy z ojcem?

– Z ojcem, ale gdy mama się wyprowadziła... – Nie dokończyła, bo opanowało ją wzruszenie. Łzy cisnęły się do oczu.

Pamiętała, jak cierpiała po wyjeździe matki. Czuła się strasznie. Samotna i odrzucona, próbowała odnaleźć w innych ludziach choć namiastkę ciepła. Rzuciła się w wir towarzyskich spotkań, a potem związała się z Hajdukiewiczem, który też odrzucił ją i jej miłość. Może dlatego jej zemsta była tak okrutna? Nieraz zadawała sobie to pytanie.

– Współczuję ci. Sporo przeszłaś – westchnął Kamil.

– Ty też, ale to nie zmieniło cię w potwora. Jak mnie – dodała z rozmysłem, bo właśnie tak się czuła i choć podejmowała liczne próby, żeby przestać, nadal sobie nie wybaczyła.

– Nie jesteś potworem – zaprotestował.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Olga podniosła się z fotela, widząc zmierzającego w ich stronę Maksia.

– Coś się stało? – spytała chłopca.

– Siku – odparł i niefrasobliwie przeczesał włosy brudną od piasku rączką. – Gdzie mam zrobić siku? I chyba kupkę też. – Przeształ z nóżki na nóżkę.

– Chodź, pokażę ci, gdzie jest toaleta. – Olga wzięła go za rękę i wprowadziła do domu. Wróciła szybko. – Kazał się zostawić – wytłumaczyła Kamilowi.

– Ostatnio nie pozwala mi wchodzić do łazienki, gdy się myje i korzysta z WC.

– Dorasta. – Olga mrugnęła porozumiewawczo.

Zapadła cisza. Po jakimś czasie usłyszeli tupot butów Maksia, a po chwili chłopiec wpadł na taras, trzymając przed sobą spore pudło z klockami duplo.

– To niby dla mnie? – Stał i zmarszczył nos. – Lubię klocki, ale nie dziewczynskie, a te są okropnie dziewczynskie. – Zerkał na pudełko zadrukowane zdjęciami przedstawiającymi biało-różowy domek i kilka laleczek. – Fiśka jest za stara na takie klocki. Oj, nie popisałaś się z tym prezentem. – Pokręcił głową.

– Maksio! Natychmiast przeproś Olgę! Zachowałeś się bardzo niegrzecznie. – Kamil wstał i zabrał synkowi pudełko. – Bardzo cię przepraszam, zaraz to odniosę. – Zerkał na Olgę.

– Nic się nie stało. Postaw je gdziekolwiek, byle pod dachem, żeby się nie zabrudziło – poprosiła. – To prezent dla Marysi, córeczki Łucji – wyjaśniła, gdy

Kamil wrócił. – Marysia ma niecały roczek i raczej spodoba ją jej się takie klocki. Mam nadzieję, bo moja wiedza o dzieciach i ich upodobaniach jest daleka od empirycznej.

– Na zajęczka? – spytał Maksymilian.

– Tak.

– A masz karteczkę?

– Jaką karteczkę? Z życzeniami? Niestety nie.

– Chcesz, to zrobimy z Fišką taką karteczkę. Poczekaj! Fiška!!! – rozdarł się na cały ogród Maksio. – Chodź tu! Trzeba zrobić karteczkę!!!

Jego siostra pojawiła się prawie natychmiast. Szybko wypła szklanekę soku, równocześnie zwierając się Oldze, że chciała dla niej zrobić śliczną karteczkę i kupić coś na zajęczka z kieszonkowego, ale tatuś się nie zgodził.

– Powiedział, że ty nie obchodzisz świąt. A to nieprawda. Bo przecież dałaś nam huśtawki i piaskownicę.

– I tranpolimę – dodał Maksio. – I prezent dla Marysi też kupiłaś. Wyszliśmy na durni – zwrócił się oskarżycielsko do ojca. – Zero elementarnej kultury – powtórzył jedno z ulubionych stwierdzeń Inki.

– Maksiu, wasz tato ma rację. Nie obchodzę świąt, ale lubię dawać prezenty. Mam pomysł, wejdziemy do środka, ja przygotuję kolację, a ty i Faustynka zrobicie karteczki dla Marysi i dla mnie, jeśli chcecie – zaproponowała.

– A ja? – spytał żartobliwie Kamil, choć wcale nie było mu do śmiechu, bo przed momentem poczuł się wyjątkowo niezręcznie.

– Możesz nam pomóc – zgodziła się łaskawie Fiška.

– Olga, a masz kredki? I blok rysunkowy? – zainteresował się Maksymilian.

– Bez kredek nie zrobimy karteczek.

– Mam wszystko. – Już zamierzała powiedzieć, że jej mama parała się rękodziełem artystycznym i pół jej pokoju od zawsze tonęło w bibułach, serwetkach do decoupage’u, papierze do quillingu, farbkach i innych akcesoriach, ale ugryzła się w język. Nie miała ochoty wracać do tematu matki.

Do końca wizyty Kamil prawie się nie odzywał. Owszem, odpowiadał dzieciom, skomplementował Olę, gdy spróbował smacznej zapiekanki, ale sam z siebie nie wydusił nawet słowa. Miał głowę zbyt przepełnioną myślami, żeby cokolwiek mówić. Zaliczył jeszcze jedną krępującą sytuację, gdy dzieciaki nieudolnie nabazgrały swoje imiona i jemu też kazały podpisać obie wykonane przez siebie karteczki. Nie chciał dać im okazji do kolejnej polemiki, co wypada, a co nie, więc posłusznie wziął niebieską kredkę i złożył swój autograf zarówno na kartce dla Olgi, jak i na tej dedykowanej rodzinie Hajdukiewiczów.

Sądził, że Olga kupiła prezent wyłącznie dla córki byłego partnera, ale ta wyprowadziła go z błędu. Nie czuł się komfortowo z myślą, że jego podpis mógł zostać odebrany jako pewnego rodzaju deklaracja, że on i dzieci są kimś ważnym

w życiu Olgi. Niestety, nie miał innego wyjścia.

– Było super – podsumował Maksio, gdy wszyscy stali przy samochodzie.

– Tatusiu, kiedy znów przyjedziemy do Olgi? – zapytała Faustyna. – Możemy jutro? – Zwróciła się w stronę gospodyni.

– Jutro Olga jest zajęta – odpowiedział Kamil.

– Możecie wpadać, kiedy chcecie. – Olga pogłaskała Faustynę po rozwichrzonych włosach. – Poproście tatusia, żeby do mnie zadzwonił i umówimy się na kolejny raz. Okej?

– Okej – mruknęła bez przekonania dziewczynka.

Nie podobało jej się takie nieokreślone rozwiązanie, ale zauważyła zniecierpliwienie ojca, więc wołała się nie narażać.

– Dziękujemy, było wspaniale. Prawda, dzieciaki? – Kamil okraślił swoją wypowiedź bladym uśmiechem.

– Mnie też było bardzo miło was gościć. Dziękuję za karteczkę, będzie stała na honorowym miejscu – rzekła Olga.

Pożegnała ich z dobrze skrywanym żalem. Wiedziała, że gdy wróci do nagle opustoszałego domu, znów poczuje, jak bardzo potrafi doskwierać samotność.



Mateusz pojawił się punktualnie jak w zegarku. Obdarzył Olgę komplementem, mówiąc, że wygląda jak Pani Wiosna w bladozielonej sukience i pastelowym sweterku. Przyniósł ze sobą nie tylko pudełko luksusowych pralinek, lecz także piękny bukiet żółtych tulipanów. Olga ustawiła wazon na komodzie pod oknem i jeszcze raz sprawdziła, czy rolety szczelnie zasłaniają widok na ogród. Nie chciała, żeby jej gość zobaczył huśtawki i trampolinę. Niepotrzebne jej były pytania.

Zjedli kolację, porozmawiali o wszystkim i o niczym i pewnie do końca wieczoru ich pogawędka nie wypadłaby ze ścieżki: lekko, łatwo i przyjemnie, a czasami nawet intymnie i pikantnie, gdyby nie decyzja Olgi, że dzisiaj pozwoli sobie na odrobinę alkoholu. Zeszła do piwnicy, by przynieść butelkę doskonałego wina, jeszcze z zapasów świętej pamięci taty, a w tym czasie Mateusz postanowił trochę się przewietrzyć, czyli wyjść na papierosa. Podeszedł do balkonowego okna, podniósł roletę i chwilę później ze zdumieniem zauważył w ogrodzie podwójną huśtawkę, trampolinę i coś zakrytego drewnianą klapą, ale bez wątplenia będącego piaskownicą. Szybko zasunął roletę i usiadł na swoim miejscu, bo usłyszał dobiegający z korytarza stukot szpilek nadchodzącej gospodyni. Wziął z dolnej półki ławy jakąś gazetę i zaczął udawać, że ją czyta.

Olga poszła do kuchni, wytarła dokładnie omszałą butelkę i z trudem ją otworzyła. Sprawdziła, czy w środku nie zostały się drobinki korka, napełniła lampkę i z przyjemnością powąchała bukiet wybornego trunku.

– Zainteresował cię artykuł o modzie na intercyzę? – zagaiła po powrocie do swojego gościa.

– Nie bardzo. – Mateusz odłożył gazetę, wziął kieliszek i przez chwilę leciutko nim kołysał. – Czuję, że będzie smaczne. Zdrowie – wznosił toast.

– Zdrowie. – Olga przechyliła lampkę. – Mówisz, że nie interesują cię kwestie intercyzy? – Oparła się wygodnie na kanapie i popatrzyła na niego spod lekko przymrużonych powiek. – Z tego, co wiem, gdyby nie intercyza zawarta przez twoich rodziców, mielibyście teraz poważne problemy finansowe.

– Hm... Zaskoczyłaś mnie. – Mateusz usilnie próbował przywołać obojętny wyraz twarzy, ale zupełnie mu się nie udało. – Skąd wiesz?

– Twoja siostrzyczka bywa niedyskretna, zwłaszcza po alkoholu – odpowiedziała, wskazując brodą na butelkę.

– No cóż. Czasami tak się dzieje, zwłaszcza gdy komuś się wydaje, że jest królem świata. Mam na myśli ojca. Przejechał się, bo unia zmieniła jakieś przepisy i kontrahent się wycofał. Mimo to jestem na nie, jeśli chodzi o intercyzę.

– Dlaczego?

– Bo to jakbyśmy z góry zakładali, że małżeństwo się rozpadnie, a w takim wypadku po co w ogóle brać ślub? – Zaśmiał się lekko.

– Coś w tym jest. Z drugiej strony takie rozwiązanie pozwala na większe bezpieczeństwo finansowe obu stron. Gdybym miała wyjść za męża, raczej należałabym na zawarcie intercyzy. Ty nie? Słyszałam od Izy, że założyłeś jakąś firmę, więc na logikę też powinno ci na tym zależeć.

– To firma starego, ja tylko figuruję jako właściciel. Nie mam głowy do biznesów – przyznał, zupełnie nieskrępowany swoją szczerością. – Wiesz, co lubię: kulturę, sztukę, podróże, poznawanie świata – to moja bajka. Czasami rozważam, czy nie pójść w ślady Martyny Wojciechowskiej albo Cejrowskiego, czyli zwiedzać i opisywać. Przyjemne z pożytecznym, bo kasa z tego ogromna.

– Coś cię powstrzymuje? – Olga znacząco uniosła brwi.

– Mam czas. Może za parę lat. Na razie trzeba się ustatkować.

– Ożenić, mieć dzieci... – dopowiedziała.

– Pierwsze tak, drugie niekoniecznie. – Mrugnął porozumiewawczo. – Nie sądzę, żeby jakakolwiek kobieta mająca silne parcie na macierzyństwo zniosła spokojnie moje plany.

– Ach tak... – westchnęła cicho Olga.

– Mogę się przysiąść? Ten fotel jest bardzo niewygodny – mruknął Mateusz i nie czekając na zgodę, zmienił miejsce. Objął Olę ramieniem i stwierdził: – Znacznie lepiej.

– Czyżbym to ja była osobą, która ma ci pomóc w urzeczywistnieniu tych planów? – zapytała po chwili.

– A masz coś przeciwko? Kiedyś bardzo się lubiliśmy, nadal się lubimy.



Nadajemy na tych samych falach, mamy podobne zainteresowania, wywodzimy się z podobnych kręgów, nawet światopogląd mamy podobny. Czemu nie? – Spojrzał prosto w jej oczy. – Jesteś piękną kobietą, pociągasz mnie. Potrafiliśmy sobie sprawić wiele przyjemności. Pamiętasz? – zapytał, muskając delikatnie jej szyję opuszkami palców.

– A gdzie miejsce na miłość? Chyba nie uwzględniłeś jej w swoich planach. Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał i wziął za małosłowną, ale...

– Chodzi ci o pieniądze? – Pokręcił głową z udawanym niedowierzaniem. – Owszem, to jest jakiś problem, ale będąc w twojej sytuacji...

– Czyli w jakiej? – przerwała mu.

– Bądźmy rozsądni. Mój stary zbankrutował, nie mam zbyt wiele kasy do swojej dyspozycji, ale teraz może być tylko lepiej. Pozornie różnicy nie ma, bo ty też coś straciłaś. Ale w przeciwieństwie do mnie z każdym dniem tracisz coraz bardziej.

– Niby co? – Olga zrzuciła ramię Mateusza i popatrzyła na niego przenikliwie.

– Nie zmuszaj mnie do wygłaszania oczywistości. Chyba nie po to się spotkaliśmy? – Próbował znów ją objąć, ale odsunęła się szybko, niemalże gwałtownie.

– Ponoć nie zależy ci na dzieciach? Sądzisz, że tylko ty nie chcesz ich mieć? Jesteś w błędzie. Wielu mężczyzn też nie planuje potomstwa, więc to żaden argument. Straciłam możliwość zostania matką, ale nic poza tym.

– Ech... – Mateusz na moment zakrył twarz dłońmi. – Większość tych koleśków po kilku, kilkunastu latach zmienia zdanie. Odzywa się instynkt, a z tym nikt nie wygrał. Porzucają swoje wyzwolone i niezależne żony i znajdują sobie skromną młodziankę dziewczynkę, jak choćby żoneczka Hajdukiewiczza. Płodzą gromadkę dzieciaków, a co się wyszaleli za młodo, to ich. Nie widzisz ryzyka, że ktoś tak samo cię potraktuje? A będąc ze mną, masz gwarancję, że nigdy nie odejdę. Sorry, ale uroda przemija. Czas obchodzi się z kobietami znacznie surowiej niż z mężczyznami. Za dziesięć lat jeszcze ciągle będę atrakcyjny fizycznie, co druga młoda dziewczyna będzie się za mną oglądać, a za czterdziestoletnią babką kto się ogląda? Wiem, że to brutalne, ale tak po prostu jest. Docień moją szczerość. Zresztą to żadna szczerość, bo sama dobrze o tym wiesz.

– Ty tak na serio? – Olga zagryzła kącik ust, żeby zagłuszyć ból w sercu, który poczuła, gdy tylko Mateusz wymienił nazwisko jej wielkiej miłości. Miał rację, rzeczywiście została porzucona, a na jej miejscu pojawiła się młoda, skromna kandydatka na idealną matkę Polkę, ale czy musiał być aż tak obcesowy?

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Nie miałem takich intencji, po prostu chcę, żebyś wiedziała, jaki mam pogląd na te sprawy. Ja mam wadę – na sekundę uniósł obie dłonie i pokazał palcami znak cudzysłowu – nie mam pieniędzy, ale ty też

masz defekt, i to znacznie poważniejszy. Kiedyś mogę się odbić od dna. Tobie macica nie odrośnie. A co, gdy znów zaczniesz chorować? Tylko idiota nie brałby tego pod uwagę, a ciebie raczej idioci nie interesują.

– Nie interesują – potaknęła Olga i przełknęła ślinę. – Jak rozumiem, to wszystko, co powiedziałeś, ma mnie przekonać, że wiążąc się z tobą, oczywiście formalnie, sporo zyskam? To taki układ, tak? Małżeństwo z rozsądku? Ja daję kasę, ty samego siebie, bez wymagań co do posiadania dzieci. Przez to, że nie masz pieniędzy, a lubisz wygodne i dostatnie życie, będę mieć gwarancję, że nigdy nie odejdziesz? I właśnie dlatego nie chcesz intercyzy? Sprytnie – fuknęła już z jawnie okazanym oburzeniem. – Myślisz, że jestem frajerką? Po dziesięciu latach wystąpisz z wnioskiem o rozwód, a ja będę ci musiała wypłacić spory haracz, bo przecież co moje to twoje. Nieprawdaż? – Olga podniosła się z kanapy i podeszła do okna.

Nie mogła uwierzyć, że ten grzeczny, idealnie wychowany, uprzejmy i sympatyczny Mateusz okazał się tak bezwzględny. Dusił się atmosferą tego spotkania, już chciała podnieść rolety i szeroko otworzyć okno, ale przypomniała sobie o ogrodzie. Odwróciła się i oparła plecami o szybę. Kontakt z zimną taflą szkła przynosił ulgę, ale nie taką, żeby zapomnieć o słowach gościa.

– Szczerść w związku to podstawa – chrząknął Mateusz, próbując się uśmiechnąć, choć tak samo jak Olga jedyne, co czuł, to złość, bo już raz został przez nią wystawiony do wiatru, mimo że bardzo się starał i nawet trochę zaangażował uczuciowo.

– Czasami nadmierna szczerść nie popłaca.

– Właśnie się o tym przekonałem – odparł kpiarsko. – Widocznie nie znam cię tak dobrze, jak sądziłem.

– Ja ciebie też. Jesteś obleśnym, wyrachowanym, cynicznym typem. Interesuje cię tylko kasa. Nie wiem, jak cię nazwać? Szczerze? Brak mi słów. Wynoś się z mojego domu – wysyczała przez zaciśnięte zęby.

– Zrobię to z przyjemnością. – Mateusz wstał, poprawił poły marynarki i rozejrzał się wokół, żeby po chwili skupić wzrok na Oldze. – Może i jestem wyrachowany, choć nazwałbym to raczej rozsądkiem. Jesteś jeszcze bardziej interesowna niż ja, bo ciągle ci mało hajsu. I prestiżu, i nie wiem czego jeszcze. Chyba wszystkiego. Biegałaś za Hajdukiem jak kotka w rui. Pewnie imponował ci pan mecenas. Boli, że parę razy zaliczył i wyrzucił z łóżka jak zbędną rzecz? A na co liczyłaś? Każdy wie, co się stało z twoją matką, ponoć przez to, że twój ojciec zaliczył wszystkie kurwy w Krakowie, nawet te z ulicy. Mówią, że zwariowała, że zamknęłaś ją w psychuszce. To w sumie całkiem zabawne, bo tobie też odbija, choć na razie nie masz powodu. Na pociechę powiem, że jesteś bardzo oryginalna. – Podeszedł do okna i nacisnął podświetlony włącznik. Rolety uniosły się z cichym szelestem. – Śmiało, nie krępuj się. A może razem pobawimy

się w piaskownicy? – prychnął. – Żal mi ciebie. Naprawdę. Nie dość, że masz coś z głową, to teraz jeszcze ta niepłodność. Co za niefart. Zostaniesz tu sama na wieki, ale skoro ci to odpowiada, nie zamierzam ci w tym przeszkadzać. – Podniósł ręce.

– Wynocha! – zawyła rozpaczliwie Olga.

– Już mnie nie ma. – Roześmiał się. – Możesz zapomnieć o mnie, panno zawsze na wydaniu Becker. – Odwrócił się i poszedł w stronę korytarza.

– Wynoś się!!! – Olga dogoniła go, po drodze zabierając wiązanek tulipanów.

Rzuciła nią w Mateusza, ale to nie zrobiło na nim żadnego wrażenia: jedynie uchylił głowę, dopadła go więc przy drzwiach wyjściowych i zaczęła okładać na oślep pięściami.

– Jesteś pierdolnięta! – odrzyknął, próbując jednocześnie otworzyć drzwi i osłaniać się przed ciosami, które spadały coraz szybciej i mocniej, nie tylko na tors, ramiona i plecy, lecz także na twarz.

W końcu udało mu się odemknąć drzwi i wyrwać z rąk furiatki. Przebiegł przez podwórze ścigany wyzwiskami. Olga jeszcze raz rzuciła pękiem tulipanów. Wylądowały tuż przed nim, więc zgrabnie je przeskoczył i dotarł do bramy. Ta na szczęście była otwarta, dlatego mógł opuścić posesję.

Przebiegł truchtem dobre kilkanaście metrów, dopiero wtedy się zatrzymał i popatrzył w stronę domu Olgi. Był sam na cichej, pustej uliczce. Odetchnął z ulgą, wyjął telefon i zadzwonił po taksówkę, ciągle kręcąc ze zdumienia głową.

– Ja pierdołę, co za świruska? Oj, już ja ci wystawię laurkę, kochana... – wycedził, czekając na połączenie. – Cały Kraków ją pozna.

## Rozdział 6

Kamil wyszedł z łazienki zaniepokojony dziwnym odgłosem. Często mówił, że jego „ucho intuicji” jest szczególnie czułe, jeśli chodzi o płacz kogoś z dzieci, i tym razem go nie zawiodło. Rzucił mokry ręcznik na szafkę z butami, zajrzał szybko do dużego pokoju, żeby stwierdzić, że Maksio ogląda jakąś kreskówkę, cicho więc się wycofał i podszedł pod drzwi pokoju swoich pociech. Nacisnął klamkę i wsunął do środka głowę.

– Hej... – powiedział. – Co się dzieje?

Ledwie Faustyna zauważyła ojca, a natychmiast coś skryła pod kołdrą. Jej nerwowy ruch nie uszedł uwadze Kamila. Przysiadł na łóżku obok pochlipującej dziewczynki, objął ją ramieniem i spytał:

– Co tam masz? – Nie odpowiedziała, więc sam sięgnął ręką i ze zdumieniem stwierdził, że Fiśka schowała jego telefon. – Czemu płaczesz? – Spojrzał na nią zaniepokojony. Czasami któreś z dzieciaków zabierało mu komórkę, żeby pograć w coś albo zadzwonić do Sabine, ale nigdy ich za to mocno nie rugał, więc reakcja córki była co najmniej dziwna.

– Bo ja... bo... za... za... dzwoniłam do Olgi! – wyszlochała gwałtownie

Faustyna. – Chciałam spytać, kiedy mo... kiedy możemy... do niej przyjechać.

– Nic się nie stało! Fisia! No przecież nic się nie stało! Kochanie! – Przytulił ją mocno. – Nie zrobiłaś nic złego!

– Ale... ale... ona na mnie okropnie nakrzyczała i... mówiła takie brzydkie słowa... – wyjaśniła z trudem dziewczynka i zaniósła się jeszcze mocniejszym łkaniem.

– Fiśka, skarbie, co ty mówisz? – Kamil odsunął ją na odległość ramion i z niedowierzaniem popatrzył na zalaną łzami twarzyczkę. – Na pewno to była Olga?

– Taaak... – wyjąkała. Mimo to Kamil wziął telefon i sprawdził ostatnie połączenie, po czym szybko wybrał numer Olgi, żeby wyjaśnić sytuację, ale jej aparat był wyłączony. Odłożył komórkę i skupił wzrok na Faustynie.

– Spokojnie, spokojnie... – Pogłaskał ją po głowie. – Pamiętasz, co powiedziała Olga?

– Trooochę...

– To powiedz, dobrze? – przemawiał najłagodniej, jak potrafił. – Przestań płakać i po prostu mi powiedz, co mówiła Olga. Okej?

– Uhm – westchnęła Faustyna. Otarła nos rękawem, wzięła kilka głębokich oddechów i drżącym ze zdenerwowania głosem powiedziała: – Zadzwoiłam, ale nie zdążyłam powiedzieć nawet słóweczka, a ona zaczęła krzyczeć i pytać, czemu jej nienawidzę. – Zagryzła kącik ust. – Mówiła, że zniszczę jej życie, że jest okropnie nieszczęśliwa i że pewnie szybko umrze.

– Że umrze? – powtórzył Kamil.

– Tak, że zachoruje i umrze, i że mam... – Faustyna przełknęła ślinę. – Że mam wypier... z jej życia – chrząknęła znacząco.

– Czekaj, nic nie rozumiem. – Kamil chwycił się za czoło. – Ona nie wiedziała, że to ty?

– Na pewno nie, bo nawet nie powiedziałam halo ani dobry wieczór. Nic, ani jednego słówka, a ona od razu tak okropnie krzyknęła. Tatusiu, ona myślała, że to ty dzwonisz?

– Niby tak, ale... Fisiu, dziecko, ja nie wiem, o co chodzi. – Kamil pokręcił głową. – Ja jej nic złego nie zrobiłem. Naprawdę. – Chwycił Faustynę za ramiona i przytulił na moment. – Wiesz co? Spróbuję jeszcze raz do niej zadzwonić. Trzeba to wyjaśnić.

Kamil ponownie wybrał numer Olgi i znów poniósł fiasko, bo abonent był czasowo niedostępny.

– Nie odbiera?

– Wyłączyła telefon.

– Chyba coś mi się przypomniało. – Faustyna zmarszczyła czoło. – Ona mówiła o końcu, że coś skończy? Nie pamiętam.

Ledwie wybrzmiały jej słowa, a Kamil poczuł, jak po nagich plecach spływa mu kropla zimnego potu. Od razu podjął decyzję:

– Poproszę panią Wicię, żeby z wami została, a ja pojedę odwiedzić Olgę i sprawdzić, co się stało – przekazał małej, starając się zachować spokój.

Kwadrans później jechał już w stronę Zwierzyńca. Dotarł pod dom Olgi, wysiadł z samochodu i rozejrzał się bezradnie, bo wielka stalowa brama była zasunięta. Poświecił komórką na słupek przy furtce, żeby odnaleźć domofon. Niestety, nikt nie zareagował, mimo że Kamil zadzwonił kilka razy. Szarpnął za gałkę, lecz bez efektu. W końcu dał za wygraną. Rozejrzał się jeszcze wokół i wtedy zauważył dwa wysokie kubły na śmieci. Przez krótką chwilę rozważał, czy to, co zamierza, ma sens, ale jakie miał wyjście?

Od kiedy usłyszał ostatnie słowa Faustyny, jego głowę wypełniała wyłącznie obawa o Olgę. Wszedł na jeden z pojemników i wspiął się na ogrodzenie, narzekając na słabą kondycję, choć nie miał się czego wstydzić, bo mur sięgał dwóch metrów. Zeskoczył na miękki trawnik i podbiegł do drzwi willi, po drodze rejestrując leżący na podjeździe bukiet kwiatów. I znów jak poprzednio: nikt nie zareagował na dźwięk gongu dobrze słyszalny przez drzwi.

– Cholera – zaklął cicho.

Stał przy drzwiach i nasłuchiwał, czy po drugiej stronie coś się dzieje, ale wszędzie wokół panowała cisza. Szarpanie za szeroką klamkę nic nie dało, zresztą drzwi wyglądały na bardzo masywne i na pewno nie do wyważenia. W końcu postanowił obejść cały dom i próbować zaglądać do okien, tym bardziej że na całym parterze świeciły się światła.

Dotarł do tyłów budynku i nagle zauważył, że drzwi na taras są otwarte. Od razu wbiegł do środka. Rozejrzał się uważnie, znów coś przyciągnęło jego uwagę: potrzaskany aparat telefoniczny leżący przed kominkiem, dwie lampki na niskiej ławie i... jeszcze coś, co zmroziło mu krew w żyłach.

– Chryste... – jęknął, widząc kilka ciemnoczerwonych plam na kremowym dywanie tuż obok ławy. Przyklęknął, żeby lepiej się im przyjrzeć, ale niewiele to dało. Nie mógł stwierdzić, czy to krew, bo włos dywanu był zbyt długi. – Olga! – krzyknął, podnosząc się z kucek. – Olga?! To ja, Kamil! Gdzie jesteś?!

Wybiegł na korytarz, zajrzał do kuchni, wrócił, przez chwilę szarpał się z drzwiami do jakiegoś pokoju, ale były zamknięte. Postanowił pójść na piętro, gdy nagle do jego uszu dotarł cichy dźwięk, brzmiący jak zgrzyt metalu. Nagle sobie uświadomił, że dobiega z ogrodu. Znów zaklął pod nosem, bo przecież to było oczywiste, że tam właśnie się skryła Olga.

Wszedł na taras, potem na trawnik, i wreszcie na końcu tonącego w ciemnościach ogrodu zauważył mieszkankę willi. Siedziała tyłem na jednej z huśtawek i delikatnie się kołysała.

Podszedł cicho, zbyt cicho i chyba go nie usłyszała, bo nagle zerwała się

z miejsca.

– Olga, to ja...

– Stój! Nie zbliżaj się!!! – przerwała mu. Uderzyła trzymaną w ręce butelką o metalową ramę huštawki. Szkło rozprysło się wokół, a w dłoni Olgi została sama szyjka. – Stój!!!

– Olga, to ja, Kamil! – odkrzyknął, natychmiast się zatrzymując. – Kamil Polski. Nie bój się, nic ci nie zrobię. – Na wszelki wypadek podniósł do góry obie dłonie.

Przez moment nic się nie działo: stali naprzeciw siebie, Olga z szyjką butelki w wyciągniętej dłoni i Kamil oddychający z ulgą, że nic poważnego się nie wydarzyło. Zauważył, że butelka przed roztrzaskaniem była pusta, a twarz jego przyjaciółki błyszczący od łez, ale to przecież nie zagrażało niczyjemu życiu ani zdrowiu.

– Kamil? – wyszeptała Olga, odrzucając gdzieś w trawę fragment butelki. – Co tu robisz?

– Przyjechałem spraw... – Nie zdołał dokończyć. Doskoczył do osuwającej się na ziemię dziewczyny. – Olga! – Klepnął ją w policzek, bo myślał, że zasłabła.

– Boli... – jęknęła.

– Co ci jest?! Hej! Patrz na mnie! Co ci jest?!

– Chyba się skaleczyłam... – Próbowwała dotknąć prawego kolana.

– Jezu Chryste... – mruknął Kamil. – Zaniosę cię do domu, ale musisz mi pomóc. Obejmij mnie za szyję – polecił.

Jakoś się udało, choć z trudem, bo Olga przelewała mu się przez ręce i prawie wcale nie współpracowała, za to całą drogę bełkotała, że Kamil ma jej zapłacić dziesięć złotych, bo powiedział przed chwilą „Jezu Chryste”.

Ułożył ją na kanapie i pobiegł do łazienki po rolkę papieru toaletowego, przy okazji zabierając znaleziony tam flakonik jakichś perfum. Wrócił błyskawicznie, wybrał numer do Inki i docisnął aparat ramieniem do lewego ucha, żeby mieć wolne obie ręce.

– Przecięła skórę, jakieś pięć centymetrów pod kolanem... Wyjąłem... To było szkło z butelki, chyba po winie... Tak, po alkoholu... Na pewno nie dostanie tęcza?... Szkło? Leżało w trawie, rozbiła butelkę i niechcący na nim klęknęła... Jest pijana... Bardzo... – referował, jednocześnie czyszcząc i osuszając coraz mniej krwawiącą ranę. – Nacięcie? Niecały centymetr, raczej płytko... Okej, zaraz zrobię zdjęcie i ci wyślę – powiedział. – To na razie się rozłączam.

Chwilę później dostał zwrotnego SMS-a, że rana nie wygląda groźnie, ale nie powinien zostawiać Olgi samej w domu.

– Zabieram cię do siebie – oświadczył, choć jego słowa nie trafiły na podatny grunt, bo ich adresatka właśnie ucięła sobie drzemkę. – Cholera! – warknął, rozglądając się wokół.

Przez moment rozważał, czy nie zadzwonić do domu i poprosić, żeby sąsiadka została na noc, ale szybko odrzucił tę myśl. Widział spojrzenie pani Wici, gdy tłumaczył, że musi pilnie wyjechać. Nie omieszkała wypytać, cóż takiego się stało, więc jej powiedział. Naturalnie w skrócie.

Najpierw zamknął okno i na wszelki wypadek opuścił rolety antywłamaniowe. W kuchni znalazł reklamówkę, a w łazience na piętrze piżamę, szczoteczkę do zębów, kosmetyczkę i jakieś ciuchy, które schludnie złożone w kosteczkę leżały na półce. Jeszcze tylko gospodyni smacznie chrapiąca na kanapie i już mógł się zbierać do domu.

Na szczęście trochę oprzytomniała i zdołała nie tylko powiedzieć Kamilowi, gdzie są klucze od domu i bramki, lecz także jak uruchomić alarm. Nawet sama dotarła do samochodu, nie zadając po drodze zbędnych pytań i nie zgłaszając żadnego sprzeciwu. Całą drogę drzemała, roztaczając wokół siebie woń alkoholu, gdy co jakiś czas z jej ust wydobywało się ciche chlipnięcie lub jakaś skarga.

Nie pamiętała, kiedy weszła do mieszkania Kamila ani tego, że w drzwiach natknęli się na niezły komitet powitalny. Na szczęście dzieciaki szybko zrozumiały, że mają natychmiast wracać do łóżek, a pani Wicia zmyła się jeszcze szybciej, choć swoje zdążyła pomyśleć. Olga nie kojarzyła również tego, że Kamil zdjął z niej ciuchy, włącznie z podartymi rajstopami, zakleił ranę plastrem i na koniec włożył satynową piżamę. Zabrał z sypialni drugi komplet pościeli, ostatni raz zerknął na śpiącą Olgę i poszedł do dużego pokoju.



Kiedy się ocknęła, w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Musiała spać bardzo długo i mocno, bo jej zdrętwiałe ciało odmawiało posłuszeństwa. Z trudem usiadła na łóżku, rozejrzała się wokół i dopiero wtedy zrozumiała, że to sypialnia Kamila.

– Boże... – jęknęła, łapiąc się za głowę. – Co ja narobiłam?

Siedziała, mocno pocierając skronie i próbując sobie przypomnieć wydarzenia z poprzedniego dnia, a dokładnie wieczoru. To, co działo się przed wyjściem Mateusza, pamiętała dobrze i aż się wzdrygnęła ze złości na samą myśl o końcówce spotkania. Znacznie gorzej szło jej odtwarzanie dalszych wypadków.

Kojarzyła rozmowę telefoniczną: Mateusz zadzwonił do niej kwadrans po tym, jak go wygoniła. Szybko pozbawił ją złudzeń, że chce przeprosić. Wręcz odwrotnie. Powiedział:

– Właśnie gadałem z Pati, idę się zabawić do Louisa. Może skrzyknę parę osób i cię odwiedzimy? Poskaczemy na trampolinie, zbudujemy zamek z piasku? Co ty na to? Szkoda, żeby takie fajne zabawki stały nieużywane. Powiem naszym znajomym, że spodziewasz się bliźniaków! – zakpił. – Widziałem dwie huśtawki! – Zaśmiał się w głos.

Wkurzyła się jeszcze bardziej, wybuchnęła płaczem i natychmiast rozłączyła rozmowę, ale ten dupek zadzwonił jeszcze raz. Nie wytrzymała, znów odebrała, ale tym razem to ona mówiła, a raczej krzyczała. Swoim milczeniem rozsierdził ją jeszcze bardziej, więc rzuciła aparatem i na tym urywała się pamięć Olgi o wydarzeniach zeszłego wieczoru.

„Co ja tu robię? – Pokręciła głową, prawie natychmiast to przerywając, bo rozsadał ją ból. – Musiałam się nieźle nawalić”. – Chuchnęła do wnętrza dłoni i skrzywiła z wyraźnym niesmakiem.

Z ociąganiem wstała z łóżka i bezszelestnie wyszła z sypialni, ale Kamil i tak ją usłyszał.

– Wstałaś? W łazience są twoje rzeczy: ciuchy w siatce z Lidla, a obok umywalki leży czepek kąpielowy i pudełko z opatrunkami. Za pięć minut zapraszam na kawę i śniadanie! – odkrzyknął z kuchni.

Szybko się odświeżyła, chociaż każdy ruch i pochylenie w czasie brania prysznicza sprawiały, że głowa bolała ją jeszcze bardziej. Ze zdumieniem odkryła plaster na nodze, a pod nim niewielką ranę. Wyszorowała dokładnie zęby, włożyła na siebie dżinsy i bluzkę, niestety bielizny na zmianę nie było, ale przyjęła to z ulgą. Lepsze to niż świadomość, że Kamil szukał dla niej świeżych majtek czy biustonosza. I tak najadła się wstydu, a kolejna porcja czekała w gotowości, bo przecież jakoś tu się znalazła i na pewno to nie były zwykłe koleżeńskie odwiedziny.

Zrobiła lekki makijaż i jeszcze raz zerknęła kontrolnie do lustra, żeby poprawić włosy. Na szczęście nic się nie przesunęło. Pewnie dlatego, że przykleiła perukę na nowo raptem dwie godziny przed przyjściem Mateusza.

– Dzień dobry – wymamrotała, stając w drzwiach kuchni.

– Dzień dobry! – Kamil się odwrócił, żeby powitać ją wesołym uśmiechem.

– Siadaj. Zaraz podam kawę i coś do jedzenia.

– Nie wiem, czy dam radę... – Olga spełniła polecenie i zajęła miejsce przy stole, ale co do apetytu miała wątpliwości, czy cokolwiek przełknie. Nawet sam zapach kawy wywoływał lekkie sensacje w okolicy żołądka.

– Musisz coś zjeść – oświadczył gospodarz i postawił przed nią spory półmisek z kanapkami. – Lekkostrawne: z weki, z drobiową szynką. A może wolisz herbatę? – Przechylił głowę i popatrzył na Olgę. Już przed chwilą zauważył, że kiepsko wygląda. Pod oczami widniały sińce, a twarz zdawała się tak biała, że prawie przezroczysta.

– Może być herbata – potaknęła.

– Okej.

– A gdzie dzieci? – spytała po chwili.

– W kościele, poszły na dwunastą. Z Wicią. Mieszka naprzeciwko – wyjaśnił.



– Wicią?  
– Z panią Wincentyną. To sąsiadka z naprzeciwka, a jej mąż to Zdzisław Walczyk, zwany przez wszystkich Dzikim. Zapamiętaj te ksywki, jeszcze nieraz o nich usłyszysz.  
– Aha. A która jest godzina?  
– Wpół do pierwszej.  
– Uhm... – Olga z trudem przełknęła kawałek kromki. Popiła go herbatą i spojrzała na Kamila pytającym wzrokiem. – Jak się tu znalazłam?  
– Przywiozłem cię.  
– Czy nie... – chrząknęła znacząco.  
– Nie nabrudziłaś, bez obaw. – Mrugnął do niej porozumiewawczo.  
– Dobre i to – westchnęła cicho. – Zadzwoiłam do ciebie?  
– Nie do końca. To my zadzwoniliśmy do ciebie, a dokładnie Fiśka.  
– Naprawdę? – Olga otworzyła szeroko oczy. – Ale kiedy? Nie pamiętam, żebym z nią rozmawiała, poza tym mój telefon chyba nie przeżył zderzenia z kominkiem. Więc jak?  
– Przypuszczalnie pomyliłaś ją z tym Mateuszem, który cię wczoraj odwiedził – stwierdził niefrasobliwie Kamil.  
– Nie! – Olga na moment zamknęła oczy i zakryła usta dłonią. – Nie mów, że to była ona! Kamil, ja cię tak strasznie przepraszam, jest mi okropnie wstyd! Ja... Ja pamiętam mniej więcej, co mówiłam, i uwierz... – Przełknęła ślinę, gdy zdała sobie sprawę z tego, co mogła poczuć Faustyna, słuchając tych złorzeczeń i przekleństw przeznaczonych dla Matiego. – Ja nie wiedziałam, musiałam nie zauważyć, że to twój numer! Przepraszam!  
– Spokojnie. – Kamil lekko poklepał Olgę po ramieniu. – Domyśliłem się, że to pomyłka. Wy tłumaczyłem Fiśce, że się pokłóciłaś z kolegą i przypadkowo na nią nakrzyczałaś.  
– I co? – Olga wcale nie poczuła się lepiej.  
– I nic. Już o tym nie pamięta. Dzieci szybko zapominają. Po kościele mają iść na lody, a gdy wrócą, sama zobaczysz, że nic takiego się nie stało. Oczywiście jeśli chodzi o Fiškę – dodał szybko.  
– A po co ty do mnie pojechałeś? – Olga nadal nie rozumiała. – Bo nie mogłeś się dodzwonić?  
– Martwiłem się, że coś ci się stało – wyjaśnił jakby nigdy nic. – Zostawiłem dzieciaki pod opieką pani Wici, wsiadłem w samochód i pojechałem zobaczyć, co zmalowałaś.  
– Nie wiem, czy chcę tego słuchać... – jęknęła Olga coraz bardziej załamana swoim zachowaniem. – Ale opowiedz, przynajmniej będę miała nauczkę, że nie należy wypijać całej butelki wina zrobionego według receptury mojego tatusia – stwierdziła z przekąsem. – Jak on to robił, że to przeklęte wińsko ma chyba tyle

samo procent alkoholu co wódka?

– Nie wiem. – Kamil roześmiał się. – I nie chcę wiedzieć. Ja raczej mało trunkowy jestem. To jak? Referować? – Zerknął na nią. W jego oczach zamigotały chochliki. – To w sumie było całkiem zabawne. Świetny przerywnik w moim nudnym życiu wdowca. Każdy facet chce być bohaterem. Zaliczyłem włamanie na posesję, akcję ratunkową, bo się skaleczyłaś, i poszukiwania szczoteczki do zębów. Wiesz, jakie to pasjonujące? A jak chciałaś mnie zaatakować tulipanem z butelki, przeżyłem prawdziwą grozę...

– Przestań mi ułatwiać! – Olga parsknęła śmiechem i od razu chwyciła się za czoło, bo zabolą ją głowa.

– Nie ułatwiam. Tak było, ale okej, już ci wszystko opowiem minuta po minucie.

– Brak mi słów – stwierdziła Olga kwadrans później. – Co sobie pomyślała ta twoja sąsiadka? O matko, ależ wstyd – sapnęła, czując, jak rumieńce wpełzają na jej policzki.

– Teraz twoja kolej, chyba że nie chcesz? – Kamil nie sprawiał wrażenia szczególnie przejętego skrucą Olgi. W zasadzie było mu to obojętne, bo dla niego liczył się tylko fakt, że bohaterce dramatu nic się nie stało.

– Chyba nie chcę, ale zasłużyłeś na wyjaśnienia. W skrócie: ojciec Matego zbankrutował, a Mateusz to taki typowy złoty chłopak: imprezki, bale, wyjazdy... i teraz, gdy jego stary zakręcił kurek z forszą, Mati uznał, że się ze mną ożeni i w ten sposób rozwiąże swoje problemy finansowe.

– Co? – Kamil aż odchylił się na krześle. – Oświadczył ci się? Czy wy się spotykacie? – Był szczerze zdziwiony, ale poczuł coś jeszcze, co go trochę zaskoczyło, a mianowicie ukłucie zazdrości.

– Kiedyś się spotykaliśmy. Pół roku byliśmy razem, potem go zostawiłam. Nie oświadczył się wprost. To raczej była skalkulowana na chłodno propozycja. Ja nie mogę mieć dzieci, a on nie ma pieniędzy. Jemu nie zależy na dzieciach – dodała – za to lubi wystawne życie, więc złożył mi ofertę małżeństwa z rozsądku. Oczywiście z full opcją, jeśli chodzi o seks – prychnęła pod nosem. – I bez intercyzy, żebym go nie pozbawiła praw do majątku.

– Uhm – mruknął Kamil. Jego oczy zrobiły się okrągłe jak pięćzłotówki. – I co ty na to? A w ogóle jaki on jest?

– Przystojny, wysoki, postawny, wykształcony, a do wczoraj sądziłam, że miły, sympatyczny i kulturalny – powiedziała z przekąsem. – Co ja na to? Kazałam mu się wynosić. Powiedziałam, że jest wyrachowany, cyniczny i trochę go skłębam. I nawet walnęłam parę razy, dobrze, że mi nie oddał. – Nagle zachichotała, bo wydało jej się to śmieszne.

– I to cię tak zdenerwowało? – Kamil czuł, że ten śmiech brzmi nie do końca szczerze.

– Nie. Zaczął obrażać moją mamę. I ojca – dodała, natychmiast poważniejąc.  
– Zobaczył zabawki w ogrodzie i zagroził, że wszystkim rozpowie, że mi odbija. Co za śmieć. – Olga spuściła wzrok na pusty talerzyk. Podniosła łyżeczkę i zaczęła nią przesuwać mały okruszek z weki.

– Posłuchaj, jeśli masz z nim problem... – Kamil zacisnął na moment wargi. Nienawidził takich typów, którzy dopuszczali się jakiegokolwiek przemocy wobec kobiet. – Chętnie się spotkam z tym gnojem i pogadam. Zobaczymy, czy przy mnie będzie równie rozmowny – warknął, już nie starając się ukryć gniewu.

– Jesteś bardzo miły, ale to niepotrzebne. Dzięki. – Olga spojrzała na pobielającą ze złości twarz Polskiego. – Poradzę sobie. Poza tym już i tak narobiłam ci mnóstwa problemów. Dziwię się, że jeszcze chcesz ze mną gadać, a co dopiero mi pomagać. W imię czego jesteś dla mnie taki dobry? – Pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Jesteśmy przyjaciółmi. To chyba proste?

– Niby tak. – Uśmiechnęła się smutno. – Ale co to za przyjaźń, gdy jedno tylko bierze, a drugie tylko daje?

– Nie rozumiem. – Kamil wyprostował się, jakby ktoś założył mu „pajaczkę” na plecy.

– A co w tym trudnego? Pomogłeś mi, zatroszczyłeś się o mnie, przywiozłeś tu, pogadałeś, zaproponowałeś pomoc w ogarnięciu tego idioty... – zaczęła wymieniać.

– A może zakończ te rozliczenia kto komu i co? – przerwał jej. – Chyba że to też jakaś propozycja? – zażartował.

– Ups... Już milczę – powiedziała. – Albo nie milczę. Gdy teraz o tym myślę, stwierdzam, że Mateusz miał wiele racji w tym, co powiedział. Może dlatego tak się wkurzyłam. Bezsprzecznie nie mogę mieć dzieci, przez chorobę moje akcje jako potencjalnej kandydatki na żonę spadły na łeb na szyję. I spadają nadal. Młodsza nie będę. Na dodatek muszę się liczyć z tym, że z moim zdrowiem też krucho i nie wiadomo, czy w przyszłości znów coś nie wyskoczy – westchnęła ciężko. – Zaproponował mi uczciwy układ, a to, że gdzieś przy okazji rozdeptał moje ego i serce... No cóż, najwyższy czas okrzepnąć i zaakceptować nowe karty, które dostałam od losu. Choć asów już brak. – Mrugnęła porozumiewawczo do Kamila.

– Nie byłem świadkiem tej rozmowy, więc się nie wypowiem, ale na mój rozum ten twój znajomy to dupek żółedny. I dobrze, że wywaliłaś go z talii. Słyszysz? – Nagle Kamil zmarszczył czoło.

– Co?

– Trzy, dwa, jeden...

Nagle z hukiem otwarły się drzwi, a do środka wpadł Maksio. Krzyczał już od progu:

– Gdzie Olga?!

Wleciał do kuchni jak tajfun, ale Kamil kazał mu natychmiast wrócić i zdjąć buty i kurteczkę. Po kilku sekundach chłopiec włądował mu się na kolana, klepiąc bez ustanku, że byli z ciocią Wicią i wujkiem Dzidkiem na lodach, że dostał dwie kulki, a Fiśka tylko jedną, i że spotkali po drodze Sabinki, i że pochwalił się, mówiąc: „Olga u nas mieszka”.

Gdy Kamil to usłyszał, aż pokręcił głową, myśląc, ile będzie gadania i plotek.

– Nie mieszka. Tylko nocowała. Jedną noc – doprecyzował, ale nic to nie dało.

– No widzisz? Znów nagadałeś bzdur – skwitowała Faustyna, która też dołączyła do wszystkich, ale w odróżnieniu od braciszka usiadła przy stole między Olgą a ojcem.

– Nieprawda. Jak ktoś śpi w domu, to znaczy, że mieszka, chociaż króciutko.

– A dlaczego mówicie o tej pani ciocia? – zainteresowała się Olga.

– To ciotka mojej Ani, siostra teściowej – wyjaśnił Kamil. – Kiedyś mieszkały *vis-à-vis* siebie. Później teściowie zapisali swoje mieszkanie Ani.

– Aha. – Olga uniosła brwi i zrobiła minę mówiącą: „Czyżby moja obecność tutaj zwiastowała jakieś kłopoty?”, ale ostatecznie nic nie powiedziała.

– Posłuchajcie, Olga przed chwilą wstała, więc dajcie jej trochę spokoju i pozwólcie się obudzić. Idźcie do siebie, ja zrobię obiad, a potem się z nią pobawicie, na przykład gdy ja pójdę do kościoła po południu. Okej?

– Kamil, przestań! – syknęła Olga, ledwie dzieci opuściły kuchnię. – Nie zamierzam tu siedzieć i przeszkadzać ci tak długo. Możesz wezwać mi taksówkę? – Podniosła się z krzesła, ale gospodarz powstrzymał ją ruchem ręki.

– Zjesz obiad, a potem możesz wracać. Odwiozę cię. Jasne? – zapytał tonem nieznośnym sprzeciwu.

– Niech ci będzie, ale teraz czuję się jeszcze bardziej głupio – powiedziała.

– A jeśli każę ci obrać ziemniaki?

– Hm... To jakieś wyjście, choć nie wiem, czy będziesz zadowolony. Rzadko jadam ziemniaki, więc nie mam wprawy w obieraniu. – Pokiwała głową, a jej twarz zaczął rozjaśniać blady uśmiech, bo przypomniała sobie, jak ojciec śmiał się z jej pierwszych prób obierania ziemniaków, gdy była jeszcze bardzo małą dziewczynką.

– Damy radę. Mam skrobankę – burknął Kamil, nurkując między drzwiczkami szafki pod zlewem.

– Co masz?! – Olga wybałuszyła oczy.

– Skrobankę – odpowiedział, wychylając na moment głowę. – Maksio tak mówi na skrobaczkę do jarzyn.

– Wiesz co? Oni są jedyni! – Zaśmiała się. – Nigdy nie sądziłam, że dzieci

mogą być tak zabawne. I mądre, bo niewątpliwie... są mądre – powtórzyła z emfazą jedno z ulubionych słówek Faustyny.

– Polemizowałbym co do tej mądrości, ale przez grzeczność... – Nie zdołał dokończyć, bo z przedpokoju dobiegł ich wrzask Maksymiliana:

– Jestem duch Kapcer!!! Jestem duch Kapcer!!! I zaraz was nastraszę!!!

Chwilę później usłyszeli jakiś łoskot i ryk Faustyny: „Maksiur, masz natychmiast oddać spodnie Olgi!”, a potem szamotaninę i trzask materiału.

– I co zrobiłeś?! Tato! On zniszczył piżamę!

Jak na komendę oboje wypadli z kuchni, żeby ujrzyć tragikomiczny widok. Pod drzwiami dziecięcego pokoju siedział Maksio, jego głowa tkwiła w wielkiej dziurze w kroku spodni, a ze zmarszczonych nogawek wystawały rączki. Biedak zbladł jak ściana. Kolor jego twarzy i kremowy odcień satyny zwały się prawie w jedno.

– Bo Fiśka mnie szarpła za nogawkę – wyjąkał. – Ja sobie tylko biegałem i majtałem rękami. Bo ja jestem duch Kapcer.

– No to masz problem... – Faustyna założyła ręce na piersi i popatrzyła na brata z politowaniem. – I mówi się Kacper. Nie Kapcer.

– Oj, nie wygląda to dobrze. – Kamil podszedł do synka, zdjął z niego spodnie i podniósł do góry, żeby ocenić straty. – Hm... Chyba już takie muszą zostać – chrząknął, widząc dziurę rozciągającą się od przodu do tyłu. – Może wstawić jakąś łatę?

– Mówi się Kapcer, prawda, tatusiu? – Maksio zmarszczył czoło.

– Co? – Kamil zerknął na malca, który wstał i równie badawczo przyglądał się rozdartej tkaninie.

– Kapcer się mówi. A Fiśka się nie zna. Prawda?

Olga próbowała się nie roześmiać i zatkała usta dłonią, ale nie mogła wytrzymać.

– Jezu... – parsknęła w końcu, kucając. – Nie mogę...

– No i super! Olga płacze, bo zniszczyłeś jej piżamę, a była taka piękna jak dla księżniczki. I na pewno droga – dodała Faustyna.

– Nie płaczę – wyjąkała z trudem właścicielka spodni. – Ale jeszcze chwila i zaraz się posikam ze śmiechu...

– Olga idzie sikać, a wy marsz do pokoju po skarbonki. Solidarnie zapłacicie za piżamę – zarządził Kamil. – I bez narzekania, że niesprawiedliwie. Mogłaś go nie gonić, wtedy by nie upadł – uzasadnił.

– Jezu... – W głosie Faustyny zabrzmiał jęk zawodu.

– Pięć złotych do puli – powiedział natychmiast Maksio.

– To Olga też! – Dziewczynka nie wytrzymała. – Przed chwilą powiedziała „Jezu”!

– Jeszcze chwila i wszyscy pójdziecie do kąta! – Ojciec stracił cierpliwość.

– Ja też? – zachichotała Olga, nadal siedząc w kucki pod ścianą.

– Też. Ale najpierw siku! – Nagle Kamil wybuchnął śmiechem, bo nie był w stanie zachować powagi, gdy zobaczył, jak Olga z trudem wstaje i powoli, ze ściśniętymi nogami zaczyna dreptać w stronę łazienki, schylona wpół i wydająca z siebie dziwne pokwikiwania. – Kiedyś przy was oszaleję!

– Ale mówi się Kapcer, prawda, tatusiu?

– Tak! Mówi się Kapcer!!! – Dobiegło do Olgi, zanim zamknęła za sobą drzwi.

Zjedli pyszny obiad, Faustyna razem z Olgą przygotowały szybki deser, później przyszedł czas na popołudniową kawę i ku ogromnemu rozżaleniu dzieci pora na powrót niespodziewanego gościa do domu. Kamil odstawił dzieciaki do Sabinek, odwiózł Olgę, potem wrócił na osiedle i poszedł do kościoła. Gdy stawiał się po dzieci, dochodziła siódma. Zamierzał wejść, zabrać rozbrykaną dwójkę i nie wdawać się w żadne pogaduszki, ale oczywiście Inka mu nie podarowała. Wciągnęła go do kuchni i zamknęła drzwi, żeby nikt im nie przeszkadzał.

– Pięknie! – Położyła ręce na biodrach i spojrzała na Kamila z potępieniem.

– Ona u ciebie spała!

– Spała. I co w związku z tym? – Udawał, że ignoruje jej gniewne spojrzenie.

– Kamil! Nie rób sobie jaj! Chyba wiesz, co to oznacza?

– Nigdy nie spałaś u jakiejś znajomej? – Pokręcił głową. – Dziewczyna miała kłopoty, zresztą sama mówiłaś, że nie powinienem jej zostawiać samej.

– Mogłeś ją przywieźć do nas. Albo tam zostać, a Saba poszłaby do ciebie przypilnować dzieci.

– Ta... Najlepiej zaangażować pół Krakowa. Martwisz się o jej cnotę? – Zaśmiał się.

– Nie o cnotę, tylko o opinię. I nie jej, a twoją.

– Serio? Jestem wzruszony. Mamusi... – dodał po sekundzie i od razu jęknął, bo Inka walnęła go pięścią w ramię.

– Co zamierzasz?

– Nic. Jesteśmy znajomymi.

– Kiedy kolejna randka? – zapytała z przekąsem.

– We wtorek. U niej. – Mrugnął porozumiewawczo. – Będzie wesoło, bo podwójna: ja i Olga, Maksio i Fiśka. Chcecie dołączyć? – Wysunął język.

– Idiota – burknęła Inka. – Ładujesz się w kłopoty, ale to twoja sprawa. Pewnie mi nie powiesz, co się wczoraj wydarzyło? I dlaczego panna Becker u ciebie nocowała?

– Zgadnij... To przecież moja sprawa.

– Szczerze mówiąc, chyba ta Zosia była lepsza.

– Dla kogo? – Kamil wyraźnie się zirytował.  
– Dla ciebie.  
– Chyba dla ciebie. Chcesz, to ją bierz.  
– Wiesz co? Ostatnio nie da się z tobą normalnie pogadać! – sarknęła Inka.  
– Pewnie się zakochałem. Taka diagnoza, pani doktor?  
– W rzeczy samej. Słyszałam, że Olga już wije ci gniazdko. Maksio mówił o huśtawkach – dodała z przekąsem. – Nie sądziłam, że odpowiada ci zostanie czymś utrzymankiem, bo chyba nie wątpisz, że tak to wszyscy odbiorą.

– Wiesz co, Inka? Bardzo cię lubię i cenię, jesteś moją przyjaciółką, tak samo jak Sabina, ale teraz przesadziłaś. Nie masz prawa tak mówić. Żadnego. Szczerze? Nie spodziewałem się po tobie takiego... takiej... – Nie dokończył, bo z wrażenia brakło mu słów. Doznał szoku. Inka po raz pierwszy tak mocno go uraziła. Na moment zapadła krępująca cisza, a powietrze zgęstniało od niewypowiedzianych myśli.

– Przepraszam. Ja po prostu się martwię. Serio. – Inka zbliżyła się do niego i wyciągnęła dłoń, chcąc dotknąć ramienia przyjaciela, ale Kamil się odsunął. – Rozmawiałam ostatnio z pewną koleżanką, też lekarką – dodała. – I ta babka знаła dobrze ojca Olgi, jakiś czas temu współpracowała z nim, robiła dla niego jakieś analizy medyczne. Powiedziała, że miał dosyć niefajny, a może raczej zbyt fajny stosunek do młodych kobiet. Nie wypada źle mówić o zmarłych, ale Becker prowadził się bardzo swobodnie i ponoć właśnie przez tę jego rozwiązłość matka Olgi popadła w alkoholizm i lekomanię. Wiesz o tym? Ona od kilku lat jest w specjalnym ośrodku.

– Nie mogę... – prychnął pod nosem Kamil. – Wiem jedno: ludzie potrafią być wstrętni. Tyle ci powiem. Nawet gdyby to była prawda, jaki to ma związek z Olgą? Jaka mać taka nać? Niedaleko pada jabłko od jabłoni? Naprawdę w to wierzysz? Strasznie mnie rozczarowałaś – powiedział i przełknął ślinę. – Strasznie. A teraz, jeśli pozwolisz, zabieram dzieci i wracam do domu. Dzięki, że mnie ostrzegłaś przed tym złem wcielonym i oceniłaś. Teraz wiem, że w twoich oczach jestem naiwnym kołesiem szukającym bogatej żony. Trudno, jakoś to zniosę.

– Kamil! Poczekaj! – Inka rzuciła się za nim, ale nie pozwolił się zatrzymać.

Kilka minut później cała rodzinka Polskich opuściła mieszkanie, żegnana przez zakłopotaną do granic Sabinę i naburmuszoną Inkę, która nawet nie ucałowała dzieciaków na do widzenia. Ledwie dotarli do siebie, a zadzwonił domowy telefon. Kamil nie odebrał, pewien, że to Inka chce jeszcze coś dodać, jakby mało sobie nagrała. Wysłał dzieciaki do kąpielni, a sam poszedł robić kolację.

Myśl o Oldze, o jej smutnych, ale pięknych oczach i smukłym ciele spowodowała, że uśmiechnął się do siebie. Rozluźniony, najedzony siedział, a raczej półleżał w fotelu i dumiał. „Co mam zrobić? Czy powinienem jakoś

zacieśnić nasze kontakty?” Zdawał sobie sprawę z różnic, ale to go raczej mobilizowało, niż zniechęcało. Po Oldze nie spodziewał się pytań o przyszłość, wiedział, że nie planuje rodziny, a dzieci z wiadomych względów mieć nie mogła. Spotkali się parę razy, było fajnie i miło, a jeśli nie, to przynajmniej interesująco. „Czasem aż za bardzo” – skwitował w duchu. Uśmiechnął się lekko i właśnie wtedy znów usłyszał dzwonek, tym razem komórki.

– Sabcia? – Zdziwił się. – Halo?

– Hej, ja cię przepraszam, że dzwonię tak późno, ale chciałam ci powiedzieć, że Inka nie ma racji. Ja... Ja ją bardzo kocham, ale to nie tak, że nie widzę jej błędów, i w tym konflikcie jestem po twojej stronie – prawie szeptała Sabina. – Mówię cicho, bo nie chcę, żeby mnie usłyszała.

– Hm... Dzięki – mruknął Kamil, zaskoczony jeszcze bardziej postawą drugiej Sabinki. – Nic się nie stało, wiem, że Inka ma czasami takie...

– Dziwactwa.

– Nie nazwałbym tego w ten sposób. – Zaśmiał się. – Jest okej, nie gniewam się na nią. Już mi przeszło. Możesz jej powiedzieć.

– Serio?

– Serio, a takiej dziewczyny jak ty, moje Serduszko, zazdrości jej każdy facet i każda lesbijka – zażartował.

– Ech! Facet, jak ty czasami coś powiesz... Oj, muszę kończyć. Pa. – W słuchawce dał się słyszeć lekki trzask.

– Pa – odpowiedział Kamil, uśmiechając się od ucha do ucha.



Nie potrafił zasnąć. Chyba zbyt dużo wrażeń go spotkało. Po godzinie wiercenia się w łóżku wstał i odpalił laptop. Już wcześniej przyłączył się do znajomych Olgi na Facebooku, ale tym razem to nie ona go interesowała, a konkretnie Mateusz. Niestety, wśród jej znajomych nie zauważył żadnego Mateusza, za to bez problemów zlokalizował Izę, najbliższą przyjaciółkę Olgi, i po nitce do kłębka trafił na poszukiwanego. Dla pewności wyszukał jego nazwisko w Google i faktycznie znalazł wzmiankę o tym, że ojciec młodego mężczyzny niedawno zbankrutował.

– Co my tu mamy? – westchnął cicho, wchodząc na profil Mateusza „Matiasa”. – Jaki gnojek... – Aż potrząsnął głową, gdy zobaczył kilka ostatnich wpisów udostępnionych publicznie.

Jeden zapraszał do udziału w konkursie, w którym główną wygraną była trampolina. Drugi wpis linkował do promocji na meble ogrodowe i opatrzony został zdjęciem dwójki dzieci na huśtawce i komentarzem: „Olga Becker już skorzystała!”. Trzeci, najnowszy, przedstawiał fotkę jakiejś ulicznej prostytutki i podpisany był: „LABBE zaprasza na bezpłatne badania”.



– Co za gnój... – powtórzył. Przez moment się wahał, czy powinien robić coś wbrew woli Olgi, ale chęć ukarania Mateusza wygrała. Szybko uruchomił specjalny program, którego był współautorem, i unieszkodliwił te trzy wpisy tak, żeby widział je wyłącznie autor, ale nadal były opatrzone ikonką udostępnionych publicznie. – Gotowe – orzekł po sprawdzeniu widoczności wpisów we wszystkich najpopularniejszych przeglądarkach.

Zamknął laptop, myśląc, że to nie koniec. Postanowił osobiście skonfrontować się z byłym facetem Olgi. Często miał okazję stwierdzić, że „chojrak w necie to tchórz w świecie”. Wystarczyło pogadać z dorastającymi uczniami, żeby to wiedzieć.

Nazajutrz zaglądał kilka razy na Facebook. Mateusz znów coś opublikował, a Kamil ukrył. Ten pierwszy chyba wreszcie się zorientował, że coś jest nie tak, bo skomentował wszystkie swoje wpisy: „Żadnych lajków?”, co bardzo rozbawiło Polskiego. W południe znów zajrzał na profil Matiasa i parsknął śmiechem, widząc, że ten cierpi na swoisty internetowy ekshibicjonizm, bo właśnie poinformował, że jest w galerii i kupuje krawat. Wstawił fotkę kilku dodatków i pytanie, który najładniejszy. Tego wpisu Kamil nie ukrył, za to pobiegł do dyrektora i zwolnił się z pracy pod pozorem złego samopoczucia. Nigdy mu się to nie zdarzało, więc przełożony nie oponował.

Pół godziny i dwa kolejne posty Mateusza później Kamil był już w centrum handlowym. Odnalazł sklep, w którym buszowała jego ofiara, i wszedł do środka. Szybko zlokalizował Mateusza, więc wyszedł i postanowił poczekać na zewnątrz. Na szczęście po kolejnych pięciu minutach mógł już stanąć oko w oko z przystojnym szatynem.

– Pan Kolasa? – zaczepił go.

– Tak, a o co chodzi? – zapytał Mateusz.

– Mam sprawę do ciebie...

## Rozdział 7

Dziewczyny z trudem znalazły wolny stolik przed Europejską. W sobotę, w tak piękne popołudnie, graniczyło to z cudem. Rynek opanowali studenci przemieszani z turystami i dla rodowitych krakowian brakowało miejsc nawet w najdroższych lokalach.

– Nie pamiętam, żeby w maju było tak gorąco jak dzisiaj. Jest chyba trzydzieści stopni? – Olga przesunęła się z fotelem bliżej stojaka parasola, żeby schronić się przed ostrym słońcem. – Przesadziłam z opalaniem – wyjaśniła Izie.

– Nie narzekaj, wyglądasz naprawdę dobrze. Zdrowo. Nie to co ja, wiecznie w czterech ścianach – westchnęła. – Zamawiamy orzechową fantazję? – zapytała, gdy podszedł do nich kelner.

– Uhm. Tylko proszę dać nam podwójną porcję prażonych migdałów. – Olga zwróciła się do młodziutkiego chłopaka.

Domówiły jeszcze po filiżance espresso i dla kontrastu do słodkości wzięły na spółkę coś na przekąskę. Powoli jadły deser, ale Izie to nie wystarczyło. Dopiero przy desce serów pleśniowych dokończyła referowanie, jak idą przygotowania do ślubu i wesela.

– Dość! Teraz ty. – Pokręciła głową. Pomyślała, że zachowuje się jak obłąkana, opowiadając wszystkim w kółko jedno i to samo. – Ktoś tu spędził majowy weekend w Karpaczu... W Gołębiewskim... I nie sam... – przeciągała znacząco. – Zgodził się? Nie wierzę. Jak to zrobiłaś?

– Pierwszego maja miał urodziny. Dzieciaki mi powiedziały. Oczywiście w sekrecie. Najpierw spytałam, czy ma jakieś plany na długi weekend. Okazało się, że nie, więc zamówiłam apartament, opłaciłam całość i ostatniego kwietnia dałam Kamilowi w prezencie kwit rezerwacji.

– Nie mów, że zostawiłaś cyferki... – Iza skrzywiła się jak na widok czegoś bardzo brzydkiego.

– Zamazałam markerem. Tak tarłam, że dziurę zrobiłam. – Olga zachichotała cicho.

– I co?

– A jak myślisz? Dzieciaki go zakrzyczały, bo przecież jak wręczać prezent, to tylko przy nich. Dodałam, że tam są baseny, spa, pokoje zabaw dla dzieci i animatorzy, którzy organizują atrakcje dla dzieci. Nawet nie musiałam tego mówić, bo wydrukowałam program i dałam Faustynie, a ona przeczytała wszystko bratu.

– Biedny Kamil. Nie miał szans – skwitowała Iza.

– Żadnych.

– Pewnie się wkurzył?

– Trochę tak. Powiedział takim bardzo poważnym tonem: „Zdajesz sobie sprawę, że postawiłaś mnie w bardzo niezręcznej sytuacji?”, a ja mu na to,

że owszem, ale nie mogłam się oprzeć. Paplał coś, że uruchomi rezerwę na czarną godzinę, bo właśnie nastąpiła.

– Serio? Tak powiedział? – Iza wybałuszyła oczy.

– Stwierdził, że czarna godzina znaczy dla każdego coś innego.

– Uroczy człowiek. I jak było? Doszło do czegoś? – Mrugnęła porozumiewawczo do Olgi.

– Hm... Pomyślmy... Raz poszliśmy potańczyć, więc kontakt był. I to całkiem przyjemny, bo Kamil świetnie tańczy, ale wyraźny progres nastąpił dzień przed wyjazdem. Byliśmy przy zaporze na Łomnicy i zachciało mi się... – Chrząknęła. – Wychodzę z lasu, moja stopa trafia na korzeń i bęc! Wywaliłam się jak długa. Wstyd okropny. Kamil pomógł mi wstać, obejrzał wnikliwie moje obdarte kolana i orzekł, że kiepski ze mnie łazik. I do końca wycieczki trzymał mnie za rękę. Czułam się jak Maksio, bo jego też prowadził.

– Fascynujące. Grey się chowa.

– Uhm... – potaknęła Olga i parsknęła śmiechem na widok miny przyjaciółki.

– Mimo wszystko coś nadal was przyciąga do siebie.

– Zgadza się. Czasami najzwyczajniejsza codzienna czynność, taka jak spacer po górach czy wspólne oglądanie piąty raz tego samego filmu, bywa niezwykła, ale żeby tak było, musisz ją dzielić z właściwą osobą.

– Eee... – Iza z wrażenia straciła na moment mowę. – Słyszę trzepot motyli skrzydeł w brzuchu. Może coś zjedz?

– Żałuj, że nie byłaś tam z nami. Dzieciaki zwariowały. Czasami myślałam, że nas wyrzucą z hotelu. A na basenie? Szaleństwo – ciągnęła niczym niezrażona Olga.

– Jesteś dziwnie rozmarzona, gdy to mówisz. Czyli jednak instynkt...

– Od razu instynkt! Po prostu są fajni. A opowiadałam ci, jak Maksio udawał ducha Kacpra?

– Opowiadałaś. I to dwa razy. – Iza pomachała ręką, żeby znów nie wysłuchiwać tej historii.

– A to, że mały ma lateralizację i śmiesznie przestawia literki?

– Też.

– A jak gadaliśmy o dzieciach? O tym, że nie mogę mieć dzieci? I o woreczku?

– Nie, ale nie chcę tego słuchać. Żadnych takich historii. Wiesz, że panicznie się boję ciąży i porodu więc oszczędź mi tej fizjologii. Błagam. – Iza aż się wzdrygnęła. – Czyli jesteś szczęśliwa. Pytanie, czy Kamil też. I o co wam chodzi z tym platonicznym związkiem? Jesteś pewna, tak na sto procent, że wszystko z nim okej? Może jest gejem? – spytała niespodziewanie.

– Przecież ma dzieci – odpowiedziała Olga tylko pozornie niewzruszona.

– Kryptogeje mają dzieci.

– Naprawdę? – udała zdziwienie.

– Tak.

– Popatrz, jak to się można szpetnie naciąć – zachichotała. – Nie jest gejem. Ręczę. – Przypomniała sobie reakcję Kamila, gdy zobaczył ją w dosyć skąpym bikini, kiedy pierwszy raz poszli popływać.

– Solińskiemu też stawał na twój widok. – Iza domyśliła się intencji jej słów.

– Przestań, bo mi niedobrze.

– Okej, już ani słowa o biseksualnym Adasiu. – Iza wystawiła język. – Zostają dwie opcje co do Kamila: ortodoksyjne podejście do seksu bez ślubu lub jeszcze nie zapomniał o żonie. Albo i to, i to.

– Powiem ci, że... trochę się boję, że jednak chodzi o Anię. Jego żonę. Trudno rywalizować ze wspomnieniem.

– Będzie dobrze. – Iza zauważyła smutne spojrzenie, którym obdarzyła ją przyjaciółka. Wyciągnęła rękę i położyła na jej dłoni. – Przecież nic was nie goni. Może on potrzebuje trochę więcej czasu niż przeciętny facet? Nie musicie się spieszyć i trochę wam tego zazdrozczę. Widzę, co się dzieje z naszą paczką. Pierwszy odpadł Hugo, potem Soliński, po trzech miesiącach ja i Arek, Anka wkrótce po nas, Konik na początku następnego roku. Za chwilę nie będzie komu balować – westchnęła z żalem. – Każdy ma rozum i wie, że zegar tyka, a po trzydziestce przyspiesza jak szalony. A wy? Możecie randkować bez ograniczeń.

– Może i tak. Sorry, zmienię temat. Wiesz, co słyhać u Mateusza? Kiedy się z nim widziałas?

– Muszę odpowiedzieć? – Skrzywiła się Iza. – Matias to palant.

– Też mi nowina. Nigdy za nim nie szalałam, ale jestem ciekawa.

– Spotkałam go przypadkiem tydzień temu. Wiesz, co mi powiedział? Że ktoś chciał go pobić.

– Co?! Kiedy to się stało?

– I tu cię zaskoczę. Albo i nie. To było kilka dni po tym waszym niefortunnym spotkaniu u ciebie – odpowiedziała Iza, ścisząc głos. – Nie chcę spekulować, ale z jego opisu wynikało, że to mógł być Kamil. Tym bardziej że ten tajemniczy napastnik przekazał Matiemu, że jeśli będzie rozpowiadał jakieś plotki na twój temat, spotka się z nim jeszcze raz i wtedy nie skończy się na pogawędce. Gdy mi to opowiadał, aż mu ręce latały. Odgrażał się, że pójdzie na policję, ale ja w to nie wierzę. Po pierwsze, miękka faja z niego, a po drugie, już dawno by to zrobił.

– O matko! Czemu nie powiedziałaś mi od razu?

– Najpierw stwierdziłam, że to sobie wymyślił, ale wczoraj w Zarze w Bonarce wpadłam na Patrycję. Siadłyśmy na chwilę w kawiarni, bo ostatnio widziałam ją na moich urodzinach, i powiedziała mi, że kiedyś na imprezce

w Louisie Mateusz rozpuścił o tobie ohydne plotki. Na szczęście wszyscy byli pijani i nikt mu nie uwierzył, ale wiesz, jak jest z plotkami. Coś było na rzeczy, bo Pati wspomniała o huśtawce i trampolinie i że Matias mówi, że ci odbiło, bo myślisz, że jesteś w ciąży z bliźniakami.

- Co za śmieć. No co za gnój! – syknęła z wściekłością Olga.
- Kamil wie, co się wtedy stało?
- Tak. Choć opowiedziałam mu dosyć lakonicznie, bez detali.
- Oj, kochana, najwyraźniej trafił ci się prawdziwy rycerz bez skazy. Fiu, fiu... Zazdroszczę...
- Izka! Ja chyba zaraz oszaleję. Co on sobie myśli?
- Ale kto? Matias? On nie myśli. On tylko ładnie wygląda.
- Kamil! – warknęła Olga.
- Ach, Kamil! Jak to co? Jesteś damą jego serca.
- Już ja z nim pogadam. – Olga sięgnęła do torebki, ale Iza natychmiast przytrzymała jej rękę.
- Spokojnie. Policz do dziesięciu, a najlepiej zamówmy coś jeszcze. Coś słodkiego.
- Liczysz na skok cukrowy? Nie dam się zrobić. Dzwonię.
- Cholera, ty to mnie jednak dobrze znasz...



Kamil nie dał się wciągnąć w polemikę. Spotkał się z Olgą wcześniej, niż planowali. Wpadł do niej nazajutrz, przywiózł ze sobą nie tylko swoją szaloną dwójkę, lecz także całą blachę szaszłyków. Nawet sam rozpałił w grillu. Zjedli, gospodyni zaserwowała deser i dopiero po nim mogła wziąć Polskiego w krzyżowy ogień pytań. Niestety, Kamil nie zamierzał zdradzać jej żadnych szczegółów.

- Spotkałem go, powiedziałem parę słów i już. O co tyle dymu? – Pokręcił głową.
- Ale co mu powiedziałeś? – drążyła Olga.
- Że ma skończyć z obrabianiem ci tyłka na fejsie i w realu, że gdy cię spotka przypadkiem na mieście, ma przejść na drugą stronę ulicy i udawać, że go tam wcale nie ma, a gdy nieszczęśliwie ty na niego wpadniesz, ma powiedzieć „dzień dobry”, grzecznie się uklonić i odejść.
- Aha. A co, jeśli cię nie posłucha?
- Spotkam się z nim jeszcze raz i przekażę dokładnie to samo, ale w nieco inny sposób. – Kamil znacząco chrząknął.
- No tak... – Olga pokiwała głową. – To miłe z twojej strony, że wystąpiłeś w mojej obronie, ale nie prosiłam o to. Akurat w przypadku Mateusza twój plan chyba wypali, bo napędziłeś mu stracha, ale nie każdy jest takim cienkim Bolkiem jak on. Poza tym jeszcze raz powtórzę: nie chciałam, żebyś się wtrącał do tej

sprawy, a zwłaszcza robił coś bez mojej zgody i wiedzy. Przyjaciele tak nie postępują, a my ponoć jesteśmy przyjaciółmi – skwitowała z lekko wyczuwalną ironią w głosie.

– Ponoć? Jesteśmy przyjaciółmi – podkreślił stanowczo Kamil. – Może uznajmy to za wyrównanie rachunków.

– Wyrównanie rachunków? Co masz na myśli? – Olga zmarszczyła czoło.

– Za Gołębiewskiego. – Kamil mrugnął porozumiewawczo.

– Hola! Hola! Ty byłeś pierwszy. Na dodatek gdyby nie Iza, żyłabym w błogiej nieświadomości.

– Oj tam. Nie bądźmy drobiazgowi. – Zaśmiał się. – Wszystko dobrze się skończyło, a temu Kolasie wyjdzie na dobre, gdy pojmie, że nie można bezkarnie obrażać kobiet. To było nawet zabawne, gdy stał i słuchał, i... – Nagle Kamil przerwał wypowiedź, bo uznał, że zabrnął za daleko w swojej szczerości.

– No dokończ! – Olga uderzyła go piąstką w ramię. – Zacząłeś, to dokończ.

– Ciepło było i się spocił.

– Ha! Tyle to wiem.

– I wystarczy. Może zmienimy temat? Jest tak ładnie. Cisza, spokój... – zażartował, bo właśnie dobiegł do nich wrzask Maksymiliana, który chciał koniecznie zwrócić na siebie uwagę. Pomachał mu ręką. – No i popatrz, jaki zadowolony! Trampolina to bajer. Ostatnio, gdy wróciliśmy od ciebie, Fiśka nie była w stanie dojść do łazienki. Zdjęła ciuchy, włożyła piżamę i poszła spać brudna jak nieboskie stworzenie, a Maksio zasnął jeszcze w samochodzie. Musiałem go zanieść prosto do łóżka.

– Może kiedyś zostanieie na noc? – zaproponowała Olga, zerkając na Faustynę, która spacerowała po ogrodzie zajęta zbieraniem stokrotek. – Jest miejsce.

– Może kiedyś zostaniemy. – Kamil się uśmiechnął.

– Wiszę ci jeden nocleg, więc wypada wyrównać rachunki.

– A ja jedno obieranie ziemniaków – powiedział po namyśle.

– Przywiozłeś szaszłyki...

– A ty chińszczyznę, gdy Fiśka zachorowała.

– Postawiłeś żeberka, kiedy cię odwiedziłam.

– To za zniszczone spodnie od piżamy. Przedpłata.

– No tak, wiedziałam, że wspomnisz o spodniach. Wcale nie były takie drogie. Gdzieś mam paragon, przynieść?

– Może zatrudnijmy księgową? Jeszcze pół roku i nie dojdziemy do ładu – stwierdził, starając się zachować poważny wyraz twarzy.

– A róże? Nie wzięłam rachunku.

– Pamiętaj, że jedną kupiłaś sama.

– Uhm. – Olga uśmiechnęła się od ucha do ucha. Zamknęła oczy i odwróciła

twarz w stronę słońca. – Wiesz co? – spytała po dłuższej chwili.

– Co?

– Dobrze mi.

– Mnie też.

– To chyba dobrze, że jest nam dobrze.

– Bardzo dobrze.

– Chciałabym uwierzyć, że z tego wszystkiego, co mnie spotkało: z dramatów, cierpienia i bólu wyniknie coś dobrego, ale boję się, że to zaklinanie rzeczywistości, że nawet gdyby tak się stało, będę drzeć ze strachu, że to jakiś żart losu, żebym na moment straciła czujność – powiedziała cicho Olga. Otworzyła oczy i spojrzała na Kamila, oczekując zrozumienia i otuchy. – Najgorzej było, gdy zmarł tato. Mama straciła nadzieję na szczęście, a ja miałam być pocieszycielką, towarzyszką w bólu. I chyba zbyt mocno się w to wkręciłam, bo zamiast leczyć, zachorowałam na to samo. Dobrze, że wyjechała, bo razem byśmy tu umarły.

– Ale nie umarliście. A co do strachu... – Zawiesił głos. – Nie da się ustrzec przed wszystkim. Energia kosmosu psuje nam szyki. My katolicy mówimy, że gdy coś planujemy, Bóg się z nas śmieje. Kupujemy polisy ubezpieczeniowe, wstawiamy podwójne zamki w drzwi, rozglądamy się i uważnie przechodzimy przez jezdnię, ale to na nic wobec potęgi Boga. To on rozdaje karty. Lub jak wolisz: ślepy los, ewentualnie karma.

– Może i tak. Wiesz, kiedyś prawie uwierzyłam w Boga. Na chwilę, ale uwierzyłam. To było wtedy, gdy leżałam w szpitalu, kilka dni po operacji. Przyszła do mnie Łucja i ot tak, wybaczyła mi. Wysłuchiła, a potem powiedziała, że wpadnie nazajutrz mnie odwiedzić. Przez chwilę pomyślałam, że Bóg istnieje, skoro taki ktoś jak ja otrzymał wybaczenie, ale szybko poczułam się jeszcze gorzej.

– Bo nagle zabrakło ci kary? – spytał.

– Dokładnie tak. Jest wina, powinna być kara, a nie od razu rozgrzeszenie. Brakuje mi równowagi. Dopóki nie ma zapłaty, nie ma równowagi.

– Ludzie odczuwają potrzebę poniesienia kary, gdy przestają akceptować swoje czyny. Dlatego właśnie powinnaś wierzyć. To nie ludzie wyznaczają równowagę i wymierzają sprawiedliwość. My możemy jedynie do niej dążyć.

– A może zachorowałam, bo ten twój Bóg chciał mnie ukarać?

– Na pewno nie, a jeśli z twojej choroby wynikło dla ciebie coś dobrego, to wspaniale. Ciesz się tym. Widzisz, ja wcale nie uważam, że Bóg kocha bardziej tych, na których zsyła krzyż, chorobę, nieszczęście, jakiś wypadek. Bóg chce naszego dobra, a choroby po prostu są. Tak samo jak istnieją wygrane w lotto. Pamiętam, co czułem, gdy Ania odeszła. Nie mogłem sobie tego pouklądać. Byłem u naszego księdza, porozmawiałem. Bardzo mi pomógł. Powiedział, że rozumie mój bunt, gniew i niezgodę. Że on rozumie i Bóg rozumie, i już dawno mi wybaczył.

– Bóg ci wybaczył? Chyba ty Bogu? Przecież ci ją odebrał! – zachnęła się Olga. – Jeśli Bóg istnieje, jest największym okrutnikiem, jakiego można sobie wyobrazić. – Poprawiła się na fotelu i spojrzała badawczo na Kamila. Nie mieściło jej się w głowie, że jest taki spokojny, a jego oczy nie wyrażają żalu ani gniewu, ale łagodność.

– To nie tak. Opowiem ci o mojej Ani, jeśli chcesz. Może tak będzie łatwiej.

– Chcę, bardzo chcę poczuć to wszystko jak ty, zobaczyć świat twoimi oczami – przyznała otwarcie.

– To posłuchaj... – zaczął. – Moja Ania uwielbiała rodzinne życie. Wszystkie jej myśli kręciły się wokół Fisi, mnie, naszego domu. Całą ciężę z Maksiem mówiła do niego, śpiewała, głaskała się po brzuchu. Wszystkie zdjęcia z USG wklejała do specjalnego albumu. Chyba dlatego choroba Fiśki była dla niej takim ciosem. To najgorsze, co można przeżyć: bezradnie patrzeć na chore dziecko i wiedzieć, że jego los jest w rękach lekarzy. Jedyne, co mogliśmy robić, to modlić się. A potem Ania umarła, a ja zostałem z chorą Fisią i maleńkim Maksiem i to było jak piekło. Przeżywałem wszystko, czego może doświadczyć człowiek, całą tę przeklętą huśtawkę uczuć. Od euforii, gdy Fisia nagle i niespodziewanie zaczęła zdrowieć, po gniew na Boga, że nie pozwolił Ani się tym cieszyć. Nieraz czułem się zdradzony, niesprawiedliwie potraktowany, bo jak to możliwe? Tyle się modliłem, tyle czasu spędzałem, klęcząc przed krzyżem, a Bóg zabrał mi Anię? Ale potem przychodziła refleksja, że dał mi więcej: Fisię, Maksia, a już to, że moja córeczka wyzdrowiała, stanowiło największy cud, jakiego doświadczyłem. W końcu jakoś poradziłem sobie z bólem, zresztą jakie miałem wyjście? – Nagle umilkł i popatrzył nieobecny wzrokiem w niebo, jak gdyby spodziewał się, że tam ujrzy ukochaną żonę. – Musiałem się pozbierać, choć nigdy nie pozbędę się z serca tych uczuć, tej głęboko skrywanej rozpacz, która codziennie próbuje dojść do głosu. Bo tam, gdzie kiedyś było miejsce dla Ani, pozostaje otwarta rana. Tęsknię za nią i wiem, że nigdy nie przestanę. Stanowiła część mnie. Żałuj, że jej nie znałaś. – Przełknął ślinę. – Była chodzącą energią i radością. Zараżała optymizmem, nawet gdy pękało jej serce na widok Faustynki, którą poddawano niezliczonym badaniom, niejednokrotnie bolesnym, a wyniki tych badań były coraz gorsze i gorsze. Płakała, rozpaczała, ale za chwilę mówiła: „Kamil, ona wyzdrowieje. Zobaczysz, za parę lat nie będziemy o tym pamiętać. Fisia wyzdrowieje”. Powtarzała to codziennie jak modlitwę, a ja wierzyłem w każde jej słowo. To przez nią jestem, jaki jestem. Oczywiście nawet w połowie nie taki jak ona, ale to Ania sprawiła, że wyszedłem z cienia, bo kiedyś zachowywałem się zupełnie inaczej. I to jest właśnie świadectwo, że Bóg jest. I że nas kocha – zakończył. Zamrugnął powiekami, nieświadomy, że jego oczy przybrały charakterystyczny szklisty połysk. Nie zauważył, że siedząca w milczeniu Olga kilka razy otarła łzę, słuchając uważnie każdego słowa.



– Nie mam słów... – wyjąkała po chwili. – To było naprawdę piękne. Musiałeś bardzo ją kochać.

– Ktoś kiedyś powiedział, że nie zapominamy pierwszej miłości. I chyba tak jest właśnie dlatego, że jest pierwsza. Zmienia nas nieodwracalnie. Już zawsze będziemy wiedzieć, jak to jest kochać namiętnie. To uczucie nigdy nie zniknie. Zostaje z nami na całe życie. Na zawsze – stwierdził filozoficznie.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie pokochasz nikogo tak, jak kochałeś Anię?

– Tak samo? Nigdy. Ale to, że kocha się kogoś inaczej, nie znaczy gorzej. Zanim urodziła się Fisia, sądziłem, że Ania całkowicie zawładnęła moim sercem. Myliłem się, jest bardzo pojemne. – Uśmiechnął się do Olgi. – Kocham Maksia i Fiśkę tak samo mocno, ale inaczej. Miłość ma tyle twarzy, ilu ludzi ją czuje. A każda z nich jest na swój sposób piękna. Rozumiesz?

– Staram się. – Olga nawet na sekundę nie spuszczała z niego wzroku. – Wiesz, co teraz czuję? Wstyd przyznać, ale zazdroścę Ani.

– Hm... Chyba mieliśmy mówić o Bogu? – przypomniał jej. – Jeszcze powiem ci o cudzie.

– Nie ma czegoś takiego jak cud. Jest tylko nieprzewidziany i naukowo nieuzasadniony przebieg wyzdrowienia – wyrecytowała, żeby trochę się opanować.

– Nie masz racji. Cuda się zdarzają, nawet te najbardziej niewyobrażalne, tak bardzo niewyobrażalne, że usilnie próbujemy je jakoś racjonalizować i wytłumaczyć. Mówimy, że to zbieg okoliczności, coś, co jest naturalne i wynika ze specyfiki danej rzeczy czy zjawiska, ale jeszcze tego nikt nie odkrył. Kombinujemy, myślimy, szukamy sedna, prawdy. Oczywiściej tej naszej zwykłej, ludzkiej prawdy – doprecyzował. – A po co? Cieszymy się, gdy zdarza się cud i burzy dotychczasowy porządek, najczęściej zły porządek, bo przecież cud to coś wspaniałego, dobrego, dowód na istnienie Boga. Czyż nie?

– Czy nie uważasz, że ten twój Bóg kpi sobie wtedy z ludzi?

– To nie mój Bóg. To nasz Bóg. I Bóg nigdy nie kpi z ludzi. To zadanie kogoś innego.

– Kogo? Diabła?

– Na pewno nie Boga.

– Jestem pod wrażeniem twojej wiary... – Zadumała się na moment. – Może gdybym wcześniej spotkała kogoś takiego jak ty, uwierzyłabym? Kto wie?

– Przeceniasz moje możliwości. Mówiłem, że nie czuję się autorytetem moralnym. Zawsze głęboko wierzyłem w Boga i w siłę modlitwy, ale zdarzały mi się chwile zwątpienia. Jeśli mam być szczery, chyba więcej pytań w tej mojej wierze niż odpowiedzi. Mimo to nie tracę nadziei, że kiedyś poznam je wszystkie.

– Po śmierci?

– Tak.

- Wysoka cena.
- Ale przecież wszyscy ją kiedyś zapłacimy, więc ta moja nadzieja to bonus.
- Puścił do niej oczko. – A teraz dosyć, bo w taki piękny dzień nie warto mówić o śmierci. Mam pomysł. Może dołączymy do Maksia? – Uniósł brwi.
- Chętnie, ale ja nie mogę skakać – przypomniała.
- To cię pohuśtam. I żadnych wymówek! – Stał przed nią i wyciągnął dłoń.
- Tak jest! Żadnych wymówek!



Maj powoli się kończył. Według Olgi był wyjątkowo piękny i ciepły, choć może to częste spacerowanie i pobyt na świeżym powietrzu sprawiły, że wydał jej się cudowny jak nigdy wcześniej. Żeby mieć więcej wolnego czasu, postanowiła zrealizować to, co planowała od kilku lat. Zatrudniła trzech kierowników: dwóch na Polskę i jednego na zagranicę. Odjęli jej pracy i wreszcie mogła nieco odetchnąć. Oczywiście zadzwoniła do matki i pochwaliła się swoimi sukcesami, bo cała trójka fachowców doskonale wypełniała obowiązki, lecz starsza pani Becker dosyć ostro ją skrytykowała, mówiąc: „Pańskie oko konia tuczy. Nie powinnaś cedować ważnych zadań na obcych, to pierwszy krok do bankructwa. Firma to ty, nie obcy ludzie”.

Ale nawet uwagi matki nie były w stanie zepsuć Oldze humoru i dobrego samopoczucia. Z każdym dniem, zwłaszcza spędzonym choć w części z rodziną Polskich, nabierała przekonania, że jest dobrze i że chyba jest szczęśliwa, co kiedyś zdawało jej się całkiem nierealne. Czasem wybierała się na krótką, lekką przebieżkę, a do niej i energicznych spacerów w parku doszło jeszcze bieganie po centrach ogrodniczych.

Okazało się, że Faustyna jest wielką i niespełnioną dotychczas pasjonatką ogrodnictwa i za każdym razem, gdy przyjeżdżała razem z ojcem i braciszkiem do Olgi, coś sadziła albo podlewała, więc Olga starała się na bieżąco dostarczać jej powodów do kolejnych odwiedzin, a to kupując jakieś sadzonki, a to cebulki kwiatów. Nawet Maksio poczuł się spełniony jako ogrodnik, gdy Kamil pozwolił mu rozsypywać granulki na ślimaki. Oczywiście z zachowaniem wszelkich norm bezpieczeństwa, czyli po założeniu za dużych gumowych rękawic, maseczki i specjalnego foliowego fartuszka.

I tak mijały kolejne dni, aż maj prawie się skończył, a Olga została uroczyście zaproszona na obchody Dnia Dziecka. Nawet nie próbowała dyskutować z Kamilem o prezentach. Wiedziała, że nigdy się nie zgodzi na coś drogiego, więc kupiła kilka książek, gry planszowe, Faustynie dwie przepiękne sukienki, a Maksymilianowi największy zestaw klocków Lego, jaki znalazła w Smyku.

Postanowiła wyglądać radośnie i wiosennie. Włożyła białą sukienkę w róże, seledynowy sweterek i błękitne sandały na szpilce, do tego zrobiła lekki makijaż i pokusiła się o eksperymentalną fryzurę. Upięła włosy w luźny koczek na karku i ozdobiła go kwiatem stokrotki. Gdy pooglądała się w lustrze, pomyślała, że całkiem jej odbiło, ale nic nie zmieniła.

– Ojej! Ale ślicznie! – pisnęła Faustyna na jej widok.

Nawet Maksio zauważył, że Olga wygląda inaczej niż zwykle, a Kamil uniósł brwi i znacząco pokiwał głową, gdy malec, cytując jakiś wierszyk, skomplementował: „Idzie piękna pani z jasnymi włosami, w zielonej sukience wyszytej kwiatami”.

– Chyba z czarnymi włosami? – zapytał Kamil. – Ale reszta się zgadza.

– Dziękuję. Jesteście bardzo mili. – Olga wręczyła dzieciakom dwie wielkie, wypchane po brzegi papierowe torby.

Złożyła im życzenia, wycalowała, a potem zaprowadzona za rękę poszła do dużego pokoju, gdzie już czekała na nich zastawiona ława. Zjedli uroczysty obiad, a później deser lodowy przygotowany przez Faustynę i Maksia. Dorośli pili kawę, co chwilę nagabywani przez któreś z dzieci chwalące się prezentem, gdy nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Faustyna popędziła do przedpokoju, krzycząc po drodze, że to pewnie ciocia Wicia z prezentami dla nich.

– A Sabinki? Nie przyjdą? – spytała Olga.

– Jutro. Inka ma dzisiaj dyżur – wyjaśnił Kamil.

Ledwie zdążyła odpowiedzieć, że rozumie, gdy do pokoju weszła Fiśka, taszcząc jakieś paczki, a za nią młoda niska blondynka.

– Dzień dobry. – Ta ostatnia lekko skłoniła głowę.

– Zosia? Co ty tu robisz? – Kamil zrobił wielkie oczy, ale szybko się zreflektował, że jego pytanie było co najmniej niegrzeczne. Zerwał się z kanapy i podszedł do nowo przybyłego gościa. – Dzień dobry. – Uścisnął wyciągniętą dłoń i cmoknął nadstawiony policzek.

– Och! Nie wiedziałam, że... – Kobieta popatrzyła na siedzącą w fotelu Olę.

– Pomieścimy się – odparł Kamil.

– Tato, możemy iść z Maksiem do naszego pokoju? – odezwała się Faustyna.

– A... tak, idźcie – pozwolił Kamil.

– Przedstawisz nas? – spytała Zofia, ledwie dzieci ich opuściły.

– Oczywiście. To moja znajoma Zosia Kulik, a to Olga Becker. – Wskazał brodą.

Obie panie uścisnęły sobie dłonie, badawczo mierząc się wzrokiem. Przy tej okazji Zofia musiała zdrzeć głowę, bo Olga górowała nad nią dobre dwadzieścia centymetrów, i nie wprawiło jej to w dobry humor, już i tak wystarczająco zwarzony faktem, że nie jest jedynym gościem Polskich. Z kolei Olga zdążyła zauważyć, że Zofia lubuje się w mocno tlenionych włosach i zbyt wyzywającym

makijażu, który oszpecał to, co było bardzo ładne, czyli duże niebieskie oczy pani Kulik, zamiast poprawić defekty urody, na przykład wąskie usta i długi nos.

– Jesteś koleżanką Kamila? – zapytała Zofia, gdy usiadła naprzeciw Olgi.

– To moja dziewczyna, spotykamy się od paru miesięcy – szybko wtrącił gospodarz, wprawiając Olgę w chwilowe osłupienie.

– Aha... – mruknęła panna Kulik. – Nie wiedziałam, że się z kimś spotykasz. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Przyszłam do dzieci. – Chrząknęła i poprawiła kołnierzyk ciasnawego żakietu.

– Nie przeszkadzasz, jak mogłaś tak pomyśleć? – Kamil obdarzył ją nieco sztucznym uśmiechem. – Przepraszę was na moment, zrobię kawę i pokroję ciasto – powiedział, wstając.

– Czym się zajmujesz? – zagadnęła Zosia.

– Pracuję w laboratorium medycznym.

– A ja kiedyś pracowałam w tej samej szkole, w której uczy Kamil, tam się poznaliśmy, ale już od prawie roku pracuję w bibliotece na Słowackiego. Jestem bibliotekarką – dodała.

– Rozumiem.

– A gdzie mieszkasz?

– W Krakowie. Niedaleko parku Decjusza.

– W domu prywatnym?

– No tak. Tam nie ma bloków. – Olga uniosła brwi, zdziwiona i zdegustowana tym nieoczekiwanym przesłuchaniem, choć musiała przyznać, że nowa znajoma równie chętnie zadawała pytania, jak i odpowiadała na nie.

– A ja niedaleko stąd, też na osiedlu. Jesteś rówieśnicą Kamila?

– Nie. Mam trzydzieści lat.

– Serio? – Zosia odchyliła się w fotelu, jakby chciała lepiej objąć Olgę spojrzeniem. – Wyglądasz bardzo poważnie. Może przez ten kolor włosów. Czarny dodaje lat, zaostrza rysy – orzekła, gładząc swoje wyprostowane jak struna platynowe pasma. – Ja jeszcze przed trzydziestką, choć niewiele mi brakuje, bo trzech lat. Mieszkasz z rodzicami?

– Nie. A ty? – zapytała Olga, choć wcale nie była ciekawa, ale uznała, że chyba tak będzie grzeczniej.

– Z mamą. Mój ojciec pracuje za granicą. W Kanadzie. Już chyba ze dwadzieścia lat go nie ma w Polsce, ale przysyła pieniądze. Dobrze, że ja jestem, bo mama zwariowałaby z tej samotności. Mam trzech braci, ale oni wszyscy już żonaci i nie mają czasu dla mamy – wyjaśniła. – I tak sobie mieszkamy we dwójkę. Obiecałam, że gdy wyjdę za mąż, na pewno nie zostawię jej samej. A twoi rodzice? Masz rodzeństwo?

– Jestem jedynaczką, ojciec nie żyje, a mama jest w ośrodku – powiedziała Olga, zła, że musi siedzieć i słuchać tej dziwnej panny.

– W ośrodku? Jakim?

– Leczenia nerwic.

– To straszne! – pisnęła szczerze przejęta panna Kulik. – Ale co? Jakieś problemy z psychiką? Jest niebezpieczna? Dlatego ją zamknęli?

Olga już miała na końcu języka ripostę, że chyba w takich ośrodkach nie leczy się reumatyzmu, ale grzecznie potaknęła, że problemy z psychiką, i wyjaśniła: „Mama nie jest niebezpieczna, jest w ośrodku na własne życzenie”.

– To straszne. Współczuję ci – powiedziała Zosia, robiąc smutną minę. – Nie wyobrażam sobie takiej sytuacji. Trochę interesuję się psychologią, prowadzę nawet bloga z poradami i uważam, że powinnaś mamę stamtąd zabrać. Udowodniono naukowo, że chorzy psychicznie lepiej się czują w domu, więc jeśli nie zagrażają otoczeniu, powinni mieszkać z rodziną. Ja bym się poświęciła. Trudno, matkę ma się jedną i trzeba ją szanować, a nie kierować się wygodą.

– Rozważę to. – Olga za wszelką cenę starała się opanować, podczas gdy w duszy wizualizowała właśnie, że chwyta Zosię Kulik za blond kłaki i ciągnie w stronę drzwi wyjściowych, co świadczy o tym, że jest bardzo niebezpieczna dla otoczenia.

– Już jestem – dobiegło z przedpokoju. Wszedł Kamil, niosąc tacę. – Proszę, pyszne ciasto i kawa.

Ledwie zdążył ustawić filiżanki, w drzwiach pojawił się Maksio. Rozeznał sytuację, podszedł po cichu do Olgi i jak kiedyś wcisnął się między nią a podłokietnik fotela. Wolałby wspiąć się na jej kolana, ale tato zabronił, pozostawała więc jedynie ta opcja, zresztą całkiem miła. Olga od razu objęła go ramieniem i nawet poczochnęła przez moment zmierzwiłone kosmyki, co oczywiście nie umknęło uwadze Zosi.

– A gdzie twoja siostrzyczka? – spytała zadowolonego malca.

– W pokoju. Przymierza sukienkę.

– Uhm. A może chcesz ciasta?

– Nie – odparł i jeszcze mocniej wtulił się w Olgę.

– Twój tatuś to prawdziwy skarb. Tak wspaniale sobie radzisz, Kamile – westchnęła z uznaniem Zofia. – Mężczyzna w kuchni to rzadkość. I dobrze, bo jednak kobieta bardziej tam pasuje, no ale Kamilek na razie nie ma innego wyjścia. – Posłała gospodarzowi matczyne spojrzenie. – Uwielbiam gotować, a już piec ciasto... – Rozmarzyła się na moment, ale szybko zwróciła się do Olgi: – Zbieram przepisy, pewnie pomyślisz, że to dziwne, bo bibliotekarki raczej powinny interesować się literaturą, zwłaszcza ambitną, a nie kobiecymi obowiązkami domowymi, ale ja jestem troszkę inna niż moje koleżanki z pracy. Ogólnie to chyba za mną nie przepadają, bo one to raczej intelektualistki, a ja lubię wszystko, co kobiece. Lubię gotować, dbać o dom, interesuję się modą i wizażem, wyszywam, robię decoupage...

– Bycie kobiecą nie oznacza rezygnacji z intelektualnych rozrywek – przerwała jej Olga.

– Ależ ja nie rezygnuję! Lubię obejrzeć dobry film, książki uwielbiam, ale... Po prostu źle mnie zrozumiałaś. – Zofia machnęła ręką i wybuchnęła perlistym śmiechem, ukazując aparat ortodontyczny na swoich idealnie równych ząbkach. Zauważyła spojrzenie Olgi i od razu zażartowała: – Odmładza, dlatego noszę.

– Rozumiem. Chyba sobie taki sprawię. – Mrugnęła porozumiewawczo do Zosi.

– Widzę, że się świetnie dogadujecie – odezwał się dotąd milczący Kamil.

– O tak! Twoja dziewczyna jest bardzo miła. To jak? Kiedy zabrzmiały kościelne dzwony? Jeszcze pierścionka nie ma? – Zosia popatrzyła na prawą dłoń Olgi. – Planujecie dzieci?

– Może ty odpowiesz, Kamilu, bo ja... – Chrząknęła Olga. Już zamierzała powiedzieć, że przeprasza, ale musi na moment wyjść, gdy Maksio burknął:

– Olga nie będzie miała nowych dzieci. Wycięli jej taki specjalny woreczek na dzieci. Ale my jej wystarczamy, bo ona nas naprawdę lubi. Nie udaje jak niektóre panie.

– Ach! – Zosia chwyciła się za usta. W pierwszej chwili chciała zapytać, kogo Maksymilian ma na myśli, ale szybko uznała, że odpowiedź może jej się nie spodobać. – Woreczek? Co ty mówisz, Maksiu? – Zaśmiała się sztucznie.

– Przeszłam zabieg histerektomii – wyjaśniła Olga. – Kościelnych dzwonów też raczej nie będzie, bo jestem ateistką – dodała z satysfakcją. – A teraz was przeproszę.

Wstała i wyszła z pokoju, a za nią pognął Maksio. Dopadł ją przy drzwiach łazienki. Wyjaśniła, że musi skorzystać z toalety, a on, że poczeka.

– Pójdziemy zajrzeć do Fisi? – zapytała go, gdy wyszła.

– Uhm.

Olga wzięła go za rękę i zaprowadziła do dziecięcego pokoiku. Zastali Faustynę siedzącą na łóżku. Dziewczynka przeglądała książkę, pozornie bardzo zainteresowana, ale jej mina wskazywała na to, że wcale się dobrze nie bawi.

– Czemu tu siedzisz sama? – Olga odsunęła kołdrę i przysiadła na skraju materaca, a Maksymilian wreszcie mógł bezkarnie wleźć na jej kolana.

– Bo nie lubię pani Zosi – wyszeptala Faustyna i trwożnie zerknęła na drzwi, chociaż były zamknięte.

– Ja też nie lubię – powiedział Maksymilian. – Ona jest okropnie niedobra.

– Dała mi dzisiaj drugi raz tę samą książkę. Mam dwie takie same *Biblie dla dzieci*.

– Może po prostu zapomniała, że już ci taką kupiła? To nie znaczy, że jest niedobra – wytłumaczyła Olga, choć wcale jej nie zmartwiła jawnie okazywana przez dzieci antypatia do Zofii Kulik.

– Jest niedobra, bo kiedyś na nas okropnie nakrzyczała – powiedział Maksio.  
– I kazała sprzątać pokój.

– Wywaliła wszystkie nasze zabawki na środek i powiedziała, że jak nie poukładamy ich po bożemu, wyrzuci je do śmietnika – dodała jego siostra.

– I nigdy się z nami nie bawi.

– Ja też się z wami nie bawię – stwierdziła Olga.

– Nieprawda, n i e w ą t p l i w i e bawisz się z nami. I nie wyganasz nas z pokoju, gdy do nas przychodzisz, a ona chciała być tylko z tatą, a my mieliśmy nie przeszkadzać. Tata też nam czasami każe wyjść, ale tata może nam kazać, a ona nie.

– Bo to nie nasza mama – wymamrotał Maksio. – A ty jesteś miła. Nigdy nas nie wyganasz. Na początku to się ciebie trochę bałem, bo jesteś strasznie wielka, ale teraz już się nie boję.

– Ja cię bardzo lubię. Tysiąc razy bardziej niż panią Zosię. Nawet bardziej niż Inkę.

– Ja też. – Maksymilian cmoknął Olę w policzek, a zaraz po nim zrobiła to Faustyna. – Lubię cię prawie tak samo jak tatę – powiedział.

– Ja też lubię cię prawie tak samo jak tatę.

– Ojej. Bardzo mi miło, ale chyba nie zasłużyłam na tyle względów. – Olga uśmiechnęła się blado.

– Pani Zosia jest fałszywa – szepnęła Fiśka.

– No – potaknął jej brat. – A kiedyś tatuś ją okrzyczał, bo została z nami sama i grzebała po szafkach.

– Co?

– Tatuś musiał coś załatwić, a ona przyszła nas pilnować. I upiekła ciasto. Nie chciała się ubrudzić i poszła do pokoju, gdzie tata śpi, i znalazła fartuszek mamy. Taki śliczny, granatowy w wisienki. Mówiłam, że nie wolno go ruszać, ale ona na mnie nakrzyczała, że fartuszek jest do noszenia. A potem tatuś wrócił i jak ją zobaczył w tym fartuszkach, to zaczął krzyczeć, że to był fartuszek mamy – zreferowała Faustyna.

– Dobrze jej tak – stwierdził z satysfakcją Maksio. – Nie można grzebać w czyichś szafkach. My nie grzebiemy u ciebie. Chyba że nam pozwolisz.

– Wiecie co? Może nie obgadujemy jej, bo jeszcze dostanie żaby na języku...  
– zasugerowała cicho Olga. – Mam lepszy pomysł. Zagramy w grzybobranie?

– Super! – pisnęła Faustyna, ale po sekundzie popatrzyła w stronę drzwi. – Biedny tatuś, siedzi z nią sam.

– Poradzi sobie. To wasze święto i musimy je uczcić. Poza tym przyszłam do was, więc nic złego się nie stanie, gdy spędzimy w trójkę trochę czasu.

Ostatnie, na co Olga miała ochotę, to wrócić do Zosi Kulik i wysłuchiwać jej mądrości. Zasugerowała, żeby całą trójkę siedli na dywanie, rozłożyła planszę

i po chwili dzieciaki zapomniały o pani Zosi, bo zajęły się zabawą. Kończyli drugą rozgrywkę, gdy do drzwi ktoś zapukał, a zaraz potem pojawiła się w nich głowa Kamila.

– Co robicie?

– Gramy – odpowiedział mu trzyosobowy chórek.

– Hm... A może przyszlubyście choć na chwilę do nas, bo...

– Okej. Chodźmy. Tato potrzebuje naszego wsparcia – stwierdziła Olga z niechęcią.

Wrócili do dużego pokoju z mniej lub lepiej skrywanym ociąganiem. Na szczęście Zofia chyba wyczuła, że na entuzjazm dzieci nie może liczyć i szybko się pożegnała. Dzieciaki przyniosły wszystkie gry planszowe, jakie miały, i wreszcie cała czwórka zaczęła świętować. Kamil wyjątkowo pozwolił im nieco później niż zwykle iść spać, więc dopiero po dziewiątej odbyła się kąpiel.

– Już prawie dziesiąta – zorientowała się Olga, gdy dzieci przybiegły w piżamach, wyczuwały ją na dobranoc i poszły spać. – Było super, ale czas na mnie.

– Możesz zostać jeszcze chwilę? – zapytał Kamil, widząc, że podnosi się z fotela. – Chciałbym ci coś wyjaśnić.

– Okej, ale naprawdę na chwilę. A co do wyjaśnień, spokojnie. Dzieciaki zdradziły co nieco. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Domyślam się, że ten mój nagły awans na twoją dziewczynę to forma obrony przed zakusami panny Kulik. Swoją drogą, straszna kobieta. Współczuję. – Olga parsknęła śmiechem.

– Przepraszam. Nie pomyślałem, że będzie miała tyle tupetu i tu przyjdzie. Ona nie jest zła, ma dobre serce, ale wybitnie mi nie pasuje jako kandydatka na towarzyszkę życia. Poznaliśmy się w szkole. Chyba się we mnie zakochała, bo spędzała ze mną coraz więcej czasu. Doszło do tego, że prawie codziennie tu przychodziła. W końcu postanowiłem to definitywnie zakończyć i poprosiłem dyra, żeby wezwał nas na dywanik.

– Co?! – Olga wytrzeszczyła oczy.

– Nie wolno nam romansować w pracy. Nawet poza pracą związku między nauczycielami są niezbyt dobrze widziane. Powiedziałem mu w tajemnicy, że mam z nią problem, i pomógł. Stwierdził, że albo przestaniemy randkować, albo zwolni któregoś z nas.

– I?

– Zosia załatwiła sobie pracę w bibliotece miejskiej.

– Faktycznie, wspominała. Sprytna i zdeterminowana. – Olga zachichotała.

– Owszem. Nie miałem innego wyjścia i pogadałem z nią poważnie.

– Chyba nie przyjęła tego do wiadomości, skoro cię dzisiaj odwiedziła.

Cieszę się, że mogłam pomóc, grając rolę tymczasowej wybranki serca.

– A ja przepraszam, że musiałś tego słuchać.



– Nic się nie stało. Jak rozumiem, znów jesteśmy przyjaciółmi?  
– Chyba nie przestaliśmy nimi być nawet na moment? – odparł Kamil.  
– Chyba nie.  
– Bo wiesz... Jedno drugiego nie wyklucza. – Chrząknął. – To jak z intelektem i kobiecością.  
– Zapamiętałeś? Miło z twojej strony, ale na mnie naprawdę już czas. I nie musisz mnie odprowadzać na parking, kupiłam sobie gaz pieprzowy. Taka ze mnie zła kobieta. – Zaśmiała się.  
– Kiedy znowu do nas wpadniesz? – spytał, patrząc, jak Olga poprawia fryzurę przed lustrem.  
– A to nie wasza kolej?  
– Ostatnio byliśmy u ciebie trzy razy z rzędu – przypomniał.  
– Zdzwonimy się. Okej?  
– Okej.  
– To ja uciekam. Dzięki za wszystko, było naprawdę miło. – Olga wyciągnęła rękę.

Wyszła. Kamil zamknął za nią drzwi, a zaraz potem poszedł do kuchni, żeby zobaczyć po chwili, jak Olga wychodzi z budynku i dociera do samochodu. Pomachał jej ręką, choć kiepsko ją widział w świetle latarni.

– Co za ciota ze mnie? – jęknął niezadowolony, że znów się nie odważył nawet na koleżeński pocałunek w policzek. Tym bardziej że okazja była. Przecież mógł objąć Olę i pocałować, a nie uścisnąć dłoń, jak nie przymierzając Ince. – Polski, jesteś miękka faja. Ot, co – burknął do siebie.

Nagle usłyszał za sobą cichy szmer.

– Co to jest miękka faja? – zapytał Maksio, mrużąc oczy.  
– Czemu nie śpisz? – Kamil poczuł, że chyba spiekl raka.  
– Zgubiłem smoka.  
– Ech, ty i ten twój smok. Same z nim problemy... – Podszedł do synka, kucnął przed nim i poprawił krzywo zapiętą górę od piżamki. – Może czas już coś zmienić?

– Ech, ty i ta twoja miękka faja – mruknął Maksio.

– Nie kończ! Wiem, czas coś zmienić! – Kamil się zaśmiał.

– Ale co to jest miękka faja? – drażył malec.

– Kiedyś ci powiem, okej?

– Ale smoka poszukamy już teraz?

## Rozdział 8

Znów odbyła się kolejna rundka wizyt i rewizyt, a między Olgą i Kamilem nie doszło do niczego poza przyjacielskimi uściskami dłoni na pożegnanie. Nawet Iza zaczynała nie rozumieć postępowania przyjaciółki. Przynajmniej raz w tygodniu piła z nią kawę, słuchała opowieści o rodzinie Polskich i nie mogła

pojąć, jak można tkwić w takim zawieszeniu.

– A czujesz motyle w brzuchu, gdy go widzisz? – spytała któregoś dnia.

– Przestań, nie czuję żadnych głupich motyli.

– A co?

– Co? Nie wiem. Jakieś ciepło. Albo wiem: czuję się, jakbym połknęła słońce.

– Czyli piecze cię? Może zgaga? – zażartowała Izka.

– Zgaga to ty jesteś. A ja czuję cudowne i miłe ciepło pod sercem – odpowiedziała Olga, definitywnie kończąc temat, bo prawdę mówiąc, ona też się niepokoila brakiem jakiegokolwiek postępu.

Może dlatego tak się wystraszyła, gdy przyjechała do Kamila w drugą sobotę czerwca, a on oświadczył, że dzieciaków nie ma, bo zostały na noc u Sabinek. Zjedli wczesną kolację, obejrzeni film, a ona czuła się coraz bardziej głupio. Nawet lampka wina nie pomogła.

Zresztą Kamil też zachowywał się inaczej niż zwykle. Czasem milczał dłuższą chwilę, czego raczej nie miał w zwyczaju, żeby po chwili trąkotać jak najęty. Minęła dziewiąta, zaczęli oglądać kolejny film, tym razem *Prêt-à-porter*, ale Olga stwierdziła, że zna go prawie na pamięć, więc Kamil przełączył telewizor na kanał z muzyką.

– Jeszcze odrobinę? – zaproponował, podnosząc butelkę wina.

– Nie. Muszę jakoś wrócić do domu.

– Zamówię ci taksówkę – zdecydował, napełniając kieliszki.

Olga już miała się sprzeciwić, ale ostatecznie potaknęła. I dobrze zrobiła, bo gospodarz podał jej kieliszek, usiadł na kanapie i poprosił, żeby usiadła obok. Pierwszy raz siedzieli tak blisko siebie i odrobina alkoholu na pewno nie zaszkodziła w przełamaniu barier.

– Ciężki los tych wszystkich modelek i tancerek – zaczęła po dłuższej chwili Olga, patrząc na ekran, gdzie leciał właśnie jakiś teledysk pokazujący kilka bardzo szczupłych dziewcząt parujących po wybiegu.

– Żywe manekiny – skwitował Kamil.

– Gdy byłam małą, jak wszystkie dziewczynki w moim wieku marzyłam o karierze aktorskiej lub wokalne. Nie grzeszę talentem aktorskim, głosu też nie mam, więc szybko mi przeszło. Poszłam do liceum i wtedy ktoś powiedział o mnie „manekin”. Może dlatego, że byłam bardzo wysoka, wyższa niż większość koleżanek. Nosłam niezłe ciuchy, a o moje włosy dbała fryzjerka, która przyjeżdżała do nas do domu. Przezywali mnie tak przez rok, może dwa. Parę miesięcy temu znów usłyszałam to słowo: w szpitalu, gdy do mojej sali przywieźli młodą dziewczynę. Miała dwadzieścia parę lat, też po histerektomii. Stwierdziła, że już nie jest kobietą, a manekinem. Ja też jestem takim manekinem – skwitowała.

– Jesteś Olgą. Nawet gdyby wszystko z ciebie wycięli, nadal zostaniesz

Olga. Tutaj. – Kamil stuknął ją w czoło zgiętym palcem. – Rozumiesz?

– Chciałabym – powiedziała.

– Postaraj się. Jeśli nie dla samej siebie, to chociaż dla mnie. – Odstawił pusty kieliszek. – Zatańczymy? – Stał przed Olgą i wyciągnął dłoń.

– Nie potrafię tańczyć bez butów. – Zerknęła na swoje stopy.

– Też jestem boso, poza tym nie musisz potrafić. – Kamil pociągnął ją lekko.

Objęci dreptali w miejscu, kiwając się na boki i parszając cichym śmiechem, gdy któreś z nich nadepnęło drugie.

– Hm... – mruknęła Olga. – To nasze dwudzieste spotkanie, a ty...

– A ja?

– A ty nic. Coś ze mną nie tak?

– Ty też jeszcze nic... – przeciągnął głos. – Swoją drogą, liczysz nasze randki? – Parsknął zduszonym śmiechem wprost do jej ucha. – Naprawdę mi schlebiasz.

– Jesteś wstrętny. – Uderzyła go piąstką w biceps. – Dzisiaj dwudziesty raz się widzimy, ale poprzednich dziewiętnastu razy nie nazwałabym randkami.

– A czym?

– Spotkaniami.

– Powtarzasz się.

– Jestem dokładna. – Zachichotała, kokieteryjnie przekrzywiając głowę.

– Nie do końca. To nasze dwudzieste trzecie spotkanie.

– Nieprawda.

– Mam wymienić daty? – Mrugnął do niej porozumiewawczo. – Jesteśmy sami, mamy wolną chatę, nic nas nie rozprasza, więc może porozmawiamy wyłącznie o nas? Poznajmy się wreszcie.

– A co chcesz wiedzieć? Mój ulubiony kolor? Zależy czego, więc nie powiem. A może film lub muzyka? Zdecydowanie *Fortepian*. Muzyka? Lubię dużo gatunków, bez disco polo i rapu. Uważam się za dosyć mocno uzależnioną od kofeiny. Nie przepadam za zwierzątkami domowymi, ale gdybym musiała jakieś mieć, wybrałabym kota. Lubię podróże, kiedyś chciałam mieszkać na stałe w Szwajcarii. Niedaleko Lozanny moja rodzina ma mały domek po ciotce, siostrze mojej mamy.

– Chyba chodziło mi o coś innego. Na przykład co cię podnieca? – spytał Kamil, od niechcienia obracając ją pod ręką.

– Podnieca? Ale w jakim sensie? – dopytywała się, gdy znów była przodem do niego.

– W tym sensie... – Kilka razy uniósł brwi.

– Muszę pomyśleć...

– Powiedz. – Nagle przycisnął ją do siebie, aż westchnęła.

– Podnieca mnie, gdy facet jest podniecony – wyszeptwała.

Jej wargi prawie stykały się z jego ustami. Dzieliło je zaledwie kilka milimetrów. Zatrzymali się na moment. Kamil nadał kierunek i po chwili znaleźli się przy jedynym wolnym skrawku ściany, tuż obok drzwi do przedpokoju. Ciągle mocno ją obejmował, docisnął do ściany, aż przez cienki jedwab koszuli poczuła szorstką fakturę tapety.

– Co konkretnie miałaś na myśli? – szepnął z przejęciem, aż ugięły się pod nią kolana.

– Gdy mężczyzna szybko i głęboko oddycha – odparła, patrząc wprost w jego rozszerzone źrenice.

– I co jeszcze?

– Gdy jego serce mocno bije.

Ledwie skończyła mówić, a Kamil chwycił jej dłoń i przystawił do swojej piersi.

– Tak mocno wystarczy? – zapytał.

– Nie czuję przez koszulkę.

Oderwał się od Olgi i w sekundę zdjął T-shirt, po czym ponownie przyłożył jej dłoń.

– Wystarczy. – Przełknęła głośno ślinę.

Pierwszy raz widziała jego nagi tors i spodobał jej się ten widok. Kamil nie był szczególnie „przypakowany”, ale wyglądał całkiem apetycznie jak na tatusia, na dodatek pracującego umysłowo. Przypuszczała, że ma dosyć obficie owłosioną klatkę, bo czasem coś wystawało spod rozpiętej koszuli albo lekko podnosiło tkaninę T-shirtu. Teraz mogła podziwiać „dywan” w pełnej krasie. Wysunęła dłoń z ręki Kamila i przeciągnęła ją lekko po ciemnozłotych włoskach.

– Miłe... – wyszeptała.

Coraz bardziej szumiało jej w uszach. Zauważyła, że działa na Kamila. Skrzyły mu się oczy, co rusz grdyka przesuwawa się pod skórą, a spore wybrzuszenie w okolicy rozporoka było ostatecznym potwierdzeniem faktu, że mężczyzna jej pragnie.

– Czego nie lubisz? – Kamil znów przysunął się blisko. Jego ręce zaczęły błądzić w okolicach pośladków Olgi.

– Nie lubię, gdy sama muszę go włożyć – zażartowała, próbując nieco rozluźnić atmosferę, bo mimo podniecenia ciągle jeszcze czuła się skrępowana takim obrotem wydarzeń.

– Możesz na mnie liczyć – wychrypiął, wyraźnie nie czując dowcipu. – Co jeszcze?

– Gdy facet pyta, czy doszłam.

– Nie zamierzam pytać.

– Nie lubię sama się rozbierać – wyznała z pewnym trudem.

– Rozumiem. – Pokiwał głową. – Chętnie się tego podejmę...

Przymknęła oczy, gdy sięgnął do pierwszego guzika jej bluzki. Pstrykały cicho, prawie niesłyszalnie, tylko wyczuwalny chłód powietrza i delikatne muśnięcia rozchylanej tkaniny pozwalały Oldze się zorientować, na jakim etapie są dłonie Kamila. Zsunął bluzkę, sięgnął za plecy Olgi i dosyć wprawnie rozpiął haftki biustonosza. Chciała pomóc mu go zdjąć, ale przytrzymał jej rękę, mruczając do ucha:

– Mówiłaś, że nie lubisz się sama rozbierać, a ja nie chcę, żebyś dzisiaj robiła coś, czego nie lubisz.

– Przepraszam, zapomniałam. – Zagryzła wargi jak mała dziewczynka przyłapana na gorącym uczynku.

– Popatrz na mnie – zażądał, gdy podobnie jak on była naga od pasa w górę.

– Patrzę – powiedziała, otwierając oczy.

– Podnieca cię, gdy facet mówi, że jesteś piękna?

– Nie... – Spuściła wzrok na swoje piersi. Unosiły się i opadały w coraz szybszym rytmie.

– Wiesz, że jesteś piękna?

– Nie mów tak. Nie chcę tego słyszeć – wyszeptała przez ściśnięte gardło.

Znów czuła się jak w liceum lub jak w łóżkach tych wszystkich facetów, którzy przewinęli się przez ostatnie osiem lat jej życia. Patrzyli na nią z zachwytem i prawili komplementy, a ona nie czuła się jak żywy człowiek, jak kobieta. Była przecież tylko pięknym manekinem.

– Podnieca cię, gdy facet mówi, że cię kocha?

– Nie wiem – odparła z jeszcze większym trudem.

Skąd miała wiedzieć? Żaden mężczyzna nie wyznał jej miłości. Oprócz ojca, ale ten nie żył od lat. Znów przypomniała sobie tę żenującą sytuację, gdy powiedziała Hajdukiewiczowi, że go kocha, a on usiadł na łóżku i stwierdził, że się bardzo pomylił co do niej. W pierwszym momencie nie załapała. Sądziła, że zaraz wyzna jej to samo, że po prostu jest mile zaskoczony, ale tylko przez chwilę. Przez krótką głupią chwilę.

Kamil delikatnie przyciągnął ją do siebie. Owionęło go ciepło jej oddechu. Musnął ustami jej usta raz i potem jeszcze raz, zanim zaczął delikatnie zlizywać kropelki łez, które przez nie spływały. – Czuję miętę... – szepnął.

– To carmex.

– Carmex?

– Tak. Balsam do ust. Miętowy.

– Nie wiem, czy mi smakuje słona mięta.

– Ja też nie wiem.

– Kocham cię. – Nagle objął ją i mocno przycisnął do siebie. – Kocham cię.

– Kamil, ja chyba... Ja chyba nie mogę w to uwierzyć – zaszlochała, wtulając się w niego ze wszystkich sił. – Jeszcze żaden mężczyzna mi tego nie wyznał.

– Ale tak jest. Zakochałem się w tobie. Na początku sądziłem, że to, co czuję, to tylko pociąg fizyczny. Czasami fantazjowałem o tobie, ale z dnia na dzień docierało do mnie, że to wygląda zupełnie inaczej niż przez ostatnie trzy lata, kiedy czasem bardzo brakowało mi kobiety. Wyobrażałem sobie, że śpisz w moich ramionach, że budzę się rano i widzę cię obok siebie. Może dlatego tak długo mi zeszło... – Chrząknął znacząco. – Ja nie mogłem tego zrobić byle jak, naprędce, bo wiem, że tak nie można, gdy się kogoś kocha. Rozumiesz?

– Przysięgnij, że tego nie odwołasz, że nigdy mnie nie zostawisz.

– A ty, że nigdy nie odejdiesz... – dodał.

– Nie odejdę.

Zatopił dłonie w jej włosach, pocałował ją mocno i namiętnie, aż wydała cichy pomruk zadowolenia. Rozchyliła wargi, a ich języki się spotkały; nagle Olga poczuła, że to, co dzieje się między nimi, jest czymś innym niż to, czego dotychczas doświadczała w ramionach mężczyzny.

Kamil obsypywał pocałunkami jej szyję, twarz, szeptał słowa miłości, a ona coraz bardziej odpływała.

– Poczekaj. – Nagle przerwał pieszczoty. – Nie spytałem, czy...

– Już mogę. Minęły ponad trzy miesiące.

– Okej. – Wziął ją za rękę i poprowadził pod zamknięte drzwi sypialni.

– Nie! – wydała zduszony okrzyk, ledwie je uchylił i nacisnął włącznik kinkietów.

Już wiedziała, co od początku jej nie pasowało: na łożu pyszniły się poduszki ubrane w idealnie gładkie i nowe poszewki, a zapach obleczeń dwóch kołder wypełnił całą przestrzeń charakterystycznym kwaśnym zapaszkiem. Ale nie pościel stanowiła problem, a dwa nowiuteńkie i puszyste jak obłoczki dywaniki z owczej skóry.

– Co jest?! – spytał Kamil wystraszony jej gwałtowną reakcją.

Nie odpowiedziała, lecz chwyciła za klamkę i gwałtownie zamknęła drzwi.

Dopiero wtedy wzięła wdech:

– Mam silną alergię na niektóre rodzaje apretury do tkanin.

– E... na co? – Wytrzeszczył oczy.

– Kupiłeś nową pościel i te skóry przy łóżku?

– No... tak – odparł wyraźnie zmieszany. – Przepraszam, nie wiedziałem.

– Chodźmy stąd. – Teraz to ona pociągnęła go za sobą w stronę gościnnego pokoju.

– Poczekaj. Tu chyba będzie lepiej. – W momencie postanowił, że pokój dzieci jest najbezpieczniejszy, i tam zaprowadził Olgę. – Cały dzień się wietrzyło – wyjaśnił.

– To ja przepraszam, widziałam, że bardzo się postarałeś – szepnęła zawstydzona.

Choć zaledwie rzuciła okiem na sypialnię, zauważyła, że Kamil ustawił na nocnych szafkach kilka zapachowych świec, a tuż obok łóżka stał kubełek z szampanem i taca z kieliszkami oraz mała miseczka z truskawkami.

– Nic się nie stało – odparł, podchodząc do okna. Zamknął je i zasunął roletę.  
– No cóż, jakoś musimy sobie poradzić – stwierdził, ściągając z łóżek dzieci kołdry, poduszki i kilka małych jaśków o najróżniejszych kształtach.

Uformował z nich coś na kształt legowiska i gestem ręki pokazał Oldze, żeby się położyła.

– Ledwie cię widzę.

– Poczekaj chwilę, popatrz w górę – powiedział, gdy już umościła się na tymczasowym łożu, które nieodparcie kojarzyło jej się z tym opisywanym w baśni Andersena o księżniczce na ziarnku grochu.

Sufit sypialni pokrywały kremowobiałe gwiazdki. Były takie tylko w dzień, wtedy ledwie się odcinały od jego powierzchni. Teraz lekko fluoryzowały, zasilone dziennym światłem.

– Noc pod gwiazdami? Jak romantycznie – westchnęła cicho Olga. – Nie zauważyłam ich wcześniej.

– Wczoraj je przykleiłem – przyznał się po chwili.

Uklęknął tuż obok niej i włączył małą lampkę. Chciał widzieć Olgę, chciał nakarmić oczy jej pięknem, choć już postanowił: ani słowa o tym, jak bardzo mu się podoba. To było trudne. Gdy zdejmował z Olgi kolejne sztuki odzieży: spódnice, pończochy, resztę bielizny – słowa same cisnęły się do ust.

Miał ochotę wykrzykiwać, że jest śliczna, piękna, oszałamiająca, że ma cudowną skórę, delikatną jak prawdziwy jedwab. Pragnął zarzucić ją tymi wszystkimi sztampowymi komplementami i tymi oryginalnymi również. Mimo to milczał, a jedyne, czego nie kontrolował i co działo się bezwiednie, to świst powietrza wciąganego głęboko do płuc i coraz szybciej poruszające się dłonie.

Szybko pozbył się swoich ubrań i ułożył tuż obok Olgi.

– Przepraszam za tę pościel i... – powtórzył jeszcze raz.

– Skąd mogłeś wiedzieć? – nie pozwoliła mu dokończyć.

– Mogłem przewidzieć.

– Tu jest dobrze.

– Kocham cię, wiesz? – spytał, wiodąc opuszkami palców po jej ciepłym policzku.

Nie oczekiwał, że zrewanżuje się tym samym wyznaniem. Nie musiał tego słyszeć, dość było, że widział, z jaką ufnością Olga na niego patrzy. To na razie musiało mu wystarczyć. Pogładził jej aksamitne ramię, z twarzy odsunął zbłąkany kosmyk, odsłaniając zaczerwienione oczy Olgi.

– Kamil... – zająknęła się, chwytając go za rękę. – Boję się.

– Czego?

– Chyba wszystkiego.

Co jej miał powiedzieć? Że boi się jeszcze bardziej? Gdyby tak zrobił, straciłby ją na zawsze. Nie mógł sobie na to pozwolić. Zaciśnął na moment zęby. „Będzie dobrze, będzie dobrze” – powtórzył w myślach.

– Nie bój się. Jestem tu. – Zagarnął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. – Gdyby coś się działo, gdy cię zaboli, natychmiast daj mi znać, dobrze? – szepnął najciszej jak mógł.

Musiał to powiedzieć. Olga nie odezwała się, wtuliła się jeszcze mocniej w ramiona Kamila, żalując, że nie wypila trzeciego kieliszka wina, ale szybko odepchnęła tę myśl. „Chcę to przeżyć najgłębiej, najmocniej i świadomie” – postanowiła. Była pewna, że Kamil zaraz położy się na niej, ale chyba na razie nie miał takiego zamiaru. Ku jej zaskoczeniu odsunął ją lekko i poprosił, żeby zamknęła oczy.

Jego dłoń zaczęła nieznośnie powolną wędrówkę od jej szyi, wkrótce potem dołączyły do niej usta. Pokrywały skórę Olgi muśnięciami lekkimi jak dotyk piórka, schodząc coraz niżej i niżej. Koniuszek języka Kamila zataczał kółka wokół brodawek piersi, żeby chwilę później zatańczyć wokół pępka i nad wzgórkiem łonowym. Z każdą chwilą Olga rozpalała się coraz bardziej, lecz jej strach rósł razem z pożądaniem. Chciała skłamać, powiedzieć, że nie lubi gry wstępnej, poprosić, żeby Kamil wziął ją szybko, nawet brutalnie, a z drugiej strony było jej tak dobrze, gdy pieścił każdy najmniejszy, najbardziej skryty fragment jej skóry.

Poczuła, że przesunął się jeszcze niżej, a jego ciepłe dłonie chwytają za jej kolana i delikatnie, powoli je rozchylają. Nie pamiętała, żeby któryś z jej kochanków pieścił ją tam ustami, to było tak dawno. Świadomość, że Kamil zaraz zacznie to robić, przyspieszyła już i tak oszalałe tętno.

– Kamil... Proszę, weź mnie. Już. Chcę cię poczuć w sobie – jęknęła, unosząc głowę i wyciągając przed siebie ramiona. – Tak długo kazałeś mi na siebie czekać.

– Obejmij mnie. Mocno – szepnął, zawisając nad nią, tak jak prosiła.

Zarzuciła ramiona na jego kark, wcisnęła policzek w miejsce między obojczykiem a szorstką brodą. Gdy w nią wszedł, jęknęła. Kamil natychmiast zastygł, ale oplótł jego plecy nogami i docisnęła się jeszcze bardziej, jakby chciała się weń wtopić, przylgnąć każdym centymetrem ciała, dając mu jednocześnie znak, że wszystko z nią w porządku. Tak bardzo się bała, nawet nie bólu, a tego, że to Kamil się nią rozczaruje, że już nigdy więcej nie będzie chciał się z nią kochać.

– Czy...

– Jest dobrze – przerwała mu.

Już nic nie mówił, choć pytania same cisnęły się na usta. Bał się o nią, że ją skrzywdzi, narazi na cierpienie, ale przecież teraz już nie mógł się wycofać. Starał się być ostrożny, lekko kołysał swoim ciałem, hamując pragnienie szybkiego



osiągnięcia szczytu. Choć to od początku okazało się trudne, bo ledwie poczuł jej miękkie, ciepłe i wilgotne wnętrze, tęsknota za spełnieniem jeszcze mocniej nim zawładnęła.

– Kocham cię – wyszeptał z największą czułością, jaką mógł z siebie wydobyć.

– Kamil... chcę cię mocniej poczuć... – zażądała, w myślach błagając go, żeby przestał być taki delikatny. – Po prostu mnie kochaj.

Posłuchał jej. Wsparty na przedramionach, docisnął lędźwie i przestał myśleć. Przetawiał się wyłącznie na odczucia, które porwały go jak trąba powietrzna, zassały do wewnątrz, powodując, że kompletnie stracił kontrolę. Ale przecież tego właśnie chciała Olga.

Cicho jęknął, osiągając spełnienie.

Resztką świadomości zarejestrował, że nie był sam w tym najpiękniejszym kulminacyjnym momencie, więc z ulgą osunął się tuż obok swojej ukochanej i przez chwilę sycił tą magiczną chwilą, gdy serce bije szybkim rytmem miłości, a gwałtowny i głęboki oddech napętnia tlenem każdą komórkę.

Leżeli obok siebie nadal objęci. Noga Olgi spoczywała na pośladku Kamila, jej ręce oplatały jego szyję, a na płatkach ucha czuł miłe ciepło wydychanego powietrza. Chciał spytać: „Jak się czujesz?”, ale milczał, mając nadzieję, że było jej tak samo cudownie jak jemu. Bo właśnie tak się czuł: cudownie spełniony, szczęśliwy i spokojny, że się udało.

– Kamil...

– Tak?

– Nic nie mówisz.

– Mam zapytać, czy doszłaś? – zażartował.

– Jesteś okropny – burknęła mu wprost do ucha.

– Okropny, że nie spytałem?

– Uhm.

– Doszłaś?

– Ta... doszłam do wniosku, że jesteś... – Zawahała się.

– Jaki?

– Jesteś... – Znów nie mogła dokończyć, bo coś dławiło ją w gardle.

– Było dobrze, prawda? – spytał, mocno ją przytulając. Czuł gorące łzy, które zwilżały ich policzki, ciekły między nimi, i nie musiał słyszeć odpowiedzi. – Wiem. Mnie też było cudownie.

– Jesteś bardzo pewny siebie – mruknęła Olga, starając się, żeby w jej głosie zabrzmiała choć iskierka humoru.

– To raczej zaleta.

– Raczej tak.

– Chce mi się pić. Przynieść ci coś? – zapytał Kamil.

– Chętnie. I gdybyś miał jakieś chusteczki higieniczne, nie byłoby głupio.

– Okej. – Uniósł się na przedramieniu, przez chwilę patrzył na Olgę, próbując utrwalić w pamięci wyraz jej twarzy, widok błyszczących oczu, ust pełnych od pocałunków. Była taka piękna. Aż westchnął, bo jakaś nagła tkliwość ścisnęła mu serce, gdy zauważył połyskujące na policzkach ślady po łzach. – Idę – wykrztusił, bo wzruszenie sprawiło, że głos mu się załamał.

Wrócił dosyć szybko z małą butelką wody mineralnej i rolką papieru toaletowego, bo oczywiście chusteczek nie znalazł. Usiedli naprzeciwko siebie, oparci plecami o łóżka dzieci. Olga wysiąkała nos, a potem opróżniła z rozkoszą połowę butelki.

– O co chodzi z tą pościelą? – spytał Kamil, zmieniając miejsce.

Chciał być jak najbliżej, przysiadł się więc tuż obok Olgi i narzucił na nich oboje jedną z kołderek. Niestety, nie przykrywała ich całych i teraz mógł podziwiać kształtne stopy swojej dziewczyny, żeby dosyć szybko stwierdzić, że są wyjątkowo zgrabne, szczupłe i o pięknych palcach.

– Mówiłam, mam uczulenie na niektóre nowe tkaniny, a dokładnie na to, czym je powlekają – wyjaśniła Olga, zsuwając się nieco w dół, tak że tylko głowę wspierała o miękką krawędź łóżeczka Maksia. – Na apreturę.

– W życiu nie słyszałem o takim uczuleniu. – Kamil pokręcił głową, a potem tak jak Olga również się ciut obniżył.

– Kiedyś chciałam zostać modelką. Oczywiście mama była przeciwna, dla niej taki zawód jest niewiele lepszy od prostytutki, na szczęście ojciec podchodził do tego inaczej. Sfinansował mi profesjonalną sesję zdjęciową, wysłałam portfolio do D'Vision, to najlepsza polska agencja modelek – dodała, widząc, że Kamil nie ma pojęcia, o czym ona mówi. – Przeszłam pozytywnie casting, a po niecałym miesiącu czasopismo „Elle” chciało mnie wynająć do sesji zdjęciowej. Nic wielkiego, parę stylizacji, ale dla mnie to był ogromny sukces. – Nagle zamilkła, bo przypomniała sobie reakcję matki na tę wiadomość i jej słowa: „Dla twojej przyszłości najważniejsze jest stałe pamiętanie o tym, kim jesteś i z jakiej rodziny pochodzisz, a nie to, co sobie wymarzyłaś czy wydumałaś”. Bardzo ją to wtedy zabolowało.

– Zapowiadało się świetnie. – Kamil próbował dodać jej otuchy, bo zauważył, że trochę przygasła.

– Owszem, zapowiadało. Pojechałam na zdjęcia i wszystko było doskonale aż do chwili, gdy weszłam do jednej z garderób, gdzie wisały ciuchy. Zsiniałam, zaczęłam się dusić, wezwali pogotowie i tak się skończyła moja kariera w modelingu. Jedyne, co mogłabym robić, to pozować do aktów, a to mnie niespecjalnie interesuje – zażartowała, wywołując śmiech Kamila.

– Na wszystkie nowe ciuchy jesteś uczulona? – Nagle uświadomił sobie, że wbrew pozorom to poważny problem. – To jak? Nie chodzisz do sklepów?

– Nie na wszystkie. Głównie na futra i wszystkie okrycia z prawdziwych skór. Wystarczy kołnierz z baranka i... – Puściła do niego oczko.

– A ten biały kożuszek, który nosiłaś w zimie?

– Jest sztuczny.

– I co teraz? Dywaniki zwrócę do sklepu, pościel wypiorę, ale pewnie tam jest pełno kurzu z tych nieszczęsnych baranów.

– Odkurz, najlepiej na mokro, wywietrz dobrze, a za kilka dni nie będzie śladu. Poza tym mam zawsze przy sobie inhalator, gdyby coś się działo.

– Żałujesz, że nie wyszło ci z modelingiem?

– Chyba nie. To bardzo nerwowa robota. Kumpela jest modelką, gdy czasami opowiada, co się dzieje na pokazach... – Olga pokręciła głową.

– A ty przecież jesteś taka delikatna – stwierdził Kamil, odsuwając z jej czoła zbłąkany kosmyk włosów.

– Prawdziwa księżniczka na ziarnku grochu – parsknęła pod nosem, zerkając na to coś, co ich otaczało i przypominało teraz rozgrzebaną gawrę jakiegoś wesołego niedźwiadka lubującego się w kolorowych poduszkach o kształcie zwierzątek, samochodzików i serduszek.

– Moja śliczna księżniczka – powiedział Kamil, patrząc na nią z zachwytem w oczach. – Mogę cię o coś spytać? – Chrząknął, bo trochę się wahał, czy może sobie pozwolić na aż taką śmiałość.

– To coś strasznego? – Zauważyła, że nieco się spłoszył.

– Nie wiem, czy strasznego. Fisia... – Chciał powiedzieć, jak wyglądała sytuacja, gdy córka straciła włosy, ale szybko uznał, że chyba nie powinien porównywać emocji dziecka i dorosłej kobiety.

– Chodzi ci o perukę? – domyśliła się Olga.

– Tak. Dlaczego ją nosisz?

– No przecież wiesz, że miałam chemię. – Wzruszyła ramionami, pozornie niedbale, ale zdradził ją zagryziony kącik ust.

– Nie odrosły?

– Odrosły, ale są krótkie. I brzydkie.

– Nasz lekarz mówił, że gdy Fiśka będzie w niej stale chodzić, nigdy nie odrosną ładne i zdrowe. Dlatego zaraz po powrocie do domu zdejmowała perukę.

– Ja też zdejmuję w domu – przyznała po chwili Olga.

Zamknęła oczy, bo nie chciała się rozpłakać, a właśnie tak się działo, gdy przypominała sobie, jakie piękne włosy miała przed chorobą. Była z nich dumna, z ich długości, połysku, gęstości. Uwielbiała słuchać komplementów na ich temat. Nieraz widziała zachwycone spojrzenia mężczyzn, kiedy szła przez Rynek. Wodzili oczami za jej połyskującymi czernią długimi pasmami włosów falujących przy każdym kroku. A teraz? Pozbawione blasku tkwiły ukryte pod peruką, jakby się wstydziły, podobnie do ich właścicielki, że są takie brzydkie.

– Jesteś w domu – dobiegł ją cichy szept Kamila. – Przy mnie nie musisz się krępować. Chciałbym, żebyś czuła się tu dobrze.

– Kamil... – Uniosła powieki i popatrzyła na niego. – Ja czuję się tu dobrze. Zdziwiająco dobrze. Chyba nigdy u nikogo tak dobrze się nie czułam. Może gdy byłam małym dzieckiem, żył mój tato i jeszcze nie przeprowadziliśmy się do tego okropnego mauzoleum, które jest moim domem. Ale to chyba nie jest dobry pomysł, bo... – Nagle zabrakło jej odwagi, żeby dokończyć, a ciałem wstrząsnął stłumiony szloch.

– Kocham cię, rozumiesz? Całą, taką, jaka jesteś. Kocham każdy fragment ciebie, i ten doskonały, i ten niedoskonały. Bo to ty. – Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. – Kocham twoje włosy bez względu na to, jak wyglądają.

– Naprawdę muszę ją zdjąć? Teraz? – Chlipnęła żałośnie.

– Nie musisz, ale mogłabyś. Czemu nie teraz? Dzisiaj? Masz dobrą passę. Oboje ją mamy. Popatrz, udało nam się coś znacznie trudniejszego. Byliśmy razem, kochaliśmy się. Mam ci powiedzieć, jak cholernie się bałem? Więc mówię: bałem się sto razy bardziej niż przed utratą prawictwa, prawactwa, czy jak to się tam nazywa. Dziwię się, że w ogóle mi stanął. A już to, że wystrzelił, zaskoczyło mnie bardziej, niż gdyby Bednarska spod trójki przeszła na islam. Pewnie nie wiesz, ale ona działa w róży różańcowej, to taka organizacja kościelna głównie dla starszych pań.

– Przestań, bo się uduszę smarkami – zachichotała Olga, kolejny raz uświadamiając sobie, że uwielbia poczucie humoru Kamila.

– Okej, już przystawiam tlen. Może być usta-usta? – spytał figlarnym tonem, lekko ją od siebie odsuwając.

– Jeśli lubisz całować usmarkane księżniczki...

– Lubię, ale tylko jedną, moją ukochaną księżniczkę – wyrecytował i sięgnął po rolkę papieru, bo faktycznie z nosa Olgi aż się wylewało. – To jak? Zdejmujemy to coś? – Wskazał brodą na perukę.

– Ty nic nie zdejmujesz – fuknęła.

– Zasadniczo nie bardzo mam co teraz zdjąć. – Kamil podniósł krawędź kołdry i zajrzał pod nią. – Ciuchów brak. Ale zaraz coś wymyślę. Żeby choć sztuczna szczeka albo szklane oko... – mamrotał do siebie, jakby się nad czymś poważnie zastanawiał.

– Wiesz co? Jesteś okropny! – pisnęła Olga, widząc jak Kamil próbuje szarpać za swoje ucho, a potem udaje, że odkręca lewą dłoń, wydając przy tym dziwne odgłosy, przypominające w jego mniemaniu skrzypienie czegoś plastikowego. – Niech ci będzie. Zdejmę tę perukę. Może się wystraszysz i wreszcie zostawisz mnie w spokoju.

– *Yes! Yes!* Po trzykroć *yes!* – krzyknął i zacisnął kciuki.

– Nie pojmuję, czemu ci tak bardzo na tym zależy – burknęła, siadając.

– Czy to ważne? – Nachylił się i wyciągnął rękę w stronę jej włosów.

– Ej! Czekaj. – Złapała go za dłoń. – Nie tutaj. Idę do łazienki. Sama! – warknęła ostrzegawczo. Wstała i owinięta kołdrą, którą ściągnęła z Kamila, skierowała się w stronę drzwi. – Zawołam cię, gdy ją zdejmę i umyję włosy.

– Byle dzisiaj. – Puścił do niej oczko. – Jak już baba dorwie się do prysznic, końca nie widać.

– Słyszałam! – odkrzyknęła z przedpokoju.

Nie posłuchał jej. Ledwie wyszła z pokoju, znalazł swoje bokserki, nasunął na siebie i po cichu poszedł za nią. Stał pod drzwiami łazienki, oparł się o nie plecami i nasłuchiwał odgłosów z wewnątrz. Był w gotowości. Bał się odtrąbić sukces. Choć jeszcze przed chwilą oboje żartowali, domyślał się, że to, co właśnie dzieje się za drzwiami, jest dla Olgi tak samo trudne, o ile nie trudniejsze niż to, co przeżywali, zanim doszło między nimi do zbliżenia.

– Kamil! Gdzie jest jakiś szampon?!

Aż podskoczył, tak głośno krzyknęła. Odsunął się od drzwi, odczekał chwilę i odpowiedział:

– Stoi na wannie.

– Ale to jest szampon z odżywką. Zatłuści mi skórę.

– Nie mam innego.

– Super! To mnie załatwiłeś! – Głos Olgi nie brzmiał przyjaźnie. – Masz jednorazówkę?

– Zamierzasz się golić? Czy wstrzyknąć sobie działkę? Maszynka w szafce nad umywalką, strzykawek nie mam.

– Siatkę! Boże, co za dupka z ciebie! Oszaleję!

– A! Siatkę mam, zaraz przyniosę.

Popędził do kuchni, znalazł jakąś reklamówkę i kontrolnie powąchał ją wewnątrz, czy czasami nie trafił na taką po mrożonych rybach.

– Jestem – zameldował swój powrót.

– Daj. – Olga wysunęła rękę przez lekko uchylone drzwi, które zaraz skwapliwie zamknęła, ledwie chwyciła reklamówkę.

Kamil znów pełnił swoją wartość. Wcale nie zrażał go fakt, że Olga tak na niego pokrzykiwała, i nawet „dupka” zniósł dzielnie i bez zastrzeżeń. Nie był idiotą, słyszał, jak jej głos drżał, podobnie jak dłoń, którą widział przez moment. „Trzymaj się, dziewczyno – myślał, bezwiednie zaciskając kciuki. – Będzie dobrze”.

Woda szumiała i szumiała, w końcu zaczął się niepokoić, czy czasami Olga nie siedzi w środku i nie płacze, a on, zamiast ją wesprzeć, stoi tu jak idiota, ale jak na zawołanie nagle prawie wszystko ucichło. Jedyne, co do niego docierało, to bardzo dyskretny szelest wycieranego ciała i delikatny zapach żelu do kąpieli snujący się razem z parą z otworów w drzwiach.

– Mogę? – Zapukał delikatnie.  
– Chwilkę.  
– Jasne. – Odczekał cierpliwie około minuty i znów zastukał. – Muszę pilnie skorzystać.

– Idź do cioci Wici albo do tej... jak jej było? Bednarskiej?

– Mieszka na parterze. Za daleko. Nie wytrzymam.

– Trudno. – Olga zachichotała.

Owinęła się ręcznikiem, drugi uformowała na głowie w coś na kształt całkiem zgrabnego turbanu i w końcu otworzyła drzwi.

– Proszę. – Odsunęła się, żeby mógł wejść.

– E... będziesz patrzeć? – zagadnął wesoło.

– Ty podsłuchiwałeś i pewnie podglądałeś przez dziury w drzwiach, to i ja mogę. – Założyła ręce na piersiach.

– Okej. – Niczym niezrażony Kamil odwrócił się w stronę toalety.

– Żartowałam. Siusiaj sobie.

Trochę mu zeszło, bo też wziął szybki prysznic. Gdy przyszedł do dziecięcego pokoju, Olga, nadal w obu ręcznikach, siedziała i przeglądała z nudów jakąś książeczkę Maksia. Od razu ją odłożyła i spojrzała na Kamila pytającym wzrokiem: „Co teraz?”.

– Coś mam – powiedział, a ona dopiero w tym momencie zauważyła, że rzeczywiście trzyma jedną rękę za plecami.

– Co?

– Coś specjalnego.

Podszedł i usiadł obok Olgi. Podał jej niezbyt dużą czerwoną kosmetyczkę i poprosił, żeby zajrzała do środka.

– Grzebień? Jakies kapsułki? – mruzczała, wyciągając kolejne rzeczy.

– Mogę cię uczesać? Mam doświadczenie, to ja czeszę Fisię – dodał szybko, widząc reakcję Olgi na swoją propozycję.

– No cóż, moje włosy nie wymagają ani specjalistycznego sprzętu, ani profesjonalisty. Jeśli chcesz, czesz. – Parsknęła nerwowym śmiechem na niezamierzony rym.

– Chcę. – Podniósł się i przeniósł na łóżko, żeby siedzieć za Olgą. Poczul, że lekko zadrżała, ledwie dotknął ręcznika. – Pamiętaj, że cię kocham. Taką, jaka jesteś. – Nachylił się, żeby jej to powiedzieć.

– Zdejmij go i już nic nie mów. Okej? – Olga zagryzła wargi.

– Okej.

Odwinął ręcznik i rzucił go daleko od siebie, żeby nie zawilgocić pościeli, choć po prawdzie ręcznik wcale nie był jakoś szczególnie mokry, bo nie miał od czego się zmoczyć. Włosy Olgi były krótkie. Miały może cztery, góra pięć centymetrów długości i nie wyglądały ładnie, stercząc na wszystkie strony jak

zaniedbana czupryna jakiegoś łobuziaka.

– Nałożę jedną kapsułkę. To doda im blasku i po wyschnięciu nie będą się elektryzować.

– Rób, co chcesz – odparła Olga. W jej głosie brzmiało zrezygnowanie.

Wiedziała, jak wygląda. Przecież codziennie widziała się w lustrze, a precyzyjniej rzecz ujmując: codziennie nie mogła patrzeć na siebie w lustrze.

– Oprzyj się, będzie ci wygodniej. – Kamil delikatnie pociągnął ją ku sobie, tak że mogła siedzieć między jego nogami, a plecy wesprzeć o miękki brzeg łóżka.

– Zamknij oczy i zrelaksuj się. Dobrze?

– Miałaś nic nie mówić – przypomniała.

Słyszała, jak coś pstryka, potem do jej nosa dotarł łagodny, kwiatowy zapach kosmetyku rozcieranego między dłońmi Kamila. Po chwili dotknęły jej głowy: masaż się rozpoczął. Opuszki palców błędziły delikatnie po skórze, wcierały olejek w króciutkie kosmyki, żeby za moment wrócić w okolice małżowin usznych i gładzić wrażliwe miejsca za nimi. Czasami zapędzały się daleko: docierając aż do szyi, podbródka, a nawet obojczyków, żeby po chwili wrócić i znów odbywać swoją łagodną wędrówkę między pasmami włosów.

Kamil na moment przerwał, otworzył szybko drugą ampułkę, zagrzebał jej zawartość w dłoniach i kontynuował, pieczołowicie wcierając olejek w coraz bardziej lśniące włosy swojej ukochanej. Sprawiało mu to przyjemność: świadomość, że może zrobić coś, po czym Olga będzie choć trochę szczęśliwsza, była dla niego w tym momencie najważniejsza.

Sięgnął po grzebień i takimi samymi ruchami jak przedtem ją masował, łagodnymi i posuwistymi, rozczesywał jej włosy, starając się nie szarpać.

– Skończyłem – szepnął, bo zauważył, że Olga zamknęła oczy, i to już na początku masażu.

– Szkoda. Było bardzo... – Przełknęła ślinę. – Przyjemnie.

– Muszę cię zobaczyć – stwierdził, zsuwając się z łóżka. Usiadł przed nią po turecku i przez chwilę badawczo się jej przyglądał.

– I jak?

– Ślicznie. – Poprawił kilka krótkich kosmyków na jej czole. – Możesz wywalić perukę. Ewentualnie schować na Halloween, jeśli obchodzisz.

– Nie obchodzę.

Nie odpowiedział. Wyciągnął rękę i ostrożnie rozsunął brzegi ręcznika, którym owinęła się Olga. Wiódł palcem po jedwabistej skórze, przeciągał opuszką po obojczyku, dotarł do małego wgłębienia, gdzie na moment się zatrzymał, żeby poczuć puls coraz szybciej krążącej krwi.

– Przepraszam, ale muszę to powiedzieć. Ależ jesteś piękna – westchnął, zmieniając pozycję. Przyklęknął przed nią i zdjął z niej ręcznik. Skóra na jej nogach lśniła perłowym blaskiem jak kość słoniowa. Rozchylił je, żeby zobaczyć

bladuróżową kobiecość. – Pragnę cię – wyznał. Oprócz bólu w lędźwiach, czuł mdlący ucisk pod żebrami. Wiedział, że to po prostu miłość. Rozsadzała jego serce z równą siłą, z jaką pragnienie zawładnęło jego ciałem.

Olga wyciągnęła ręce i objęła go. Pocałował ją, a emocje, które czuł przed ich pierwszym razem, wezbrały jeszcze szybciej i mocniej. Smakowała winem, a od skóry bił żar takiego samego pragnienia, jakie było jego udziałem. Odwzajemniała jego pocałunki, splatając swój język z jego językiem. Dopiero teraz nie czuła ani odrobiny skrępowania czy lęku, gdy wsunął palce w jej włosy, gdy drapał jej szyję i lekko kąsał skórę karku.

– Gdybym mógł, zjadłbym cię. Całą. Tak dobrze smakujesz i tak cudownie pachniesz – wychrypiał, układając ją na kołdrze.

– To było śmieszne – zachichotała, ale jej rozbawienie trwało zaledwie krótką chwilę, bo gdy zajrzała w głąb oczu Kamila, pojęła, że ona też chce go całego. Niecierpliwym ruchem zaczęła zsuwać jego bokserki i nie mogła się doczekać, kiedy znów będzie go miała głęboko w sobie, gdy jego ciężar wgniecie ją w twarde posłanie, gdy będzie brał od niej rozkosz, ale i ją dawał. – Chcę, żebyś mnie kochał – wyszeptwała.

– Kocham cię – odpowiedział, na moment zawisając nad nią na wyprostowanych ramionach.

– Ja... Ja też chcę cię kochać, pragnę tego najmocniej jak to możliwe, ale boję się... Boję się kochać, boję się straty, odtrącenia. Rozumiesz? – powiedziała cicho, prawie bezgłośnie.

– Rozumiem. – Pochylił się i pocałował ją najczulej, jak mógł. – Zanim przełamiesz swój strach, będę kochał za nas oboje. Moje serce jest bardzo pojemne, przecież ci mówiłem.

Wszedł w nią szybko i stanowczo, ale po kilku ruchach zwolnił tempo. Pragnął, żeby ta chwila trwała jak najdłużej. Poruszał się wolno, czując jak wzbierają w nim ekstaza i poczucie jedności z ukochaną kobietą, jak przenikają przez każdy mięsień i bezlitośnie doprowadzają go do spełnienia. Jego i Olę. Czas przestał istnieć, liczyła się tylko ta chwila rozciągnięta w nieskończoność. Oboje słyszeli bicie własnych serc, gdy zrównały się w rytmie rozkoszy.

*La petite mort.* Tym razem doznanie prawie zabiło Olę. Chyba pierwszy raz pojęła znaczenie określenia „mała śmierć”. Kamil zsunął się z niej, a ona leżała i leżała, chwytając powietrze i myśląc, że jeszcze nigdy nie było jej tak dobrze z mężczyzną. Deszcz rozdzwonił się o szyby, gdzieś w głębi mieszkania dudnił głucho telewizor, ale Oldze wydawało się, że nigdzie nie może być lepiej niż tu, na twardej podłodze pomiędzy łózkami i w skłębionej pościeli pachnącej dziećmi Kamila. Przepelniona błogością otworzyła oczy i posłała mu czułe spojrzenie.

– Zostań na noc – poprosił. – Chcę rano mieć cię obok siebie.

– A gdzie będziemy spać?



– Przyniosę dmuchany materac.

– Dobrze, zostanę.

Nie mogła zasnąć. Jeszcze nigdy nie spędziła całej nocy z mężczyzną u boku. Wtulona w Kamila, przywarła do niego plecami, a ciepły oddech pieścił jej kark, wzbudzając w niej myśli, że znów chciałaby się z nim kochać. To było jednocześnie i cudowne, i straszne, bo ciągle się bała, że śni. Że obudzi się i wtedy znów będzie jak pół roku temu. Przypomniała sobie słowa Izy, gdy niedawno rozmawiały o Hajduku, bo już teraz mogła o nim rozmawiać bez tego nieznośnego ucisku w żołądku: „Łatwo ucześcić się jednego człowieka. Myślimy, że ten ktoś do nas należy, a to nieprawda. Musisz dopuścić do siebie innych ludzi. Życie przeszłością, rozpamiętywanie tego, co było, zawsze wywołuje uczucie pustki, bez względu na to, czy wspomnienia są miłe czy przykre. Dlatego przestań. Po prostu przestań. Nie myśl obsesyjnie, jak było przedtem”. I przestała, właśnie dopuściła do siebie Kamila i czuła się z tym cudownie.

Zasnęła nad ranem, gdy już świtało. Zapadła w głęboki sen i kiedy Kamil obudził ją delikatną pieszczotą, przez moment nie wiedziała, gdzie i z kim jest. Dotarło to do niej, dopiero gdy otworzyła oczy i przez senną mgłę zobaczyła leżącą tuż obok jej twarzy małą poduszkę Maksia z wizerunkiem ukochanego Sponge Boba.

– Dzień dobry. – Zza głowy dobiegł szept Kamila.

– Dzień dobry.

– Na dzień dobry mam prośbę do ciebie. Olgo, wyjdź za mnie – powiedział. Pomyślała, że chyba jednak jeszcze śpi. Szybko zamrugła powiekami, przetarła oczy, ale nie pomogło, bo Kamil ponowił prośbę.

– Mówisz serio? – szepnęła, patrząc w rozjaśnione słonecznym blaskiem okno.

– Tak. Wyjdź za mnie. Zostań moją żoną. – Przytulił ją mocno. Jego ręka błądziła po jej brzuchu, aż dotarła do piersi. Zamknął jedną z nich w dłoni i lekko ścisnął. – Chcę codziennie tak się budzić. A ty?

– Ja też.

– Ale... – odpowiedział to, co jeszcze nie zabrzmiało.

– Ale... Czy nie znamy się zbyt krótko?

– Zbyt krótko, żeby się zakochać? Żeby się poznać? Kocham cię i to wystarczy.

– A gdzie będziemy mieszkać?

– Tu.

– Zawsze?

– Nie wiem, czy zawsze.

– A co ze ślubem? Mówisz o cywilnym?

– Nie. Mówię o ślubie konkordatowym. W kościele. Chcę przystępować

do sakramentów, to dla mnie ważne – powiedział spokojnie, ale bardzo stanowczo.

– Kamil, ale przecież... – zająknęła się.

– Weźmiemy ślub jednostronny.

– To znaczy?

– Przysięgnę ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską, a ty przyjmiesz moją przysięgę – wyjaśnił.

– Ale to nie w porządku. – Olga usiadła, nasunęła na piersi brzeg kołdry i odwróciła się, żeby widzieć twarz Kamila. – To nie fair. Ty dajesz mi wszystko, mówisz, że mnie kochasz, a ja... A ja nawet nie powiedziałam, że cię... – Głos uwiązał jej w gardle.

– Nie powiedziałaś też, że mnie nie kochasz.

– Kamil... Jesteś... – Zagryzła wargi, żeby się nie rozplakać. – A co z dziećmi? Nie wiemy, czy tego chcą. Musisz się z nimi liczyć, bo przecież to one są dla ciebie najważniejsze.

– Jesteś dla mnie tak samo ważna. – Usiadł naprzeciw niej. – Tak samo. I nie martw się niepotrzebnie. Rozmawiałem z nimi.

– I co powiedziały?

– A jak myślisz? – Wyciągnął dłoń i delikatnym ruchem założył odstające pasemko włosów Olgi za ucho. – Kochają cię. Jeszcze tego nie zauważyłaś?

– Ale jak to możliwe? Tak szybko?

– Nietrudno cię pokochać.

– Właśnie dlatego tak cię lubię. Mówisz same miłe rzeczy – stwierdziła żartobliwie Olga, bo zrobiło się dziwnie patetycznie, a ona czuła, że jeszcze chwila i znów się rozplacze.

– Mówię prawdę. Mam tylko jedną wątpliwość, a mianowicie, czy to dla ciebie nie problem, że zarabiam mniej od ciebie? – Puścił do niej oczko.

– To raczej ty mógłbyś mieć problem – odpowiedziała po chwili namysłu. – Bo tak to jest, że mężczyzna ma więcej zarabiać i choćby stado feministek twierdziło, że to nieprawda, przeciętny samiec czuje ból, gdy pensja żony jest choćby dwa razy wyższa.

– Hm... Widocznie nie jestem przeciętnym samcem. – Zaśmiał się. – Albo brak mi doświadczenia i dopiero poczuję, jak to jest.

– Pocieszę cię. Czasem myślę, że tacy jak ja nie potrafią zarabiać. Jedyne, co umiemy, to wydawać pieniądze zarobione przez naszych rodziców. Choć zdarzają się wyjątki.

– Nie potrzebuję pociechy ani twoich pieniędzy. Potrzebuję żony. Więc? – Chwycił jej dłoń i pochylił się, żeby złożyć na niej pocałunek.

– Mam jakiś czas do namysłu?

– Naturalnie, że tak. Zjemy śniadanie, wypijemy kawę i wtedy mi powiesz. Po kawie.

– Żartujesz?

– Nie śmiałybym. Nigdy nie żartuję z poważnych spraw. No... prawie nigdy. – Mrugnął porozumiewawczo. – A teraz zapraszam pannę pod prysznic... – Uniósł znacząco brwi.

– Ale żartowałeś z tym czasem?

– Nie...

## Rozdział 9

Goście dopisali, uroczystość kościelna była wyjątkowo piękna, bo chyba każdej z bez mała trzystu osób podobał się występ chóru i kwartetu smyczkowego, który sprawił, że ceremonia była wzruszająca. Gdy na schodach na młodą parę posypały się ryż i setki migoczących w powietrzu miedziaków, rozległy się brawa. Matka pana młodego nie mogła powstrzymać łez, kiedy z rąk jej syna i synowej wyfrunęły białe gołębie, zatrzepotały skrzydłami, a z nieba opadło na ziemię kilka piórek, które od razu skwapliwie zebrali goście.

Po życzeniach wszyscy udali się za Kraków. Wesele Izy i Arka odbywało się w niedawno otwartym luksusowym hotelu niedaleko Wieliczki. Oczywiście państwo młodzi zarezerwowali noclegi dla swoich gości, zabawa miała więc trwać do białego rana albo i dłużej.

Olga wiedziała, że na imprezie będzie cała ich paczka, nie tylko Adam Soliński, pierwszy raz oficjalnie występujący ze swoim partnerem, lecz także Hugo oraz jego żona. Trochę się obawiała tej konfrontacji. Może gdyby razem z nią i Kamilem byli Fisia i Maksio, byłoby jej łatwiej, ale dzieciaki od kilku dni odpoczywały z rodzicami Ani w Zakopanem. Rzadko widywały się z dziadkami, a czas rozłąki z ojcem nie był długi, bo raptem pięć dni. Już w poniedziałek dzieci wracały do domu.

Ostatecznie Olga doskonale się bawiła, co na początku wcale nie było takie oczywiste, zwłaszcza gdy po prawie pół roku ujrzała swoją pierwszą wielką miłość. Hugo podszedł do nich jeszcze pod kościołem, przedstawił Polskiemu siebie i Łucję, a ona dostrzegła wymianę spojrzeń między Kamilem a Hajdukiewiczami i poczuła się wyjątkowo skrępowana. Z jednej strony oddałaby wszystko, żeby móc zajrzeć do duszy Kamila i poznać jego myśli i uczucia w tym momencie, a z drugiej bardzo się tego bała. Na szczęście nic się nie wydarzyło, poza tym że Łucja złożyła jej gratulacje, powinszowała rychłego zamążpójścia, a z Kamilem wdała się w krótką pogawędkę, naturalnie o dzieciach.

Wszyscy o wszystkim już od dawna wiedzieli. Iza nie omieszkała rozpowszechnić wśród znajomych wieści o tym, że Olga się zaręczyła i że miesiąc po niej też wychodzi za mąż. Trzeba było przyznać, że choć straszna z niej papla, potrafiła tak zorganizować przyjęcie, żeby nikt nie poczuł się źle. Wiedziała, że o ile Olga, jej najlepsza przyjaciółka, jakoś zniesie towarzystwo i obecność Hajdukiewiczów, o tyle konfrontacja: Mateusz Kolasa *versus* Kamil Polski i Olga Becker to fatalny pomysł. Poprosiła Matiasa o rozmowę i po prostu powiedziała, że ze względu na Olgę nie zaprosi go, bo nie chce żadnych nieprzyjemnych sytuacji. Na szczęście Mateusz wcale się nie palił, żeby uczestniczyć w tej imprezie, więc obyło się bez kwasów i obrazy.

– Jest super, prawda? – spytała Olga.

– Tak. Cudownie to urządzili – pochwalił Kamil. – Na pewno nie chcesz

wesela?

– Na pewno. Żadnych wesel, poza tym już za późno. Od początku było za późno na wesele. – Przytuliła się do niego i ścisnęła porozumiewawczo jego dłoń. – Jest dobrze. My, świadkowie, dzieci...

– Sabinki, pani Wicia i Dzidek, i twoja mama – przypomniał jej, że zamierza jechać do matki z zaproszeniem.

– Nie wiem, czy przyjedzie. Wątpię.

– Zobaczymy, nie uprzedzaj faktów. – Kamil krzepiąco pogłaskał ją po rękę.

– Bolał mnie nogi – westchnęła po chwili Olga.

– Chcesz iść do pokoju?

– Jeszcze nie. Dopiero jedenasta. Iza by mnie zamordowała, gdybyśmy teraz wrócili do pokoju.

– Oj tam. Nie zauważy – mruknął jej do ucha Kamil. – Tyle ludzi? Nikt się nie zorientuje, że zniknęliśmy.

– Ta... A nasze puste krzesła?

– Zabierzemy je ze sobą. Popatrz, połowa gości z naszego stolika gdzieś się ulotniła. – Rozejrzał się na boki. Siedzieli przy długim stole na prawie trzydzieści osób, więc tylko z częścią znajomych Olgi i Izy miał szansę się poznać. – Chyba że wszyscy tańczą.

– Tańczą, spacerują, ale na pewno nikt nie poszedł spać.

– Nie chcę iść spać.

– A co chcesz robić?

Kamil przyglądał się Oldze intensywnie. Wyglądała uroczo z włosami ułożonymi w ciut drapieżną i niegrzeczną fryzurkę, z makijażem podkreślającym jej wydatne kości policzkowe i pełne wargi, w prostej sukience w przepięknym malinowym odcieniu.

– Hm... – Chrząknął znacząco.

– Musisz wytrzymać, jeszcze miesiąc. Żadnego seksu przed ślubem. Nie mam sumienia sprowadzać cię na złą ścieżkę – zażartowała Olga i prawie od razu zachichotała, bo Kamil dał jej lekką sójkę w bok. – Idź, zatańcz z Izą. Wypada, żebyś choć raz zatańczył z panną młodą.

– Nie lubię tańczyć, poza tym nie mam takich długich rąk – zaśmiał się, zerkając na przyjaciółkę Olgi. Rzeczywiście, miała wyjątkowo szeroką suknię i wyglądała trochę jak beza.

– Nie lubisz tańczyć? – zdziwiła się Olga. – To dlaczego cały czas ciągniesz mnie na parkiet?

– Bo z tobą lubię tańczyć. Mogę cię złapać tu... – mruknął, obejmując ją i dotykając jej pośladka – i pocałować, i zrobić, co tylko chcę. No, prawie wszystko, co chcę. Bo chcę znacznie więcej – wyszeptał i ugryzł ją lekko w płatek ucha.

– Kamil... – W głosie Olgi zabrzmiała udawana przygana. – Zatańcz z Izą, bo jak nie...

– Będę spał na podłodze?

– N i e w ą t p l i w i e. I sam.

– Uhm. To idę. – Podniósł się z krzesła. Poprawił klapy marynarki i węzeł krawatu, zerknął na Olgę, żeby potwierdzić w jej oczach, że wygląda dobrze, i pomaszerował w stronę stołu, gdzie siedziała panna młoda.

Olga powiodła za nim wzrokiem. Dzisiaj pierwszy raz zobaczyła Kamila tak elegancko ubranego, więc gdy wysiadł z samochodu i ukazał się w pełnej krasie, nie mogła się oprzeć, żeby nie powiedzieć mu... Wyjechali z prawie godzinnym opóźnieniem, na szczęście nikt nie zwrócił na nich uwagi, gdy wchodzili do kościoła bocznym wejściem.

Oparła się wygodnie i z przyjemnością patrzyła, jak jej narzeczony wiedzie na środek sali Izę, lekko się kłania i tańczy z nią walczyka, co wychodzi mu wyjątkowo zgrabnie.

– Mogę się przysiąc? – Soliński przerwał jej kontemplację.

– Adaś?! Och, nie zauważyłam cię. – Olga chwyciła się za serce, które właśnie przyspieszyło jak głupie. Nie miała jeszcze okazji zamienić słowa z Solą i wcale nie ubolewała z tego powodu. Przecież jemu też się dostało, gdy wprowadziła w czyn swoją intrygę z anonimowym listem do Łucji. – Siadaj. – Klepnęła miejsce po prawej stronie.

– Gratuluję. – Adam uśmiechnął się do niej. – Świetny facet.

– Twój też niezły – zażartowała. – Swoją drogą, gdzie się podział?

– Śpi.

– Śpi? – Olga uniosła brwi ze zdziwienia. – Już?

– Nieprzyzwyczajony. Za dużo alko.

– Ups. Nie będziesz miał z niego pociechy.

– Na szczęście to nie noc poślubna. – Mrugnął do niej porozumiewawczo. – Świetnie wyglądasz. Naprawdę dobrze ci w krótkich włosach. I kolor też inny niż zwykle. Jaśniejszy?

– Naturalny. Nie farbuję ich na czarno.

– Fajna fryzurka, podoba mi się – powtórzył komplement.

– Fajna, bo męska? – zażartowała Olga, poprawiając nieco zbyt nerwowym ruchem kosmyki asymetrycznej grzywki. Ciągle nie mogła przywyknąć do tego, że włosy nie otulają jej szyi miękką pelerynką i że nie może ich spiąć ani założyć za ucho niesforenego pasma.

– Męska? Czy ja wiem? Mój Luigi... – Chrząknął znacząco.

– No tak. Masz rację, Luigi chyba rzadko odwiedza fryzjera. – Parsknęła, bo partner Solińskiego mógł się poszczycić jednymi z dłuższych włosów, jakie widziała u mężczyzny.

– Czasem odwiedza. Podciąć końcówki i zrobić jakąś maskę, cokolwiek to jest – odparł Adam.

Przez chwilę milczeli, patrząc na Kamila i Izę wirujących na środku sali. W końcu Olga nie wytrzymała tej dziwnej ciszy między nimi.

– Może wyjdziemy na chwilę na taras? – zaproponowała. – Albo do ogrodu?

– Okej.

Wstali i chwilę później znaleźli się na zewnątrz. Noc była ciepła i parna, wokół niesło się cykanie świerszczy, a z pobliskiego oczka wodnego dochodził rechot żab. Przysiedli na wąskiej ławce, a Olga rozejrzała się wokół, żeby stwierdzić, że nikt im nie towarzyszy, więc na pewno to, co powie, pozostanie między nimi.

– Chciałam cię przeprosić – powiedziała cicho i spojrzała na Adama, licząc na to, że zobaczy w jego oczach wybaczenie. – Jeszcze nie było okazji, żeby zrobić to osobiście, dlatego tak późno.

– W porządku. Przeprosiny przyjęte.

– Posłuchaj, ja... Ja naprawdę bardzo żałuję. Bardzo. Gdybym mogła cofnąć czas... – Zagryzła kącik ust.

– Gdyby tak się dało, ja też wiele bym zmienił. – Adam pokiwał głową. – Ale się nie da. Bywa. Czasami robimy coś, nie myśląc o konsekwencjach. Najgorsze, że to uderza w niewinne osoby. Gdy teraz o tym myślę, uważam, że się nam należało. Mnie, Hajdukowi, ale nie Łucji. Ona oberwała najmocniej, ale to również moja wina. I Hajduka.

– Nie rozumiem. – Olga potrząsnęła głową.

– To ja zaaranżowałem ich spotkanie. Pamiętasz, co było w testamencie jego wujka?

– Tak. Klauzula, że Hugo ma się ożenić przed trzydziestką i mieć dziecko.

– No właśnie. Zaaranżowałem spotkanie Łucji i Hajduka. Teoretycznie razem to wymyśliliśmy, ale ja byłem *spiritus movens* tej akcji. Poznali się, Hajduk ją uwiódł, wkrótce potem okazało się, że Łucja jest w ciąży, a resztę wiesz.

– Czyli ona nie wiedziała nic a nic o tym testamencie? – upewniła się Olga.

– Nie. Dowiedziała się dopiero z twojego anonimu. Uznała, i słusznie, że została wmanewrowana w ten związek, bo Hugo potrzebował właśnie kogoś takiego jak ona: miłej, sympatycznej dziewczyny, która szybko wyjdzie za niego, urodzi mu dziecko i nie będzie zadawać zbyt dużo kłopotliwych pytań. Stwierdziła, że ją podle wykorzystał. To wszystko złamało jej serce – westchnął Adam. – Nie wierzyła Hajdukowi, a on naprawdę się w niej zakochał, ale było już za późno. Szambo wybiło.

– Ale przecież są razem. – Olga zmarszczyła czoło. – To jak? Z tobą się skłócił, bo to ciebie podejrzewał o ten anonim, ale... Nic z tego nie rozumiem. Skoro wiedziała, że ją oszukał i przynajmniej na początku nie kochał, czemu

od niego nie odeszła?

– Dzień po tym, jak otrzymała anonim, dowiedziała się o ciężkiej chorobie babki. To jej jedyna i ukochana opiekunka, nie chciała więc dokładać jej zmartwień. Zawarła umowę z Hajdukiem. Uzgodnili, że wezmą ślub cywilny i będą razem mieszkać aż do otrzymania przez niego spadku, a potem się rozejdą. Miała nadzieję, że do tego czasu jej babka wyzdrowieje albo chociaż jej choroba ustabilizuje się na tyle, że będzie mogła wrócić do niej na wieś.

– Boże... – jęknęła Olga, przykładając na moment dłoń do ust. – Ale... Przecież on już dawno musiał otrzymać ten spadek, poza tym widzę, że...

– Wybaczyła mu. To stało się niedługo przed ich wyjazdem na Słowację. Jeszcze przed twoim listem.

– Gdy wpadłam na pomysł z anonimem, założyłam, że Hugo nie powiedział jej o spadku. Znam go i pomyślałam, że na pewno zachował to w tajemnicy. Na wypadek gdyby jednak wiedziała o testamencie, dopisałam coś od siebie. To, że będzie ciebie podejrzewał o anonim, też przewidziałam. Gdy później przestaliście ze sobą gadać, zrozumiałam, że mój plan się powiódł, choć w części.

– Bo oni nadal byli razem.

– Tak. Oni nadal byli razem – powtórzyła. – Może dlatego nie miałam wyrzutów sumienia. A teraz mi uświadomiłeś, że najbardziej skrzywdziłam Łucję. A ona pierwsza mi wybaczyła. Boże, jestem wstrętna, brzydzę się sobą. – Olga pokręciła głową, pod powiekami poczuła szczypanie łez wstydu. – Nie wiedziałam...

– Daj spokój. Było, minęło. – Adam popatrzył w niebo. – Jakie gwiazdy... W mieście ich nie widać, za dużo świateł. Tu jest całkiem inaczej.

– Inaczej – wykrztusiła z trudem przez ściśnięte gardło.

– Masz. – Podał jej chusteczkę higieniczną. – Nie płacz, bo się rozmażesz.

– Wiem. – Wzięła chustkę i ostrożnie osuszyła oczy. – Łucja zaprosiła mnie na święta. Odmówiłam. Nie chciałam litości i wstydziałam się, a teraz żałuję. Powinam tam iść. Wyciągnęła do mnie rękę, a ja ją odtrąciłam. Jestem beznadziejna. Nie mam pojęcia, czemu taki ktoś jak Kamil chce być ze mną. Wiesz, jaki to dobry człowiek? – zadała pytanie, patrząc na Adama. – On jest taki jak Łucja. Chodząca dobroć. Czemu trafił na kogoś takiego jak ja? Nie pojmuję. Bóg, jeśli istnieje, jest ślepy.

Nagle za ich plecami coś cicho zaszeleściło. Olga odwróciła się, żeby ujrzeć Kamila wyłaniającego się pomiędzy dwóch okazałych rododendronów. Podeszedł tak dyskretnie, że nie usłyszeli go wcześniej.

– Może i tak – zgodził się z nią. – Ale nawet ślepy Bóg widzi wszystko. Kwestia czasu, kiedy zareaguje – powiedział, stając za oparciem ławki. – Mogę się przysiąść?

– Jak dobrze, że jesteś – szepnęła Olga, gdy usiadł obok niej i objął ją



ramieniem.

– Chyba wrócę na salę. Za chwilę ocepiny, może coś złapię? – Adam zaśmiał się, nieco skrępowany sytuacją. Nie miał pojęcia, co z ich rozmowy usłyszał Polski, poza tym kiedyś spotykał się z Olgą i nie wiedzieć czemu czuł się wyjątkowo niezręcznie w obecności jej aktualnego partnera.

– Liczysz na welon? – zażartował Kamil.

– Spróbuję zawalczyć o welon i muszkę. Nie mam innego wyjścia, mój kawaler poległ rażony mocą polskiej wódki.

– Przywyknie.

– Nie sędzę.

– O czym rozmawialiście? Chyba wam przerwałem – zauważył Kamil. Nie uszło jego uwadze, że na policzkach Olgi coś delikatnie błyszczą.

– O błędach.

– Aha... – zadumał się na moment. – Każdy jakieś popełnia. Najważniejsze to je naprawić.

Adam już miał powiedzieć, że nie wszystkie błędy da się naprawić, ale ugryzł się w język. Jeszcze przez chwilę siedział, nic nie mówiąc, w końcu podniósł się z ławki. Stał przed Olgą i Kamilem i uśmiechnął się do nich.

– Mimo wszystko życie jest piękne. Nie uważacie? – Zerknął w stronę, skąd dobiegała muzyka.

– Jest, ale ja ciągle nie mogę w to uwierzyć – szepnęła Olga, przytulając się do narzeczonego.

– Kiedyś uwierzysz – odpowiedział Kamil, całując jej policzek. – We wszystko...



– Na pewno chcesz usłyszeć, o czym gadaliśmy? – spytała Olga, wychodząc z łazienki. – Jest druga w nocy – zauważyła.

– Na pewno. Poza tym chyba chcesz mi to powiedzieć?

– Może tak. – Olga usiadła na brzegu łóżka, zdjęła z głowy ręcznik i palcami ułożyła włosy. – To nie jest fajna historia i stawia mnie w średnio korzystnym świetle. – Zmarszczyła nos.

Wzięła głęboki wdech, żeby dać sobie trochę czasu. Układała w głowie zdania, aby jak najspójniej i najkrócej przekazać Kamilowi to, czego dowiedziała się od Adama. Jakoś poszło, choć nie do końca była zadowolona. Kamil zareagował bezwiednym zmarszczeniem czoła, kiedy wspomniała o chorobie opiekunki Łucji. „No cóż, jestem potworem...” – pomyślała, widząc jego reakcję.

– Teraz, gdy już znam prawdę... – Zawahał się na moment. – Myślę, że bardzo go kochałaś, skoro...

– Skoro stać mnie było na taką podłość? – pomogła mu głosem pozornie

pozbawionym emocji. – Moja miłość została odrzucona, uznałam więc, że Hugo nie ma prawa do żadnej innej. Wtedy myślałam, że go Kocham. Teraz nie jestem tego taka pewna. Może dlatego tak fatalnie zniosłam odprawę, bo była pierwsza i na razie jedyna. To tak, jakbym się potknęła na najczęściej uczęszczanej ścieżce. Na drodze, którą pokonywałam tysiącokrotnie! – Z niedowierzaniem potrząsnęła głową. – Zanim związałam się z Hajdukiem, to zawsze ja kończyłam niesatysfakcjonujący mnie układ. A trochę ich było. Zaczynało się dobrze, wzajemną fascynacją, motylami w brzuchu. Pierwszy był seks, chemia, przyciąganie. Dopiero potem metodycznie poznawałam delikwenta, z każdym dniem odkrywając kolejne defekty. Oczywiście niektóre mi nie przeszkadzały i przymykałam oko. Do czasu. Później przychodziła pora na testy. I tu większość oblewała. Może dlatego, że ci wszyscy chłopcy, bo teraz widzę, że to nie byli mężczyźni, chcieli się bawić. Tylko bawić. I nic więcej.

– Gdy obserwuję moich znajomych i samego siebie, czasem mam wrażenie, że tylko nielicznym z nas wyrosły zęby. Może to i dobrze, bobyśmy się pozagryzali? – wtrącił Kamil.

– Mnie wyrosły. Wszystkie. Byłam inteligentna, skuteczna i konsekwentna. Nie traciłam kontroli. Gdy zbliżyłam się emocjonalnie do Hajduka, nagle pojęłam, że on jest inny. Był poważny, słowny i odpowiedzialny. Wiem, pewnie uznasz, że to śmieszne, ale właśnie tak było. Poczułam coś do niego, bo był odpowiedzialny – wyjaśniła. – Wreszcie to rozumiałam. – Wyraźnie się ucieszyła. – To nie była miłość.

– Tylko jakaś fascynacja jego osobowością? – podsunął Kamil.

– Dokładnie tak.

– Ale czy to nie składowa miłości? Podziw, fascynacja drugą osobą?

– Naturalnie, że tak, ale chyba wiesz, że to nie wystarczy? – Olga przygryzła wargę, bo dotarło do niej, że może była zbyt szczerą.

– Wiem.

– Kamil... – Poprawiła nerwowo włosy, zaczesując je palcami do tyłu. – Ale chyba...

– Nie jestem zazdrosny. Lubię gadać, ale słuchać też umiem. – Uśmiechnął się do niej. – Reasumując, jeśli dobrze cię zrozumiałem i zapamiętałem wszystko, co kiedyś i dzisiaj mi przekazałaś, szukałaś zaradnego życiowo, wiernego, czarującego, zabójczo przystojnego równolatka, ewentualnie trochę starszego od ciebie, który przy okazji powala intelektem i elokwencją, jest romantyczny wobec ciebie, ale zasadniczy w życiu, oczywiście wysportowany i mający jakąś pasję, dobrze, gdy jest nieco mroczny i skrywający jakieś sekrety, nieodgadniony do końca, a jako wisienka na torcie znakomity w łóżku. No cóż, przynajmniej nie jesteś wybredna. I masz sporo szczęścia, bo właśnie trafiłaś na odpowiedniego kandydata – mruknął, przysuwając się do niej.

– Przez grzeczność nie zaprzeczę. – Zachichotała, choć w głębi duszy wiedziała, że jest dokładnie tak, jak mówił: chyba wreszcie znalazła człowieka, który z ufnością spogląda w przyszłość, a jego poczucie humoru potrafi rozproszyć jej wszystkie lęki.

– A na serio... – powiedział, pociągając ją ku sobie, żeby się położyła obok. – To, co dzisiaj usłyszałem, niczego nie zmienia. Rozumiesz? Jesteś specyficznym człowiekiem. Masz taki typ osobowości, w którym suma znacznie przekracza wartość wszystkich składników. Pewnie dlatego coraz bardziej cię kocham – wyznał.

– Kamil... Ja ciągle nie wierzę, że na to zasługuję. I chyba nigdy nie uwierzę. Nie zrozum mnie źle, nie oczekuję twoich zapewnień, po prostu jestem szczerą. – Zamrugła, bo coś zaczęło ją szczytać pod powiekami.

– Szczerą?

– Tak. Kiedy dzisiaj obserwowałam, jak tańczysz z Izką, nagle poczułam... pomyślałam, że jestem cholernie dumna i szczęśliwa, że to mnie wybrałeś. To samo powiedziałam Adamowi, bo jak to? To niesprawiedliwe.

– Jeśli zamierzasz teraz labidzić i biadolić, że na mnie nie zasługujesz, i prawić tym podobne mądrości... – Chrząknął znacząco.

– Nie zamierzam. Do tej pory w moim życiu panowała uczuciowa susza. Jak mogę wzgardzić deszczem? Tą ulewą, która na mnie spada? Kocham ją.

– Susza? Ulewa? Zawsze byłem kiepski z gegry. Oprócz informatyki mój ulubiony przedmiot to chemia. Chemia miłosna – zażartował, zawisając nad Olgą na wyprostowanych ramionach.

– A mój ulubiony to polski. Kamil Polski – odparła.

– Ładnie to powiedziałaś.

– Powiem ci coś jeszcze. Kocham cię. – Wysunęła rękę i objęła go, z całych sił dociągając do siebie.



Kamil zerknął do lusterka. Dzieciaki zasnęły zaraz za Opolem. Spojrzał na siedzącą obok Olgę i wysunął rękę. Dłoń jego narzeczonej była zimna i wilgotna w dotyku jak ryba.

– Nic się nie stało – powiedział, patrząc przed siebie. O szybę uderzały pierwsze nieśmiałe krople deszczu.

– Masz rację. *Nihil novi sub sole*.

– Naprawdę było w porządku – skomentował zachowanie Julii. – Zaprosiła nas na herbatę, pogadała z dzieciakami...

– A potem poprosiła mnie o chwilę rozmowy w cztery oczy – przypomniała mu Olga.

– Nie czuję urazy. Rzadko się widujecie, więc to normalne, że chciała tylko

z tobą pogadać.

– Normalne – odparła cierpko Olga. – Normalne jak cholera.

Przypomniała sobie słowa matki: „Jeszcze zapłaczesz. Wspomnisz moje słowa. To duże dzieci i nigdy cię nie zaakceptują. Zawsze będziesz dla nich kimś jeszcze bardziej nieprawdziwym niż ja i ojciec. My wychowywaliśmy cię od początku, a ta dziewczynka? Przecież ona ma osiem lat. Osiem lat! – powtórzyła dobitnie. – I co to za głupota? Ten ślub połowiczny czy jednostronny? Idiotyzm. A ten twój kawaler to golec. Będiesz całe życie go utrzymywać”. Gdy Olga zaprotestowała, mówiąc, że Kamil jest bardzo honorowym człowiekiem, pracuje, a dzieci mają rentę po matce, Julia Becker wybuchnęła perlistym śmiechem. „Ależ jesteś naiwna. Ludzie mają zakodowaną skłonność do wygodnictwa. Zobaczysz, minie rok, góra dwa, a ty obudzisz się z ręką w nocniku, do którego będzie sikać cała ta trójka. Nie nadążysz go opróżniać. Ale rób, co chcesz. Ojciec przewraca się w grobie, gdy to widzi”. Oznajmiła, że na ślub nie przyjedzie. „Ja do tego ręki nie przyłożę. A co z twoim majątkiem? Zawrzecie intercyzę?” Olga nie odpowiedziała, za to Julia Becker skrzywiła się z niesmakiem i zakończyła krótką pogawędkę stwierdzeniem, że Olga strasznie ją rozczarowała.

– Twoja mama jest bardzo miła. Szkoda, że nie będzie na ślubie, ale za to będą Walczykowie, Sabinki, ta twoja Iza i Arek...

– Na tobie mi zależy i na dzieciach, nie na gościach – przerwała mu Olga. – Na obecności matki też mi nie zależało. Nie wiem, po jaką cholere tam pojechaliśmy. Jestem głupia. Czego się spodziewałam? – Pokręciła głową. – Zapomniałam o tym, co stało się po śmierci taty? Bez sensu. Ten wyjazd od początku nie miał sensu. Szkoda czasu, paliwa i nerwów.

– Ale przecież nie zawsze była taka. Mówiłaś, że miałaś fajne i dobre dzieciństwo.

– Miałam. I co z tego? Mam sobie zafundować lobotomię, żeby skasować ostatnie pięć lat? Tylko te pięć? Wybiórczo, bo przecież poprzednie były takie cudowne? – spytała z wyraźnie słyszalną ironią. Wysunęła dłoń z dłoni Kamila i włożyła ją pod swoją pachę.

– Przeszłości nie można zmienić, ale możemy zmienić sposób jej postrzegania. To od nas zależy, co przechowamy w pamięci, a czego pozbedziemy się bez żalu. To my kiedyś kształtowaliśmy przeszłość, lepiliśmy nasze życie ze zdarzeń. Teraz też możemy to robić, zachowując wyłącznie dobre wspomnienia. I ponoć dzieje się tak bez naszego udziału. Automatycznie wypieramy z pamięci złe chwile.

– Gdzie to przeczytałeś? – ironizowała Olga. Już miała spytać, czy ksiądz mówił o tym na ostatnim kazaniu, ale ugryzła się w język. Przecież Kamil nie był temu winien, że jej matka okazała się tak bezwzględna i bezduszna. – Może ty potrafisz czerpać maksimum zadowolenia z najdrobniejszych rzeczy. Ja niestety

nie.

– Nie złość się. – Wyczuł jej nastrój, zresztą nie musiał szczególnie się wysilać. – Choć złość i tak jest lepsza od smutku. Przynajmniej niesie jakąś energię. Wiesz, co ci powiem? – Zerknął na Olgę. – Czasem życie jest naprawdę do dupy. Ale czego się trzymam? – zawiesił głos. – Chwil, które nie są do dupy. Cała sztuka polega na tym, by umieć je dostrzec. I nie żałuj, że byłaś dzisiaj u matki. Nie żałuj swoich kroków, wyborów i decyzji. Jak są dobre, to świetnie, jak złe, to są doświadczeniem. I najważniejsze... – zawiesił głos – trzeba umieć sobie wybaczyć, gdy podjęło się złą decyzję.

– Jezu... – sarknęła Olga. – Koniecznie napisz poradnik *Jak żyć*. Zbijesz fortunę.

– Żebyś wiedziała, że napiszę. Zaraz po powrocie do domu. Musisz mi jedynie doradzić, co potem zrobić z kasą. Może kupię taki wyczesiurski dom jak twój i nówkę ferrarynę. Koniecznie czerwona... – rozmarzył się.

– Co? – Olga zmarszczyła czoło.

– Ferrari. Młódzież tak mówi – wytłumaczył. Usłyszał parsknięcie śmiechu, dodał więc usłyszane kiedyś powiedzonko: – Jeżeli potrafisz rozbawić kobietę, możesz z nią zrobić wszystko.

– Dupek – wypaliła Olga. – Chciałbyś. A ferrari to wiocha. Kto teraz jeździ ferrari? Co za obciach.

– Obciach to seks w skarpetkach – zripostował. – I oglądanie *Warsaw Shore* też. – Wyszczrzył zęby, bo Olga kiedyś przyznała mu się, że obejrzała kilka odcinków.

– I co cię tak bawi? – burknęła.

– Śmiech to śmiech, nawet ten pusty czy szyderczy przedłuża życie. O! Widzisz, to też ujmę w tym poradniku. Dobre to jest. Muszę zapamiętać.

– Taaa... – odburknęła Olga. – Genialne.

Kamil niczym niezrażony ciągnął wątek, co zawrze w swoim nietypowym poradniku, a ona nie mogła się powstrzymać i co chwilę zatykała usta, żeby stłumić śmiech.

– I z kim tak rozmawiasz? – zapytała po chwili.

– Z nikim. Jak zwykle. Uwielbiam gadać z nikim.

– Czy ty mnie obrażasz?

– Nie śmiałybym.

– Dupek.

– Powtarzasz się. Kłopoty z pamięcią krótkotrwałą.

– Weź się zamknij – burknęła, patrząc w boczną szybę. – Wiesz co? – zapytała po chwili już całkiem poważnie. – Życie często okazuje się inne, niż oczekiwaliśmy.

– Owszem – mruknął.

– To, co teraz czuję... Nie myślałam, że kiedykolwiek będę taka szczęśliwa. Mimo tej głupiej wizyty. To jest nieistotne. Bo mam ciebie. – Popatrzyła na niego.

– No widzisz. Ty masz mnie, a reszta ludzkości? Dlatego napiszę ten poradnik.

– Kamil, możesz choć przez chwilę być poważny?

– Jestem poważny. – Zerknął na nią. – Napiszę i zadedykuję go tobie. Kobiecie, którą kocham...



– Wakacje się kończą – jęknęła z żalem Iza. Rozparła się w fotelu i sięgnęła po szklankę z resztką ciepłego już frappe. – Dobrze, że w listopadzie lecimy na Bali, bo chyba bym się zapłakała. Trzy dni urlopu na podróż poślubną? To jakieś kpiny – sarknęła, przypominając sobie, jak szybko minęły.

– Nie narzekaj, my nie mieliśmy nawet trzech. – Olga zerknęła na swoją prawą dłoń, na której połyskiwała cieniutka złota obrączka. – Wesela też nie mieliśmy. Nawet magii białej kiecy nie poczułam. – Pokazała Izie język.

– Oj tam. Była biała, a że nieco ascetyczna, jeśli chodzi o fason? Zresztą to twój wybór. Ale nadrabiałaś kapeluszem, był genialny. – Cmoknęła z uznaniem. – To szerokie falujące rondo i ta wstążka... – rozmarzyła się. – Dla mnie bomba.

– Rzadko jestem zadowolona z własnego wyglądu, ale tym razem muszę przyznać, że było nieźle – potaknęła Olga, spoglądając na wyjątkowo tandetnie ozdobioną białą dorożkę, która właśnie mijala kawiarniany ogródek. – Ale z tym ryżem i gołębiami to przegięłaś – fuknęła. – I z tym tłumem. Miało być kameralnie, a było... Ech. – Machnęła ręką.

– Chwileczkę, ja powiedziałam tylko garstce znajomych. To nie moja wina, że całe LABBE przybyło, żeby popatrzeć, jak szefowa bierze ślub. Pretensje kieruj do tej swojej Dorotki i swojego szanownego małżonka. – Iza zachichotała, przypominając sobie minę Olgi, gdy weszła z Kamilem do kościoła wypełnionego w połowie pracownikami laboratorium, a w drugiej sąsiadami, kadrą nauczycielską ze szkoły Kamila i sporą gromadą uczniów.

– Nie brałam ślubu. Ja tylko przyjmowałam śluby – doprecyzowała Olga.

– Ale i tak było pięknie. No powiedz, że nie? – Iza pogładziła dłoń przyjaciółki.

– Pięknie – potwierdziła Olga. – Teraz mogę ci się przyznać. Bałam się okropnie, że będzie głupio i jakoś drętwo, bo wiesz... Taki jednostronny ślub, trochę to dziwne i gdyby nie fakt, że Kamilowi tak na tym zależało, nigdy bym się nie zdecydowała.

– A było super – powiedziała Iza. W jej głosie wyczuwało się szczery podziw.

– Uhm.

– A pamiętasz, jak przez witraże zaświeciło słońce, gdy Kamil składał przysięgę? Dokładnie przez to miejsce, gdzie była ta pomarańczowożółta szybka? Twój mąż wyglądał jak zrobiony ze złota. To był genialny moment. Cyknęłam fotkę, ale średnio wyszła. Dobrze, że Inka załatwiła fotografa. I przyjęcie było super. Fajny taki kameralny ślub. Jeśli się rozwiodę, drugi urządzę kameralnie.

– Nieźle. – Olga parsknęła śmiechem.

– Poważnie. Poznałam osobiście wszystkich uczestników przyjęcia, Inkę i Sabinę, Wicię i jej męża. Z każdym przeszłam na ty i nadal byłam przytomna.

– Ta...

– A co z dziećmi? – przypomniała sobie Iza.

– Z przysposobieniem? Przecież zaraz po ślubie złożyliśmy wniosek do sądu. Za dwa tygodnie rozprawa. Prawnik mówi, że to formalność, bo Kamil jest wdowcem, więc zasadniczo nie ma żadnych problemów. Nie musi występować o zgodę do biologicznej matki dzieci. Jedyne, co musieliśmy załatwić, to opinia od biegłego, że dzieci mnie akceptują i przysposobienie odbędzie się z korzyścią dla nich. Zgrzyta tylko kwestia mieszkania. Ja wolałabym mieszkać u mnie w domu, bo dużo miejsca, ogród i wygodna, a Kamil upiera się przy swoim mieszkaniu, bo dzieciaki przyzwyczajone do sąsiadów, szkoły i przedszkola. I mamy impas.

– Ciasno?

– Trochę tak. Nie chodzi o mnie, bo wracam wieczorem, ciuchów nie mam zbyt dużo, zresztą większość została w domu. Chodzi wyłącznie o dzieci. Ten ich pokój jest mały. Już proponowałam Kamilowi, że zamienimy się z dziećmi i oddamy im naszą sypialnię, ale uznał, że to bez sensu, bo i tak dzieciaki nadal będą w jednym pokoju.

– Jakoś się dogadacie.

– Nie mamy innego wyjścia.

– A nie myślałaś, żeby kupić gdzieś na tym osiedlu jakieś większe mieszkanie? Wtedy wilk syty i owca cała?

– Taaa... Już pędzę i kupuję. Wyciągam z konta dużą bankę albo dwie i kupuję cztero- lub pięciopokojowe mieszkanie. Najlepiej dwupoziomowe. I z garażem. Koniecznie podwójnym. A mój mąż skacze z radości, że ma taką hojną żonkę. – Mrugnęła do Izy porozumiewawczo.

– Jezus, przecież macie wspólnotę majątkową. Co twoje to jego. I *vice versa*. Jeszcze do niego nie dotarło? Mógł spisać intercyzę, jak mu tak przeszkadza twoja kasa – fuknęła Iza.

– Nie przeszkadza, bo nią nie szafuję. Uzgodniliśmy, jaką dokładnie kwotę mogę zasilać wspólny budżet, i ani grosza więcej. Kamil jest bardzo zasadniczy, jeśli chodzi o te kwestie.

– Nie może być idealnie – stęknęła Iza. – Ale w którym związku jest?

Sądziłam, że to raczej twój ateizm będzie problemem, a tu patrz: kasa. I to nie jej brak, a nadmiar.

– Ponoć najlepsze związki to takie, gdzie małżonkowie są podobni do siebie. Z tych samych środowisk, z identycznym światopoglądem, poziomem zarobków. Lubiący spędzać wolny czas w ten sam sposób i tak dalej. Już dawno amerykańscy uczeni orzekli, że to z przyciąganiem się przeciwieństw to bzdura – zażartowała. – *Ergo*: według nich kiepsko rokujemy, ale wiesz co? Mam to gdzieś. Pierwszy raz w życiu wierzę, że się uda.

– I tak trzymaj. Będzie dobrze. A jak twoja mamusia? Już się pogodziła z myślą, że jest teściową, a wkrótce formalnie zostanie babcią?

– Wysłała nam prezent. Zestaw porcelany. Nie wiem, ile części, bo jeszcze nie rozpakowałam. Trzy wielkie pudła.

– A życzenia?

– Też. Kartka plus bukiet, przecież widziałaś kuriera pod kościołem.

– A tak! Sorry, ale wtedy myślałam o czymś innym.

– O ryżu. I o gołębiach.

– Też. Myślałam o życiu. O małżeństwie i o takich tam... – Iza na moment odwróciła wzrok.

– Ups. Jakieś problemy w raju? – Olga uniosła brwi.

– W raju? Załóżmy. Bo to jest tak, że tylko na początku małżeństwa niczego nie oczekujesz w zamian. Dajesz, nie czekając na zwrot. A moje kochanie coś ostatnio mnie zaniedbuje. Powiedziałam mu: nie jestem pingwinem, żeby mieć okres godowy raz w roku, a on mi na to, że też ma okres. Ciężki. W pracy.

– I?

– I się martwię. Jeszcze miesiąc temu robiliśmy to dwa razy na dobę, teraz tylko raz. Może mnie zdradza? Jak myślisz?

– Podejmę ambitną próbę zatrzymania opinii o tym wyłącznie dla siebie, gdyż byłaby zbyt ostra – odparła Olga.

– Uhm. Szukam dziury w całym?

– Hm...

– Jestem głupia? – zapytała, a Olga znacząco pokiwała głową. – Okej. *Problem solved*. Jestem głupia. Od razu mi lepiej. Mówiłam, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką?

– Dzisiaj nie.

– To mówię...

## Rozdział 10

– Nie wyobrażam sobie popaść w rutynę, gdy buziak na dzień dobry i na dobranoc staje się tylko pustym gestem na checkliście, ale z drugiej strony rutyna też ma swój urok. – Kamil cmoknął Olgę w policzek.

– Owszem. Chyba że mówimy o rutynowym zostawianiu swoich brudnych



skarpetek przy łóżku... – mruknęła.

– Zostawiłem brudne skarpety?! – Zerwał się, żeby szybko stwierdzić, że nic nie leży na podłodze. – No przecież nie ma żadnych skarpetek. – Popatrzył na żonę pytającym wzrokiem.

– Dałeś się wkręcić. – Zachichotała, bo Kamil wrócił na miejsce obok niej i lekko uszczyptał ją w bok. – A znasz to z palantem?

– Jakim palantem? – zainteresował się.

– Pewna kobieta miała psa i nazwała go Palant. Chodziła z nim na spacer do parku, tam zakładała mu kaganiec i spuszczała ze smyczy. Gdy za bardzo się oddalił, wołała: „Palant!”, a wtedy wszyscy mężczyźni, którzy to słyszeli, odwracali się jak na komendę w jej stronę i patrzyli na nią lub pytali, czy chodzi o nich. Wniosek: na słowo „palant” reaguje każdy facet. Oprócz tych z ubytkiem słuchu. Niestety, drodzy panowie, dajcie się łatwo wkręcać. I sami siebie uważacie za palantów – dodała z uśmiechem.

– Czekaj, czekaj... – Kamil podrapał się po szczeciniastym podbródku. – A gdybym kupił psa i nazwał go dajmy na to Szmata, myślisz, że żadna babka by się nie odwróciła, gdybym tak zawołał w parku?

– Ręczę, że żadna. Nawet ta, która sobie zasłużyła na to miano. Zwłaszcza taka.

– Hm... Ciekawe. Wiesz co? Ja to chyba muszę zweryfikować.

– Nie mów, że kupisz psa, żeby sprawdzić? Choć na pewno dzieciaki się ucieszą. Od razu kupmy dwa – poradziła.

– Pożyczę. Od kumpla. Pójdiesz ze mną do parku i będziemy testować różne obelżywe określenia i reakcje przedstawicieli obu płci, choć nie wiem, czy będzie okazja. – Zerknął w stronę okna.

Trzeci dzień lało jak z cebra. Październik okazał się bardzo daleki od złotej polskiej jesieni, ale prawdą było, że już się kończył, więc miał prawo być równie brzydki jak listopad.

– Paskudnie jest. – Olga zauważyła, gdzie błądzi jego spojrzenie.

– Uhm. Idę nastawić ekspres. Kawusi?

– Pytasz, a wiesz – mruknęła. Leniwie podniosła się z łóżka i zerknęła na swój telefon. Odczytała wiadomość od konserwatora. – Dureń! – syknęła, widząc że znów ma jakiś problem z nowym mindrayem, który uruchomili tydzień temu.

– Co? – Kamil wszedł do sypialni.

– Co „co”? – Podniosła wzrok znad ekranu komórki.

– No przecież mówiłaś coś do mnie.

– Hm... Chyba nie pożyczaj tego psa. Przeżyjesz poważne rozczarowanie.



Olga organicznie nie znosiła świąt, choć musiała przyznać, że te obchodzone pierwszego listopada były najznośniejsze. Przynajmniej nie towarzyszył im cały ten cyrk związany z zakupami. Z drugiej strony zaczęła się mocno zastanawiać, czy nadchodzące po Święcie Zmarłych bożonarodzeniowe szaleństwo też będzie jej tak przeszkadzało, jak w poprzednich latach, i uznała, że powinno być lepiej. Miała wreszcie z kim je obchodzić, a jak powszechnie wiadomo, to dzieci najbardziej cieszyły się z tego okresu.

Na razie wybierała się na grób ojca. Pierwszy raz w towarzystwie. Dotychczas zawsze stała samotnie przy pomniku i patrzyła niewidzącym wzrokiem na wielką, prostą płytę z czarnego marmuru, na której wygrawerowano jedynie imię i nazwisko ojca poprzedzone słowem „Memorabilis” oraz daty jego urodzin i śmierci.

Złożyła kwiaty, a dzieciaki zapaliły znicze. Była ciekawa, czy na tym poprzestaną, i wcale jej nie zaskoczyło, gdy Kamil przeżegnał się i zmówił krótką modlitwę, a Faustyna i Maksio poszli w jego ślady. Nie spytał o zgodę, a ona nie wyraziła sprzeciwu. Już dawno ustalili między sobą, że Olga nie będzie wnikać w kwestie wiary i praktyk religijnych swojej nowej rodziny. Z kolei Kamil zobowiązał się, że nie zamierza w jakikolwiek sposób jej czegoś narzucać czy nawet proponować. Chyba że sama wyrazi taką chęć. Wtedy owszem.

Z cmentarza Rakowickiego pojechali na prądnicki, gdzie spoczywała Ania. Tu zatrzymali się na dłużej. Tym bardziej że pogoda sprzyjała. Było zaskakująco ciepło i słonecznie. Olga już kiedyś była na grobie pierwszej żony Kamila, stała więc nieco z boku i przyglądała się, jak dzieciaki zdobią grób mamy własnoręcznie przygotowanymi kompozycjami z kwiatów i suszonych liści, a potem zapalają znicze, modlą się i cichutko rozmawiają, wiedząc, że nie wolno rozrabiać na cmentarzu.

Nazajutrz wybrali się do Myślenic. Grób rodziców Kamila nie prezentował się równie imponująco jak Eryka Beckera, nie należał też do tych najskromniejszych.

– Kamil... – szepnęła Olga, bo właśnie przez cmentarz przechodziła procesja i ludzie wokół schylali głowę w cichej modlitwie.

– Tak? – Przysunął się do niej.

– Popatrz, przecież to takie same kwiaty, jak wczoraj, na grobie Ani. Mówiłeś, że to pewnie od Sabine, ale jak? Tu też przyjechały? – Wpatrywała się w piękną kompozycję z kalii i białych goździków, tu i ówdzie ozdobioną maleńkimi krwistoczerwonymi pączkami róż, wyglądającymi jak rany na bladym ciecie.

– Może to jakaś moda w tym roku? Jak na te znicze w lampionach z kryształkami? – zapytał po chwili. – Pewnie jacyś sąsiedzi rodziców przynieśli.

– Dwie identyczne wiązanki w dwóch różnych miastach, z dwóch różnych

kwiaciarni? – Olga zmarszczyła nos. – Przecież to niemożliwe.

– Nie mam pojęcia. Zobacz, czy ten tajemniczy ktoś dołączył bilecik, wtedy się dowiesz – zażartował, szepcząc jej wprost do ucha. – Może to Zosia. Ona ma różne pomysły.

– Zbyt gustowne jak na jej preferencje.

– Co racja, to racja – potaknął.

Chwilę się pomodlił i postanowili wracać do Krakowa w obawie, że wieczorem utkną w korkach. Opuszczali cmentarz, gdy nagle jakaś wysoka postawna i tęga blondynka mijająca ich z wózkiem przystanęła i pisnęła: „Konrad?!”.

Kamil stanął jak wryty. Oczywiście dzieciaki natychmiast się zainteresowały tym nagłym spotkaniem, a Maksio z ciekawością zająrzył do wózka, żeby ujrzeć tam maleńkiego dzidziusia śpiącego w najlepsze.

– Eee... Iwonka? – Zmarszczył czoło.

– Iwonka, Iwonka. – Zaśmiała się kobieta. – To twoje dzieciaki? Ożeniłeś się?! – Wlepiała w niego oczy obwiedzione mocno niebieską konturówką. Serio?! Wróciłeś na długo?! Kurczę, myślałam, że chciałeś zostać księdzem, a ty też...

– Tak, to moje dzieciaki. – Kamil bez pardonowo wszedł jej w słowo. – Faustyna i Maksymilian. I moja żona Olga. Wybacz, ale bardzo się spieszymy. Korki – dodał, stanowczym ruchem złapał Maksia za kaptur i odciągnął od wózka. – Lecimy. Pozdrów męża.

– Ale ja... – Iwona Piątkowska chciała dodać, że nie wyszła za męża, lecz nie zdążyła.

Obróciła się i zdumiona patrzyła na nagłą ewakuację szkolnego kolegi, który chwycił swoje pociechy za ręce i tak szybko zmierzał w stronę parkingu, że dzieci co chwilę podbiegały, a za nimi truchtała wysoka jak wieża, zgrabna szatynka w eleganckim skórzanym płaszczu i butach na niebotycznej szpili.

– Boże, jemu to się coś z głową podziało... – jęknęła, a potem szybko zająrzyła do wózka, bo jej śliczna córeńka właśnie objawiła światu, że ma dosyć spania.



– Kamil, zwolnij! – krzyknęła Olga, gdy już pokonali połowę drogi.

Jej mąż odwrócił się i badawczo spojrział w stronę cmentarnej bramy, czy aby czasem Iwonka ich nie goni. Uznał, że niebezpieczeństwo minęło, więc prawie się zatrzymał, szedł wolno i tłumaczył, skąd ta nagła rejterada.

– Iwonka to wariatka – syknął, choć nikogo wokół nich nie było. – Gdybyśmy nie uciekli, gotowa gadać z nami do północy.

– Tatusiu, ona powiedziała, że masz na imię Konrad – zauważyła zdyszana Faustyna.

– Przecież mówiłem, że ma coś z bańką. Wszystko się jej myliło: imiona, daty, fakty. Miała poważne problemy w szkole. Dwa razy ledwie przeszła do następnej klasy. Wie dobrze, jak zresztą pół Myślenic, że byłem żonaty i mam dzieci. Mówię wam, biedna dziewczyna... – potrząsnął głową.

– Mimo wszystko mogłeś z nią choć przez pięć minut pogadać. Trochę głupio wyszło – powiedziała Olga, biorąc go pod ramię. – Zachowałeś się jak jeszcze większy wariat.

– Oj tam. Nie słyszałaś, że wszyscy jesteśmy zaburzeni, ale nie każdy został zdiagnozowany? – zażartował.

– Ale suchar – jęknęła w odpowiedzi.

– Tatusiu... – zagadnął Maksio. – A ja to chyba zapomniałem czapki.

– Jak to? – Kamil spojrzał na synka i dopiero teraz zauważył, że faktycznie Maksio idzie z gołą głową. – Gdzie zostawiłeś? Nie mów, że na cmentarzu, na grobie babci i dziadka. Zresztą i tak nie będziemy się wracać, to przynosi pecha. Kupię ci nową – dodał Kamil, przyspieszając, żeby naprawdę nie opłacało się wracać taki kawał drogi.

– Chyba w wózku. Zostawiłem w wózku dzidziusia.

– Pięknie – burknął Kamil. „Musimy jechać inną drogą, żeby nie wpaść na Iwonę. A jak pobiegnie za nami, żeby oddać tę głupią czapkę?”

– Widząc twoją reakcję, jestem gotowa pomyśleć, że ta blondi też czyniła ci awanse, jak niegdyś panna Zosia – zachichotała Olga, zauważając że Kamil znów podkreślił tempo marszu.

– Myśl, co chcesz – odpowiedział i cmoknął ją w zaróżowiony policzek. – Jesteśmy! – Odetchnął z ulgą.

– Ej... to mój wóz! – zaproponowała Olga, widząc, że Kamil zmierza w stronę lewych drzwi.

– Pozwolisz, że poprowadzę. Znam skrót – oznajmił, ładując się na siedzenie kierowcy.

Podawała mu kluczyki, zauważając, że jest wyraźnie podminowany. Podśpiewywał, co prawie nigdy mu się nie zdarzało, i bębnił palcami o kierownicę, kiedy przez chwilę stanęli na skrzyżowaniu.

– I co robisz?! – wrzasnął nagle, bo kierowca z lewej strony wymusił pierwszeństwo. – No co za idiota! Reguły prawej ręki nie znasz, miękki chuju?! – warknął, choć wiedział, że mężczyzna i tak go nie usłyszy.

Ruszyli. Wyjechali na drogę na Kraków i dopiero wtedy Olga zaczęła chichotać.

– I co cię tak bawi? – spytał Kamil, również się śmiejąc, bo już mu przeszło.

– Chuju... – cicho powtórzyła, mając nadzieję, że dzieciaki jej nie usłyszą. – Za to też jest jakaś opłata? To chyba grzech?

– Inka mówi, że to nie jest grzech – oznajmiła z tyłu Faustyna.

- Inka czasami lubi rzucić mięsem – wyjaśnił Kamil.
- Aha. To czemu mówią, że przeklinanie jest grzechem? – Olga zmarszczyła czoło.
- Przeklinanie tak. Gdy powiesz, żeby ktoś poszedł do diabła albo żeby go szlag trafił.
- Uhm. Wobec tego czym jest klęcie?
- Zwykłym chamstwem – odparł niczym niezrażony Kamil.
- Chamstwem? – zapytał Maksio bardzo uważnie przysłuchujący się rozmowie starszych.
- Tak. I buractwem też.
- Japuk klnie. Mówi kurrrrwa...
- Maksio! Tak nie wolno! – krzyknął jego ojciec i zaniepokojony zerknął do wstecznego lusterka.
- Czemu? Przecież to nie grzech. To zwykle chamstwo...



Wybrali się na spacer. Pogoda sprzyjała, pewnie dlatego większość krakowian ruszyła nad Wisłę, niosąc przed sobą brzuchy wypełnione po brzegi świątecznym jedzeniem. Maksio i Faustyna wzięli ze sobą reklamówkę pełną suchego pieczywa, żeby urządzać ucztę braciom mniejszym, jak zawsze mówił o zwierzętach Kamil.

Niestety, zawartość plastikowej siateczki szybko przeniosła się do ptasich żołądków i Maksio zaczął przynudzać, że bołą go nóżki.

– Robimy orły! – krzyknął Kamil, chwycił dzieciaki za ręce i pobiegł z nimi w miejsce, gdzie leżał jeszcze nienaruszony przez nikogo śnieg.

– Wariat... – Olga zachichotała, widząc, jak Kamil kładzie się na nim, nie bacząc na to, że się zmoczy.

Dzieciaki oczywiście poszły w ślady ojca i tak samo tarzały się w śniegu, piszcząc, bo dostawał się za kołnierze kurtek i brzegi spodni.

– Olga? – Nagle usłyszała za plecami swoje imię. Odwróciła się i poczuła, jak jej serce lekko przyspieszyło.

– Hej! – przywitała Łucję i malutką dziewczynkę trzymaną na rękach przez niezbyt zachwyconego tym niespodziewanym spotkaniem ojca.

– Cześć – burknął Hugo i szybko uciekł spojrzeniem w bliżej nieokreślonym kierunku.

– Hej! Hej! – odpowiedziała wesoło Łucja, wspięła się na palce i spontanicznie odcisnęła buziaka na bladym, chłodnym policzku Olgi. – Co tu robisz sama?

– Nie jestem sama. – Olga wskazała brodą na swoją szaloną rodzinę.

Maksio właśnie usiadł na ojcu okrakiem i próbował wsadzić trochę śniegu

pod jego kurtkę. A Faustyna dzielnie mu pomagała, trzymając tatę za rękę. Cały tercet piszczał, śmiał się i robił mnóstwo hałasu.

– Och! Ale się bawia! Popatrz no. – Szturchnęła męża. – Puść ją tam, a nie ciągle tylko ją nosić i nosić. Oduczysz ją chodzić. – Łucja przewróciła oczami, uważając, że Hugo zdecydowanie przesadza z tą nadopiekuńczością. Całą drogę niósł Marysię na rękach, bo zimno, ślisko i tak dalej. – Nie wzięliśmy wózka do Krakowa – wyjaśniła Oldze. – Przyjechaliśmy na dwa dni do jego mamy. – Popatrzyła z naganą na męża, który dalej stał jak kołek w płocie, a jedyne, co zrobił pod wpływem jej słów, to rozejrzał się wokół, czy ktokolwiek inny puszcza swobodnie takie małe dziecko jak jego córeczka. – No, idźże z nią tam. Nie widzisz, że chce zobaczyć, co oni tam robią? – Łucja potrząsnęła głową.

– Okej – burknął Hugo i posłusznie ruszył z małą w stronę Kamila i rozbrykanej dwójki. Nie miał szczególnej ochoty witać się z Polskim i poznawać jego rozwrzeszczanych dzieciaków, ale dobrze wiedział, że nie warto długo się opierać Łucji, bo jeszcze gotowa zawlec go tam siłą.

– Jak święta? – zapytała Łucja, gdy zostały same i ruszyły bardzo wolnym spacerkiem w stronę kładki Bernatka.

– Fajnie – przyznała Olga. – Bardzo miło. Zaskakująco miło – powtórzyła, choć to i tak nie oddawało nawet promila emocji, których doświadczała przez ostatnie dni.

Chwilami miała wrażenie, że coś ją rozsadzi od środka, to ciepło, które ją wypełniało po brzegi, poczucie bezpieczeństwa, że wreszcie znalazła swoje miejsce na ziemi, i przynależności do kochających ją osób, spełnienia jako żona, mama, kochanka.

– U nas też było super – powiedziała Łucja.

Ku zdumieniu Olgi wzięła ją pod ramię i zaczęła opowiadać. Przez chwilę referowała, jak spędziła te trzy cudowne dni i że dla nich to były pierwsze takie naprawdę wspólne i rodzinne święta, spędzone z całą jej rodziną, czyli klanem Maśników, i co najlepsze, również z teściową i ojcem Hugona, Markiem. Opowiedziała pokrótce burzliwą, ale i romantyczną historię, która towarzyszyła tej parze, na koniec dodając, że po trzydziestu latach Hania Hajdukiewicz i Marek Ornecki wreszcie znaleźli szczęście. – Ty też je odnalazłaś – powiedziała. – Widać po was, że jesteście szczęśliwi. Już na ślubie Izy i Arka zauważyłam, jak Kamil na ciebie patrzy.

– Dzięki – odparła Olga.

– Zawracamy?

– Uhm. – Uszły kilkanaście metrów, a Olga postanowiła, że z czegoś się zwierzy Łucji. – Jeszcze rok temu byłam pewna, że nigdy nie wybiję sobie z głowy Hajduka. Pewnie uznasz, że jestem żalosna, ale naprawdę tak było.

– Życie potrafi zaskakiwać – przyznała Łucja. – A żalosna? Nigdy bym tak

o tobie nie pomyślała. Serce nie służy, mówi moja babcia. Trochę rozumu też trzeba mieć, ale serca więcej – dodała. – Tak dziewięćdziesiąt procent uczuć, a resztę rozsądku.

– Niektórym ciężko przywyknąć do takiej proporcji. – Olga zerknęła na Łucję, która miała na sobie puszystą białą czapkę z zabawnymi uszami jak u jakiegoś misia-maskotki, i bezwiednie się uśmiechnęła. – Fajna ta czapka. Moja Faustynka ma podobną. I szalik. Kupiłam na jarmarku.

– Też mam szalik i też z jarmarku. Hugo kupił mi ten komplet dwa lata temu. – Łucja uśmiechnęła się na wspomnienie Mysiej Pisi, jak określił ją wtedy sprzedawca, i zdegustowanej miny Hugona, gdy wysłuchiwał wierszyków wymyślanych naprędce przez zażywnego kupca.

– Ładnie ci – pochwaliła Olga.

– Hugo mówi, że uwielbia mnie w tej czapce. – Łucja zachichotała.

Przez chwilę spacerowały w milczeniu, ale już po niecałej minucie obie zauważyły Hugona z Marysią, oczywiście niesioną na rękę, i Kamila wlokącego za sobą mokre i brudne jak nieszczęście dzieciaki.

– Najwyższy czas, żebym poznała twoje dzieci – odezwała się Łucja.

– A ja małą Marysię – powiedziała Olga. „Nie pamiętam, kiedy byłam taka szczęśliwa. Chyba nigdy” – pomyślała, widząc Kamila, Faustynę i Maksia, którzy na jej widok zaczęli biec i po kilku sekundach otoczyli ją wianuszkami zimnych i mokrych dłoni, ale ona czuła tylko ich spojrzenia, ciepłe i jasne jak słoneczne promienie.

– Mamolko! Zrobiłem orzeła – pochwalił się Maksio. – Największego orzeła ze wszystkich. Dla ciebie! – Chwycił jej rękę i powiódł za sobą. – Widzisz? – zapytał, ocierając nos rękawem mokrej kurtki. – To mój orzeł dla ciebie. Bo cię kocham. I tatuś też cię kocha, i Fiśka też, ale ja najbardziej. Wiesz o tym?

– Wiem. – Kucnęła i przytuliła go mocno.

## Rozdział 11

Laboratorium przeżywało oblężenie, zresztą zawsze tak było zaraz po sylwestrze i świętach. Ludzie rozpoczynali nowy rok z mocnymi postanowieniami: że schudną, że wreszcie zaczną dbać o siebie, będą regularnie ćwiczyć i rzucą palenie. A do tego potrzebne były wizyta u lekarza i badania. Niezliczone badania, ale głównie te na cholesterol, poziom trójglicerydów, morfologię, próby wątrobowe...

Dorotka stękała, że między drugim a piątym stycznia wyrabia normę półrocznego wyżywienia wampira, jeśli chodzi o ilość krwi wyssanej z pacjentów. Dlatego gdy Kamil, Olga i Fiśka pojawili się pięć minut po wyznaczonej godzinie pobierania materiału, pokręciła głową i ze zbolałą miną poszła jeszcze raz umyć ręce i włożyć już trzeci w tym dniu czysty fartuch.

– Sorki, ale już przed świętami minął termin badań Faustyny – przeprosiła pracownicę Olga. – Jutro Trzech Króli, potem weekend, a Kamil trochę się denerwował – powiedziała, zaciskając wacik w zgięciu łokcia, bo ona też się przebadala przy okazji.

– Wyślę ci wyniki na maila – zaproponowała Dorota.

– Okej, ale poczekam na morfologię. Byle szybko, bo już ich nosi. – Olga zerknęła w stronę drzwi, za którymi parę minut wcześniej zniknęli Kamil i Fiśka. Kazała im wyjść, bo robili tyle szumu, że święty by nie wytrzymał.

– To zaraz. Daj nam pięć minut – odparła Dorota i poszła zanieść próbki swojemu asystentowi.

Wróciła za moment, przysiadła przy swoim biurku i przez chwilę opowiadała, jak bawiła się z szanownym mężem na imprezie sylwestrowej na Słowacji. Właśnie była przy toaście, gdy do pomieszczenia wszedł Grzesio, czyli nowy technik laborant, pracujący w LABBE dopiero trzeci dzień.

– I co? – zagadnęła Dorota niezbyt przyjaznym tonem, bo diagnosta średnio się spisywał. W pierwszy dzień, gdy jakaś ciężarna kobieta zemdlala, Grzesio zasłabł, a dzisiaj niechcący zniszczył materiał pobrany od jakiegoś mocno nabuzowanego pacjenta i trzeba było kłuć go drugi raz. – Masz te wyniki?

– Eee... Mam – powiedział z bardzo niewyraźną miną. – Kierowniczo... – Zerknął na Olgę, czując, że po plecach cieknie mu strużka lodowatego potu.

– Co? Coś jest nie tak?! Coś z Fisią?! – Olga złapała się za serce.

– Nie! Mała ma idealną morfo... – Nie zdołał dokończyć, bo Dorota wstała i wyrwała mu z ręki wydruki.

Szybko przebiegła je wzrokiem, najpierw Faustyny, potem szefowej, a na końcu Kamila.

– Jezu... – jęknęła, widząc ten ostatni wynik.

– Pokaż! – Olga w momencie stanęła obok niej. – Leukopenia...

– Limfocytów T jest za dużo – odważył się odezwać Grzegorz.



– Białaczka? – wykrztusiła Olga.

– Raczej nie, bo przy białaczce występuje nadmiar B. Leukocytoza B – dodał. – Pan Kamil ma strasznie niski poziom płytek, a przy białaczce występuje trombocytopenia – powiedział. – Szczerze, to mogło mi się coś pomieszać z wrażenia, ale zaraz mogę to sprawdzić. – Młodzieniec nerwowo podrapał się po głowie.

– A może ten cholerny mindray znów ma awarię? Jakies durne te wyniki – sapnęła Dorota, bo mimo zmieszania Grześka i tak poczuła się przy nim wyjątkowo niekompetentnie.

– Sprawdźmy na innym – powiedziała Olga. – Masz jeszcze materiał?

– No pewnie – potaknął. – Od każdego. Mogę sprawdzić wszystkie trzy.

Cała trójka z napięciem przyglądała się wynikom z drugiego aparatu. Wyszły prawie identyczne jak poprzednio.

– Boże... – jęknęła Olga, zagryzając wargi.

W najgorszych snach nie przypuszczała, że to u Kamila będzie coś nie tak. Gdy zobaczyła minę laboranta, aż ją zmroziło na moment. „Fisia ma wznowę” – błysnęła pierwsza myśl, a coś boleśnie ścisnęło jej serce. Ułamek chwili później, gdy już wiedziała, że Faustyna jest zdrowa, poczuła lęk o siebie, ale i ogromną, gigantyczną wręcz ulgę, że to nie mała. Teraz ten okropny paraliżujący strach znów zacisnął swoje łapy na jej szyi.

– Trzeba go zawołać. Pobiorę jeszcze trochę i zrobimy dodatkowe badania. Co myślisz, Grzesiek?

– Tak. Ja bym zrobił przede wszystkim CRP, OB, może elektrolity, na pewno próby... – zaczął wymieniać.

– Jasne, jasne. – Dorota pomachała ręką. – Olga, spokojnie. To może być cokolwiek, przechodzona grypa albo zatrucie żołądkowe. Może za dużo sobie pofolgował podczas świąt albo za bardzo poszalał z szampanem. Nie panikuj!

Potrząsnęła nią, choć ta wcale nie zachowywała się jakoś szczególnie nerwowo. Wręcz przeciwnie, stała jak słup soli i intensywnie myślała, kto mógłby jej pomóc. W końcu sięgnęła po komórkę.

– Bądźcie cicho – poprosiła.

Chwilę później do gabinetu wszedł Kamil. Uprzedziła go przez telefon, żeby niepotrzebnie nie martwił się o Faustynę, ale i tak widać było, że się zdenerwował. Dorota jeszcze raz pobrała materiał, a w tym czasie Grzesio poczuł się na tyle pewnie, że postanowił spytać męża szefowej, czy coś mu ostatnio dolegało.

Wprawdzie lekarzem nie został, bo dwukrotnie zabrakło mu odpowiedniej liczby punktów na egzaminach, ale pasja została na zawsze. Uczył się pilnie i sporo pamiętał z kursów przygotowawczych i ze studiów też.

– Czy dolegało? Chyba nic. – Kamil wzruszył ramionami. Zerknął kontrolnie na przestraszoną Faustynę, która stała przy nim i z niepokojem obserwowała

dorosłych. – Co, Fiśka? Chyba nic mi nie dolega? – Zaśmiał się i poczochnął jej włosy.

– Mogę zobaczyć węzły chłonne? – zapytał Grzegorz.

– Tylko proszę nie kazać mi się rozbierać. Żona będzie zazdrosna. – Mrugnął porozumiewawczo do technika.

Grzesiek ostrożnie dotknął szyi Kamila, przez chwilę badał go palcami i nagle wyczuł coś po prawej stronie, tuż pod uchem. Poprosił Polskiego o przełknięcie śliny, potem jeszcze raz.

– I co? – Olga wpatrywała się w niego jak w wyrocznię.

– Moim zdaniem coś tu jest – odparł strwożony młodzieniec. – Jakaś zmiana. Mniej więcej wielkości orzecha. Na węzle chłonnym albo zaraz przy nim.

– To znaczy? Co to jest? – Olga wyraźnie pobladła.

– Ja... Ja nie podejmę się diagnozy. To może być coś ze ślinianką, wyniki z kolei ewidentnie wskazują na jakiś problem z układem limfatycznym. Myślę, że pan Kamil powinien jak najszybciej...

– Dzwonię do Inki – przerwała mu Olga.

– Tatusiu... – szepnęła Faustyna, zadzierając głowę i obdarzając ojca szklistym spojrzeniem. – Ale ty nie zachorujesz?

– Nie zachoruję. Przysięgam. – Kamil kucnął i przytulił ją z całych sił. – Nie zachoruję.



Zjedli obiad, choć prawie nikt nie miał apetytu prócz Maksymiliana wsuwającego z zapalem frytki. Kamil skrył się w sypialni, pogadał z Inką i wrócił, żeby zreferować Oldze rozmowę.

– Wysłała mnie do dobrego onkologa – podsumował. – Ponoć zna jakiegoś. Wraca za dwa, góra trzy dni i wtedy da mi namiary. Najpóźniej w środę. Wysłała listę badań, które według niej powinienem zrobić, jakiś tomograf? Rezonans tych węzłów chłonnych? Mam na komunikatorze.

– A przeczytałeś jej te wyniki dokładnie?

– Wysłałem zdjęcia. Widziała.

– Uhm. – Poczula strach pełznący po całym ciele, jego macki sięgały wszędzie, zaciskając się na sercu i gardle. Chrząknęła i zaczęła mówić. Cokolwiek, byle tylko zagłuszyć ponure myśli i choć na moment nie słyszeć tego słowa: chłoniak. – Kamil, to na pewno nic groźnego. Nie panikujmy. Wszystko na pewno będzie dobrze, przecież jeszcze nic nie wiadomo. Zrobimy te badania i wtedy ewentualnie zaczniemy się martwić. A nawet gdyby coś tam wyszło, to żaden problem. Mam pieniądze, mnóstwo pieniędzy i nie zawaham się ich użyć! – zażartowała, wysuwając przed siebie wskazujący palec. – I nie próbuj mnie powstrzymać!

– Nie będę – zgodził się, kilka razy kiwając głową.

Olgi wcale nie podniosło to na duchu. Wiedziała, że nigdy przedtem nie był tak uległy w kwestiach finansowych, i nagle poczuła, że Kamil się boi. Jeszcze bardziej niż ona.

– Trzeba być dobrej myśli – wykrztusiła z trudem.

– Jestem.

– No właśnie widzę. – Złapała go za rękę i mocno nią potrząsnęła. – Hej! Co z tobą?!

– Nic. Wszystko w porządku. Masz rację. Trzeba być dobrej myśli. – Kamil powoli wstał z kanapy. – Chyba pójdę się położyć.

– Idź, idź. Dopilnuję, żeby dzieciaki nie hałasowały.

Zajrzała do sypialni kwadrans później. Kamil leżał odwrócony tyłem do drzwi, nie mogła więc stwierdzić, czy śpi. Chciała sprawdzić, upewnić się, że zasnął, że odpocznie i gdy się obudzi, będzie w lepszym nastroju, ale ostatecznie cicho wycofała się z sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Palce mężczyzny przesunęły kolejny paciorek różańca.



Minął prawie tydzień, gdy odwiedzili lekarza poleconego przez Inkę. Doktor Kujawik okazał się miłym i wesołym czterdziestolatkiem, co od razu zniechęciło Olgę. „Jest zbyt młody i za dobrze wygląda, żeby być kompetentny” – oceniła, patrząc na wysokiego przystojnego onkologa, błyskającego co chwilę porcelanowobiałymi zębami.

Kujawik zbadał Kamila, zrobił USG węzłów chłonnych i jamy brzusznej, pooglądał wyniki, zlecił całą furę badań laboratoryjnych, dał skierowanie na pozostałe, między innymi RTG płuc, przepisał jakieś leki i zaprosił ponownie za trzy tygodnie.

Olga nie mogła tyle czekać. Nie wytrzymała. Zadzwoiła do Zuzki, koleżanki ze studiów, a ta podała jej namiar na profesora Woźniaka. Doktor zrobił wyjątek dla znajomej córki przyjaciół i zgodził się przyjąć Kamila w niedzielę we własnym domu. Wreszcie Olga poczuła ulgę. Wprawdzie profesor zlecił te same badania co jego poprzednik, potwierdził, że antybiotyk to dobry pomysł, ale dodatkowo zadzwonił do kolegi, również szanowanego profesora Mostowiaka, i poinformował, że nazajutrz w klinice hematologii na Kopernika pojawi się niejaki Polski, lat trzydzieści siedem, na cytometrię przepływową. Poprosił o szczególnie szybką reakcję. Ustalił wszystko z Kamilem i dodał, że proponuje badanie PET jako dodatkowe. „PET znacząco ułatwi diagnozę, niestety trzeba na nie długo czekać, a moje skromne wpływy nie sięgają aż tak daleko, żeby również to przyspieszyć” – oznajmił.

– Zapłacimy, wtedy będzie szybciej – stwierdziła Olga, gdy już wracali

do domu.

– Nie szkoda pieniędzy? – zapytał Kamil, zatrzymując się na czerwonym świetle. – Przecież na NFZ też kiedyś zrobią tego PET-a.

– Na cito za dwa miesiące? Na wynik poczekamy kolejny, a zanim to się stanie, ja osiwieję ze stresu? – burknęła. – Nie ma mowy.

– Co mi pisane, to będzie dane – odpowiedział filozoficznie.

– Kamil! – warknęła ostrzegawczo Olga. – Prosiłam!

– Okej, okej – uspokoił ją ruchem ręki.

W milczeniu dotarli na osiedle.

W poniedziałek odbyła się biopsja, a cztery dni później, w ośrodku Voxel na Wrocławskiej, Kamil poddał się badaniu PET. Lekarz wykonujący badanie poradził Oldze, żeby odseparować dzieciaki przynajmniej na dobę ze względu na środek kontrastujący, który podano jej mężowi. Poprosiła Inkę i Sabę o opiekę. Na wszelki wypadek przez dwa dni.

Dziękowała Bogu, że minęły, bo zanim tak się stało, snuli się z Kamilem po domu jak własne cienie. Nie rozmawiali ze sobą zbyt wiele, nie przekomarzali się, nawet mało co jedli. Faustyna i Maksio potrafili wyrwać z marazmu każdego, więc już pod wieczór w dniu ich powrotu atmosfera znacząco się poprawiła.

Został tydzień. Siedem dni czekania na „wyrok”, jak to ujął Kamil, ale tylko raz, bo spojrzenie Olgi prawie go wgniotło w posadzkę. Najgorsze okazały się wieczory, chwile, kiedy dzieci już spały, a oni zostawali ze swoimi niewesołymi myślami. Z płataniną myśli zbyt trudnych, by je ułożyć, zrozumieć, przetrwać.

„To kara boska za to, że podmieniłam wyniki badań dziecka Łucji i Hajduka – katowała się w duchu Olga, żeby po sekundzie tłumaczyć sobie: – Becker, przecież ty nie wierzysz w Boga, więc jaka kara? – a po chwili próbować to ugryźć logicznie: – Nawet jeśli Bóg istnieje, skoro to ty zrobiłaś krzywdę Hajdukiewiczom, dlaczego miałby karać Kamila? Wobec tego Kamil na pewno jest zdrowy, oczywiście zakładając, że jest Bóg. A gdy Boga nie ma?” – opadały ją wątpliwości.

Rozważała, czy się tym podzielić, ale z kim? Myślała o Ince, niestety, ta wróciła z jednego szkolenia, by po kilku dniach pojechać na kolejne. Sabina też nie wchodziła w grę, bo Olga czuła, że przy niej jeszcze bardziej by się rozsypała. „Z tobą bym chciała pogadać, kochany. Z tobą, ale przecież nie mogę. Nie mogę cię obciążać swoimi lękami. Muszę być twarda i silna. Dzielna i odważna. Wspierająca. Dla ciebie” – uznała, patrząc na Kamila wchodzącego do pokoju.

– Idziesz spać? – spytał. – Jest północ.

– Nie jestem śpiąca. Obejrzę chyba jakiś film – mruknęła, odwracając wzrok w stronę telewizora, którego ekran właśnie oznajmiał, że dekodery zostaną za chwilę wyłączone i żeby nacisnąć któryś przycisk.

– Daj spokój. – Kamil wyciągnął rękę.

Podniosła się z ociąganiem.

– Będzie dobrze. Rozumiesz? – wyszeptał jej do ucha, mocno ją przytulając.  
– Jutro, a dokładnie dzisiaj, wszystko się wyprostuje, a teraz chodź. – Pociągnął ją za sobą w stronę sypialni. – *Będziemy się kochać do rana, a gdy nastanie dzień, ktoś zadzwoni i powie, że to był tylko zły sen...*



Było prawie tak jak w tym naprędcie ułożonym przez niego wierszyku. Ale nie do końca. Kochali się do trzeciej nad ranem, a potem Olga zasnęła. Kamil wstał i poszedł do kuchni. Pijąc wodę, patrzył na leżący na blacie zeszyt Faustyny. Odstawił pustą szklanekę, usiadł przy stole i przez chwilę myślał, czy to, co czuje, to intuicja czy może strach, jakieś zaklęcie rzeczywistości, które spowoduje, że wszystko naprawdę okaże się tylko złym snem.

Wyjął z piórnika długopis, wyrwał podwójną kartkę ze środka zeszytu i zaczął pisać:

*Kochana Olgo,*

*już dawno zasnął, a ja, zamiast leżeć obok Ciebie i chłonąć zapach naszej miłości, siedzę tu sam i piszę ten list, chociaż nie wiem dlaczego. Przecież jeszcze zdążę Ci to wszystko powiedzieć. I zdążę zniszczyć ten list...*

Słowa pojawiały się jedno za drugim, szybko i płynnie. Bez skreśleń i poprawek. Jakby to serce Kamila dyktowało jego dłoni, co ma napisać. Skończył, ale potem dodał jeszcze dopisek. I kolejny.

Przez moment rozważał, czy nie zniszczyć tego listu, bo poczuł wyraźną ulgę, gdy gotowy leżał przed nim. Już się nie bał. Serce zwolniło, przestało łomotać napędzane lękiem o to, co stanie się rano. „Zrobię to później. Jutro” – pomyślał, zabierając kartkę. Znalazł kopertę, schował do środka swój list, zakleił i ukrył w szufladzie z bielizną. – „Jutro ten list nie będzie potrzebny” – powtórzył w myślach, kładąc się obok żony.



Umówili się o piętnastą. Dopiero wtedy doktor Józwiak, która opisywała wynik badania PET, mogła ich na chwilę przyjąć. Przyjechali dwoma samochodami, Olga prosto z LABBE, a Kamil ze szkoły. Urwał się, bo o piątej miał wrócić na wywiadówkę. Zaparkowali na Kostaneckiego. W nocy porządnie dosypało, więc i tam, jak okiem sięgnąć, na poboczach tkwiły zasy odgarniętego śniegu.

Pobiegli, a raczej zajechali po zamarzającej mazi, żeby zdążyć na czas. Doktor Józwiak już czekała. Tak samo jak oni szczęśliwa, że choć w tym jednym jedynym dzisiaj przypadku miała dla pacjenta wyłącznie dobre wiadomości.

– A jak wynik cytometrii? – spytała, jeszcze raz przeglądając dokumenty

medyczne Polskiego. – Macie go może państwo?

– Asystent profesora Mostowiaka zadzwonił dzisiaj rano i powiedział, że jutro będzie do odbioru, ale wynik jest w porządku. Nic nie wykazał.

– Najwyraźniej to ząb – potwierdziła sugestię kolegi, który razem z nią oglądał zdjęcia RTG i wyniki tomografii.

– Ósemka. Prawa, dolna – doprecyzował Kamil. – Nie mam tam żadnej dziury. Nic. Czysto, gładko. Byłem niedawno u dentysty. Chodzę kontrolnie co pół roku i nic nie było. I on nawet mnie nie bolał jakoś strasznie, raczej ćmił lekko, ale to może przez adrenalinę nie czułem bólu? Niedawno się ożeniłem – zażartował.

– Może tak być. – Uśmiechnęła się pani doktor. – Bardzo miło się rozmawia, ale...

– Przepraszamy, my też już musimy wracać. Ja na wywiadówkę, bo jutro Dzień Babci i organizujemy małą akademię ku czci, a żona po dzieci. Są u znajomej, bo... – zaczął, ale Olga mu przerwała.

– Chodź już. – Złapała Kamila pod ramię i po krótkim pożegnaniu z panią doktor wyprowadziła z gabinetu. – Ależ z ciebie gaduła. Moja kochana, zdrowa gaduła – dodała, całując go w policzek.

– Wieczorem zrobię superkolację. Musimy to uczcić.

Dotarli do swoich samochodów, Olga jeszcze raz posłała mu całuska, choć pewnie tego nie zauważył. Wsiadli i oboje w tej samej chwili przypomnieli sobie o kluczach. Wyszli z samochodów i stali naprzeciw siebie, wypatrując się z trudem i śmiejąc, bo żadne nie chciało iść do tego drugiego przez szeroką jezdnię pokrytą coraz bardziej śliską warstwą zamrożniętej wody.

– Rzuć! – krzyknęła w końcu Olga.

– Nie złapiesz. Nie potrafisz.

– Potrafię łapać, to ty nie umiesz celnie rzucać! – odpowiedziała. – No rzucaj, bo zimno. – Zatupełniała w miejscu. – I ciemno, bo latarnie zdechły.

I Kamil rzucił. Klucze poszybowały w niebo, Olga zadarła głowę, żeby je dostrzec. Pojawiły się znienacka, w ułamku sekundy wyciągnęła dłonie i gdy lądowały bezpiecznie, oprócz cichego metalicznego zgrzytnięcia usłyszała coś jeszcze.

Ryk silnika.

Popatrzyła przed siebie. I już wiedziała. Ten huk. Ogłuszający dźwięk uderzenia samochodu o samochód. Włożyła klucze do kieszeni, a potem stała bez ruchu i nic nie mogła zrobić...



– Jestem! – Inka dopadła do Olgi, usiadła obok niej na plastikowym krześle i objęła ją, ale ta od razu strząsnęła jej rękę.

– Nie trzeba. Idź do nich, proszę. Idź do nich, niech coś zrobią – wykrztusiła

z trudem. – Mnie nie chcą nic powiedzieć. Kłamią. Nie chcą powiedzieć, co z nim. Mówią, że on... To kompletnie niedorzeczne... Idź tam! – wychrypią.

– Jasne. Już. – Wstała i podeszła do recepcjonistki stojącej przy ladzie w towarzystwie dwóch policjantów.

Do skulonej na krześle Olgi docierały pojedyncze słowa ich rozmowy: „Jestem lekarzem... przyjaciółką pacjenta... internista... starszy inspektor Koziół, a to posterunkowy Kowal... operacja... reanimowali dwukrotnie... rdzeń kręgowy... wewnętrzne... od razu, jeszcze w ambulansie... zbyt duży ubytek krwi... krwotok... próbowali... strażacy... zakleszczone drzwi... bardzo nam przykro, doktor Musiał robił co mógł, ale... wpadł w poślizg... wyjechał z bocznej uliczki... z Jakubowskiego... tak, próbował hamować, ale ten człowiek to staruszek, spanikował... tak, to nie był jego samochód, pożyczył od sąsiada, bo jego się zepsuł... starszy człowiek, ledwie sam to przeżył... proponowaliśmy coś uspokajającego, ale ta pani odmówiła... tak, rozmawialiśmy... psycholog... nie zgodziła się...”

„Inka na pewno to załatwi. Inka załatwi” – powtarzała w duchu Olga. Podniosła wzrok na cicho rozmawiających z nadzieją, że wreszcie ktoś podejdzie i powie, że z Kamilem już wszystko w porządku, choć stan jest ciężki, ale stabilny, jak nieraz słyszała w filmach lub wiadomościach, ale nikt nie podchodził.

„Przecież on żyje. Mówił do mnie” – przypomniała sobie. Gdy już mogła się ruszyć, podeszła tam. Leżał, a raczej tkwił groteskowo wciśnięty między drzwi jego kombi a ramę. Popatrzył na nią zamglonym spojrzeniem. Z jego ust popłynęła cieniutka strużka krwi.

„Nie panikuj. Nie panikuj. Nie panikuj...” – myślała w kółko.

– Kamil, kochanie... Zaraz ci pomogę – powiedziała łagodnie, jak do dziecka. Rozejrzała się bezradnie. Próbowała odepchnąć te drzwi, uwolnić go, ale dociskała je maska samochodu. Podniosła wzrok. – Proszę pana! Niech pan wycofa! – krzyknęła, ale człowiek we wnętrzu czarnego jeepa nie reagował. Zresztą nie widziała, kto tam siedzi, bo poduszka powietrzna zasłaniała widok. Poczuła, że jej umysł próbuje mknąć w kilku sprzecznych ze sobą kierunkach, a myśli zaczęły rozsadzać głowę.

– Będzie dobrze, zaraz ci pomogę. Gdzieś mam telefon. Poczekaj. – Zaczęła szperać w torebce, ale nie mogła znaleźć telefonu. – Zaraz go znajdę. Poczekaj.

– Nie trzeba, ktoś wezwał pomoc... – wyszeptał Kamil. – Słyszysz?

– Tak. – Zastygła na moment i usłyszała coraz głośniejszy sygnał nadjeżdżającej karetki. Dopiero teraz dostrzegła, że wokół zgromadziło się kilka osób. Stali i patrzyli na nich w kompletnym milczeniu.

– Olga?

– Tak? – Skupiła na nim wzrok.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham. – Nachyliła się i ostrożnie pocałowała go w usta. Zadrżała, czując słodko-słony smak krwi.

– Pamiętaj o dzieciach...

– Wiem, nie zapomnę.

– To dobrze. I pamiętaj, że cię kocham... I nie płacz, proszę...

– Nie będę – odpowiedziała, patrząc na opadające powoli powieki Kamila.

„Mówił, że mam pamiętać o dzieciach. Rozmawiałam z nim. On żyje, bo przecież rozmawiałam z nim” – jeszcze raz powtórzyła w głowie.

Patrzyła na przyjaciółkę, ale ona nadal rozmawiała z policjantami i z niską recepcjonistką w śmiesznych czerwonych okularach.

– Inka... – wymamrotała. – Inka! – Ta natychmiast znalazła się przy niej. – Zadzwoń do Sabiny i powiedz, że się spóźnię. Kamil mi powiedział, że mam pamiętać o dzieciach. Odbiorę je, ale później. Jak już tu wszystko załatwimy. Okej?

– Okej. – Inka przysiadła się jak uprzednio. – Posłuchaj...

– On pewnie nie pójdzie na tę wywiadówkę, ale to nic. Ktoś go zastąpi. Mam pytanie, możemy tam wreszcie iść?

– Ale gdzie? – Inka nachyliła się ku niej.

– Jak to gdzie? Do Kamila. Chcę go zobaczyć. Powiem mu, że wszystko załatwię. On musi mieć samochód. Najwyżej kupimy jakiś albo dam mu swój, a ja będę jeździć tym mojej mamy. Stoi już pięć lat w garażu. Bez sensu, żeby tam rdzewiał. – Pokręciła głową.

– Olga, kochanie...

– Rano zadzwonił doktor Mostowiak. Powiedział, że ta biopsja węzłów wyszła w porządku, a chwilę potem zadzwonili z Voxela. Wyobrażasz sobie, że to przez ząb? Przez głupią ósemkę.

– Wiem, Kamil mi mówił.

– Dzwonił do ciebie? – Ożywiła się Olga. – Kiedy?

– W południe.

– No właśnie. Tak się ucieszyliśmy, że kompletnie zgłupiałam. Kamil świrował, tańczył z dziećmi, rozbił niechcący kubek, a zaraz po wyjściu z klatki wywalił się na chodniku. Bo nie zdążyli posypać solą. Potem on zabrał Fiśkę, ja Maksia i już prawie wyjechaliśmy z osiedla, gdy się zorientowałam, że zapomniałam kluczy do domu. Więc dzwonię do Kamila i mówię: „Musimy się wrócić, bo zostawiłam swoje klucze od domu”, a on, że da mi swoje później. Ale ja chciałam swoje. A on, że też coś zapomniał rano zrobić, ale nie będziemy wracać, bo to przynosi pecha. Wyobrażasz sobie? Pecha! – Zaśmiała się dziwnie, krótko i ostro, prawie szczekliwie. – Przecież wy nie powinniście wierzyć w takie zabobony.

– Nie powinniśmy. Olga... posłuchaj, musimy stąd iść.



– Nie musimy. Wiesz co? Masz tu klucze. – Wyjęła je z kieszeni i wcisnęła w dłoń przyjaciółki. – Jedź do Sabiny i zawieźcie dzieciaki do nas. Ja tu jeszcze chwilę posiedzę. Może ktoś w końcu raczy ze mną pogadać – prychnęła, patrząc z irytacją na przemykających obok nich lekarzy i pielęgniarki.

– Nie możesz tu zostać.

– Nie zostanę długo. Poczekam, aż pozwolą mi się z nim zobaczyć. Porozmawiam i wrócę do domu. Daj mi godzinę.

– Olga, oni ci nie pozwolą...

– Idź – warknęła.

– Nie.

– Idź. Ja wrócę. Będę za godzinę. Obiecuję.

– Okej – odparła po chwili Inka, choć zgodziła się tylko dlatego, że bała się jeszcze gorszej reakcji niż ten upór.

– Poczekaj. Wy tłumacz Sabinie, co się stało. – Olga chwyciła ją za rękę.

– Dobrze.

– Niech powie dzieciom.

– Na pewno?

– Tak. Niech im powie. Ja... – Puściła dłoń Inki i na moment zwiesiła głowę.

– W porządku. Powiem jej.

Została sama. Tkwiła bez ruchu, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. W końcu podniosła się ociężale. Wyszła z oddziału ratunkowego, odprowadzana uważnym spojrzeniem kobiety w czerwonych okularach, ale na szczęście nikt jej nie niepokoił, nie zagadywał, nie wnikał, dokąd idzie, i kolejny raz nie spytał, czy mogą jej jakoś pomóc. Nikt już usłudnie nie zaproponował czegoś uspokajającego, porady psychologa ani kogoś, kto odwiezie ją do domu.

Dotarła do samochodu. Przez chwilę patrzyła na przeciwną stronę ulicy. Już wszystko zostało zabrane. Próbowwała dostrzec jakieś ślady, coś, co wskazywałoby na to, że przed dwiema godzinami rozegrał się tu dramat, ale ktoś posprzątał i zasypał żółtym piaskiem jezdnię. Jasna plama majaczyła w ciemności.

– Boże, mam nadzieję, że jesteś, że naprawdę istniejesz. Chcę w ciebie uwierzyć. Bardzo mocno uwierzyć. Tak z całego serca. Aż do dna mojego jestestwa. Bo muszę mieć kogoś, kogo będę mogła nienawidzić do końca moich dni – wycodziła przez zaciśnięte zęby, a potem wsiadła do samochodu i włączyła silnik.



Zauważyła, że obie odetchnęły z ulgą, kiedy przekroczyła próg mieszkania. Coś do niej mówiły, ale zbyła je ruchem ręki. Zamknęła się w łazience, ochlapała twarz lodowatą wodą, a potem, nie patrząc w lustro, zmyła makijaż. Zmieniła ciuchy na domowe, spięła włosy w kucyk i wyszła.

Odmówiła kawy. A może herbaty z melisy albo zimnej wody? Niczego nie chciała. Ani jeść, ani pić, ani z nikim rozmawiać. Stała na środku przedpokoju i popatrzyła tępo na przyjaciółki.

– Idźcie już – powiedziała.

– Olga, może zostaniemy z tobą na noc? – zaproponowała Inka.

– A po co? – Popatrzyła na nie szczerze zdumiona.

– Żeby... – zająknęła się Sabina.

– Dziękuję. Nie trzeba – oznajmiła.

Nagle uświadomiła sobie, że o kimś zapomniała. „Dzieci...” – pomyślała, patrząc na przyknięte drzwi ich pokoiku. Nagle do niej dotarło, że musi z nimi porozmawiać. Oblała ją fala zimnego potu. Potarła skronie, bo coś zaczęło pisać w uszach. Nagle Sabina chwyciła ją za rękę.

– Mam z tobą wejść? – spytała przez ściśnięte bólem gardło.

– Nie. – Olga wzięła głęboki wdech. – Już i tak zrobiłaś wiele. Dziękuję. – Nachyliła się i pocałowała ją w wilgotny od łez policzek. – Wracajcie do domu. – Obróciła się w stronę Inki, która blada jak trup stała oparta o drzwi wyjściowe.

– Na pewno sobie poradzisz?

– Na pewno. Zawsze sobie radzę. Mam wprawę.

Gdy za Sabinkami zamknęły się drzwi, Olga kolejny raz nabrała do płuc wielki haust powietrza, poprawiła włosy i ostrożnie wsunęła się do pokoju dzieci. Czekwały na nią. Każde siedziało na swoim łóżku, nie płakały, ale ich twarze już zdążyły pokryć się tym charakterystycznym cieniem żalu i cierpienia, a oczy błyszczały zbyt mocno.

Usiadła obok Maksymiliana, a wtedy Faustyna od razu podeszła do nich i przysiadła ostrożnie z drugiej strony.

– Mamolko... – powiedział po dłuższej chwili Maksio.

– Tak?

– Przecież mówiliście rano, że tatuś jest zdrowy – wyszeptał, podnosząc na nią wzrok. – To jak? Zdrowy i umarł? A może Sabcia nas okłamała? Albo Inka?

– Tatuś zginął w wypadku samochodowym – wyjaśniła, starając się nie myśleć o tym, co mówi. Nie widzieć tego obrazu sprzed paru godzin. Nie słyszeć huku uderzenia i szeptu Kamila: „Pamiętaj o dzieciach...”.

– To znaczy, że tatuś umarł? – upewniła się Faustyna, choć przecież była już na tyle duża, żeby zdawać sobie sprawę, że ani Mamolka, ani Sabinki nie oszukałyby ich tak okropnie.

– Tak. Tatuś umarł. Był zdrowy i umarł. Nikt was nie okłamał.

Olga znów poczuła rosnącą gulę. Do oczu cisnęły się łzy. Ale jeszcze nie mogła pozwolić im popłynąć. Jeszcze nie. „Dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćset...” – zaczęła odliczać w głowie, żeby zatrzymać ten proces. Wiedziała, że to marny, ale jedyny w miarę skuteczny

sposób.

– Trochę nas okłamaliście – burknął chłopczyk. – Mówiliście rano, że...

– Wiem. Trochę was okłamaliśmy – szepnęła Olga, przypominając sobie, jak wykrzykiwali z Kamilem, że będą żyć długo i szczęśliwie, i jak Kamil porwał Maksia pod rękę i zakręcił z nim młynka w gościnnym. – Nie chcieliśmy was okłamać. Po prostu myśleliśmy, że... – Nie potrafiła dokończyć.

– Muszę coś znaleźć. – Maksymilian zsunął się nagle z krawędzi materaca.

– Twój smok jest tutaj, był zakopany w pościeli. – Faustyna podniosła gryzak i pokazała bratu.

– Nie o to mi chodzi – mruknął, z powrotem szukając czegoś w szufladce nocnej szafki. – Mam – oznajmił. Wrócił na miejsce i podał Oldze mały obrazek, który dostał od księdza przy ubiegłorocznej kolędzie.

– Kto to? – spytała.

– Nie wiem, ale tatuś tak wygląda. Jest aniołkiem, prawda? – Zerkał to na Olgę, to na obrazek.

– Nie wiem, Maksiu, pewnie jest aniołkiem.

– Tatuś na pewno jest aniołkiem. On był przecież taki dobry... – Faustyna nie mogła dokończyć, jej ciałem wstrząsnął szloch. – A teraz go... a teraz go już nie ma...

Olga pomyślała, że jeszcze sekunda i nie wytrzyma, że zrobi coś strasznego, coś, co choć na chwilę uciszy huragan rozpaczliwych myśli w jej głowie. To okropnie trudne, gdy trzewia wypełnia krzyk, długi i mocny, a człowiek nie może go uwolnić. Nie może, bo ten ryk bólu byłby w stanie zabić kogoś, kto by go usłyszał, i dlatego ona nie może go wypuścić, i dlatego bezradnie patrzy, a rozpacz pustoszy jej serce jak wielkie i silne tornado zamknięte w tym małym pokoju pełnym kolorowych mebelków z Ikei, plastikowych zabawek i dwóch małych, delikatnych i kruchych dziecięcych serduszek.

„Niech coś się stanie! Coś, co zniszczy ten blok, to mieszkanie i nas! Niech spadnie samolot albo wybuchnie gaz, pożar! Niech to się skończy!” – zawyła w duszy, ale nic się nie stało.

Siedziała przy szlochającej Faustynie, międląc w dłoni obrazek i patrząc niewidzącym wzrokiem przed siebie.

– Tatuś jest aniołkiem – wyszeptał Maksio. – Nieprawda, że go nie ma. Tatuś jest w niebie, tam gdzie mamusia, jest aniołkiem...

– Ale przecież już nigdy nie wróci! Tak samo jak mamusia! – przerwała mu Faustyna. Zerwała się z łóżka i stanęła przed bratem. – I co z tego, że jest aniołkiem!!! Ja nie chcę żadnego zasranego aniołka!!! Ja chcę mojego zwykłego tatę!!! – krzyczała, trzęsąc się i szlochając.

– Przecież aniołek nas pilnuje i przynosi prezenty, więc tatuś wróci! – próbował wytłumaczyć.

- Jesteś głupi!!! – Dziewczynka aż zadygotała z wściekłości.
- Mamolko, powiedz, że nie jestem – zaoponował bezwiednie.
- Nie jesteś – równie automatycznie potaknęła Olga.

Nagle Faustyna wpadła w jej ramiona i zanosła się jeszcze większym szlochem. Olga czuła, że ją przytula i głaszcze, ale to działało się jakby poza nią. Za chwilę Maksio wsunął się pod jej ramię, a po chwili dzieci siedziały na kolanach, ledwie się na nich mieszcząc. Trzymała je w pasie, żeby nie pospadały, coś mówiła, lecz to też było poza nią.

– Tatusz wróci – chlipnął Maksio po chwili. – Powiedz, Mamolko, że jutro wróci.

Nagle zapadła głucha cisza. Głucha i gęsta, aż lepka od dziecięcej nadziei, że Mamolka powie: „Tata wróci” i wszystko będzie dobrze, tak jak rano. Ale Mamolka nic nie powiedziała, tylko objęła ich jeszcze mocniej. Dopiero wtedy zrozumieli, że mają już tylko ją.

## Rozdział 12

Ktoś załatwił sprawy związane z pogrzebem. Ten sam ktoś zorganizował stypę, inny pojechał na cmentarz, a jeszcze kolejny do kwaciarni, żeby zamówić wieńce. Ten pierwszy spytał wdowę o rodzaj kwiatów i kolor, po czym sam zdecydował, jakie będą, podobnie ustalił treść napisów na szarfach. Drugi zdobył odpowiednie, ciemne stroje dla dzieci: sukienkę z czarnego weluru ozdobioną białym kołnierzykiem i ciepły płaszcz z wełny oraz ciemny garniturek i kurteczkę dla chłopca w wieku pięciu lat. Ten ktoś od wieńców był w kościele, zadbał o oprawę mszy pogrzebowej, załatwił chór ze szkoły muzycznej i trio smyczkowe, które miało w odpowiednim momencie zagrać *Ave Maria*. I młodzieńca mającego na trąbce wykonać utwór pod tytułem *Cisza*. Temu od cmentarza przypadło jeszcze w udziale załatwienie spraw urzędowych i zakup długiego czarnego płaszcza dla wdowy. I kapelusza.

Bo ciemne, prawie czarne okulary przeciwsłoneczne wdowa miała.

Miała też tygodniowy urlop i pieniądze, które dała „ktosiom”, choć wcale ich nie chcieli, ale ustąpili, gdy zaczęła rzucać banknotami i krzyżeć, że mają natychmiast wziąć od niej tę cholerną kasę. Nazajutrz jeden z nich przyniósł temu od wieńców specjalne małe tableteczki na blistrze z napisem Asentra. Poleciał, żeby dawać je wdowie dwa razy dziennie, rano i po południu.

– Nie wystarczy melisa? – spytał ktoś od kontaktów z księdzem proboszczem. – Albo jakieś inne zioła? Nervosol? Neospasmina?

– Nie. To za słabe. A jak rodzice Ani? Powiadomieni?

– Tak. Wszyscy powiadomieni... – Zawahał się przez chwilę, bo przecież ciągle jeszcze nie było potwierdzenia od jednej bardzo ważnej osoby.

– Przyjdzie cała szkoła – uprzedził ktoś.

– Całe krakowskie LABBE też. I wszyscy nasi znajomi.

– I pewnie pół osiedla. Już na pogrzebie Anuśki były setki luda, a teraz? – westchnął jedyny męski głos w tym gronie.

– Trzeba wszystkich uprzedzić, że ksiądz wystawi w kościele księgę pamiątkową i żeby nikt nie składał kondolencji na cmentarzu.

– Można dodać, że jest za zimno, poza tym dzieci są zbyt małe.


– Tak. Racja. Lepiej nie przedłużać.

– Dzieci wytrzymają. Mają wbudowany bezpiecznik chroniący je przed zbyt silną traumą.

– Fakt, bardziej martwię się o nią.

– Boże, módlmy się, żeby ona to jakoś wytrzymała.

– Wytrzyma. Będziemy jej pilnować.



I Olga wytrzymała. Zaabsorbowana dziećmi, które nie odstępowały jej nawet na krok. Zresztą nikt nie zamierzał się nimi zajmować. Z premedytacją pozostawiono je wyłącznie pod jej opieką. To była mądra decyzja. Musiała się zmobilizować, nie rozklejać, panować nad sobą, bo przecież dzieci...

Ale ktoś ciągle nad nią czuwał. Powiedział stanowczo: „Już czas” i wtedy wyszła z mieszkania, choć jeszcze chwilę przedtem była pewna, że nie jest w stanie. Czuła czyjeś opiekuńcze ramię w kościele, którego właściciel lekkim dotknięciem dawał jej znak, kiedy wstać, kiedy usiąść, klęknąć. Nie wspierał jej, gdy wychodziła z kościoła, trzymając dzieci za ręce, ale na cmentarzu już tak.

Każdy pogrzeb ma kilka krytycznych momentów, a najgorszy jest ten, gdy opuszczają trumnę do grobu.

– Przytul Maksia, niech na to nie patrzy – szepnął jeden głos.

– Popraw mu czapkę, bo odsłoniła uszy – dodał drugi.

– Faustynka potrzebuje chusteczki – podsunął trzeci.

Może dlatego przeoczyła ten moment. Nie słyszała tęsknego zawodzenia trąbki, a może po prostu go nie było?

„Rzuć trochę ziemi na trumnę i idziemy. Jest bardzo zimno”. – To zapamiętała.

Oczywiście była nieco otumaniona lekami, ale nie aż tak, żeby nie wiedzieć, że te wszystkie osoby wokół niej robiły to specjalnie. Odwracały jej uwagę, rozpraszały, choć same też cierpiały, towarzysząc w ostatniej ziemskiej podróży jej zmarłemu mężowi. Gdy później o tym myślała, czuła, że powinna była im za to podziękować. Za to i za wiele innych rzeczy, które zrobiły dla niej w tym dniu. Jednocześnie miała pewność, że nigdy żadna z tych wspaniałych osób nie będzie miała żalu o to, iż nie podziękowała.

Ani pani Wicia i jej mąż Dzidek, ani Sabinki, ani Iza...



Wiedziała, że kiedyś jego rysy zaczną zacierać się w jej pamięci, a zapominanie pomaga złagodzić ból i tęsknotę, ale gdzieś podświadomie pragnęła chociaż na moment znowu go zobaczyć. Mimo to od dnia pogrzebu nie zajrzała ani razu do albumu z ich zdjęciami, a foldery z fotografiami skrzętnie usunęła z pulpitu, żeby przypadkiem na nie nie kliknąć. Wystarczył jej ból, który czuła, gdy czasami Maksio obdarzył ją uśmiechem swojego taty albo tym samym niecierpliwym gestem poprawił opadające na czoło włosy. Może dlatego postanowiła, że pod pretekstem większej wygody spróbuje przekonać chłopca do zmiany fryzury na inną i udało się: od tygodnia Maksymilian szczyił się krótkim językiem.

Jedynym, czemu nie mogła przeciwdziałać, były sny. A w nich widziała Kamila tak wyraźnie, jak kiedyś na jawie. Kiedy przyśnił jej się pierwszy raz, nagle uświadomiła sobie, że znów może oddychać, wciągać do płuc powietrze i czuć, że już nie przygniata ich ten nieznośny ciężar. Kamil mówił coś do niej, śmiał się i żartował, trzymał ją w ramionach, a ona myślała wtedy, że to jest jawa, a wypadek był koszmarnym snem, ale rankiem, gdy się obudziła i dotarła do niej bezlitosna prawda, poczuła, że nie wytrzyma tego, nie znieśie tych porannych rozczarowań.

„Modliła się”, mamrocząc pod nosem: „Błagam, niech on mi się nie śni”, ale uparcie powracał co noc. To wszystko sprawiało jej ten sam przerażający ból o poranku, bez znaczenia, czy to był długi sen, czy krótka chwila, jakieś mgnienie, jedno zdanie rzucone od niechcenia, uśmiech, grymas.

Do ostatnich chwil, zanim zasnęła, powtarzała uparcie w myślach: „Powie mu, żeby nie przychodził, żeby się nie pojawiał”. Wykrzyczę: „Nie chcę cię już nigdy widzieć. Skoro umarłeś na jawie, umrzyj i w moich snach! Wynoś się z mojego życia!”. Bezskutecznie. Gdy tylko stawał przed nią, zapominała o tym. Przywierała do niego całą sobą, a jedyne, co mogła wtedy myśleć i mówić, to to, że go kocha. A potem się budziła, gwałtownie wciągając powietrze, gdy docierało do niej, że Kamil nie żyje.

Po dwóch tygodniach poprosiła Inkę o pomoc. Jeszcze w tym samym dniu poszła do apteki i wykupiła lekarstwa: jakiś antydepresant na dzień oraz coś na noc – też na depresję, ale „wzbogacone” o środek przeciwłękowy i usypiający. Brała leki już od dziesięciu dni i zauważyła częściową poprawę. W dzień czuła się całkiem znośnie, zresztą dzieci nie pozwalały na myślenie, na zagłębianie się w cierpieniu, ale gdy zapadał wieczór, koszmar powracał.

Bała się zasnąć. Robiła wszystko, żeby jak najmniej spać: piła litry kawy, pod koniec kąpieli zlewała ciało lodowatą wodą, ale przecież nie da się żyć bez snu. Prawie tak samo jak bez powietrza. I bez ukochanego człowieka.

Dzieci już spały. Znow wpakowały się do jej łóżka, a ona leżała między nimi i gryzła w bezsilnej złości zaciśniętą pięść, bo czuła się najbardziej samotnym człowiekiem na świecie. I nikt ani nic nie mógł tego zmienić. Ostrożnie wysunęła się spod kołdry, włożyła szlafrok i poszła do łazienki. Ostatnio spędzała w niej sporo czasu. Uparcie wpatrywała się w swoje odbicie, myśląc, że wygląda jak duch z trupioblada twarzą, oczami tkwiącymi tak głęboko, że głębiej się nie da, i ustami ściągniętymi bólem.

Otworzyła szafkę. W niej też nic nie ruszała, tak samo jak w jego szafie. Nadal były tam rzeczy, które należały do Kamila: butelka z balsamem po goleniu, maszynka gillette, pianka, jakiś krem na podrażnienia. Ostrożnie wyciągnęła rękę i wyjęła balsam. Odkręciła korek, zamknęła oczy, przytknęła butelkę do nosa i zaciągnęła się głęboko zapachem kosmetyku. Zabolalo. Silny skurcz ścisnął serce. I choć do pełnej kompozycji brakowało nuty zapachu ciała Kamila, i tak wrażenie było piorunujące.

„Dlaczego mi to zrobiłeś?” – jęknęła w duszy. Uniosła powieki, żeby pozwolić łzom się wydostać, choć nie trzeba ich było zachęcać. Płynęły strugami, a ona zastanawiała się, czy to możliwe, że kiedyś całkiem się w nich rozpuści.

Nalała balsamu do wnętrza dłoni i jeszcze raz przystawiła nos. Nie miała pojęcia, dlaczego tak się nad sobą pastwiła. Przecież zapach wywołuje najsilniejsze wspomnienia. Pamięta się je do końca życia. Zanurzyła palec w białawym mleczku i zaczęła pisać na lustrze. Kolejne krzywe litery powoli zapełniały powierzchnię, układając się w zdania:

*Już nigdy nie chcę zasnąć.*

*Już nigdy nie chcę o tobie śnić.*

*Już nigdy nie chcę cię zobaczyć.*

*Już nigdy nie chcę się obudzić.*

Zakręciła butelkę i odstawiła tam, gdzie stała wcześniej. Teraz wzięła do ręki maszynkę. Na moment przestała oddychać, gdy spostrzegła na ostrzach kilkanaście króciutkich włosków z zarostu Kamila. Rzuciła ją jak gorącym węgielkiem do umywalki, zakryła usta, a jej ciałem wstrząsnął niepowstrzymany szloch.

Siadła na brzegu wanny i zatkawszy sobie usta ręcznikiem, wyła bezgłośnie, choć pragnęła to robić tak, żeby usłyszał ją nawet ten „Bóg”, który zabrał jej Kamila. Jak długo jeszcze miała ogarniać ją ta niewysłowiona tęsknota? Pojawiać się nagle i zdradliwie? Doskakiwała i bez litości chwytła ją za gardło. Gdyby ktoś wtedy widział Olgę, sądziłby, że ma przed sobą jakąś wariatkę: siedziała skulona i huśtała się tam i z powrotem, z twarzą zalaną łzami i ukrytą w dłoniach. Zupełnie jak porzucone przez rodziców dziecko.

Chciała zapomnieć. Nagle zerwała się i pobiegła do kuchni. Otworzyła apteczkę, znalazła odpowiednie pudełko. Drżącymi dłońmi rozwinęła ulotkę leku na noc. Trudno było czytać oczyma pełnymi łez, a maleńkie literki skakały jak

oszalałe, drżąc w rytmie wstrząsanego rozpaczą ciała.

Uspokoila się. W opakowaniu zostało dwadzieścia tabletek, które mogły pomóc przenieść ją w niebyt i zakończyć cierpienia. Jeszcze raz zerknęła do ulotki, na dłużej zatrzymując się przy przeciwwskazaniach i ostrzeżeniach. Gdy przeczytała o efektach łączenia leku z alkoholem, jej twarz rozciągnęła się w grymasie, który miał przypominać uśmiech.

Nie miała pojęcia dlaczego, ale pomyślała, że najlepiej to będzie zrobić w łazience. Po drodze zabrała napoczętą dawno temu butelkę koniaku. Nie przepadała za tym trunkiem, ale nic mocniejszego nie znalazła w barku. „Powinnam zostawić list – przemknęło jej przez głowę, gdy płukała plastikowy kubeczek. – Ale komu? Przecież nie mam komu go zostawić. Dzieci są zbyt małe i nie rozumieją, a moja mama? To nie będzie miało dla niej żadnego znaczenia” – uświadomiła sobie, a to wywołało ulgę, a może raczej refleksję: że postępuje słusznie i ma usprawiedliwienie. Ma choć odrobinę usprawiedliwienia dla tego czynu.

„Ale czy ja w ogóle muszę mieć jakieś usprawiedliwienie? – zadała sobie pytanie, nalewając koniak do kubka. – Nie muszę. Nic nie muszę. Już nie chcę. Nie mam siły”. – Zerknęła na napis na lustrze. Gdzieś w tyle głowy cichutki głos powtarzał w kółko, że zawiedzie Kamila.

– On też mnie zawiódł – wykrztusiła, żeby go zagłuszyć. – Czy ja nigdy nie mogę zawieść? Przecież jestem słabsza. Nie jestem taka silna i dobra jak on. Ja nie mam siły... Po prostu. Ja naprawdę nie mam już siły.

Zamknęła oczy i wypila całą zawartość kubka. Alkohol palił gardło. Zakaszła. Uniosła powieki, sięgnęła po butelkę stojącą na blacie szafki, i ponownie napełniła kubek prawie po brzeg. Już podnosiła go do ust, gdy usłyszała jakiś dziwny szmer i coś, co brzmiało jak wymamrotane cicho pytanie: „Zgubił się?”, a może „Zgubiłaś się?”.

Nie potrafiła zlokalizować tego dźwięku. Otaczał ją w bliżej nieokreślonej przestrzeni. Zastygła, czując jak gęsia skórka w ułamku sekundy pokryła całe jej ciało. Koniak plus nagły przyływ adrenaliny pobudziły serce do galopu. Przestała oddychać, usilnie starając się coś jeszcze usłyszeć, ale tętniąca w uszach krew nie pozwalała na to.

Ostrożnie odstawiła kubek obok butelki. Zamierzała zerknąć do przedpokoju, żeby sprawdzić, skąd dociera ten dziwny odgłos, ale nie zdążyła. Klamka w drzwiach charakterystycznie zaskrzypiała i do środka zajrzał Maksio. Od razu przymrużył zaspane oczka.

– Mamolko, czemu nie śpisz z nami? – mruknął z wyrzutem, nie mając pojęcia, że Olga prawie umarła ze strachu, tak bardzo ją zaskoczył. Stała, trzymając się za serce i ciężko oddychała.

– Co tu robisz? – spytał, powoli dostrzegając detale: butelkę z czymś,



na co tatuś zawsze mówił: „świństwo”, swój zielony kubeczek do płukania zębów pełen tego czegoś, pudełeczko z lekarstwem i jakieś brzydkie literki napisane, a raczej rozmazane na lustrze.

– Maksiu... – Olga odzyskała głos, choć brzmiał wyjątkowo żałośnie i chrapliwie. – Ja...

– Płakałaś? Czemu? Coś cię boli? – Malec wziął ją za rękę i popatrzył badawczo na jej twarz, zadzierając jeszcze wyżej głowę. – Trzeba zadzwonić do szpitala albo do Inki.

– Nie, nic mnie nie boli! – odparła natychmiast, wyraźnie spłoszona. – Wracaj do łóżka, zaraz tam przyjdę.

– To po co ci lekarstwo? – Popatrzył na nią już całkiem bystrym wzrokiem.

– Lekarstwo?

– Uhm. To. – Wyciągnął palec i wskazał na białe pudełko.

– Ach to? To nic ważnego – odpowiedziała, starając się, żeby jej głos zabrzmiał jak najbardziej rzeczowo. – A tak w ogóle, co tu robisz? – Kucnęła przed nim.

– Fuj... – Wykrzywił buzię. – Okropnie śmierdzisz. – Nagle sobie uświadomił, co spotkało jego ulubiony kubek ze Sponge Bobem, i aż nim zatrzęsło ze złości, ale szybko się opanował, bo przecież Mamolka wyglądała tak smutno. – Musisz mi chyba kupić nowy kubeczek. Nie mogę płukać ząbków takim śmierdzielkiem – uzasadnił.

– Dobrze. Kupię ci jutro nowy – zbyła go. Chciała jak najszybciej zostać sama, choć nie miała pojęcia, co teraz robi. – To dlaczego nie śpisz?

– Zgubiłem smoka – przyznał nieco zawstydzony, wiedząc, że nie ukryje przed nią prawdy. – Próbowałem sam poszukać, ale chyba Fisia go gdzieś schowała, bo zepsułem jej kolorowankę.

– Aha. – Olga przewróciła oczami na myśl, że teraz czekają ją co najmniej godzinne poszukiwania. Wyprostowała się z trudem, bo lekko szumiało jej w głowie, a przez tę chwilę, kiedy kuciała, ścierpły jej nogi. – Idź do waszego pokoju, zaraz tam przyjdę i poszukamy razem. Okej?

– Uhm – potaknął ochoczo malec.

Ledwie opuścił łazienkę, a Olga szybko zmyła gąbką napis. „Jeszcze tego trzeba, żeby Fisia poszła w ślady brata i przyszła do łazienki na nocną pogawędkę – pomyślała, wycierając lustro do sucha papierowym ręcznikiem. – Jestem żałosna i skazana na porażkę, nawet to mi się nie udało. Cóż za ironia losu” – z politowaniem pokiwała głową nad sobą i swoją nieudaną próbą ucieczki w niebyt.

Umyła kubek i odstawiła na półkę dnem do góry, myśląc, że może Maksio zapomni o całym zajściu. Uśmiechnęła się ze wzgardą do własnego odbicia w idealnie czystej tafli. Zakręciła butelkę koniaku i razem z tabletkami zaniósła

do kuchni.



Dzieci poszły z Wicią i Dzidkiem do kościoła, a ona do Kamila, choć Walczykowie na początku nie chcieli jej samej puścić.

– Posłuchaj, dziecko, chodź z nami na mszę, a potem razem wybierzemy się na cmentarz.

– Nie chodzę do kościoła – odpowiedziała. – Poczekam na was na cmentarzu.

Nie próbowali więcej naciskać. Wyczuli, że nic nie wskórają.

– To głupi pomysł – stwierdził Dzidek. – Jest okropna zimnica. To my idziemy z dziećmi, a ty, dziewczyno, załatw, co masz załatwić, i wracaj do domu, bo jeszcze zachorujesz.

– W porządku – potaknęła, żeby nie denerwować pani Wici, którą wyraźnie irytowała ta sytuacja.

Pojechała samochodem. Poprosiła o jakiś prosty znicz handlarke stojącą przy bramie cmentarza. Kobieta wybrała szklany pojemnik, wstawiła do środka wkład i spytała, czy coś jeszcze trzeba. Dreptała w miejscu, bo od rana trzymał mróz.

– Dziękuję, to wszystko.

Grób Ani i Kamila znajdował się niemal w najdalszym punkcie cmentarza. Olga powoli przeszła długą alejką. Dotarła na miejsce, pobieżnie odgarnęła przymarznięty śnieg z ławeczki i usiadła. Dopiero po chwili przypomniała sobie o zniczu. Zapalony postawiła na przysypanej śniegiem płycie.

– Już dwa miesiące. Równe dwa miesiące – wyszeptała, patrząc na datę śmierci Kamila. – Nie ma cię dwa miesiące. Tak strasznie długo. Gdybyś tu był, powiedziałbyś, że dłużej byliśmy razem, ale to nie ma znaczenia. Rozumiesz? Ledwie poczułam, jak mi dobrze, jak bardzo jestem z tobą szczęśliwa, a już się skończyło. Chciałam być z tobą, spać i budzić się... Ty też tego chciałeś, pamiętasz? Mówiłeś mi to, a teraz? Już nigdy nie spojrzę w twoje oczy wypełnione miłością do mnie, nie odpowiem ci tym samym, i to tak bardzo boli... – westchnęła, przełykając łzy. Te, które wydostały się na zewnątrz, od razu zamarzały, bezlitośnie szczypiąc jej ściągnięte bólem policzki.

Wyjęła z kieszeni chustkę i otarła twarz, wiedząc, że to daremne, bo łzy sączyły się bezustannie. Tylko tu pozwalała sobie na słabość, i jeszcze w nocy, gdy dzieci spały, ukołysane do snu czytaniem na głos.

– Wybrałeś mnie, a potem zostawiłeś, a przecież wiesz, jak to jest, gdy ktoś ukochany odchodzi. – Popatrzyła na zdjęcie Ani. Pierwsza żona Kamila uśmiechała się do niej spod lodowo-śnieżnej grzywki. – A może tak bardzo mnie kochałeś, że nawet tym uczuciem musiałeś się ze mną podzielić? Tęsknotą i bólem z powodu straty? Czemu nie spytałeś? Odmówiłabym. – Przeniosła wzrok na jego fotografię

i zacisnęła usta do białości. – Nie zapomnę nigdy naszych wspólnych chwil. Oddałabym wszystkie pozostałe dni życia, byleby jeden spędzić z tobą. Rozumiesz? Nie rozumiesz, bo nie odpowiadasz. – Zgarbiła się, jakby na nią też spadł śnieg i dogiał do ziemi, rozłupał na pół, jak ten jałowiec rosnący tuż obok, przy sąsiedniej mogile. – Co teraz? Nic. Teraz już do końca życia będę się bała tych dwóch magicznych słów: „Kocham cię”. Bo wiem, że tylko one są nieśmiertelne i wieczne, ale my już nie. I nawet nie chcę już nigdy ich nikomu powiedzieć. Ani usłyszeć. Nie przestałam wierzyć w miłość, ale przestałam wierzyć w moje prawo do miłości. Bo go nie mam. – Zasepiła się jeszcze bardziej. Nerwowym ruchem otarła łaskoczącą na policzku łzę. – Wrócę do domu i będzie mi zimno. Tu też jest zimno, twoje rękawiczki, które mi dałeś pod choinkę... – Popatrzyła na swoje dłonie. – Nie grzeją. Są tak samo zimne, jak wszystko wokół mnie. A pamiętasz, jak wróciłeś z pasterki i wszedłeś nagi do łóżka? Byłeś lodowaty. – Uśmiechnęła się blado. – Powiedziałeś, że jestem twoim grzejniczkiem-patyczkiem. Że całą pasterkę myślałeś o tym, żeby wrócić do domu i przytulić się do mnie. A ja? Do kogo mam się przytulić? Przy kim ogrzać? Przy dzieciach? One kiedyś odejdą. Czemu o mnie zapomniałeś? Powiesz mi coś? – Wlepiała wzrok w jego uśmiechniętą twarz. – Może coś z twojego poradnika? Jak żyć? – W jej głosie zabrzmiało szyderstwo. – Nie musisz. Napiszę swój. Będzie nosił tytuł: *A po co w ogóle żyć?* I tylko tytuł będzie miał ten mój poradnik, bo nie widzę żadnego sensu. Sensu życia, istnienia, kochania kogoś.

Wstała. Bezwiednie poprawiła poły płaszcza pod szyją.

– A pamiętasz, jak mówiłeś, że nie można rezygnować z tego, co dzieje się teraz, dla jakiejś bliżej nieznannej przyszłości? Miałam spełniać marzenia natychmiast, jak najszybciej, żeby nie ominęło mnie szczęście, kiedy będę odwlekać w czasie jego przeżywanie. I wiesz co? To beznadziejna rada, bo nie żyjemy tylko tu i teraz. Marzyłam o szczęśliwej przyszłości, ale już nie marzę. Oduczyłeś mnie tego, lecz nie chowam urazy. Zadbam o twoje dzieci. O wasze – poprawiła się. – Bo je kocham. Bo tylko ja im zostałam. To chyba wszystko na dzisiaj. Trzymaj się, Kamilu – wykrztusiła. – I ty też, Aniu.

Poszła w stronę bramy, ani razu nie oglądając się za siebie i wiedząc, że za kilka dni znów tu przyjdzie. Znów będzie do niego mówić, a on znów jej nie odpowie i tak będzie do końca. Zawsze.

## Rozdział 13

Olga nienawidziła świąt. Nienawidziła jeszcze bardziej niż rok temu. W zasadzie teraz jej nienawiść do tego czasu spędzanego w rodzinnym gronie wzniosła się na najwyższy możliwy poziom. Z trudem przetrwała wczorajsze malowanie pisanek i pakowanie koszyczka. Dobrze, że nieoceniona pani Wicia zabrała dzieciaki do kościoła, a Olga mogła w tym czasie po prostu nic nie robić. Zresztą tak samo jak dzisiaj.

Od rana snuła się w pomiętej flanelowej piżamie, bez większego przekonania wypijała kawę, pomogła Faustynie się uczesać, ubrała Maksia i wyprawiła razem z Walczykami na kolejne nabożeństwo. Zamierzała w tym czasie odwiedzić cmentarz, ale gdy usłyszała „radosną nowinę”, że nie tylko Jezus zmartwychwstał, lecz do Krakowa przyjechali dziadkowie dzieci, zrezygnowała. Nie miała ochoty się z nimi spotkać przy grobie córki i zięcia, bo ciągle i uparcie nazywali go zięciem, a swoją ukochaną Anię żoną Kamilka.

Postanowiła posprzątać bałagan, który został po malowaniu jajek. Poszła do kuchni, zabrała worek na śmieci i ledwie dotarła z nim do gościnnego pokoju, gdy ktoś zadzwonił. Zerknęła na wyświetlacz na dekodekcie i uznała, że to na pewno nie dzieciaki. Przez chwilę rozważała, czy nie udać, że nie ma jej w domu, ale w końcu machnęła ręką, rzuciła na podłogę czarny worek i podeszła do drzwi.

– Dzień dobry i szczęście Boże – przywitała się Wanda Drzewiecka, poprawiając blond loczki skręcone trwałą. Tuż obok niej stał niziutki, wymizerowany małżonek z łysinką otoczoną wianuszkiem burych kłaczków i bródką à la Lenin, niestety, bez grama charyzmy wodza rewolucji. Oboje odświętnie ubrani, ona w szmaragdowozielonej garsonce, on w grafitowej koszuli wystającej spod sweterka, wydzielający intensywną woń tanich perfum z targowiska, udających te oryginalne.

– Dzień dobry – mruknęła Olga, ale nie ruszyła się ani o krok, żeby zaprosić niespodziewanych gości. – Dzieci są z pani siostrą i szwagrem w kościele. Wrócą za... – Przez kilka sekund analizowała, czy skłamać, że będą późno, czy powiedzieć prawdę.

– Chyba szybko wrócą, bo Dzidek został w domu i właśnie od niego idziemy. Mówił, że góra pół godziny. – Drzewiecka nie pozwoliła jej skończyć.

– Aha.

– Możemy wejść na chwilę?

– Tak. Proszę. – Olga odsunęła się od drzwi, robiąc przejście.

Poprosiła, żeby nie zdejmowali butów. Usłyszała, że „pada deszcz i na zewnątrz jest okropna chlapa”. Zaproponowała im coś do picia, ale odmówili. Siedzieli na kanapie, jedno obok drugiego, i milcząc, przyglądali się kompozycji „zdobiącej” ławę.

– Przepraszam. Robiliśmy pisanki. – Olga popatrzyła na poplamioną „Gazetę Krakowską”, trzy zaschnięte pędzelki i pudełko z plakatówkami.

– Chyba się zepsuły. Bo niezakręcone – powiedział cicho Heniutek, a może Henryczek – Olga nie pamiętała, którego z tych idiotycznych zdrobnień używała jego żona. Strwożony zerknął na małżonkę, czy czasem nie strzelił jakiejś gafy, ale nie zwracała na niego uwagi.

– Trudno. – Gospodyni podniosła worek, zgarnęła wszystko z ławy i wrzuciła do środka. – Kupię nowe farby – wyjaśniła, zauważając nerwowe drgnięcie mężczyzny, gdy worek znów wylądował na podłodze.

– Pewnie jest pani ciekawa, co nas tutaj sprowadza? – zapytała Drzewiecka.

– Eee... Chcecie państwo odwiedzić ukochane wnuki? – W głosie Olgi zabrzmiała ironia.

– No właśnie nie – odparła pani Wanda. – To znaczy tak, oczywiście, że chcemy się z nimi zobaczyć, ale to z panią chcieliśmy porozmawiać.

– O czym? – zapytała Olga, myśląc, czy faktycznie ją to interesuje, czy może powinna im powiedzieć, że źle się czuje i chce, żeby sobie poszli.

– O dzieciach.

– Będą za pół godziny – przypomniała.

– Chcieliśmy z panią porozmawiać sam na sam – doprecyzowała kobieta i znów lekko drgnęła, a jej palce splecione na podolku zacisnęły się jeszcze bardziej. – Mamy z Henryczkiem propozycję. Otóż... chcielibyśmy wziąć do nas dzieci.

– Ale święta już się kończą. Może w majowy weekend? – odparła Olga, nieco zaskoczona tym pomysłem. Pamiętała, że Faustyna i Maksio nie przepadali za dziadkami, znacznie mocniej byli związani z panią Wicią i Dzidkiem. – Przywiozę ich na jakieś trzy dni.

– Źle nas pani zrozumiała. – Kobieta zasznurowała usta.

– To proszę mnie oświecić – wypaliła Olga, gorzko żałując, że otworzyła drzwi.

– Chcemy zabrać dzieci na stałe. Na razie do końca roku szkolnego, potem przywieźlibyśmy je na wakacje, na przykład na tydzień, ewentualnie dwa – wyjaśniła Drzewiecka, zniesmaczona aroganckim tonem Olgi.

– Aha.

– Uważamy, że dzieciom będzie u nas lepiej.

– Dlaczego? – spytała bez namysłu.

– Wie pani dlaczego. Po pierwsze, to nasze rodzone wnuki, a pani jest dla nich obcą osobą, takim swoistym erzacem matki. Teoretycznie to nie problem, bo przecież dużo dzieci jest wychowywanych w rodzinach adopcyjnych, ale pani zajmuje się nimi bardzo krótko, więc szybko zapomną. Byłam polonistką, popracuję nad Maksymiliankiem, bo on ciągle ma logopedyczne problemy.

Przypilnuję Faustynkę, żeby lepiej szło jej w szkole. U nas dzieci będą miały kontakt z kuzynami, będą mieszkać w domu, a nie w takim... – Drzewiecka rozejrzała się po pokoju – ...ciasnym mieszkanku.

– Mam dom w Krakowie. Prawie czterysta metrów powierzchni użytkowej, i dwunastoarowy ogród – weszła jej w słowo Olga. – Mieszkamy tutaj, bo dzieci nie chcą się przeprowadzić.

– Złotów to śliczne małe miasteczko, ale usytuowane blisko kilku dużych miast. Jest naprawdę przeurocze, mamy park i...

– Moja willa stoi zaraz obok parku Decjusza. Nie pamiętam, ile parków jest w Krakowie, ale myślę, że więcej niż w Złotowie i okolicy, gdziekolwiek leży ta pipidówka.

– Och! To żadna pipidówka. Wypraszam sobie! Niedaleko są Piła i Poznań – wyraźnie oburzyła się Drzewiecka.

– Nawet gdyby Złotów graniczył z Nowym Jorkiem i był równie piękny jak Dubaj, nie widzę żadnych powodów, dla których moje dzieci miałyby się tam przenieść – stwierdziła dobitnie Olga.

– A my widzimy. Ja i Heniutek. Pani sobie nie radzi.

– Ach tak? – spytał „erzac matki”.

– Tak. – Wanda Drzewiecka ostentacyjnie zerknęła na worek, a potem na krzywo zapiętą piżamę Olgi. – Faustynka moczy się w nocy. Maksymilianek złapał wszy w przedszkolu, niedawno dzieci nie miały w czym chodzić, wszędzie jest bałagan, a przez to, że moja wnusia sika, w całym mieszkaniu po prostu śmierdzi. Wiem, że pani tego nie czuje, ale inni owszem. Dam głowę, że dzieci z klasy Faustynki to czują i za chwilę zaczną jej dokuczać – wygłosiła prawie na bezdechu swoją perorę. Rozkręciła się, więc kontynuowała: – Ja to wszystko wiem od dzieci. Same mi powiedziały, biedactwa. Serce się kraje – westchnęła teatralnie. – Nie uczęszcza pani z nimi do kościoła, moja biedna stara siostra musi...

– Pani jest starsza – wtrąciła Olga.

– Starsza, ale w znacznie lepszej kondycji.

„O tak. Niezły z ciebie kawał zdrowej i energicznej cipy. Pozazdrościć! – pomyślała Olga. – Kurwa! Jasna! Pierdolona! Mać! Faustyna się moczy, bo przeżyła traumę, to moczenie wtórne, ty durna babo! – wrzeszczała w myślach. – Wszystkie dzieci miały wszy! Nic tu nie śmierdzi, bo tydzień temu kupiłam nowy materac! I nowe koce! I pościel! A te pierdolone ciuchy, kupione w »Wójciku« i »5-10-15« kosztowały pięć średnich krajowych!”

– Widzę, że się pani zastanawia nad naszą propozycją. I słusznie. Może dodam, że moja siostra musi pani pomagać, wiem, że dziećmi często zajmują się te... – kontynuowała Drzewiecka.

– Lesbijki – podsunęła usłużnie „obca osoba”.

– No właśnie. Może panią to bawi...

– Nie bawi.

– Źle się wyraziłam. Może to pani nie przeszkadza, ale moja córka w grobie się przewraca, gdy widzi ten...

– Burdel – powiedziała Olga i plasnęła dłońmi w uda. – Okej, przekonała mnie pani. Prawie. A co z komunią?

– Faustynka pójdzie w Złotowie, już uzgodniłam to z księdzem proboszczem. Nie widzi przeszkód.

– Aha. Wychodzi na to, że pozostał nam tylko jeden kłopot, a raczej dwa. Z tego, co mi wiadomo od pani Wincentyny, mieszkacie państwo na tak zwanej kupie. Pani, pan Heniutek czy też Henryczek, córka, zięć, trójka dzieci, w tym jedno chore, plus czwarte w drodze. Do tego dojdą Fiśka i Maksio. Karta dużej rodziny obejmuje połowę tej liczby. – Pokiwała głową z uznaniem. – Co z pokojem dla dzieci i co z finansami? Zięć nie będzie zachwycony, tym bardziej że siostra Ani nie pracuje, pani nie pracuje, a jedynymi żywicielami w tym domu są panowie.

– Wygospodarujemy mały pokoik na poddaszu. W zasadzie już go przygotowaliśmy. Kamilcia jest na płatnym chorobowym, ja mam emeryturę, wprowadź małą, bo nauczycielską, ale mnie wystarcza – fuknęła Drzewiecka. – Poza tym dzieci Ani mają prawo do renty po rodzicach.

– No tak. Ma pani rację. Hm... Pomyślmy. Może zaoferuję państwu pomoc?

– Jaką? – spytała podejrzliwie pani Wanda.

– Finansową. Skoro wezmą państwo dzieci, spadnie mi z głowy ciężar ich utrzymania. Mogę wysyłać jakąś sumę co miesiąc. Założmy... po piątału na głowę.

– Po pięćset złotych? – Heniutek odważył się wtrącić do rozmowy.

Był przeciwny projektowi ukochanej Wandeczki, bo od kiedy urodziło się trzecie dziecko Kamili i okazało się, że jest autystyczne, Drzewiecki nie widział ani grosza ze swojej emerytury. Wszystko mu rekwirovano w dniu odwiedzin listonosza. Od wielkiego dzwonu dostawał „pół marnej stówienki”, żeby iść na piwko z kolegami lub pograć w brydzyka przy dymku z cygara. Wszystko szło na wnuki, na rehabilitację chorego Piotrusia i na ciągłe remonty domu oraz nowe „krzaki” w ogrodzie, według niego zupełnie zbędne.

– Po pięć tysięcy – rzuciła Olga, wprawiając go w takie zdumienie, że nawet informacja, iż Wandzia ma młodego kochanka, tak by go nie zszokowała.

– Pięć tysięcy? – wymamrotał.

– Razy dwa.

– Chce pani płacić po dziesięć tysięcy miesięcznie? – Drzewiecka nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– To dla mnie żadna kwota – stwierdziła zgodnie z prawdą Olga.

– Och! – Pani Wanda pisnęła prawie jak pensjonarka. – Jest pani bardzo hojna. Ale proszę się nie obawiać, całość pieniędzy poszłaby na utrzymanie

Faustynki i Maksymilianka.

„Akurat. Już ci wierzę!” – warknęła bezgłośnie Olga.

– Rehabilitacja Piotrusia pochłania bardzo dużo pieniędzy – wyjaśniła jeszcze ciągle zaskoczona Drzewiecka. – A te pieniądze od pani pozwoliłyby na bardzo godne życie dzieci Ani. Jak wspomniałam, my nie wzięlibyśmy z nich ani grosika na inne cele – zapewniła ją pospiesznie.

– Możemy na bieżąco przedstawiać rachunki – dodał Heniutek, ale od razu zamilkł, bo poczuł na swojej stopie ucisk żoninej, znacznie większej.

– Widzę, że dojdziemy do porozumienia... – powiedziała Olga i popatrzyła na gości spod przymrużonych powiek.

Zastanawiała się właśnie, czy powiedzieć im, że prawnie jest matką dzieciaków, bo je przysposobiła, więc żadne takie „zabieranie” dzieci bez ostrej sądowej przeprawy nie wchodzi w grę, czy po prostu kazać im wstać i wyjść, zachęcając do tego krótkim, ale treściwym: „Spierdalać, ale to już!!!”, gdy ktoś zapukał, a potem wszedł do mieszkania.

– Wandzia, Heniuś? – Pani Wincentyna uśmiechnęła się na widok siostry i szwagra. – A co wy tak tu siedzicie, a nie u nas?

– Państwo Drzewieccy mieli do mnie sprawę – wypaliła Olga i błyskawicznie zreferowała sąsiadce usłyszaną propozycję oraz przytoczone argumenty.

Wiadomość tak zszokowała panią Wicię, że zaniemówiła. Jęknęła:

– To jakiś żart? – Spojrzała na siostrę i jej męża wielkimi oczami i umilkła z wpółotwartymi ustami.

Olga, widząc reakcję pani Wici, uśmiechnęła się krzywo. Nie wyobrażała sobie, żeby coś lub ktoś był w stanie wprawić rezolutną sąsiadkę w taki stupor.

– Ale jak? Co wy? – Walczykowa przysiadła na pobliskim fotelu. – Przecież tak nie można. Olga jest w żałobie, cierpi, my wszyscy cierpimy – pozwoliła sobie na rzadką chwilę słabości. – Nie szkoda róż, gdy płoną lasy. Ludzie! Czy wyście na łby poupadali? I co z tego, że Olga czasem sobie nie radzi. Co z tego, że przytrafiło jej się parę rzeczy zaniedbać? Obsikany materac? Też mi afera! – prychnęła. – Ona owdowiała. A jak szalał Kamilek, gdy zmarła Ania? Wy, za przeproszeniem, wielkie gówno wiecie. Wstyd mi za was! I to w święta takich nieprzyjemności narobić? Sumienia nie macie.

– Ale my chcieliśmy tylko pomóc – stwierdziła Drzewiecka asekurancko i uciekła wzrokiem przed świdrującym spojrzeniem siostry. Były w nim pretensja i nagana.

– Pomóc? Wystarczy jej moja pomoc. I Dzidka. A ty wracaj do Kamili. Tam możesz się wykazać. Ile razy tu byłaś, gdy Faustyna zachorowała?

– Nie mogłam przyjechać, bo Piotruś...

– Faustyna też jest twoją wnuczką, a Ania była twoją córką. Skoro Piotruś



i Kamila są ważniejsi, zabieraj tego swojego eunucha i wracaj do Złotowa! – ryknęła.

Olga nigdy nie zapomniała tej rozmowy. Pamiętała ją doskonale, podobnie jak tę, którą odbyła z panią Wicią miesiąc po pogrzebie Kamila. „Bierz się za życie, dziewczyno!” – strofowała ją sąsiadka, gdy razem wynosiły na śmietnik obsikany i spleśniały materac. Teraz nadal czuła tamte emocje i wstyd, że zawiodła. Zawiodła dzieci i Kamila. Ale przede wszystkim samą siebie. Postanowiła wtedy, że za wszelką cenę musi to naprawić. Śmiało podniosła gardę. Popatrzyła w oczy Wandy... i rzekła z mocą:

– Gdyby nie pani Wicia, pewnie do dzisiaj dzieciaki chodziłyby w kusych ubraniach, Maksio miałby wszy, a materac Fiśki nadal by gnił. Ma pani rację. Nie radzę sobie. Nie radzę sobie z rozpaczą, z żalem, z tęsknotą, ale to moja rozpacz, żal i tęsknota. I tak samo moje są dzieci. I nikogo innego. I nikomu ich nie oddam. Nigdy. Jestem ich matką, również prawnie. I powiem pani jeszcze jedno, mimo wszystko wierzę w wasze dobre intencje. Chcę wierzyć. I na pewno to państwu udowodnię.

Kilka dni później na konto fundacji, która zbierała fundusze na rehabilitację dzieci, między innymi Piotrusia Madonia, wpłynęła pierwsza okrągła sumka. Poza nią Olga wysłała jeszcze list do Drzewieckich. Poprosiła grzecznie, ale bardzo stanowczo, żeby nie przyjeżdżali na uroczystość komunijną Faustyny, za to obiecała, że przyjedzie z dziećmi ich odwiedzić w któryś wakacyjny weekend.



Dochodziła szósta, a Olga dopiero teraz skończyła pracę. Uprzątnęła biurko, zamknęła na klucz szufladę ze służbowym laptopem i zabrała ze sobą pustą filiżankę. Zniosła ją do kuchenki.

– Pani Helenka? – zdziwiła się, widząc sprzątaczkę szukającą czegoś w lodówce.

– Dzień dobry, kierowniczo. – Starsza pulchna kobieta wyprostowała się jak struna.

Wprawdzie szefowa nigdy nie miała żadnych zastrzeżeń do jej pracy, ale Helena Witek zawsze czuła respekt do tej wysokiej młodej brunetki, a gdy Olga została wdową, jeszcze bardziej się krępowała w jej obecności.

– Po co pani mleko? – Olga uniosła brwi, widząc kartonik skondensowanego mleka.

– Przepraszam. Wiem, że to nie moje mleko, tylko pań z księgowości, ale...

– Spokojnie. Niech się pani nie tłumaczy. Mleko to nie złote runo. – Uśmiechnęła się lekko. – Też nie przepadam za czarną kawą, zwłaszcza pod wieczór.

– Ale to nie do kawy – tłumaczyła kobiecina, nerwowo spoglądając to

na szefową, to na kartonik.

– A do czego?

– Dla kotów.

– Słucham?

– W piwnicy są koty.

– Chwileczkę... – Olga potrząsnęła głową. – Jakie koty?

– Ano jakaś kotka się okociła i przyniosła małe do nas do piwnicy. Pewnie wlaźła przez okienko kotłowni. Miała pięć tych maleństw, ale trzy nie żyją. Pewnikiem zdechły z głodu, bo...

– Jezu! – przerwała jej Olga. – Mamy w piwnicy martwe zwierzaki?! Przecież to trzeba natychmiast posprzątać! Proszę mnie tam zaprowadzić.

– Już posprzątałam truchła. Spaliłam w piecu. Ta kotka, ich matka, też zdechła, a te dwa małe to na moje oko całkiem zdrowe. Były trochę większe i tłusciejsze niż te trzy biedaki. Szefowa zobaczy sama – powiedziała, wychodząc z pomieszczenia socjalnego.

Zjechały windą na poziom minus jeden i szybko dotarły do kotłowni.

– Na, szefowa popatrzy, jakie szykowne. – Helena kucnęła przy stojącym tuż obok pieca niewielkim pudełku po strzykawkach wyściełanym grubo ligniną i watą. Ze środka zerkały na nią dwie pary maleńkich świecących oczu. – Zapomniałam im przynieść mleka z domu, a nie miałam kogo posłać, bo prawie wszyscy już wyszli. – Popatrzyła na kucającą obok Olgę.

– Ale one są za małe, żeby im dawać mleko! Zresztą koty nie mogą pić krowiego mleka, bo się rozchorują. – Olga nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Koty wyglądały na dwu-, góra trzytygodniowe.

– No przecież żyją. Już trzeci dzień na mojej diecie – zaśmiała się sprzątaczką. – Strzykawką im daję mleko.

– I co teraz z nimi?

– Ano nic. Dorosną, to wypuszczę. Niech se jakoś radzą. Do domu nie wezmę, bo nie mam miejsca.

– Tak nie można – oburzyła się Olga. – Trzeba je zaszczepić, odrobaczyć i tak dalej. Już lepiej zanieść je do schroniska dla zwierząt, niż wypuszczać na ulicę.

– No to nie wiem – skwitowała pani Helena. – Ja nie mam pieniędzy, żeby po weterynarzach chodzić. I czasu.

– Mogę je zabrać? – zapytała po chwili Olga. – Zawiozę je do weterynarza. Jakaś klinika na pewno ma dyżur.

– A pewnie. Przecież to nie moje koty, tylko szefowej. Bo to piwnica LABBE. – Zaśmiała się.

– W porządku. – Olga zarzuciła torebkę na ramię, żeby jej nie przeszkadzała, ostrożnie podniosła pudełko z cicho miauczącą zawartością i już miała wyjść, ale

odwróciła się i popatrzyła na swoją pracownicę. – Dziękuję, że się pani nimi zajęła. To bardzo miłe i odpowiedzialne z pani strony. Postaram się jakoś to pani wynagrodzić.

– E tam. Też mi odpowiedzialność. Boże stworzenie, to i żal dać na zmarnowanie. – Helena Witek wzruszyła ramionami. – Każdy by tak zrobił.

– Nie każdy – odparła Olga.



Weterynarz ocenił wiek kociąt na cztery tygodnie. Sprzedał Oldze specjalną karmę, pouczył, jak z nimi postępować, podkreślił, że trzeba zapewnić im dużo ciepła. Ostrzegł też, że gdy koty będą razem dorastać, trzeba któregoś wysterylizować, najlepiej kotkę, żeby wykluczyć ryzyko chowu wsobnego, ale wtedy Olga od razu zarzekła się, że koty zostawi w schronisku.

– Nie wiem, czy przyjmą. Może pani spróbować zadzwonić na Rybną, ale o tej porze... – zerknął na ścienny zegar – to już na pewno nie. Tym bardziej że to nie z interwencji.

– A może pan weźmie te koty? Macie tu hotel dla zwierząt, zapłacę dajmy na to za tydzień lub dwa.

– Niestety, nie mamy miejsca. – Młody lekarz rozłożył ręce.

– No dobrze, jutro pojedę do schroniska.

– W porządku. – Mężczyzna skasował za poradę, dwie saszetki z płynną karmą i mleko dla kotów. – Jeśli będzie jakiś problem, proszę dzwonić. Mam dzisiaj dyżur całą noc. – Wręczył jej wizytówkę.

– Ech, nie miała baba kłopotu... – burknęła do siebie Olga, pakując karton na podłogę samochodu tuż przed siedzeniem pasażera.

Na szczęście nie było zimno, a wewnątrz auta szybko się nagrzewało. Olga dotarła na osiedle, zostawiła włączony silnik i pobiegła pędem po dzieci. Uprzedziła Sabinę i maluchy już czekały przed wejściem do klatki schodowej.

– Dzięki. – Cmoknęła Sabinę w policzek. – I sorry, że tak późno, ale coś mi wypadło.

– Nie ma sprawy.

– Muszę lecieć. – Olga wskazała brodą na samochód stojący na końcu parkingu. W środku świeciło się światło.

– Mamolko, a czemu się tak spieszymy? – spytał Maksio, bo Olga wzięła go za rękę i ciągnęła za sobą jak holownik.

– Bo mam włączony silnik – wyjaśniła.

– A czemu? – zdziwiła się Faustyna.

– Żeby było ciepło. W środku.

– Aha. – Maksio zmarszczył czoło i zrobił minę typu: „Ale o co ci chodzi, kobieto?”.

Dotarli do samochodu, dzieci wsiadły, zapięły pasy i dopiero gdy ruszyli, do ich uszu dobiegł dziwny odgłos. Coś jak piśnięcie myszy.

– Co to było? – spytała z tyłu Faustynka.

– Koty – wyjaśniła Olga.

– Co?! – Maksio natychmiast wyprostował się na swoim foteliku i wyciągnął głowę w stronę, z której dobiegało coraz głośniejsze popiskiwanie.

– Mam w pudełku dwa małe kotki.

– Dla nas?! – Faustyna była w szoku.

– Nie. Jutro zawożę je do schroniska. To nie nasze koty.

– A czyje? – dopytywała dziewczynka.

– Niczyje.

– Skoro są niczyje, to dlaczego musisz je tam zawieźć? – Maksio zauważył pewną nielogiczność. I oczywiście zwiertzył doskonałą okazję, żeby stać się posiadaczem kota. Bo czemu nie?

– Muszą być w miejscu, gdzie ktoś odpowiednio się nimi zajmie. Profesjonalnie – dodała Olga, przeczuwając problem.

– Aha – stwierdził Maksymilian, pozornie bez zastrzeżeń, ale myśl o zatrzymaniu choć jednego kotka już zakiełkowała.

– Ja bym chciała mieć kota – wypaliła nagle Fiśka.

– Ja też – natychmiast dodał jej brat.

Olga nie odpowiedziała, bo właśnie dotarli pod swój blok. Dzieci wysiadły: Fiśka, taszcząc wyładowany plecak, a Maksio latawiec, który zrobił w przedszkolu. Olga ostrożnie wzięła karton i popędzając wszystkich, ruszyła w stronę wejścia do bloku.

– Prędko, bo zmarzną – pouczyła dzieci, które tym razem wcale nie potrzebowały zachęty. Gnały po schodach szybko jak nigdy.

Weszli do mieszkania, zdjęli ubrania, a dzieciaki zaniósły swoje manatki do pokoju, nie czekając na uwagi, że rzeczy znów leżą na podłodze i zaraz ktoś wybije sobie na nich zęby, i tym kimś będzie oczywiście biedna Mamolka.

– Chodźcie. Pokażę wam te kotki, bo pewnie jesteście ciekawi? – zawołała Olga.

– A ręce? – Maksio nauczony, że zawsze po powrocie do domu trzeba umyć ręce, stał w przedpokoju i zakasywał rękawy.

– Tym razem zrobimy inaczej, umyjecie rączki po obejrzeniu kotów. Okej?

– Uhm – zgodzili się chórkami.

Poszli do gościnnego, Olga rozłożyła na podłodze kilka gazet, na nich ustawiła pudełko. Ostrożnie podniosła klapy, odsunęła kilka grubych płatów ligniny i całej trójce klęczącej wokół kartonu ukazały się dwie chude, drżące istoty.

– Ojej, jakie brzydkie. – Fiśka się skrzywiła.

– Nie są zbyt piękne. – Olga miała takie same odczucia.

Faktycznie, koty nie prezentowały się jak modelowe egzemplarze na wystawę. Chudziutkie, z lichą sierścią i wyłupiastymi oczkami, wyglądały jak kupka nieszczęścia.

– To są dziewczynki czy chłopczyki? – zapytał Maksio.

– Ta czarna to kotka, a ten piaskowy to kocurek – wyjaśniła Olga. – Mają cztery tygodnie.

– A możemy im wymyślić imiona, zanim je oddamy? – Faustyna nie spuszczała wzroku z kociąt.

– Imiona? Tak. Tylko może nie jakieś święte, bo raczej nie wypada – zażartowała Olga.

– Ja też chcę wymyślić imię. Ja chłopczykowi, a Fiśka dziewczynce. Zgoda?

– Zgoda. – Olga pokiwała głową.

– Moja kotka będzie miała na imię Kiszka – oświadczyła Faustyna po namyśle.

– A czemu Kiszka?

– Bo jest chudziutka i czarna. Jak kaszanka. Ale kaszanka to za długie imię dla kotka – wyjaśniła. – Dlatego Kiszka.

– Hm... śmiesznie, ale może być. Taka trochę gastronomiczna ta twoja nazwa – podsumowała Olga, a widząc pytające spojrzenie Faustyny, dodała: – Gastronomiczna, czyli związana z jedzeniem.

– To ja też wymyśliłem kastronomiczną nazwę. Mój kocurek będzie miał na imię Pasztet. Bo jest taki korolowy jak pasztet. Ten, co lubię go jeść z chlebkiem.

– Aha. – Olga przytknęła dłoń do ust, żeby stłumić śmiech.

– A mogę wziąć Kiszkę na ręce? – poprosiła Faustyna. – Tylko na chwilę.

– Maksio też pewnie chce wziąć Pasztet... Paszteta? – zapytała Olga, choć z góry znała odpowiedź.

– Tak! – Malec zapalił się do pomysłu.

– Okej, ale... Po pierwsze, nie wolno tak krzyczeć, bo koty się boją – pouczyła Olga. – Musicie je bardzo ostrożnie trzymać, bo są malutkie. I nie za długo, bo na pewno zgłodniały, więc musimy dać im jeść.

Dzieci patrzyły jak oczarowane, gdy Olga najpierw wyjęła z pudełka Kiszkę, a potem malutki Pasztet trafił na ręce swojego „ojca chrzestnego”.

– Jaka jest milusia... – jęknęła zachwycona Faustyna. – Brzydka troszkę, ale za to milusia i ciepła. – Przytuliła kotkę do policzka.

– Mój Pasztet też jest milusi. Taki Pasztecik kochany. – Maksio naśladował każdy ruch siostry.

– Mam nadzieję, że nie macie alergii. – Olga uniosła brwi, widząc, jak dzieci coraz śmieiej tulą i pieszczą kocięta, a gdy Maksio pocałował kocurka prosto w pyszczek, przewróciła oczami. „Żebyście się tylko nie pochorowali...” –

pomyślała.

– Mamolko... – zaczęła błagalnym tonem Faustyna. – Możemy zostawić choć jednego?

– Nie! – zaproponował natychmiast Maksio i z przestraczem zerknął, czy aby jego Pasztet się nie wystraszył. Na szczęście kotek zasnął wtulony między ciepłe dłonie chłopca a puszystą bluzę z polaru. – Ja też chcę mieć kotka. Muszą zostać dwa. Tak jest sprawiedliwie.

– Chyba lepiej, jak zostanie jeden, a nie zero? – fuknęła Fiśka i popatrzyła na brata spod zmarszczonego czoła.

– Lepiej, ale wtedy musi zostać mój. Pasztecik.

– To zróbmy losowanie pieniążkiem – zaproponowała Faustyna. – Kiszka będzie reszką, a Pasztet orzełkiem.

– Chwileczkę... – wtrąciła się Olga. Czuła, że tak się to skończy i jak zwykle dzieciaki jej nie zawiodły. Pomyślała, że to na niej spocznie ciężar sprzątania kocich kuwet i wcale jej się to nie uśmiechało. – Nie zostawimy tych kotków. Ani jednego. – W jej głosie brzmiała stanowczość.

– Ale czemu? – jęknął Maksio. W kącikach oczu coś charakterystycznie błysnęło, a po sekundzie pojawiły się łzy, które malec od razu wstydliwie otarł rękawem bluzki.

– Kotki muszą mieć ogród, przestrzeń, wolność. A tu? – Olga rozejrzała się bezradnie po gościnnym pokoju. – Poza tym nie mogą być tak długo same, bo umrą z głodu.

– To wyprowadzimy się do twojego domu – odparła Faustyna.

– Przecież nie chcieliście tam mieszkać – przypomniała jej Olga.

– Ale już chcemy – odpowiedział natychmiast Maksio.

– A kto przypilnuje kotków w czasie, gdy będziecie w szkole, a ja w pracy?

– Ciocia Wicia. I wujek Dzidek. On lubi zwierzęta, bo mi mówił kiedyś. I ma rybki, więc kotki też na pewno lubi, bo można je pogłaskać i się z nimi bawić – perorował Maksio.

– Ale jak? Skoro będziemy mieszkać w moim domu? Przecież pani Wicia i pan Dzidek nie przeprowadzą się z nami.

– A może by się przeprowadzili! – wypalił Maksio. – Trzeba spytać.

– Zaraz zwariuję. – Olga złapała się za głowę. Nawet ślepy by zauważył, że dzieciaki wpatrywały się w nią jak w wyrocznię. – Zróbmy tak, tylko posłuchajcie mnie uważnie i nie krzyczcie, bo spłoszycie koty: Faustynka idzie spytać panią Wicię, czy przez miesiąc ktoś będzie zaglądał do kotków w czasie, gdy nas nie ma. Jeśli pani Wicia się zgodzi, po miesiącu przenosimy się do mojego domu. Co wy na to?

– Jupi!!! – wrzasnął Maksio ze wszystkich sił. – Jezu! – Złapał się za usta, gdy zauważył, jak Pasztet zatrzęsł się w jego rękach, a potem głośno miauknął.

- Pięknie – sapnęła Faustyna. – Ty to jednak jesteś głupi.
- Nie jestem – syknął Maksio.
- Jesteś. Ten twój Paszтет to dostanie zawału – warknęła. – I płacisz pięć złotych za Jezusa.
- Nie płacę. Mamolko, powiedz, że nie jestem głupi.
- Nie jesteś – potaknęła Olga. – Dajcie koty, nakarmię je, a wy umyjcie ręce. Faustynko, idź i poproś tu panią Wicię, chyba powinnam z nią porozmawiać.
- Wujka Dzikka też przyprowadź. Gdy zobaczy mojego słodkiego Pasztecika, to go normalnie zje. – Maksio przytknął kotka do ust i obdarzył soczystym buziakiem.
- Jeszcze jedno. Koniec z całowaniem i lizaniem kotów. Nie mam zamiaru leczyć was potem na robaki – burknęła Olga, odbierając chłopcu kociaka, który sekundę później dołączył do swojej siostrzyczki.
- Nie będziemy, Mamolko – zgodnie przytaknęła Faustyna. Zawahała się na moment, a potem przysunęła do Olgi i objęła ją za szyję. – Dziękujemy. To najlepszy prezent świata.
- Uhm. To najlepszy, astronomiczny prezent, jaki dostaliśmy. Kiszka i Paszтет! Jupi!!! – wrzasnął Maksio i rzucił się na Olgę, wywracając na dywan ją i Faustynę.
- Wiesz co, Maksieur?! Ty się nadajesz, ale żeby mieć małpę!!!
- Mówiłam, żebyście nie wrzeszczeli? – jęknęła spod dzieciaków Olga, zawstydzona okazanymi czułościami i zszokowana tym wybuchem entuzjazmu.
- Mówiłaś, kochana Mamolko! – krzyknął Maksymilian. – Mówiłaś! Mówiłaś! Kocham cię!!!
- Ja też! Nasza Mamolka jest najlepsza na świecie!

#### Rozdział 14

- Ciocia Wicia pewnie zrobiła nam coś pysznego – powiedział Maksio z nadzieją w głosie, wysiadając z samochodu. – Może galaretkę z owocami?
- Pewnie tak – mruknęła Olga. – Poczekajcie, w bagażniku mam wasze plecaczki. – Okrążyła samochód i zajrzała do przepastnego wnętrza bagażnika. – Faustynko, chodź tutaj – poprosiła. Dziewczynka podeszła i zabrała swój plecak. Ten Maksiowy zaplątał się nieszczęśliwie w siatkę i Olga nie mogła go wyjąć.
- Nagle poczuła, że Maksio objął jej nogę, spojrzała więc na niego pytającym wzrokiem.
- Zaraz go wyjmę – powiedziała do malca, sądząc że się niecierpliwi.
- Mamolko...
- Tak?
- Bo Fiśka... – Maksymilian przełknął ślinę.
- Co Fiśka? – Olga natychmiast zerknęła na swoją pasierbicę stojącą nieruchomo i bladą jak figura woskowa. – Fisia?! – krzyknęła, zauważając

powiększającą się kałużę na asfalcie. – Fisia, kochanie! – wyrwała się z objęć Maksymiliana, kucnęła przed dziewczynką i mocno ją przytuliła.

– Fiśka, to nic takiego. Zaraz cię przebiorę. W mieszkaniu na pewno są jakieś majteczki, a sukienka wcale się nie zmoczyła. To nic takiego – powtórzyła.

– Mamolko... – wyszeptał zza jej pleców Maksio. – Tam jest...

– Poczekaj chwilkę, rozmawiam z Faustynką. – Zerknęła na chłopca, ale prawie natychmiast znów skupiła się na córce.

Faustyna stała jak wmurowana, wlepiając wzrok gdzieś przed siebie. W końcu Olga odruchowo tam popatrzyła i nagle zakręciło jej się w głowie.

– To... – Chciała coś powiedzieć, ale jej zdławiony głos zabrzmiał jak skrzek.

Wiedziała, że ktoś do niej krzyczy, coś mówi, że słyszy panią Wicię. Niestety, nie była w stanie opanować fali czerni, która coraz bardziej nieubłaganie przysłaniała jej obraz. Widziała Kamila stojącego po drugiej stronie ulicy. Uśmiechał się do niej, a potem uniósł rękę i lekko pomachał. Zaczął iść w jej stronę. Odziany w białe szaty wyglądał jak anioł. „A może on jest tym aniołem, o którym mówiły dzieci? – pomyślała. Prawie docierał do niej szelest jego skrzydeł. Jego włosy falowały na wietrze, przetykane promieniami zachodzącego słońca. – Masz długie włosy? Ależ są piękne...” – I to było ostatnie, co zdołała zarejestrować.



– Mamolko, ale ty nie umarłaś? Powiedz, że nie umarłaś!... – głos Maksia docierał jak przez mgłę. Olga poczuła na ramieniu dotyk ciepłej rączki.

– Dziecko, dajże jej spokój, mama nie umarła. Popatrz, rusza oczkami. Zaraz oprzytomnieje. Zastąbła biedactwo, ale to nic takiego. Po prostu zemdląła.

„To na pewno pani Wicia” – uznała w myślach Olga.

Otaczało ją coraz więcej głosów, rozpoznała Faustynę, a raczej jej pochlipywania, potem pana Dzikka, który chyba ją pocieszał, mówiąc, że nic się nie stało i żeby poszła do łazienki. Gdzieś w oddali charakterystycznie zazgrzytała klamka, a Olga od razu domyśliła się, że jest w swoim mieszkaniu. W mieszkaniu Kamila... I nagle w głowie wyświetlił jej się obraz.

– Kamil... – wychrypiała z trudem. Coś dławilo ją w gardle.

– Budzi się! – pisnął Maksio. – Mamolka się budzi!

Otworzyła oczy. Kilkakrotnie głęboko wciągnęła powietrze, ale wtedy od razu znów zakręciło jej się w głowie. Dopiero teraz poczuła, że na czole ma coś mokrego. Wyciągnęła dłoń i zdjęła to, co okazało się kilkoma płatami zmoczonego papierowego ręcznika.

– Gdzie jestem? Co się stało?

– Wszystko dobrze. Oj, dziewczyno, aleś nam strachu napędziła. – Pan



Dzidek odetchnął, nachylając się nad nią.

– Chcę usiąść.

– Już, tylko powoli – ostrzegł ją, podnosząc pod ramiona.

Rozejrzała się wokół. Była w sypialni. Obok łóżka stał Maksymilian i przyglądał się jej badawczo. Na jego rozpalonych do czerwoności policzkach błyszczały łzy.

– Maksiu, kochanie... Nic mi nie jest. – Wyciągnęła rękę, żeby go pogłaskać po głowie. – Przepraszam, że cię wystraszyłam.

– Nie wystarszyłaś mnie – odpowiedział prawie natychmiast. – To nie ty.

– Gdzie Faustyna? – podniosła wzrok na sąsiada.

– A z żoną. W łazience. Przebierają się.

– Aha. Panie Dzidku... – Olga rozejrzała się, jeszcze ciągle zdezorientowana.

– Ale...

– Posłuchaj no, dziewczyno... – Mężczyzna przysiadł na brzegu materaca i wziął na kolana Maksia. – Zemdlałaś, bo...

– Tu jest wujek – wyszeptał chłopczyk i strwożony popatrzył swojej opiekunce prosto w oczy, żeby ocenić, czy tym razem nic się nie wydarzy. – Tu jest wujek Kornat. Brat tatusia. A Fiśka się posikała, bo też się wystraszyła. Myślała, że to jest trup tatusia – powiedział cicho, a potem pociągnął nosem. – Ten wujek wygląda torchę jak aniołek.

– Słucham? – Olga potrząsnęła głową i pytająco spojrzała na sąsiada, licząc na to, że wyjaśni jej, co się stało. – Jaki wujek? Brat? Przecież Kamil nie ma rodzeństwa.

– Ma. Brata bliźniaka – oznajmił mąż pani Wici i nerwowo podrapał się po brodzie lewą ręką, bo prawą obejmował małego Polskiego. – Też nie wiedziałem, ale moja już tak. Nic mi nie powiedziała i też zemdlałam. I to jak jasna cholera – burknął. – Toć żywcem Kamilek. Tylko te pióra na głowie ma takie długie. No i strój inny, ale w Ameryce to pewnie inaczej się noszą niż my.

– Panie Dzidku, ale... A gdzie Fiśka? Jak tu weszliście?

– No przecież mamy klucze – przypomniał. – Fisia w łazience. Z moją – powtórzył. – A ten brat Kamilka to czeka w gościnnym.

– Boże... – jęknęła Olga i na moment chwyciła się za usta. – To dzieje się naprawdę?

– A owszem. Przyjechał przed południem. Taksówką. Poprosił, żeby go zawieźć na cmentarz. Chwilę tam byliśmy, a potem Wicia zadzwoniła, żebyście tu przyjechali. Mówiłem jej, żeby od razu, jeszcze przez telefon wam powiedziała, ale jak to Wiśka, uparła się, że powie na miejscu. I masz babo placek. Dzieciaki się złękły, a ty, dziewczyno, to już całkiem odleciałaś.

Nagle strzeliły drzwi od łazienki, a po chwili Faustyna weszła do pokoju. Gdy zobaczyła siedzącą Olę, natychmiast do niej podbiegła, wskoczyła na łóżko

i przytuliła się z całych sił.

– Mamolko... posikałam się – szepnęła jej wprost do ucha.

– To nic. Ja zemdlałam. To jeszcze gorzej – pocieszyła ją Olga w identyczny sposób.

– Już ci lepiej? – zapytała pani Wicia, wchodząc sekundę później do sypialni. – To dobrze.

– Tak. Już przeszło – potwierdziła Olga. – Mam prośbę... – zawiesiła na moment głos. – Czy może pani go tu zawołać? Chciałabym poznać brata mojego męża.

– Aj... Może najpierw to ty idź do łazienki, choć twarz ochlap zimną wodą. Nastawię kawę i przyniosę wam do gościnnego, a dzieciaki zabieramy do nas. Dzidek... – zwróciła się do męża.

– Już idziemy. Chodźcie, bąki. Mama musi pogadać z wujkiem. – Wyciągnął rękę.



Zostali sami. Siedzieli na dwóch końcach kanapy, przeważnie milcząc i raz po raz spoglądając na siebie. Ale jak mieli swobodnie rozmawiać, widząc się pierwszy raz w życiu? I w takich okolicznościach? Zamienili kilka zdań o wypadku, Olga dosyć lakonicznie opowiedziała, jak radzą sobie dzieci i jak się im mieszka u niej w domu. Wyjaśniła, że często odwiedzają panią Wicię, bo dzieciaki od zawsze były blisko z sąsiadami. Napomknęła też o Ince i Sabinie, chwalać je za wsparcie. Trochę dłużej opowiadała o komunii, o tym, że było naprawdę pięknie i wzruszająco. Wspomniała o księdzu Sobieraju, który potraktował Faustynkę wyjątkowo, nie tylko wyróżniając ją aż trzema wystąpieniami w czasie mszy, lecz także przychodząc na skromne, ale bardzo eleganckie przyjęcie w restauracji.

Konrad zawsze był uważnym słuchaczem. A tym bardziej dzisiaj. Może dlatego, że nie garnął się do zwierzeń o tym, co czuł, kiedy stał przy grobie brata i bratowej.

Olga dopiła resztkę kawy, z ociąganiem odstawiła pustą filiżankę i znów zerknęła na niespodziewanego gościa. „Jego oczy...” – pomyślała, czując w piersiach ciężar, który utrudniał jej oddychanie. Były takie same jak u Kamila, błękitnoseledynowe, w oprawie gęstych rzęs o zaskakująco ciemnym jak na blondyna kolorze.

– Przepraszam, że tak ci się przyglądam – powiedziała po chwili.

– Nic się nie stało. Wiem, że jesteśmy jak kropla w kroplę... – zawahał się, czy nie właściwsze byłoby stwierdzenie, że byli, ale ostatecznie dokończył: – Bardzo podobni, choć ja jestem trochę wyższy. Może dwa cale. Nie więcej.

– Uhm. Zauważyłam. „I znacznie mocniej zbudowany...” – pomyślała,

patrzac na umięsnione barki Konrada. – Na długo przyjechałeś?

– Nie. Pojutrze wracam.

– Obowiązki?

– Tak. Pewnie jesteś ciekawa, dlaczego Kamil nie powiedział ci o mnie? – Skrzywił usta w dziwnym grymasie. – To moja wina. Wina, zasługa, błąd. Wybierz najwłaściwsze.

– Nie wiem, co mam wybrać, bo nie znam historii waszego konfliktu. Bo był jakiś konflikt? – upewniła się Olga.

– Był. To bardzo długa i złożona historia.

– No cóż. Mamy sporo czasu... – westchnęła z zadumą. – Chyba tu dzisiaj przenocuję z dzieciakami.

– Skoro tak... – mruknął.

– Nie lubisz mówić o sobie?

– Nieszczególnie. Ale jestem ci w pewnym sensie winien. Moje życie, i Kamila też, składało się z samych oczekiwań, które spełnialiśmy co do jednego – zaczął. – Nasi rodzice bardzo późno nas mieli. Gdy się urodziliśmy, postanowili, że... Może nie postanowili, to zbyt mocne słowo, raczej zapragnęli, abyśmy zostali duchownymi. To miało być takie podziękowanie za cud, że się pojawiliśmy. Już jako dzieci służyliśmy do mszy, to była tak naturalna część naszego życia, jak dajmy na to codzienna higiena czy regularne posiłki. I może ich plan miałby szansę powodzenia, gdyby nie Ania.

– Żona Kamila?

– Tak. Poznaliśmy się na jednej z pielgrzymek do Częstochowy. Wtedy już bardzo intensywnie się szykowaliśmy do pójścia do seminarium, obaj zaangażowani najmocniej jak to możliwe. Ania mieszkała tutaj, a my w Myślenicach, ale to nie przeszkadzało nam utrzymywać koleżeńskich kontaktów, głównie telefonicznie. W zasadzie to ja częściej z nią rozmawiałem i gdy minęło parę miesięcy, zaprosiłem Anię na studniówkę. Kamil się wkurzył, bo do ostatniej chwili był przekonany, że idziemy bez partnerek, ale jakoś udało mi się go udobruchać.

– I na tej studniówce coś się wydarzyło? – domyśliła się Olga.

– Tak. Zaczęło się od głupich żartów. Chłopcy się opili i dokuczali Ani, że jest naszą wspólną dziewczyną, że będzie gosposią na parafii, raz u mnie, a raz u Kamila. Takie tam... – Machnął ręką. – Ania nie wytrzymała, uciekła z sali, a mój brat pognął za nią, żeby ją pocieszyć.

– Dlaczego nie ty?

– Byłem zajęty. – Splótł palce dłoni i wyciągnął przed siebie ręce, aż strzeliło w kościach. – Zawsze lubiłem sport, ćwiczenia, więc na brak siły nie narzekałem.

– Pobijeś się z nimi?

– Trochę się poszarпалиśmy. Nic wielkiego.  
– Ale wystarczyło, żeby Ania i Kamil...  
– Mój brat potrafi być miły. Jest... Zresztą nie muszę ci mówić. Zawsze taki był. Wesoły i kontaktowy. Otwarty. Szybko zdobywał przyjaciół. Choć miał ciemną stronę, jak każdy. Czasem, gdy się zawziął...

– O tak. Był bardzo uparty. – Olga spuściła wzrok na kolana. Przez chwilę musiała odpocząć od widoku tak bardzo znajomej, lecz innej twarzy.

– Odbiło mu. Nagle oświadczył rodzicom, że rezygnuje z seminarium. Obaj mieliśmy studiować tutaj, w Krakowie – wyjaśnił. – Ja planowo zacząłem studia, a on wybrał informatykę na AGH. Spotykali się z Anią, a mnie skręcało z zazdrości. I ze złości, że wywinął taki numer rodzicom.

– Poczekaj – przerwała mu Olga. – Rodzice byli źli, że Kamil zrezygnował?

– Raczej rozczarowani.

– Ale to okropne, że wasi rodzice nie pozwolili wam być sobą. – Olga wyraźnie się oburzyła. – Taka sytuacja powoduje, że gdy rodzice odchodzą, człowiek czuje się pusty w środku i usilnie szuka czegoś lub kogoś, kto zapełni tę pustkę.

„Przykre, że znasz to z autopsji – pomyślał Konrad, patrząc na Olę, ale nie zapytał, co konkretnie wydarzyło się w życiu bratowej. – Przyjdzie na to czas” – uznał. – Masz rację – potaknął. – I jednocześnie takie sterowane w dzieciństwie dziecko boi się szukać swoich ścieżek, bo to oznacza przyznanie się do tego, że rodzice wyrządzili mu krzywdę.

– Podczas gdy jedynymi osobami, które mogą wypełnić te puste miejsca, jesteśmy my sami.

– Tak. Właśnie tak. I Kamil wygrał. Związał się z Anią, bo tak chciał. Nie bał się szukać, podejmować decyzji, podczas gdy ja...

– Ty się miotalesz?

– Tak. Bałem się, że gdy odejdę z seminarium, rodzice całkiem się załamią. Wytrzymałem prawie do końca. Zrezygnowałem niedługo przed święceniemi.

– Dlaczego?

– Uświadomiłem sobie, że życie celibatariusza nie jest dla mnie. Za każdym razem, gdy widziałem Anię i Kamila... – Przełknął ślinę. – Wzięli ślub, planowali dziecko. Mój brat układał sobie życie jak od linijki. A ja? Nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Wróciłem do Myślenic, jakiś czas pracowałem na budowie. Fizycznie, jako pomocnik murarza. Rodzice praktycznie zerwali ze mną kontakty i co było do przewidzenia, całą swoją miłość przelali na Kamila i jego żonę.

– A może tylko tak ci się wydawało?

– Teraz z perspektywy czasu wiem, że się myliłem. Po prostu nie zawsze jesteśmy w stanie trzeźwo ocenić czyjeś intencje, zwłaszcza gdy emocje...

– Czułeś się gorszy?

– A jak mogłem się czuć? – Uśmiechnął się blado. – We własnych oczach byłem najgorszym nieudacznikiem, jakiego nosiła ziemia. A potem zmarł ojciec. Rozległy zawal – wyjaśnił. – Wkrótce po nim mama. To mnie dobiło.

– Kamil obwinił cię o ich śmierć? – Olga przymrużyła oczy.

– Otwarcie nie, ale czasami miałem wrażenie, że to właśnie czuje. Za dużo myślałem. Dużo za dużo. – Pokiwał głową. – Któregoś dnia wydarzył się wypadek. Jeden z moich współpracowników spadł z rusztowania. To było prawie osiem metrów, a on tak nieszczęśliwie uderzył głową, że zmarł, zanim przyjechał ambulans. Klęczałem obok, trzymałem na kolanach tę jego krwawiącą głowę i... – Chrząknął. – I nic nie mogłem zrobić. Gdybym przyjął święcenia, mógłbym mu wtedy udzielić namaszczenia chorych. To był człowiek żyjący w grzechu. Przemocowiec i alkoholik. Zresztą wtedy też był pijany.

– Rozumiem.

Olga pokiwała głową, choć wcale to nie było dla niej jasne ani oczywiste. Ani to pragnienie rozgrzeszenia tego człowieka, ani też ta specyficzna łatwość wybaczenia, którą tyle razy obserwowała u Kamila. A to, co budziło w niej najbardziej ambiwalentne uczucia, to fakt, że obaj, tacy wybaczący innym, najwidoczniej nie potrafili wybaczyć sobie samym.

– Zrozumiałem, że chcę wrócić do duchowieństwa, ale... – kontynuował Konrad.

– Nie pozwolili ci?

– Nie. Kuria wyraźnie się sprzeciwiła. To był dla mnie straszny cios.

– Wtedy podjąłeś decyzję o wyjeździe do Stanów? Tam chciałeś spróbować zostać księdzem? – próbowała się domyślić.

– Podjąłem decyzję o zmianie wyznania.

– Nie jesteś katolikiem? – spytała zszokowana.

– Nie. Jestem baptystą. A mieszkam w Stanach, bo tam znalazłem pracę. To był przypadek.

– To jak Kamil... – szepnęła Olga. – Co robisz? – zapytała, żeby odgonić cisnące się do oczu łzy.

– Jestem ilustratorem. Robię grafiki, rysunki do książek dla dzieci, często ilustruję fantastykę, projektuję plakaty. Różnie. Zależy, jakie zlecenie złapię. I jednocześnie bardzo udzielam się w naszej wspólnotce w New Bern. To małe miasteczko w Karolinie Północnej. Mieszkam w domu pastora. Na razie jestem diakonem, ale chodzą słuchy, że mniej więcej za rok mają mnie mianować jego następcą – dodał po chwili namysłu.

– Zostaniesz pastorem?

– Mam nadzieję. Studia teologiczne skończyłem, wikariat u ojca Matthew już odbyłem, zborownicy z naszej wspólnoty zaakceptowali moją kandydaturę, więc już blisko. Jeszcze tylko egzamin i wybory.

– Pastor może mieć żonę?  
– Tak. Uprzedzę twoje pytanie, żonaty nie jestem, ale zaręczony tak. Od ponad trzech lat.  
– Gratuluję.  
– Dziękuję. Alice jest znacznie młodsza ode mnie. Ma dwadzieścia sześć lat  
– powiedział. – Może dlatego nie naciska, żeby brać ślub.  
– Rozumiem.  
– Trochę nam podryfowała ta rozmowa.  
– Trochę – zgodziła się z nim Olga.  
– Przepraszam, że ja tylko o sobie. Może ty coś powiesz?  
– Chyba nie mam nic do powiedzenia. – Lekko uniosła brwi. – Pani Wicia na pewno co nieco ci zdradziła. – Uśmiechnęła się z przekąsem.  
– Owszem. Takie ogólne informacje, gdzie mieszkacie, co robisz, że twoja mama jest w jakimś ośrodku, a tato nie żyje...  
– Że mam mnóstwo pieniędzy i jestem ateistką też? – Pokiwała głową, myśląc o różnicach w postrzeganiu jej skromnej osoby w zależności od tego, kto ją oceniał i z jakiej grupy społecznej.  
– Też. – Konrad uśmiechnął się blado. Uniósł dłoń i bezwiednie przeczesał włosy.  
Ten gest nie uszedł uwadze Olgi. Znała go i widziała tyle razy. U swojego męża. Poczula, jak w jej gardle znów coś niebezpiecznie rośnie.  
– Dlaczego przyjechałeś dopiero teraz? – spytała, starając się zachować neutralny ton głosu, bez cienia wyrzutu. – Upłynęło już prawie pięć miesięcy od śmierci Kamila.  
– Rok temu zmieniłem numer telefonu, wysłałem Kamilowi wiadomość, ale nie odpisał. Uznałem mimo to, że go zanotował.  
– Nikt nie zadzwonił, bo po prostu nie mógł?  
– Tak. Kamil znał mój adres, oczywiście Ania też i jej matka również. I to ona, teściowa Kamila, wysłała do mnie telegram, ale pechowo gdzieś zaginął. W styczniu byłem na dwutygodniowym wyjeździe w Detroit, wróciłem na początku lutego, nadal nie wiedząc o śmierci Kamila. W marcu, zaraz przed Wielkanocą, coś mnie tknęło. Zadzwoniłem do brata, miał wyłączony telefon, więc wysłałem mu kolejną wiadomość. A potem przyszedł maj. – Konrad wziął głęboki oddech. – Pomyślałem, że spróbuję zadzwonić jeszcze raz, złożyć życzenia Faustynie.  
– Komunikuj?  
– Tak. Tym razem nie poddałem się tak szybko. Gdy jego telefon milczał, znalazłem numer do matki Ani, ale tam też zaliczyłem niefort. Okazało się, że już dawno należy do kogoś innego. Postanowiłem, że po prostu wyślę prezent i kartkę z życzeniami. Nawet mam to wszystko. W hotelu. – Zasepił się na moment. – Nie

zdążyłem wysłać. Raz na rok, może dwa, gadam z kumplem z Myślenic. Radek zadzwonił, powiedział, że w czerwcu organizują spotkanie absolwentów naszego ogólniaka, i spytał, czy mimo wszystko przyjadę. Wtedy się dowiedziałem. – Pochylił głowę.

– Boże... To wy nigdy się nie kontaktowaliście? – Olga była w szoku.

– Kontaktowaliśmy się. Kamil zadzwonił, gdy urodziła się Faustyna. Chciał, żebym przyjechał, ale... Nie byłem na ich ślubie. Nie mogłem, nie chciałem na to patrzeć. Zaproponował, żebym został ojcem chrzestnym Faustyny.

– Wtedy powiedziałeś, że już nie należysz do Kościoła katolickiego?

– Tak. Okropnie się wściekł. Mówił, że nie tak wychowali nas rodzice. Zadzwonił parę dni później, przeprosił mnie, ale ogólnie... Tak się stało, że w końcu nie pojechałem.

– Nigdy tu nie byłeś?

– Byłem raz. Gdy Faustyna zachorowała. Ania mnie poprosiła. Przyleciałem najszybciej jak to było możliwe. Niestety, nie mogłem zostać dawcą.

– Ale Faustyna cię nie pamięta – zauważyła Olga.

– Miała wtedy dwa lata. Podczas mojego pobytu była w szpitalu. Widziałem ją raz, bardzo krótko. Może kwadrans? Przypuszczam, że brała mnie za Kamila, bo w ogóle się nie bała – wyjaśnił.

– Porozmawialiście wtedy?

– Była okazja. Niestety, znów się pokłóciliśmy. Może dlatego, że to był wyjątkowo trudny czas dla Kamila i Ani. Teraz to rozumiem, a wtedy chyba zbyt mocno uniosłem się dumą. Przeleciałem taki kawał świata, a mój braciszek się obraził. Nie mógł mi wybaczyć zmiany Kościoła. Nie potrafił zrozumieć, albo nie chciał, że ja też chcę mieć rodzinę. Mówił, że coś trzeba wybrać i nie można być dobrym kapłanem, jeśli nie poświęci się temu całego życia. A ja po prostu myślę inaczej. Wiem, że można to pogodzić.

– Pewnie można – zgodziła się z nim Olga.

Nagle usłyszeli stukanie do drzwi, a sekundę później ktoś wszedł do mieszkania.

– Uparli się, żeby tu przyjść – powiedział pan Dzidek, wprowadzając dzieci do pokoju.

Maksymilian od razu podbiegł do Olgi i usiadł jej na kolanach, po chwili dołączyła do niego Faustyna. Przytuliła się do Mamolki, ciągle jeszcze wyraźnie skrzępowana swoim „wypadkiem”. Skryła się za ramieniem Olgi i stamtąd, podobnie jak jej braciszek, zaczęła wnikliwie obserwować wujka.

– Dziękuję panie Zdzisławie – powiedziała Olga.

– Żona prosiła przekazać, że gdybyście tu nocowali, jutro o trzeciej zaprasza na obiad – oznajmił sąsiad. – Oczywiście pana też. – Skłonił głowę w stronę Konrada.

– My przyjdziemy na pewno. Jeszcze raz dziękuję. Za wszystko. – Olga przytuliła swoje dwie pociechy i popatrzyła na mężczyznę z wdzięcznością.

– To ja już pójdę. Do jutra.

– Ile macie lat? – spytał Konrad, gdy już zostali we czwórkę. Znał wiek dzieci Kamila, ale chciał jakoś zagaić.

– Prawie pięć, a Fiśka prawie dziewięć – burknął Maksio. – A ty?

– Przecież to jest brat bliźniak tatusia. To chyba wiesz, ile wujek ma lat? – zauważyła trzeźwo Faustyna.

– Nie wiem.

– Nie, no co z ciebie za... – jęknęła, w porę gryząc się w język, bo zamierzała w niedzielę iść do komunii.

– Wujek Konrad ma trzydzieści siedem lat – powiedziała Olga, żeby przerwać te utarczki.

– Mieszkasz tu? – zapytał Maksio.

– Tu? – Konrad rozejrzał się po pokoju. – Zatrzymałem się w hotelu, a na stałe mieszkam w New Bern. To takie małe miasto nad rzeką Neuse, w Stanach. W Ameryce – dodał, myśląc, że to może właściwsze określenie. – Bardzo blisko Oceanu Atlantyckiego.

– Ale super! – zachwycił się chłopiec. – Możemy do ciebie przyjechać? – wypalił natychmiast.

– Pewnie, że tak. Zapraszam.

– Mamolko, pojedziemy? – Maksio odwrócił głowę i popatrzył na Olę z nadzieją. – Jutro byśmy mogli?

– Tam się nie jedzie, tam się płynie statkiem albo leci samolotem – burknęła Faustyna, przewracając oczami. – To jest strasznie daleko. I na pewno jutro nie pojedziemy, bo pojutrze jest poniedziałek i trzeba iść do szkoły.

– To prawda, Mamolko? – Maksio sprawiał wrażenie niepokojonego, bo już nastawiał się na superzabawę i na to, iż powie w przedszkolu, że w niedzielę był u wujka w Ameryce.

– Obawiam się, że tak – odpowiedział za Olę Konrad. Maksio od razu skupił na nim wzrok. – Teraz ludzie rzadko podróżują do Ameryki statkami. Głównie latają. Za to, gdy już do mnie przylecicie, na pewno zostanieie na dłużej.

– Ale super! – Maksymilian klasnął w dłonie.

– A nasze kotki? Możemy zabrać koty? – zainteresowała się Faustyna.

– Bo my mamy dwa koty! – wypalił jej braciszek. – Kiszkę i Paszteta. Kiszka jest taka trochę czarna, Fiśka mówi, że wygląda jak kaszanka. To znaczy kiedyś wyglądała, gdy była mała i chuda, bo teraz to z niej jest salceson – zachichotał.

– Mówi się salceson! A moja Kiszka wcale nie jest gruba, to twój Pasztet wygląda jak salceson! – oburzyła się Faustyna. – Bo tylko śpi i je. A Kiszka poluje.



Prawda, Mamolko?

– Uhm... – mruknęła Olga, myśląc, że ta łowność kotki wcale nie jest taką fajną sprawą.

– A Kiszka kiedyś przyniosła do domu myszkę i Mamolka poszła w nocy do salonu i nadepnęła na myszkę i tak się wystraszyła, że się wywaliła.

– Aha. – Konrad z trudem opanował chęć parsknięcia śmiechem.

– Nic fajnego nadepnąć gołą stopą na martwą mysz – wtrąciła się do rozmowy Olga.

– A Kiszka to wszystko przynosi, nawet kreta przyciągła do domu. Był taki słodziutki, miły i czarny, ale troszkę martwy – dodał Maksio. – I nie mogliśmy go zostawić, boby się zaśmierdzał. Szkoda. Wyglądał jak przytulanka. A kiedyś przyniosła żywą myszę i Mamolka ją ratowała. Mysza wlaźła pod mój tapczanik, Fiśka go musiała trzymać, a Mamolka włożyła rękawiczkę, bo się brzydziła, i ją złapała. I urwała jej ogon! Taką skórę z ogona, i wtedy Fiśka puściła tapczan i chrup!

– Ojej! – Konrad potrząsnął głową.

– No. Zgniotła jej głowę. I mysza umarła. No ale tak czasami bywa. – Maksio wzruszył ramionkami. – Ale to nie jest grzech, bo to niespeclajnie. A wszystko przez Kiszkę, bo ona ciągle poluje.

– Rozumiem. A twój kotek? Pasztet? Czym się zajmuje, gdy nie śpi i nie je? – zagadnął Konrad.

– Robi kupy. Okropnie śmierdzące. Kiedyś nasrał do brodzika – powiedział Maksio. – Ale to dlatego, że Mamolka go wykapała, a on nienawidzi się kąpać i się zemścił. To była zemsta. Okrutna!

– No tak. Koty nie lubią kąpieli – potaknął Konrad.

– Maksiu, a może pozwolisz Faustynce coś powiedzieć? – spytała Olga.

– Ja nie muszę nic mówić – odezwała się dziewczynka i jeszcze bardziej wsunęła za plecy opiekunki. Przez te historie o kupie znów sobie przypomniała o wypadku, który się jej przydarzył. Nie mogła sobie wybaczyć, że się posikała, i czuła okropny wstyd, bo przecież wszyscy to zauważyli. Udawali, że nic się nie stało, ale ona wiedziała lepiej.

– Okej. W takim razie Maksiu, możesz się dalej wykazywać. – Olga poczochnęła mu dłonią włosy.

– Jesteś okropnie taki sam jak tatuś – uznał chłopiec, zerkając na wujka. – Tylko włosy masz inne. I czemu chodzisz w piżamie? Nie zabrałeś ubrań?

– Hm... To nie piżama. – Konrad zerknął na swoje białe lniane spodnie i leżące na udach poły długiej koszuli uszyte z podobnej, choć nieco cieńszej tkaniny. – W New Bern jest bardzo ciepło i słonecznie, więc często noszę białe ubrania – wyjaśnił.

– A co tam robisz?

Konrad opowiedział to samo, co Oldze, ale okrasił swoją wypowiedź kilkoma zdjęciami pokazanymi w telefonie. Zwłaszcza te ukazujące ilustracje książek dla dzieci wzbudziły zainteresowanie Maksymiliana. Nawet Faustyna na chwilę wzięła do rąk komórkę i pooglądała fotki.

– A nasza Mamolka nie chodzi do kościoła – wyznał Maksio. – Zawozi nas do Sabinek i idziemy z nimi, a czasem z ciocią Wicią, ale była z nami, gdy Fiśka szła do komunii. I... – Na moment zacisnął wargi. – I jeszcze była na ślubie. I...

– Może pójdę z wami jutro? Co wy na to? – przerwała mu raptownie Olga.

– Naprawdę? Ale super! – Maksio wyraźnie się ucieszył. – A ty, wujku?

– Nie wiem, czy powinienem – odpowiedział po chwili. Wyobraził sobie, co się zdarzy, gdy pokaże się u boku Olgi i bratanków. Reakcje kilku osób spotkanych na osiedlu i pod blokiem, gdzie mieszkał Kamil, nie pozostawiały złudzeń. Wszyscy gapili się, jakby ujrzeli ducha.

– Wujek nie chodzi do waszego kościółka – próbowała wytłumaczyć Olga, ale Konrad dał jej znać ręką, że sam to załatwi.

– Chodzę do innego kościoła. Nasz kościół nazywa się zbór baptystów. Jest trochę podobny do waszego, ale nie taki sam. Jeśli jutro się spotkamy, wezmę laptop i pokażę wam zdjęcia.

– A jest u was komunie? – Faustyna przerwała milczenie.

– Tak. Oprócz hostii jeszcze jest wino. Za to nie mamy takiej spowiedzi, jaką ty odbyłaś.

– To jak? – Fiśka zmarszczyła czoło. – Bez spowiedzi nie wolno iść do komunii.

– Jest spowiedź powszechna. Stoimy i się spowiadamy.

– Mówicie grzechy na głos? – Wybałuszyła oczy i na moment zakryła usta, myśląc że to okropne, gdy każdy słyszy, co złego zrobił ktoś inny.

– Tak, ale ogólnie. Nie wymieniamy konkretnych grzechów – wyjaśnił. Zauważył, że temat nudzi bratanka, który zaczął malowniczo ziewać, zerknął więc na Olgę pytająco.

– Może pokażecie wujkowi wasz stary pokoik? – zaproponowała. – Zamówię pizzę, bo na pewno zgłodnieliście.

Wszyscy zapalili się do tego pomysłu i po chwili Olga mogła iść do kuchni, żeby zrobić herbatę. Zalewała saszetki w kubkach wrzątkiem, słuchając gwaru dobiegającego z pokoju dzieci i myśląc, że jeszcze chwila i się rozplacze. Każdy ruch Konrada, gest, machnięcie ręką, uśmiech, niski tembr głosu docierający teraz przez ścianę... To wszystko sprawiało, że czuła, jak jej serce znów ściska się z bólu. Obecność Konrada, obserwowanie go, słuchanie było niczym sypanie soli na świeże rany.

„Daj sobie czas” – usłyszała w głowie słowa Inki. Odpowiedziała jej wtedy: „To największa brednia świata. Czas wcale nie leczy ran, a jedynie zmniejsza naszą

wrażliwość. Działa jak filtr. Dzień za dniem kładzie delikatną mgielkę, która coraz grubiej przykrywa wspomnienia, ale pod tymi wszystkimi warstwami rany dalej krwawią. I bołą. Kolejny dzień bez niego, kolejna noc, wieczność, a ja umieram, bo brakuje mi go. A przecież miało być: gdzie on, tam ja. I nie czekam, aż przestanie boleć, bo wiem, że nie przestanie. I jeśli Bóg istnieje, nienawidzę go, bo on mi go zabrał. I chcę, żeby ten wasz Bóg istniał, bo chcę mieć kogo nienawidzić za tę stratę”.

Oparła się plecami o blat szafki kuchennej i bezradnie zacisnęła na nim dłoń.

– Jestem tak strasznie zmęczona – szepnęła, czując na wargach słoność łez. – A moje pęknięte serce już nie działa, ale po co manekinowi serce...



– Chyba będę się zbierał – stwierdził Konrad, gdy Olga wróciła z dziecięcego pokoju i przystawiła palec do ust, dając mu znać, że dzieciaki zasnęły. – Już prawie dziesiąta.

Nagle Olga poczuła, że jeszcze nie chce się z nim rozstawać. To było jak specyficzna forma masochizmu, gdy wpatrywała się w twarz Konrada, a jej mózg świrował, oczy przekazywały do niego informację: Kamil, Kamil, Kamil... „To jak słodzik i cukier. Oba słodkie, ale tylko jedna z tych słodyczy jest prawdziwa” – pomyślała, siadając w fotelu.

– Nie wyganiam cię. I tak nie zasnę do rana.

– Mogę zostać na noc? – zażartował.

– Do północy. Pani Wicia ma słuch jak nietoperz. Nawet gdy śpi.

– Ona bardzo cię lubi.

– Teraz tak, ale początki były trudne. – Olga mrugnęła porozumiewawczo. – Pewnie uważała, że jestem marną namiastką jej siostrzenicy, ale z czasem...

– Najważniejsze, że teraz cię akceptuje.

– Bo nie ma innego wyjścia?

– Przesadzasz. Widać, gdy ktoś lubi innego człowieka na siłę.

– Może i tak. To co? Dokończysz? Dzieci nam przerwały – przypomniała.

– Okej, choć zbyt wiele nie mam do powiedzenia. Po nieudanej próbie pomocy Faustynce wróciłem do New Bern, ale Ania... Pisaliśmy do siebie. Dużo. Prawie codziennie. Czasem dzwoniła do mnie, gdy Kamil spał albo był w pracy. Różnie.

– Dowiedział się o tym? Zrobił ci awanturę?

– Nie. Ostatecznie to ja zadzwoniłem do niego i wylałem wiadro żółci i pomyj na jego głowę. – Zauważył pytający wzrok Olgi, więc kontynuował, choć już zaczął czuć w gardle ucisk wzruszenia. – Ania i Kamil postanowili, że będą mieć kolejne dziecko, żeby ratować Faustynę. Rozmawiali z jakimś genetykiem

i on im zasugerował...

– In vitro? Z diagnostyką preimplantacyjną? – domyśliła się Olga. – *Savior baby*. Dziecko ratunkowe. Kiedyś rozważałam, czy nie studiować w Zurychu na kierunku dotyczącym takiej właśnie diagnostyki. Interesowało mnie to.

– Aha. – Konrad uniósł brwi i zmarszczył nos. – Może z naukowego punktu widzenia to jest dobre, ale...

– Domyślam się, co chcesz mi powiedzieć – przerwała mu. – I co zrobili? Jaką podjęli decyzję?

– Nie wiem. Ania nigdy mi tego nie zdradziła, ale kilka miesięcy później zaszła w ciążę. Gdy kończyła pierwszy trymestr, poroniła. Bardzo to przeżyła, a ja razem z nią.

– A Kamil? On jej nie wspierał? – Olga zmarszczyła czoło. Poczła się trochę dziwnie, gdy w głosie Konrada usłyszała cień czegoś, co zdawało się potępieniem i krytyką.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział natychmiast.

– Ale niewystarczająco?

– Tak wtedy sądziłem. Minęło kilka miesięcy i znów: Ania zaszła w kolejną ciążę. Z Maksymilianem. Całe dziewięć miesięcy drżała ze strachu, że poroni. Do tego coraz bardziej chora Faustyna. Myślę, że wtedy bardzo źle się działo między Anią a moim bratem. Za dużo tego było. Tydzień przed terminem napisała do mnie maila, że się boi. Że czuje, iż coś się stanie. Mówiła, że ma złe sny. Naturalnie pierwsze, co jej przychodziło do głowy, to lęk o Faustynę, a potem o nienarodzone dziecko. A ja odchodziłem od zmysłów, że to jej coś się stanie przez te nerwy, bo ileż można? – Na chwilę opuścił głowę. – Potem zamilkła. Nie odpisywała, uznałem więc, że Kamil przeczytał naszą korespondencję i zabronił jej kontaktów ze mną.

– Był o nią zazdrosny? Kochałeś ją?

– Nie wiem, czy był. Pewnie tak. Kochałem Anię, ale to była raczej taka bratersko-siostrzana miłość. Wiem to na pewno, bo do Alice...

– Czujesz coś całkiem innego?

– Tak.

– I co było dalej?

– Kamil wysłał mi wiadomość, że urodził się Maksymilian.

– Tylko tyle?

– Tak. Przypuszczam, że był załamany, bo Ania walczyła o życie. Może nie chciał mi tego powiedzieć? Nie mam pojęcia, czemu napisał tylko tyle.

– Nie dał ci znać, że umarła? – Olga potrząsnęła głową. Nie mogła uwierzyć w to, co mówił Konrad. Wstała i wyszła do kuchni po butelkę wody i szklanki.

– Dał mi znać – ciągnął Konrad po jej powrocie. – Napisał: „Dzisiaj pochowałem moją ukochaną żonę. Módl się za nią i za nas”.

– Ale... To... – Oldze brakło słów. Odkręciła butelkę i napelniła obie szklanki. Drżała jej dłoń, gdy przystawiła krawędź naczynia do ust.

– Wkurzyłem się. Mało powiedziane. Ja się wściekłem. Zadzwońłem do niego i powiedziałem wszystko, co tłoczyło się w mojej głowie i sercu. Byłem wściekły, że nie dał mi wcześniej znać, że nie pozwolił, żebym przyjechał na pogrzeb, pożegnał się z Anią. Wygarnąłem mu strasznie. Oskarżyłem, że Ania zmarła przez to, iż on chciał ratować Faustynę. Wrzeszczałem, że nie można sprzeciwiać się boskiej woli. Że Bóg zdecydował o chorobie Faustyny, bo tak chciał, a oni nie mieli prawa tego podważać, próbując spłodzić dziecko na części zapasowe. Mówiłem okropne rzeczy. To było straszne... – Zasepił się. Przez jego twarz co chwilę przebiegał bolesny skurcz. Na czoło wystąpił pot, a prawa skroń pulsowała przyspieszonym rytmem.

– Napij się. – Olga podała mu oszronioną szklankę.

Konrad opróżnił ją duszkiem. Zamiast ją odstawić, trzymał w dłoniach, bo lodowate ścianki przynosiły mu trochę ukojenia.

– Powiedziałem Kamilowi, że już nie mam brata – wyznał z trudem.

– Nigdy potem tu nie przyjechałeś?

– Nie. Kamil stwierdził, że skoro tak uważam, to on też nie zamierza na siłę utrzymywać ze mną kontaktu. Przyniósł mi to, ale złamał swoją obietnicę pół roku później. Napisał maila, że Faustyna ma remisję, i załączył zdjęcie malutkiego Maksymiliana. Odpisałem, że bardzo się cieszę. Życzyłem mu zdrowia i dzieciom też. Potem on napisał przed świętami Bożego Narodzenia. To były jakieś suche, lakoniczne życzenia, jakie wysyła się komuś znajomemu. Odpowiedziałem podobnie. A potem całkiem zamilkł, a ja...

– Tak czasem jest, że świadomie urywamy kontakt z kimś, choć tego nie chcemy. Tak po prostu się dzieje. – Olga od razu pomyślała o sobie i matce. – Dzień mija za dniem, a my myślimy, że jutro. Że mamy tyle czasu przed sobą.

– Tak, masz rację. Co rok wysyłałem kwiaty na grób rodziców i grób Ani. Zamawiałem je w kwiaciarni, opłacałem doręczenie i żądałem zdjęcia, żeby być pewnym, że dotarły. Białe bukiety dla moich rodziców i dla Ani. Ciężko mi – wyznał, patrząc na brunetkę siedzącą przed nim. Na jej twarz o pięknych i szlachetnych rysach wyrzeźbionych dłutem cierpienia i na delikatne zmarszczki wokół oczu wycyzelowane smutkiem.

– Mnie też jest ciężko – szepnęła Olga. – Brakuje mi go.

– Poczekaj, coś ci pokażę. – Konrad sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyjął portfel, a z niego małe kolorowe zdjęcie zrobione polaroidem. – To ja i Kamil. – Podał Oldze nieco rozmazaną fotografię. – Mieliśmy wtedy pięć lat.

– Byliście nie do odróżnienia – westchnęła, patrząc na dwójkę chłopców w białych bluzeczkach i czerwonych spodenkach w szkocką kratę.

– Mama zawsze kupowała nam takie same ubrania. – Konrad zaśmiał się

cicho. – Dopiero niedawno gdzieś przeczytałem, że to poważny błąd. Że powinno się podkreślać indywidualność takich dzieciaków, bo gdy dorosną, nie potrafią żyć w pojedynkę. Cierpią, czują się niekompletne, gdy rozstają się na dłużej. A gdy jedno się wyłamuje, to drugie nie wie, co z sobą począć.

– Masz rację. Ale dopiero teraz mi to uświadomiłeś. – Przymrużyła oczy. – A to takie naturalne, że stanowimy odrębne istoty i... – Znów zerknęła na zdjęcie. – Który z was to Kamil?

– Ten po prawej.

– Uhm. Podobny do Maksia. – Uśmiechnęła się blado.

– A Maksio do mnie – zażartował Konrad.

– Tak. Wszyscy trzej macie identyczne oczy. Piękne. Zakochałam się w Kamilu właśnie przez te oczy – powiedziała wyraźnie skrzępowana, ale chciała, żeby Konrad to usłyszał.

– Alice też mówi, że są piękne – mruknął, biorąc od Olgi zdjęcie. Pieczołowicie wsunął je do kieszonki i schował portfel.

– Bo są.

– Żałuję... – wychrypiał. Chrząknął, żeby przywrócić głosowi gładkość, ale to nic nie dało. – Żałuję, że nie zdążyłem się z nim pogodzić.

– Ja też wielu rzeczy żałuję. I Kamil też na pewno żałował, że tak się wam pokomplikowało.

– Ech... – Konrad machnął ręką. – Kamil? Słyszysz mnie? – Popatrzył w sufit. – To jak? Piątka, braciszku? Nie odpowiada – stwierdził po dłuższej chwili. Wydął usta i z powrotem skupił wzrok na Oldze.

– Kiedyś odpowie.

– Na pewno. Albo da jakiś znak.

– Nie strasz mnie. – Olga nerwowo obejrzała się za siebie, bo usłyszała dziwny szmer.

Nagle do pokoju wsunął się zaspany Maksio.

– Mamolko... – wymamrotał. – Śniło mi się, że zgubiłem smoka...

## Rozdział 15

Miały się spotkać w centrum, ale Olga zadzwoniła i poprosiła o przybycie z odsieczą. Ledwie Iza przekroczyła próg domu przyjaciółki, załamała ręce.

– Wygląda, jakbyście planowali zostać uchodźcami – stwierdziła, widząc cały salon zawalony ciuchami, butami, poduszkami, zabawkami i Bóg wie, czym jeszcze.

– Nie ogarniam. W życiu nie wyjeżdżałam na tak długo z dziećmi. Moja walizka już dawno spakowana. – Wskazała brodą w kierunku kominka, gdzie stała.

– Nie mów, że wzięłaś same czarne rzeczy? – W głosie Izy zabrzmiało ostrzeżenie.

Nie mogła patrzeć na Olę noszącą się jak najbardziej wdowia wdowa świata. Nawet portfel kupiła sobie czarny. I dres domowy.

– Nie. Mam brązową piżamę – stwierdziła ta z przekąsem.

– Przesadzasz. Jest lato, słońce. Upieczesz się – powiedziała z troską. „Kto to widział nosić te czarne szmaty, zupełnie jak w średniowieczu. Żałobę ma się w sercu” – pomyślała, zachowując wnioski dla siebie.

– Lubię czarne ciuchy – ucięła Olga.

– A gdzie twoja wesoła gromadka? – zainteresowała się Izka, podnosząc z podłogi parę dziewczęcych majteczek, na szczęście czystych.

– Pan Dzidek przyjechał, zabrał kontenerki z kotami, kuwety, miski i cały ten zwierzęcy anturaż, a przy okazji dzieciaki też. Ma je odwieźć wieczorem. I dobrze, bo co jak co, ale z nimi oszalałabym do cna. No popatrz, jak ja mam to wszystko spakować? Chyba zwariowali? – sarknęła, tocząc wzrokiem po pokoju. – Po jaką cholere powiedziałam, żeby przynieśli wszystko, co chcą zabrać.

– Co się dziwisz? Sześć tygodni to dla dziecka całe wieki. – Iza pokiwała głową. – A co ze świadectwem? – zapytała, przysiadając na oparciu kanapy.

– Odbierzemy po wakacjach. Jutro rano wylatujemy, więc Fiśka nie pójdzie do szkoły – odparła Olga.

– Uspokój się, poukładaj to sensownie na stosiki, a ja zrobię mrożoną herbatę – zaoferowała przyjaciółka. – A potem pomogę wybrać, co potrzebne dzieciakom na wyjazd do wujka do Ameryki. Kto jak nie ja coś o tym wie? – zażartowała, myśląc że posiadanie dzieci to wcale nie taka prosta sprawa, jak mogłoby się wydawać.

Poszła do kuchni, znalazła paczkę earl greya i załala wrzątkiem dwie saszetki. Czekając, aż się zaparzy, jeszcze raz rozważała, czy decyzja Olgi o tym spontanicznym wyjeździe do Konrada wyjdzie przyjaciółce na dobre. Pamiętała dobrze, jak Olga opowiadała o tym człowieku, wyraźnie rozemocjonowana nie tylko faktem, że dotychczas nie wiedziała o istnieniu brata bliźniaka swego zmarłego męża, lecz także tym, że jest ludzako do niego podobny i że dzieci po prostu przypadły. I to już po jednym jedynym dniu spędzonym z wujkiem.

Obawiała się, że Olga tak samo jak one może doszukiwać się w Konradzie jakiegoś zastępstwa, namiastki tego, co straciła, i przeżyć straszne rozczarowanie, bo przecież to nie był Kamil, a na dodatek ten mężczyzna miał swoje życie, narzeczoną, pracę i tak dalej. I mieszkał na drugim końcu świata.

Wrzuciła do pojemnika kilkanaście kostek lodu i zmiksowała je blenderem. Zalała lodową papkę esencją i po chwili wróciła do salonu, niosąc dwie wysokie szklanki z aromatyczną herbatą.

– Dzięki – westchnęła Olga, biorąc swoją szklankę. Wypiła kilka łyków i odstawiła, bo przecież musiała w końcu ogarnąć ten chaos.

Przez chwilę razem układały rzeczy w zgrabne kosteczki, sortując te, które nadadzą się na pobyt w New Bern. Olga wytłumaczyła, że panują tam teraz okropne upały, musi więc wziąć dużo letnich rzeczy, na co Izka odparła, że ciuchy w Stanach kosztują grosze i że ona wzięłaby jedynie kilka zmian, powiedzmy na tydzień.

– Weź im ulubione, jeśli mają jakieś ukochane przytulanki to też zabierz, a resztę kupisz na miejscu. I kremy z filtrem weź, może jakieś leki?

– Ech. Chyba faktycznie za bardzo się spinam – przyznała Olga. – Chodź na taras. Muszę chwilę odpocząć.

Usiadły i piły herbatę. W końcu Olga zerknęła na przyjaciółkę i spytała, czemu ta milczy.

– Myślę.

– O czym?

– O tym waszym wyjeździe.

– Ale o co ci chodzi? Mam zastępcę w fabryce, koty zdeponowane u sąsiadów, dom i ogród ogarnie pani Helenka, na cmentarz też jest komu iść, do matki mogę zadzwonić zewsząd, a jedziemy, bo Konrad nas zaprosił. Więc?

– Wiem, że was zaprosił. Wiem również, że sama wszystko finansujesz. I wiem, że chciałaś wynająć hotel na cały czas pobytu, ale Konrad się nie zgodził.

– Izka, jadę tam tylko ze względu na dzieciaki. Tylko o nich myślę – podkreśliła stanowczo.

– Okej. – Iza pokiwała głową. Przeczesała ręką długie rude loki i związała je w luźny supeł na karku. – Martwię się o ciebie. Rozumiesz? – Popatrzyła z troską na Olę.

Ta ciągle jeszcze nie wyglądała choćby w połowie tak dobrze, jak pół roku temu. Nawet w ćwierci. Zeszczuplała bardziej niż po ubiegłorocznej chorobie, od bladej skóry odcinały się ciemnopurpurowe sińce pod oczami. Nie maskował ich nawet najlepszy korektor. Zresztą Olga często zapominała o zrobieniu makijażu, a już w dni, kiedy nie szła do pracy, nie malowała się wcale.

– Nie musisz. Ogarniam – mruknęła Olga. – Choć fakt, dzisiaj sytuacja lekko mnie przerosła.



- Będę tęsknić.
- Szybko zleci.
- Szkoda, że on nie mógł wtedy trochę dłużej zostać. Naprawdę nie może tu przyjechać? Niech weźmie ze sobą tę laskę – podsunęła rozwiązanie.
- Nie może. Mówił, że w wakacje pastor odwiedza swoją siostrę i on musi go zastępować.
- Uhm.
- Wiem. Uważasz, że jestem głupia. Że to za wcześnie, żeby gdzieś jechać, że znam go, a w zasadzie znamy, raptem trzy dni, ale trochę gadaliśmy przez Skype'a, poza tym widzę, że Maksio i Fiśka lgną do niego.
- Bo wygląda jak Kamil.
- Wygląda jak Kamil, bo jest jego bratem. To krewny dzieci. Nie rozumiesz?
- Rozumiem.
- To normalne, że ciągną do siebie.
- Normalne – zgodziła się Iza.
- „Ale czy normalne jest, że wcześniej się nimi nie przejmował?” – pomyślała, ciągle nie mogąc pojąć, jak można było nie przylecieć na pogrzeb własnego brata i mieć go gdzieś przez tyle długich lat. I żadne tłumaczenia do niej nie docierały, choć Olga bardzo się starała usprawiedliwić tę nową postać, która pojawiła się ni stąd, ni zowąd w jej życiu.
- Czuję, że masz do mnie jakieś dziwne pretensje – wypaliła w końcu Olga.
- Dziękuję ci za pomoc i wszystko, co dla mnie zrobiłaś, gdy... – Przełknęła ślinę, przypominając sobie, ile wsparcia otrzymała od przyjaciółki. – Ale ja muszę myśleć o dzieciach. Chcą tam jechać, więc jedziemy. I już.
- Nie mam pretensji. Po prostu się martwię. – Chwyciła Olę za rękę. „Uciekasz. Uciekasz, bo wydaje ci się, że tam znajdziesz Kamila” – pomyślała. – Obiecuj, że będziesz na siebie uważać. Powiedz, bierzesz jeszcze te antydepresanty? Jeśli tak, nie zapomnij ich wziąć. Masz odpowiedni zapas?
- Nie biorę. Nie pomagały, więc odstawiłam.
- Kiedy?
- Jakiś tydzień temu – skłamała Olga, bo przestała zażywać leki zaraz po wyjeździe Konrada.
- Uhm – stropiła się Iza.
- Gdy wyrzucała do kosza saszetki po herbacie, zauważyła w środku pustą butelkę po wódce. Domyśliła się, że przyjaciółka czasem popija. Zresztą nawet dzisiaj poczuła od niej lekką woń nieprzetrawionego alkoholu.
- Bolał mnie żołądek – wyjaśniła Olga.
- W porządku. Wiesz co? Może i dobrze, że jedzicie. Odpoczniesz. – Nagle zmieniła zdanie. „Przynajmniej ktoś będzie jej pilnował” – pomyślała.
- Odpocznę.

- Okej. To co? Idziemy się pakować?
- Idziemy.



Było jak wtedy, gdy dzieci pierwszy raz rozmawiały z Konradem. Najpierw podeszły do niego nieufnie, przywitały się, ale szybko przylgnęły do Olgi. Ledwie opuścili lotnisko w Jacksonville, a już się nieco rozbrykały. Maksio wziął wujka za rękę i tak dotarli do samochodu.

Konrad zadbał o dwa foteliki, przypiął dzieciaki, spakował bagaże i wyruszyli w stronę New Bern.

- Zasnęli – stwierdził chwilę później.
- Szczerze mówiąc, dziwię się, że tak długo wytrzymali – wymamrotała Olga.

Też była krańcowo zmęczona, ale na lotnisku, gdy zobaczyła Konrada, poczuła, jak coś wpływa w jej żyły i zmusza serce do szybszej pracy. Spodziewała się tego skoku adrenaliny na jego widok, mimo to znów ogarnęły ją równie silne emocje jak w dniu, w którym pierwszy raz ujrzała brata Kamila.

- Zdrzemnij się. Chwilę pojedziemy – uprzedził Konrad.
- Okej. – Skwapliwie zamknęła oczy i oparła głowę. Wiedziała, że nie zaśnie, ale przynajmniej miała czas, żeby się trochę uspokoić.

Szybko dotarli na miejsce. Zerkała spod wpółopuszczonych powiek na małe, już senne o tej porze miasteczko. Zajechali pod duży dom pokryty w całości bielonymi deseczkami. Konrad wziął śpiącego Maksia na ręce i zaniósł prosto do wielkiego łóżka w pokoju, który stał się sypialnią dzieci na cały czas ich pobytu. Olga zaprowadziła półprzytomną Faustynę do łazienki, a chwilę później dziewczynka smacznie chrapała tuż obok brata.

Gospodarz zaproponował jakąś choćby bardzo skromną kolację, ale Olga odmówiła.

- Idę spać. Jestem padnięta – oznajmiła zgodnie z prawdą.
- Już przyniosę walizki.



Spali prawie do południa. Słońce już dawno wstało, gdy Maksio usiadł na łóżku, stwierdził, że Fiśka jeszcze śpi, po czym cicho wyszedł z pokoju. Szybko odnalazł Mamolkę, mającą sypialnię zaraz obok ich pokoju, i oczywiście ją obudził, wpełzając pod cienką kołdrę i przytulając się mocno.

- Pobudka... – burknął.
- Uhm. Już.

Chwilę później dołączyła do nich Fiśka.

Wujek już czekał. Zjedli śniadanie. Prawdziwe amerykańskie śniadanie, jak

podkreślił Konrad, choć Maksio wcale nie czuł wielkiej różnicy, gdy zobaczył przed sobą miseczkę z mlekiem i dwie paczki jakichś płatków. Wydał usta, spodziewając się czegoś bardziej oryginalnego niż zimne mleko zamiast ciepłego, ale był tak głodny, że nie marudził.

– Gdzie pastor? – Olga zainteresowała się nieobecnością pełnoprawnego właściciela domostwa.

– Ojciec Matthew? W kościele. On i kilka pań ze zgromadzenia szykują specjalną kolację dla naszych policjantów. To z okazji którejś rocznicy otwarcia pierwszego posterunku w New Bern – wyjaśnił Konrad. – Wróci późnym popołudniem. Pewnie koło szóstej.

– Aha.

– Mamolko, możemy iść do ogrodu? – zapytał Maksio. Olga zerknęła na Konrada, a ten od razu pokiwał głową.

– Uważajcie na siebie. Nie wychodźcie poza ogrodzenie i nie dotykajcie roślin, bo możecie mieć uczulenie – uprzedził.

– Ojej, aż tak? – Olga uniosła brwi. – Wiedzą, że nie wolno nic jeść bez zgody kogoś dorosłego.

– Nie będziemy niczego dotykać – oświadczyła poważnie Faustyna.

– Będziemy bardzo grzeczni – dodał Maksio.

– Nie ma tu raczej nic niebezpiecznego, na drzewko mancinelli nie trafią, ale wolę uprzedzić. – Popatrzył z troską na wybiegające z kuchni dzieciaki. – Potrafią pływać?

– Tak. Świetnie pływają.

– Z boku domu jest spory basen – wyjaśnił, wkładając naczynia do zmywarki. – Chcesz zwiedzić domostwo?

– Chętnie. – Olga podniosła się z krzesła.

Konrad pokazał jej cały dom i lakonicznie, choć treściwie, przekazał historię budynku.

– Pastor jako najmłodszy został na ojcowiznie. Obecnie żyje tylko jego siostra, mieszka w sąsiednim stanie – powiedział, przysiadając na brzegu materaca.

– A jak ogarnia taki wielki dom? Przecież to chyba z trzysta metrów, albo i więcej. – Olga rozglądała się ciekawie, aż jej wzrok padł na biurko. Na blacie leżały przybory do rysunku i szkic czegoś, co wyglądało jak postać z powieści fantasy.

– Od lat pomaga mu, a teraz nam, matka mojej Alice. Swego czasu ojciec Matthew chciał, żeby za niego wyszła, ale się nie zgodziła – wyjaśnił Konrad.

– Jest wdową?

– Tak. Od dawna.

Olga podeszła do biblioteczki, najwyraźniej przerobionej z jakiejś bieliźniarki, bo ktoś zostawił niewymontowane zawiasy. Zerknęła na księgozbiór,

a później na bardzo ciekawy relief na szczycie mebla. Konrad zauważył, czemu się przygląda, i sam też podążył za spojrzeniem Olgi. W domu pastora od dziesiątków lat niewiele się zmieniło. Tak twierdzili sam zainteresowany i matka Alice. W kuchni królowały nieco toporne szafeczki z poobtlukiwanymi rogami drzewiczek i przypadkowym zestawem gałek, w saloniku stała kanapa pamiętająca lepsze czasy, przysłonięta dla zachowania pozorów elegancji grubą kapą i stosem fikuśnych poduszek, w gabinecie straszyły wyliniałe klubowe fotele z niegdyś zielonego, a dzisiaj burego weluru, ale i tak tutaj, w pokoju Konrada przerobionym z małżeńskiej sypialni poprzednich mieszkańców, było najgorzej. Lub raczej – najbardziej archaicznie.

Jedynymi współczesnymi akcentami były komputer, niewielki telewizor wiszący na ścianie i stacjonarny rower.

– Tak sobie myślę, że chyba będziemy ci przeszkadzać – westchnęła Olga, przysiadając na krześle przy biurku.

– Nie będziecie. Co też ci przyszło do głowy? – Uśmiechnął się z dziwnym skrępowaniem. – Tuż obok, za płotem, mieszkają Oldmanowie, mają trójkę chłopców w wieku szkolnym. Te dzieciaki naprawdę dają popalić, i to ostro. Szczerze mówiąc, nie wiem dokładnie, jakie mają imiona, bo ich matka najczęściej mówi o nich „diabły”. – Zaśmiał się. – Jeśli oni nam nie przeszkadzają, wy tym bardziej – zażartował.

– Może się zakolegują z moimi?

– Z naszymi. – Konrad mrugnął porozumiewawczo. – Na pewno. O ile już to się nie dzieje, bo mówiłem im, że przyjedziecie. Mają wakacje – dodał. – Pewnie od rana czają się w zaroślach i obserwują dom. – Oho! Coś słyszę! – Uniósł brwi, bo z dołu dobiegł ich odgłos uderzenia drzwiami.

Szybko zeszli na parter.

– Bo tu jest jakaś pani! – krzyknął Maksio.

Chwilę potem do domu weszły Faustyna i śliczna blondyneczka w białych szortach i koszulce polo.

– *Hi!* – przywitała się i pomachała ręką. Podeszła do Konrada, zawisła mu na szyi i ucałowała prosto w usta.

Faustyna i Maksio bacznie przyglądali się temu dosyć intymnemu powitaniu i w końcu oboje jak na komendę złapali Olgę za ręce. Może uznali, że ta nowa postać zbyt śmiało sobie poczyna z ich wujkiem, a może nie przywykli do aż tak otwartego okazywania sobie uczuć przez dorosłych.

Konrad dopiero po chwili mógł oficjalnie przedstawić obie panie. Zaprosił wszystkich do salonu, dzieciaki chwilę posiedziały, ale znudzone niezbyt atrakcyjną dyskusją, do której nie bardzo mogły się włączyć, wróciły do ogrodu, gdyż faktycznie bracia Oldmanowie już się tam kręcili, a jak wiadomo, dzieci dogadają się zawsze, choćby na migi.

Dorośli natomiast mogli mówić wyłącznie po angielsku ze względu na Alice, która nie rozumiała zbyt wiele z rodzimego języka narzeczonego. Złożyła Oldze wyrazy współczucia, pogratulowała wspaniałych dzieci, opowiedziała, czym mniej więcej się zajmuje, czyli jak to określiła: „Niczym poważnym, bo pracuję dorywczo w restauracji, tutaj, w New Bern”, napomknęła o ślubie, który mieli wziąć z Konradem w styczniu następnego roku, i to było prawie wszystko. Dodała jeszcze, że oprócz zajmowania się dziećmi uwielbia pichcić i kocha zwierzątka domowe, a to przy okazji wzmianki o Kiszce i Pasztecie.

Olga słuchała, uśmiechała się uprzejmie, ale gdzieś głęboko w sercu czuła, jak coś ją skręca, gdy widziała tę młodą, szczęśliwą dziewczynę, która co chwila brała Konrada za rękę albo przytulała się do niego i zdmuchiwała niewidoczny pyłek z przedramienia pokrytego takimi samymi jak u Kamila złocistymi włoskami. Czuła, że Alice w ten sposób daje jej jasno i wyraźnie do zrozumienia: „On jest mój i tylko mój, i nawet nie próbuj się doń zbliżyć”.

Pomyślała, że ich wizyta nie do końca jest mile widziana, a już na pewno nie ze strony tej dziewczyny. I trudno było się dziwić. Z tego, co mówił Konrad jeszcze w Krakowie, wynikało, że nie poświęca Alice dużo czasu, bo ma sporo obowiązków, zarówno we wspólnocie, jak i tych związanych z jego pracą zawodową. Do tego dochodziły pomoc pastorowi w pisaniu kazań, czytanie Biblii i książek o podobnej tematyce, czynne uprawianie sportu (co najmniej dwie godziny dziennie), dbanie o ogród i gotowanie w dni, w które Catherine – matka Alice – ma wolne.

„Jak to wszystko godzisz?” – zadumała się Olga, patrząc na Konrada. Przez chwilę zatrzymała na nim wzrok, a gdy on popatrzył na nią i ich oczy spotkały się na kilka milisekund dłużej niż powinny, poczuła, jak oblewa się rumieńcem. Zerknęła nerwowo na Alice, ale ta na szczęście nie zauważyła tej wymiany spojrzeń zawstydzających Olę i równocześnie powodujących charakterystyczne drżenie w jej brzuchu. „Nie możesz... Nie możemy tak robić” – pomyślała. Niestety, nie miała zbyt wiele czasu do rozmyślań, bo do domu wrócił ojciec Matthew. Okazał się przemitym zażywnym staruszką, niskim i nieco pulchnym, z okrągłą jak piłka łysą głową otoczoną wianuszką zupełnie białych krótkich loczków.

Porozmawiał z Olgą i ku jej konsternacji, bardzo dobrze jednak przez nią skrywanej, udzielił jej kilku porad, jak radzić sobie z żałobą po stracie męża. Na szczęście wróciły dzieciaki, zrobiło się zamieszanie i Olga mogła wreszcie odsapnąć, bo zeszła na drugi plan, a nawet trzeci.

I tak wyglądał ich pierwszy dzień w New Bern.



Alice była w jego mniemaniu skończoną piękną. Niezbyt wysoka,

szczupła, ale zaokrąglona gdzie trzeba, z wydatnymi biodrami, wąską talią i ładnym pełnym biustem. Miała idealnie gładką cerę, jasną i świetlistą. I cudowne złociste włosy, kojarzące się Konradowi z łanami dojrzałej pszenicy łagodnie falującymi na wietrze. Często myślał o niej „moja księżniczka”. Zauważał jej wady, częste humorki, zmiany nastroju, zazdrość i zaborczość, a nawet pewną skłonność do kontrolowania jego życia, ale to mu nie przeszkadzało. Do teraz.

Bo teraz miał porównanie. Choć porównywanie Alice do żony zmarłego brata nie było czymś rozsądnym. Były przecież zupełnie inne.

Dni mijały, pędząc szybciej niż kiedykolwiek. Konrad dwoił się i troił. Pastor wyjechał do siostry, urzędował więc za niego we wspólnocie, pisał kazania, rysował, kiedy tylko mógł, i często siedział po nocach, żeby zdążyć. Resztę czasu poświęcał swoim gościom, choć właściwiej byłoby powiedzieć – dwójce gości, bo Olga rzadko z nimi przebywała. Właśnie przez Alice.

Z jednej strony cieszyła go ta komitywa między narzeczoną a bratankami, a z drugiej smuciła, bo widział, że Olga czasem czuje się zepchnięta na margines. Alice od początku znalazła wspólny język z Makssem i Fausti, jak na nich mówiła. Szalała z nimi w basenie, grała w frisbee, twistera i w planszówki, jeździła na prawie każdą wycieczkę, na którą zabierał ich Konrad. Wtedy też zawłaszczala dzieci dla siebie. Z rzadka pozwalała Oldze iść z nimi za rękę. Zaraz podbiegała i proponowała im coś szalonego. A gdy dzieciaki nie chciały „współpracować”, zwracała swoje zainteresowanie ku Konradowi, wieszala się na nim, całowała i tuliła, co wprawiało go w ogromne zakłopotanie.

Kiedyś próbował z nią porozmawiać, ale zanim zdążył powiedzieć choć jedno słowo argumentujące tezę, że powinna trochę mniej angażować się w pobyt jego gości, bo to przecież JEGO goście, nie jej, usłyszał, że jest okropnym niewdzięcznikiem, bo ona „tak się stara, a co otrzymuje w zamian?”. Więc odpuścił.

Tylko raz udało mu się wziąć na wycieczkę Olgę i dzieci bez towarzystwa narzeczonej. Chciał pokazać Oldze swoje ulubione zakątki w okolicy, brodate drzewa, które zachwyciły ją tak samo jak jego zaraz po przybyciu tutaj. To był bardzo miły wypad, choć dzieci pod koniec zaczęły marudzić. Wyraźnie przyzwyczyły się do obecności wesołej i energicznej Alice, ale trzeba przyznać, że gdy działo się coś niemiłego, na przykład Maksio wywalił się jak długi i skaleczył w kolano drzazgą z drewnianego podestu przy Tryon Palace, pierwszą i jedyną osobą, do której wyciągnął rękę, była Olga.

W piątkę żeglowali, zwiedzali park Izaaka Taylora i drugi – Towarzystwa Historycznego, byli w sklepach z pamiątkami, gdzie dzieci w nieskończoność oglądały jedne i te same bibeloty, i razem przeszli szlakiem Island Creek.

Po jakimś czasie Olga zaniechała tych wypadów. Zostawała w domu pod pretekstem załatwiania spraw służbowych i przygotowania czegoś na obiad. Ale to

były tylko pozory. Konrad wiedział, że wystarczały jej trzy godziny między ósmą a jedenastą, aby wszystko załatwić. Olga zamykała się w swojej sypialni i stukala w klawisze lub rozmawiała przez Skype'a. Ale już po godzinie, góra dwóch, wszystko cichło. Nie miał pojęcia, co robi później, jednak nie próbował zaglądać do jej pokoju. Co do gotowania, to też marna wymówka, bo to Catherine głównie dbała o ich żołądki, przywoziła zakupy i robiła lunch, zresztą zawsze można było zadzwonić po coś gotowego.

Swoją drogą z obiadami też wyszło średnio. Któregoś dnia Olga postanowiła przygotować kotlety schabowe. Zmeła suchą bułkę i opanierowała wieprzowe mięso dokładnie tak, jak robiły to miliony polskich gospodyń. Ugotowała ziemniaki i przyrządziła mizerię. Konrad pochłonął wszystko jak odkurzacz i stwierdził, że tak dobrego polskiego obiadu nie jadł od lat. Pochwalił danie przy Alice, a ta natychmiast wymusiła na Oldze, by nauczyła ją przyrządzania klasycznej polskiej potrawy. Nazajutrz Alice przyniosła swoje „polskie kotlety”, oczekując takich samych zachwyków.

Nie miał pojęcia, co pomyślała bratowa o tej dziecinnej rywalizacji, ale szczęśliwa nie była na pewno. Konrad przypuszczał, że Olga źle się tu czuje, a gdy któregoś dnia zagadnął ją o to, zaprzeczyła, chociaż nieco pokrętnie i nie wprost.

– Ja wszędzie czuję się tak samo beznadziejnie – powiedziała. – Taka jestem. Ale to kiedyś minie. – Okrasila twarz bladym uśmiechem. Bładym jak cała ona, bo zupełnie się nie opalała, każdy dzień zaczynając od pokrycia skóry kremem z bardzo wysokim filtrem.

Alice nieraz próbowała ją rozruszać, sprawić, żeby się roześmiała, ale zdarzało się to wyłącznie przy dzieciach, a i śmiech, który wydobywał się z ust Olgi, też był blady i niewyraźny.

Ten spokój i swoista apatia były dla niej charakterystyczne. Prawie nigdy nie podnosiła głosu na dzieci. Nie śmiała się, ale też nie płakała. Przynajmniej Konrad nigdy nie zauważył takiej sytuacji. Tylko jeden jedyny raz zareagowała dosyć emocjonalnie jak na nią. Wrócił wtedy od fryzjera. Sam nie wiedział, co go podkusiło, że postanowił podciąć włosy. Trochę, może dwa, trzy cale. Ale gdy siedział na fryzjerskim fotelu, nagle przyszło mu do głowy, że skróci je bardziej, poza tym Alice już od miesiący ostrzegała, że przed ślubem musi się krótko ostrzyć, bo wygląda jak Axl Rose. Mimo to zostawił trochę dłuższe. Pasma sięgały ciut za płatki uszu.

Gdy wszedł do domu, Olga aż cofnęła się o krok i na moment przytknęła dłoń do ust. Zaskoczony spytał: „Aż tak źle wyglądam?”, a ona mruknęła, że świetnie. Nie mógł zrozumieć jej reakcji, tego, że wyraźnie pobladła i zaraz potem poszła do swojej sypialni. Dopiero Faustyna go oświeciła, mówiąc: „Wujku, teraz jesteś jak mój prawdziwy tatuś. Szkoda, że nie mamy i jego, i ciebie...”.

Uznał wtedy, że jest kompletnym idiotą, skoro nie przewidział takiej

sytuacji. Próbował się przed sobą usprawiedliwić, bo skąd mógł wiedzieć, jaką fryzurę ostatnio nosił Kamil, ale to niczego nie zmieniało. Pełen poczucia winy pojechał jeszcze raz i kazał zrobić sobie taką fryzurę, jaką od zawsze sugerowała mu narzeczona: wygolone boki i ciut dłuższe kosmyki na czubku głowy.

– Przynajmniej Alice będzie szczęśliwa – westchnął, opuszczając zakład pani Simpson. – Dobrze i to.



Niestety, nie była. Gdy wrócił do domu, zastał narzeczoną na tarasie w towarzystwie dzieciaków i Olgi. Alice widziała go w poprzedniej fryzurze i natychmiast orzekła, że przedtem było lepiej, a taka krótka do niego nie pasuje.

– Na szczęście zdążą odrosnąć do stycznia – powiedziała, wstając z bujawki. Objęła go i pocałowała prosto w usta. – Na naszym ślubie będziesz doskonale wyglądał.

Maksio zrozumiał, co mówi Alice, i wyraźnie się stropił. – Mamolko, a my też będziemy na tym ślubie? – spytał, trochę zazdrosny, że wujek i Alice tak się tulą, jakby byli sami.

– Zapraszam serdecznie – oznajmił Konrad, który usłyszał pytanie malca. Alice spojrzała pytająco, więc jej wyjaśnił, o czym mowa. Natychmiast odwróciła się w stronę Maksymiliana, pokiwała głową i obdarzyła jednym ze swoich promiennych uśmiechów.

– Maksiu, porozmawiamy o tym, ale nie mogę ci nic obiecać – burknęła Olga, z trudem się hamując, żeby nie powiedzieć czegoś niemilego Alice, która pociągnęła Konrada za rękę, żeby usiadł obok niej na bujawce.

– No właśnie. To nie takie proste. Taka wycieczka kosztuje – oznajmiła Faustyna i popatrzyła na brata jak na kogoś bardzo głupiutkiego i bezmyślnego. – Poza tym ja mam szkołę, zajęcia, a Mamolka pracę.

Faustyna była bystrą obserwatorką, nigdy nie miała większych problemów z odczytywaniem uczuć bliskich jej sercu osób. Zauważyła, że Olga wyraźnie posmutniała. Wzięła macochę za rękę i uścisnęła.

– Fiśka... – jęknął z zawodem Maksymilian. – Wszystko psujesz.

– Faustynka niczego nie psuje – zaoponowała Olga. – Po prostu tak czasami jest. Przepraszę was na moment. – Wstała i wyszła, żeby skryć się u siebie, bo nagle poczuła, że jeszcze chwila i się rozpłacze.

Włączyła laptop, weszła na Facebook, żeby na chwilę zająć głowę czymś innym niż myślenie o tym, że czasami czuje się przeraźliwie samotna mimo tylu otaczających ją osób. Oczywiście nie posiedziała sama zbyt długo. Chwilę później do drzwi zapukała Alice, po czym weszła do środka. Czowała się w sypialni Olgi dosyć swobodnie. Stała przy biurku i się nachyliła, żeby popatrzeć w ekran laptopa. Olga od razu zrozumiała, że Alice ją prowokuje. Przez chwilę



zastanawiała się, co zrobić. Zignorować czy zwrócić jej uwagę. Nie wytrzymała.

– Widzę, że jesteś ciekawa, co napisałam do przyjaciółki. – Popatrzyła na otwarte okno Facebooka z prywatną rozmową z Izą. – Przetłumaczyć?

– Nie musisz. – Alice zerknęła na ikonkę przy jednym z wpisów oznaczającą smutek.

– Czegoś sobie życzysz?

– Tak. Naprawdę chciałabym, żebyście przylecieli na nasz ślub.

– Ja też bym chciała, ale to raczej niemożliwe – odparła Olga, zamykając klawisz komputera. – Mam w styczniu dużo pracy.

– A dzieci? Konrad albo ja moglibyśmy po nie przylecieć.

– Moje dzieci są ze mną. Zawsze – oznajmiła twardo Olga, a potem wyszła z pokoju, bezsilnie zaciskając pięści. Opuściła głowę, ledwie zamknęła za sobą drzwi. Zrobiła parę kroków i prawie wpadła na Konrada. Podtrzymał ją przez moment, żeby nie upadła.

– Szukam was po całym domu – powiedział, wyraźnie zmieszany tą sytuacją.

– Nas? – spytała. W jej głosie wybrzmiewała ironia. – Twoja dziewczyna jest u mnie. – Wskazała brodą na drzwi i z kwaśnym uśmiechem precyzyjnie się obok niego, szczęśliwa, że może opuścić wąski korytarz, który nagle wydał jej się jeszcze ciaśniejszy niż zwykle.

– Olga, poczekaj... – zawołał Konrad, widząc oddalające się w stronę schodów przygarbione plecy bratowej opięte czarną koszulką. – Ech, Alice... Co ty wyprawiasz? – mruknął do siebie.

Taka właśnie była jego narzeczona, którą za sześć miesięcy miał poślubić.

## Rozdział 16

Siedzieli na tarasie. W szklankach z sokiem pomarańczowym rozpuszczał się lód. Zewsząd atakowały ich dźwięki i zapachy upalnego lata: woń rozgrzanej słońcem murawy, szczebiot ptaków i śmiechy dzieciaków chlapiących się w basenie.

Olga zerknęła na Konrada. Zawsze sądziła, że bliźniacy powinni być podobni do siebie nie tylko z wyglądu, lecz także charakteru. Polscy chyba przeczyli tej tezie. Konrad w jej obecności był cichy i spokojny, prawie że mruk. Rzadko zaczynał rozmowę. Wyraźnie cedował to na nią, ale ona też nie miała na to ochoty. Musiała przyznać, że nieźle się z nim milczało. Niewymuszona cisza sprawiała jej przyjemność i trochę przypominała czasy, gdy była z Hajdukiem. On też często milczał w jej obecności.

Lubiła się przyglądać, kiedy Konrad rysował. Na szczęście często pracował na dole w salonie lub właśnie tutaj, na tarasie, i mogła go podglądać do woli. Przypuszczała, że wie o tych jej obserwacjach, ale nigdy nie spytał, dlaczego to robi. Może się krępował, a może jemu to też sprawiało przyjemność. A może bał się, że ją urazi, wszak mogła tak robić z tęsknoty za jego bratem. Czasem musnął ją

wzrokiem, gdy sięgał po flamaster w innym kolorze lub na moment odchyłał się w fotelu, żeby ocenić swoją pracę. Ale to były rzadkie chwile.

Patrzyła na jego rękę kreślącą z łatwością precyzyjne linie, na pochyloną głowę i lewą dłoń leżącą niemalże bez ruchu na arkuszu papieru. Ten widok był taki kojący.

– Czy nie przeszkadza ci, gdy ktoś patrzy? – Nagle odważyła się zapytać.

– Przeszkadza. – Podniósł głowę i spojrzał na nią. W jego oczach coś zamigotało, zupełnie jak błysk słonecznego promienia na lustrze wody.

– Och. – Olga zagryzła kącik ust. – Przepraszam. Mogłeś powiedzieć, że tego nie lubisz. Już znikam. – Chciała wstać, ale Konrad powstrzymał ją ruchem ręki.

– Nie lubię, gdy ktoś patrzy, ale ty nie jesteś „ktoś” – powiedział.

– Aha – wyjąkała, żałując, że zadała pytanie. Zauważyła, że ton jego głosu był zaskakująco czuły, a ręka trzymająca flamaster leciutko drżała, choć może jej się wydawało. – Mam nadzieję, że nie tylko ja mogę towarzyszyć ci w trakcie pracy twórczej? – Próbowała przybrać żartobliwy ton, żeby zmniejszyć dziwne napięcie, które nagle pojawiło się między nimi.

– Owszem – odpowiedział, sięgając po sok.

– Alice? – zapytała, ale Konrad uniósł lekko kąciki ust i pokręcił głową. – Pastor?

– Bingo.

– Dlaczego on?

– Zgadnij.

– Bo milczy? Modli się? Medytuje? – sypała kolejnymi propozycjami, ale żadna z nich nie była tą właściwą. – Poddaję się – westchnęła po chwili.

– Bo z reguły zasypia po trzech minutach i lekko wtedy pochrapuje, co wprowadza mnie w swoisty trans – wyjaśnił, odstawiając pustą szklanekę.

– Żartujesz – prychnęła. – A ja? Przecież nie śpię. I nie pochrapuję. Więc?

– Nie potrafię tego wytłumaczyć. Jest okej. To chyba wystarczy?

– W sumie? Chyba faktycznie wystarczy.

Nie odpowiedział. Pochylił się nad rysunkiem i po chwili jego dłoń znów zatańczyła nad kartką.



– *O my God...* – jęknęła Faustyna, wchodząc do salonu. – Jak gorąco...

– *Pay five złotych! Wait! Five bucks!* – pisnął radośnie Maksio. – Pięć dolarów!!! Jupi!

– *I'm not.* Wcale nie płacę! To znaczy, wcale nie płacę!!! Ech! – Potrząsnęła głową ze złości. – *It was English.* To się nie liczy. Po angielsku się nie liczy – oznajmiła, siadając obok Olgi.

– Liczy się po każdym! – krzyknął Maksio i też usiadł obok, ale po drugiej stronie. – Po polskiemu i po amerykańskiemu.

– *Nope. You're a moron...* – Faustyna wychyliła się zza Olgi i pokazała mu język.

– *You're a dumb!* Mamolko, *tell* Fiśka, że nie jestem *stupid*.

– Nie jesteś. Fisia też nie.

– Widzę, że świetnie sobie radzicie z angielskim – pochwalił Konrad, który wrócił właśnie z kuchni i przyniósł butelkę wody i szklanki.

Przysiadł na fotelu i przez chwilę przyglądał się spoconym i brudnym jak nieszczęście bratankom.

– O tak. Doskonale sobie radzą. – Olga uśmiechnęła się ironicznie.

Rzeczywiście robili postępy. O ile na początku prawie wcale nie posługiwali się angielskim, chyba że przy Alice, o tyle teraz mówili bardzo dużo. Często naprzemiennie, raz po polsku, a za moment po angielsku, w jednym zdaniu potrafiąc użyć tak skomplikowanej struktury lingwistycznej, że trudno ich było zrozumieć.

Oczywiście najwięcej chłonęli od rodzeństwa Oldmanów, a cokolwiek by mówić, te dzieciaki potrafiły kląć jak szewc. Nawet ich słodka ośmioletnia kuzyneczka Nicole, która pojawiła się dwa tygodnie temu ku wielkiej radości Fiśki. Ale i tak więcej korzyści wynikało z tej polsko-amerykańskiej komitywy niż ewentualnych strat w postaci wzbogacenia języka w powszechnie używane obelgi i wulgaryzmy.

– Nie liczy się po angielsku – burknęła Faustyna, ale Maksio ją usłyszał.

– *Holy shit* – odpowiedział i chwycił się za usta, bo dobrze znał znaczenie tego zwrotu.

– Ejże, ejże... – Olga poczochnęła mu włosy. – Za chwilę oboje zapłacicie. I faktycznie po te pięć baksów.

– Posłuchajcie, łobuzy. Idźcie wziąć prysznic, a potem przejdziemy się do portu.

– Jupi! – wrzasnął Maksio, a po chwili na schodach zadudniły bosc stopy.



Najczęściej Konrad miał głowę pełną pomysłów, które kipiały i przelewały się jak górski potok. Czasem jednak wiało pustką. Nic nie widział. Kompletnie nic. Tak było teraz. Od miesiąca rozmyślał, co narysować na okładkę powieści, którą zdążył już dwukrotnie przeczytać, żeby dostarczyć wienie pożywki. Niestety, najwyraźniej nie miała apetytu na dystopię.

Zszedł na dół ze szkicownikiem, trochę zdziwiony panującą w domu ciszą. „Dzieciaki są u Oldmanów – przypomniał sobie. – A Olga?”

Już zamierzał ją zawołać, gdy wszedł do salonu i ujrzał Olę śpiącą na sofie.

Trochę się zdziwił, bo rzadko drzemała w porze sjesty, a tym bardziej przed południem, ale ta myśl szybko znikła, wyparta przez zupełnie inne, ale za to bardzo znajome i wyczekiwane uczucie.

Bezszelestnie przeszedł przez pokój, usiadł naprzeciw bratowej, ostrożnie otworzył szkicownik i zaczął rysować. Na kartce pojawił się wizerunek śpiącej kobiety. Wyglądała trochę jak zepsuta marionetka, ze zwisającą za poręcz kanapy lewą ręką, na której barku wsparła głowę. Podobnie było z nogami, jedną Olga podwinęła pod siebie, a drugą spuściła swobodnie na wyliniały dywanik. Wywinięta do wewnątrz prawa stopa prezentowała się wyjątkowo żałośnie, jakby była złamana lub skręcona.

Konrad aż westchnął, gdy ocenił całość naszkicowanej naprędce kompozycji. Bohaterka książki, Dotru, nagle stała się Olgą, a Olga nią, kobietą robotem, która kiedyś miała duszę, ale przez zły los i splot tragicznych wydarzeń została jej pozbawiona, tak samo jak i serca. „Za dużo pustych miejsc. Dużo za dużo, żeby ktoś mógł je wypełnić. Żebyś ty mógł je wypełnić...” – przypomniał sobie dojmująco smutne słowa Dotru, gdy w powieści spotkała innego androida chcącego ją „naprawić”, oferującego część swojej duszy i serca. „Odrzucasz moją miłość?” – spytał ją Ronew. „Czasem miłość to zbyt mało. Gdy prawie wszystko ci zabrano, a to, co pozostało, jest ułomne i słabe, miłość nie wystarczy...”. „Spróbuj to odzyskać. Pomogę ci” – zachęcał ją Ronew. „Żeby spróbować, trzeba mieć męzne serce, a ja nie mam żadnego, nawet trwożnego jak serduszko myszy”.

Konrad pochylił głowę i pieczołowicie tworzył tło wokół sylwetki Dotru. Miękkim grafitem pokrył wszystko, zostawiając jedynie delikatne cienie na odtworzonej dosyć wiernie starej kanapie. Jasna postać kobiety odcinała się idealnie od atakującej ją zewsząd ciemności. Podniósł wzrok, żeby sprawdzić, czy udało mu się uchwycić smutek śpiącej postaci i nagle uświadomił sobie, że Olga już nie śpi.

– Przepraszam... – wychrypiął, widząc w jej oczach melancholię i coś jeszcze, jakiś bliżej nieokreślony błysk wskazujący na skrępowanie. – Rysowałem.

– Mnie? – spytała, siadając i poprawiając włosy. Na policzku odbił się brzeg rękawa koszulki. Wyglądało to, jakby twarz Olgi przecinała niedawno zagojona blizna.

– Tak. Nie miałem pomysłu, a ty... Wyglądałaś tak... – Przełknął ślinę.

– Mogę zobaczyć? – Wstała i nie czekając na odpowiedź, podeszła. – Pięknie – oceniła po chwili.

– Bo modelka jest...

– Tak, modelka – westchnęła, przerywając mu.

– To Dotru. Kobieta android – wytłumaczył, skąd wzięły się dorysowane detale: maleńkie nity rozsiane tu i ówdzie na idealnie białym lśniąącym ciele postaci. – A powieść nosi tytuł: *Za dużo pustych miejsc*.

– Kobieta android?  
– Tak. Zły los i jeszcze gorsi ludzie pozbawili ją duszy i serca, dlatego jest taka...  
– Jak ja. Ona jest taka jak ja. Jak manekin – wykrztusiła, czując pod powiekami wzbierające łzy. Nie wytrzymała.  
– Olga! – krzyknął za nią Konrad, ale nie usłyszała.  
Wybiegła z domu. Skwar wczesnego popołudnia uderzył ją jak obuchem.  
– Za dużo pustych miejsc... – szepnęła, patrząc w oślepiająco jasne niebo. – Kamil, gdzie jesteś? Gdzie jesteś...



Słońce, słońce, słońce. Od rana do wieczora, codziennie. I ciepło, a raczej parno i duszno. Olga powoli miała dosyć tej pogody. Przez cały lipiec w New Bern tylko trzy razy padało, choć wczorajsza burza nadrobiła zaległości z nawiązką. Spadł nawet grad, ku uciesze Maksia niektóre kule miały rozmiar piłeczek pingpongowych. Zebrał kilka z trawnika przed domem i schował do zamrażarki z zamiarem przewiezienia ich do Polski i pokazania Sabinkom.

Olę przez tę nagłą zmianę ciśnienia zaczęła męczyć migrena, więc gdy Konrad oświadczył, że zabiera dzieciaki na obiecaną już dawno wycieczkę do muzeum strażaków, odetchnęła z ulgą. Postanowiła zostać w domu i posiedzieć na werandzie z jakimś e-bookiem. Zabrała czytnik, umościła się na bujawce, na stoliku czekał na nią dzbanek mrożonej herbaty i patera owoców, a ona mogła w spokoju oddać się lekturze. Nie dotarła nawet do dziesiątej strony, gdy usłyszała warkot silnika samochodu. Zerknęła na podjazd i zmarszczyła nos, wiedząc, że na błogi odpoczynek nie ma co liczyć.

– Hej! Hej! – Alice jeszcze dobrze nie wysiadła, a już machała jej ręką, wykrzykiwała słowa powitania i nawet pokazała, że coś przywiozła, bo uniosła wysoko rękę z dużym wiklinowym koszykiem. – Hej! Mam babeczki! W czterech smakach: waniliowe, czekoladowe, z żurawiną i imbirowe – dodała entuzjastycznie.

– Hej! – odpowiedziała Olga. – Zapraszam. – Wskazała Alice miejsce obok siebie, ale ta rozejrzała się wokół i zapytała:

– Jesteś sama?! A gdzie Konrad? Maks i Fausti?

– Zabrał ich do muzeum strażaków, a potem mają w planach zakupy. Zostałam w domu, bo też jestem w kiepskiej formie po wczorajszym. – Olga pokiwała głową, patrząc na spustoszenia wśród krzewów i kwiatów, jakich dokonała burza.

– Och... – jęknęła z wyraźnym zawodem Alice. – A ja przywiozłam tyle ciasteczek. Sama piekłam, od ósmej rano. I zdołałam.

– Przykro, że cię zawiodłam.

– Kiedy wyjechali?

– Przed chwilą. Może kwadrans temu – skłamała Olga, bo przecież minęło już dobre pół godziny albo i więcej od odjazdu Konrada i dzieciaków, ale wkurzyło ją to jawnie okazywane rozczarowanie. „Mogłaby zachować chociaż odrobinę pozorów” – pomyślała, zerkając na niezadowoloną Alice, która właśnie usiadła, a raczej opadła na fotelik stojący obok stolika. – Przyniosę ci szklankę. – Odłożyła kindle’a na stół i poszła do domu.

Przez moment stała przy lodówce i przez okno zerkiała na Alice, która z ciekawością nachyliła się nad czytnikiem.

– Poczytaj sobie, śmiało... – prychnęła pod nosem. – Przecież chcesz się nauczyć polskiego dla Konradka.

– Nie musiałaś – rzuciła Alice, widząc Olę wracającą z dodatkową szklanką i drugim talerzykiem na owoce. – Chyba nie będę ci przeszkadzać. Widzę, że dopiero zaczęłaś czytać. Ciekawe?

– Może być. To kryminał polskiej autorki. Katarzyny Bondy.

– Bond, nazywam się James Bond – zażartowała Alice.

– Raczej Catherine Bonda – odparła Olga, nalewając gościowi i sobie herbaty. – Jak twoja mama.

– Uhm. Szkoda, że Konrad nie zadzwonił. Pojechałabym z nimi.

– Jeszcze możesz zadzwonić, New Bern to nie Nowy Jork, znajdziesz ich.

– Ach, skoro nie dał mi znać, widocznie nie miał ochoty się ze mną widzieć – skwitowała wesoło, chociaż w tle zabrzmiały wyraźne nutki zawodu.

Przez dłuższą chwilę rozmawiały o pogodzie, o festynie, który miał się odbyć w najbliższy weekend, i nawet o nowej pracy Alice, choć w sklepie odzieżowym pani Hawk zatrudniona była niecały tydzień. Oczywiście to Alice wiodła prym i prawie nie dopuszczała Olgi do głosu.

– Jestem bardzo zadowolona. Oprócz pensji dostałam bonusy dla pracowników i już wszystkie wykorzystałam – wyjaśniła, gładząc delikatną tkaninę sukienki. – Ładna?

– Bardzo ładna. Dobrze ci w takich kolorach – zauważyła Olga.

– Blondynkom zawsze dobrze w błękitach – zgodziła się z nią Alice. – Konrad mówi, że odcienie niebieskiego podkreślają moje oczy.

– Owszem. Masz wyjątkowo piękny kolor oczu – stwierdziła Olga, a w duszy aż ją zemdliło, tak banalna i słodka była ich pogawędka. – U nas w Polsce mówi się, że oczy niebieskie oznaczają królewskie życie.

– Naprawdę? Wspaniale! Szkoda, że Konrad nigdy mi tego nie powiedział. A takie jak twoje? Czarne?

– Oczy czarne, życie marne – zacytowała po polsku Olga, a potem szybko przetłumaczyła znaczenie tych słów na angielski.

– Ups... Ale to przecież zwykłe powiedzenie. I na pewno nie ma związku

z rzeczywistością. – Alice próbowała to zbagatelizować.

– Może ma, może nie ma – odparła z przekąsem Olga. – Ostatnio chyba ma.

– Kiedy wracasz do Polski? – zagadnęła po dłuższej chwili Alice.

– Kiedy wracamy? – poprawiła Olga. – Nie wiem, za tydzień, może dwa.

Konrad nie chce nas wypuścić.

– To zostańcie. – Alice wzruszyła ramionami, jakby nie było to dla niej istotne, choć w duszy nie mogła się doczekać ich wyjazdu i odzyskania narzeczonego tylko dla siebie. – A może ktoś tam na ciebie czeka? – zapytała, spoglądając na Olę spod półprzymkniętych powiek.

– Owszem. Mama, moja przyjaciółka Iza, Sabinki, sąsiedzi, nasze koty... – Nie dokończyła. Nie chciała dzielić się z tą dziewczyną tęsknotą za Polską, pragnieniem, żeby pójść na cmentarz, przysiąść na ławeczce obok grobu Ani i Kamila i porozmawiać z nim, opowiedzieć, jak bardzo jej go brakuje.

– I kto jeszcze? A jakiś mężczyzna?

– Nie rozumiem. – Olga dopiero teraz zauważyła spojrzenie Alice i dziwny wyraz jej twarzy.

– Jesteście tu już szósty tydzień, a ty... – zająknęła się Alice.

– A ja...

– Moja mama mi mówiła, że... Och! Przepraszam, to nie moja sprawa.

– No dokończ, skoro zaczęłaś! – Olga podniosła głos, bo przestało jej się to podobać.

– Spodziewasz się dziecka? Tak? Stąd to złe samopoczucie?

– Co?! – Olga wytrzeszczyła oczy.

– Jesteś tu bardzo długo, a jeszcze nie miałaś... – Alice znów się zacięła. – Nie miałaś miesiączki, więc pomyślałam, że może jesteś w ciąży. Mam nadzieję, że nie z Konradem. – Zaniósła się przez moment nerwowym chichotem.

– Co wam przyszło do głowy?

– Mama sprząta cały dom, łazienki też. Sortuje śmieci, więc... – Alice chrząknęła. – Mówiłam jej, że raczej nie jesteś w ciąży, bo nic po tobie nie widać, ale niektóre kobiety późno tyją przy pierwszym dziecku.

– Możesz ją uspokoić. Nie jestem w ciąży i nigdy nie będę. Nie mogę mieć dzieci. Zadowolona? – warknęła Olga, wyraźnie zirytowana wścibstwem Alice i jej matki. – Poza tym przypominam, niedawno zmarł mój mąż i nie w głowie mi kolejny związek.

– Przepraszam! – Dziewczyna podskoczyła nerwowo na foteliku. – Strasznie mi przykro, nie miałam pojęcia, że jesteś chora! Nie chciałam cię urazić. Wiem, że brat Konrada zmarł niedawno, ale byliście razem dosyć krótko, znaliście się niecały rok, więc pomyślałam... Pomyślałyśmy z mamą, że... Przecież jesteś ateistką, może dla was żałoba nie jest tak samo ważna jak dla nas – klepała, trzymając ręce złożone jak do modlitwy.

– Teraz ja ciebie przeproszę – przerwała jej Olga. Zauważyła w niebieskich oczach dziewczyny szczerą przebiegłość współczucia, gdy powiedziała o swojej niepłodności. Na szczęście był bardzo krótki. Nie chciała litości, zwłaszcza ze strony Alice. – Wolałabym, żebyś już poszła. Okej? – Wstała i popatrzyła na nią jak na intruza. – Powiem Konradowi, że byłaś. Możesz zostawić babeczki, dam mu, gdy wróci. Albo je zabierz i wpadnij jutro.

– Źle mnie zrozumiałaś. – Alice też podniosła się z fotela. – Po prostu my inaczej podchodzimy do takich kwestii jak śmierć małżonka. Nie nosimy tak często czarnych ubrań jak ty, za to...

– O tak, na pewno podchodzicie do tego inaczej, lepiej niż taki ktoś jak ja. Tym bardziej nie powinnaś spędzać ze mną czasu, bo jeszcze zatruję twoją delikatną i czystą duszyczkę. – Olga chwyciła koszyk i z impetem podała go zaskoczony dziewczynie. Ogarnęła ją złość. Była wściekła na siebie, że nie potrafi się opanować. W głowie zamiast mózgu czuła bulgoczącą pulpę. – Idź już.

– Ale...

– Idź już! – krzyknęła.

Alice nie reagowała, stała i gapiła się na Olgę, więc ta zabrała czytnik, odwróciła się na pięcie i poszła do domu. Zamknęła za sobą drzwi i pognęła na górę do swojej sypialni.

– Co za wstrętna wścibska pinda... – warczała, uruchamiając laptop. – Dość!

Szybko połączyła się z siecią, odnalazła najbliższe połączenie z lotniska w Jacksonville do Waszyngtonu, a stamtąd przez Monachium do Krakowa. Zabukowała bilety, opłaciła i dopiero gdy zrobiła to wszystko, podniosła głowę i popatrzyła w stronę okna.

– Mam dość... Kamil, dlaczego? – wyszeptała, czując na policzkach pierwsze kropelki łez. – Tęsknię za tobą, wiesz? – Przełknęła grudę żalu. – Jutro stąd znikamy.

Posiedziała w pokoju jeszcze kwadrans i dopiero wtedy postanowiła sprawdzić, czy Alice się wyniosła. Na szczęście po dziewczynie pozostał jedynie koszyk pełen wypieków. Olga z trudem odsunęła od siebie pragnienie, żeby wysypać babeczki na trawnik, zdeptać je, a kosz połamać. Ostatecznie zaniósła go do kuchni i postawiła na środku stołu. Już dawno nikt jej tak nie rozsierdził i nie mogła sobie z tym poradzić. Pomyślała, że wypije drinka, naląła sobie whisky, ale wcale nie czuła się lepiej, gdy wrócił Konrad z dziećmi. Obawiała się jego reakcji, i słusznie. Gdy dzieci pobiegły umyć ręce przed podwieczorkiem, powiedziała mu, że nazajutrz w południe musi ich zawieźć na lotnisko, bo wracają do Polski. Od razu zarzucił ją pytaniami.

– Alice ci coś powiedziała? – Stał, patrząc na koszyk.

– Pogadamy wieczorem, okej? Teraz muszę zacząć się pakować.

– Poczekaj! – Konrad chwycił ją za rękę. – Coś się stało?



– Nie. – Olga spuściła wzrok na jego dłoń. Od razu ją zabrał. – Nic się nie stało. Po prostu zbyt długo tu się zasiedzieliśmy. Ty masz swoje życie, a my swoje.

– Ale dzieciaki...

– Pogadamy wieczorem – ucięła cokolwiek szorstko. – Jeśli mogę cię prosić, powiedz im, że jutro wyjeżdżamy.

Szybko opuściła kuchnię i wróciła do sypialni. Pakowanie zajęło jej dobre dwie godziny, na szczęście Konrad wywiązał się z zadania i przekazał zaskoczonym bratankom, że jutro kończy się ich pobyt u wujka. W pierwszej chwili dzieciaki przyjęły to z żalem, spowodował to zwłaszcza fakt, że nie będą na festynie, o którym tyle słyszały, ale już po chwili Maksio orzekł:

– Wreszcie zobaczymy Kiszkę i Paszteta. Na pewno strasznie urosli. I pewnie już nas nie pamiętają.

– Pamiętają. Koty mają doskonałą pamięć – pocieszyła go Faustyna.

Zjadły kolację przygotowaną przez Konrada, opowiedziały, jak było w muzeum, a potem pomogły Oldze w pakowaniu. Skończyły przed północą i padły jak kawki, bo dzień okazał się pełen wrażeń do samego końca.



– Mogę? – Konrad zapukał w uchylone drzwi i wszedł do sypialni Olgi.

– Proszę, siadaj. – Wskazała mu miejsce na fotelu.

– Sprawdzalem, śpią jak zabici – westchnął. – Będzie mi ich brakowało. Ciebie też – dodał szybko, zastanawiając się jednocześnie, jak pięknie wygląda w zwykłym podkoszulku na ramiączkach i nieco zmiętych flanelowych spodniach od pizamy. – Na pewno nic nie mogę zrobić, żebyś zmieniła zdanie? – zapytał dokładnie tak samo, jak przy kolacji.

– Konrad, przecież ci mówiłam. Już zabukowałam bilety. I opłaciłam.

– Można je prolongować.

– Ale po co? – Olga usiadła na brzegu materaca, sięgnęła po sweter i otuliła się nim. Było jej zimno. Pierwszy raz, od kiedy tu przyjechała, czuła ogarniający ją chłód. – Konrad, daj spokój. – Wlepiała wzrok w dywanik przed łóżkiem. – Już postanowiłam. Wracamy.

– Zostańcie. Poszukam wam mieszkania, możesz pracować zdalnie, przez Internet. Dzieci pójda do szkoły, a jeśli tak bardzo tęsknią za kotami, możemy je tu ściągnąć. Przecież można przewozić małe zwierzęta. Może kiedyś twoja mama zgodziłaby się tu zamieszkać? Kto wie?

– Co ty mówisz? Może jeszcze ściągniemy tu Walczyków, Sabinę i Inkę? – Olga popatrzyła na niego i pokręciła głową. – Konrad, nasze miejsce jest w Krakowie. A twoje tutaj.

– Gdy pomyślę, że wrócisz sama do tego wielkiego pustego domu... – zaczął.

– Nie do pustego. I nie sama. Są Maksymilian, Faustyna i nasze koty. –

Uśmiechnęła się blado. – Nie chcę być dla nikogo ciężarem. Wiesz, jak bardzo nie daje mi spokoju to, że zatruwam życie Alice? A ty? Nie da się zjeść ciastka i mieć ciastko. Od biedy mogłabym powiedzieć, że masz teraz dwa ciastka, ale jedno z nich jest bardzo zaborcze i nie siebie mam na myśli. Nie czuję, że mam miejsce w twoim życiu. Nie ma go, rozumiesz? A ja nie zamierzam się rozpychać.

– Nie rozpychasz się! Jak mogłaś tak pomyśleć? – Nachylił się w jej stronę, ale Olga od razu wyciągnęła przed siebie rękę w obronnym geście, żeby usadzić go na miejscu.

– Nie jestem głupia – powiedziała. – Wiem, że ci przeszkadzamy. Tobie, Alice, ojcu Matthew. Dlaczego już czwarty tydzień siedzi u siostry? Sam mówiłeś, że jeszcze nigdy nie opuścił New Bern na tak długo. Moje dzieciaki są kochane, ale to moje dzieciaki, nie pastora, który ma swoje lata i chce spokoju, a nie wrzasków i krzyków. Swoją drogą pożegnaj się z nim w naszym imieniu. I z Alice i jej mamą też.

– Ale jak?! Przecież nie możesz tak po prostu wyjechać jutro i nie pozwolić im na pożegnanie. Zadzwoń do nich rano i powiem...

– Nie. Bardzo cię proszę, nie dzwoń. Jeśli tak zrobisz, przysięgam, zamówię taksówkę i wyjedziemy stąd o siódmej rano – zagroziła. – Powiesz im po fakcie.

– Czyli jednak coś się dzisiaj wydarzyło? Alice coś ci powiedziała? Ona czasami nie pomyśli, że może kogoś urazić, ale ma dobre serce i na pewno nie zrobiła tego specjalnie.

– Nieważne. Przepróż ją, bo chyba zareagowałam zbyt nerwowo. – Olga przełknęła ślinę. Słowa Konrada dziwnie przypominały jej to, co Kamil kiedyś powiedział o Zosi Kulik, i aż coś ukłuło ją w sercu. „Jacyż oni są czasem podobni, jacyż byli podobni. Byli, bo już nie są...” – pomyślała, reflektując się na końcu.

– Będę za wami tęsknił – wyznał Konrad. – Bardzo. Szczerze mówiąc, gdy pomyślę, że jutro o tej porze już was tu nie będzie... – Na moment zacisnął wargi, aż przypominały wąską linijkę. – Dostałem zaproszenie na tygodniowe sympozjum dla grafików w Pradze. W ostatnim tygodniu sierpnia. Miałem nie jechać, bo optymistycznie założyłem, że zostanieie na całe wakacje, ale teraz...

– Nie. Konrad, proszę. Nie zmieniaj planów.

– Ale dlaczego? Stamtąd blisko do Krakowa, przyjadę do was choć na kilka dni.

– Proszę, nie. – Olga podniosła się z łóżka i podeszła do okna. Przez chwilę próbowała dostrzec cokolwiek po drugiej stronie szyby, ale jedyne, co widziała, to odbijającego się jak w lustrze Konrada. On też wstał i po chwili znalazł się obok niej.

– Czemu nie pozwolisz mi was odwiedzić? – zapytał, chwytając ją za ramię i odwracając przodem do siebie.

– Wiesz czemu. Chyba oboje mamy na tyle rozumu, żeby wiedzieć,

że musimy się rozstać. To nie może dłużej trwać. Skończmy to, zanim...

– Zanim co?

– Zanim się coś zacznie. Zanim zrobię coś głupiego. Ja sama albo my oboje. Coś, czym skrzywdzimy wszystkich i samych siebie też. Jesteś zaręczony, za pół roku bierzecie ślub z Alice. Ona kocha ciebie, a ty kochasz ją. Pewnie szybko będziecie mieć dzieci, bo ona zdaje się idealną przyszłą mamą. Widzę, jak Maksio i Fiśka ją polubili. Wkrótce zostaniesz pastorem. Wszyscy cię tu kochają, liczą na ciebie. Mam dalej wymieniać?

– Coś głupiego? – zapytał, przetykając ślinę. Popatrzył na nią intensywnie, lecz bardzo krótko. Nie dłużej niż trwa jedno uderzenie serca.

– Tak, coś głupiego. Konrad... – jęknęła żałośnie Olga. – Ja... Czasem myślę, że coś do ciebie czuję. Ale jak mam nic do ciebie nie czuć? Powiedz mi, jak? Jesteś do niego taki podobny. Gdy czasem na ciebie patrzę, wiesz, co chciałabym zrobić? Wiesz, czego pragnę w tych krótkich chwilach zapomnienia? – wyznała, ocierając pierwsze łzy. – Nawet twój głos jest identyczny. Dobrze, że mówisz z innym akcentem, bo gdyby nie to... – Zamilkła na sekundę. – Wykonujesz te same gesty, tak samo marszczysz nos, gdy się z kimś nie zgadzasz. Tego się nie da nie zauważyć. Maksio coraz częściej się myli i mówi do ciebie „tato”, już nawet go nie poprawiamy, prawda? Jak to sobie wyobrażasz? Nie możemy tu zostać. Ani jednego dnia. I miałeś rację co do Alice. Ma dobre serce. Złote. Ja na jej miejscu już dawno zrobiłabym awanturę i kazała wyrzucić mnie z twojego domu. Rozumiesz? Nadużyłam jej cierpliwości. I jutro to naprawię, a teraz... Mógłbyś zostawić mnie samą? Jestem śpiąca.

– Już mnie nie ma – powiedział głosem ochryłym z emocji.

– Idź już. – Spuściła wzrok na swoje stopy. Nie chciała nawet przez sekundę patrzeć w oczy Konrada, tak samo jak jej zasnute szklistą mgłą smutku i bólu.

– Dobrze – potaknął, ale nadal nie ruszył się z miejsca. „Masz rację, jestem podobny do Kamila. Zadurzyłem się kiedyś w tej samej kobiecie, którą kochał mój brat, a teraz jestem na dobrej drodze, żeby to wydarzyło się powtórnie, o ile już tak się nie stało – pomyślał. – Czy można kochać jednocześnie dwie kobiety? Chyba nie chcę tego doświadczyć. Na pewno nie”.

– Konrad, proszę, wyjdź...

– Już.

Z ociąganiem opuścił sypialnię Olgi. Cicho zamknął za sobą drzwi i zszedł na dół. Usiadł w kuchni, ale po chwili zerwał się z krzesła, włożył adidasy i wybiegł z domu. Pokonując opustoszałe uliczki, dotarł do przystani na końcu Pollock Street. Dopiero tam ochłonął. Przysiadł na murku nad wodą i oddał się rozmyślaniom.

Zdawał sobie sprawę, że gdyby Olga tu została, przysporzyłoby to wielu ludziom cierpienia. Zwłaszcza Alice. Nie kłamał, kiedy mówił, że ją kocha, choć

może nie było to najmocniejsze uczucie, jakie mogło zawładnąć człowiekiem. Lecz mimo to była mu bardzo bliska i nie wyobrażał sobie życia bez niej. Poza tym byli zaręczeni i zrywając ich umowę, postąpiłby wobec niej bardzo nieuczciwie. Pozostawała jeszcze wspólnota, rodzina Alice, przyjaciele. Ich wszystkich strasznie by to zabolalo. Zawiódłby ich i wiedział, że nie ma na tyle siły, aby się na to zdobyć. Z drugiej strony miał świadomość, że nie można poświęcać swojego życia dla innych. Litość to znacznie mniej wartościowe uczucie niż miłość. I czasami człowiek swoim wyborem kogoś rani. O ile ktoś lub coś nie wybierze wcześniej za niego.

Zaczęło świtać, a on, gdy ujrzał pierwsze nieśmiałe promienie słońca, pojął, że nie może lecieć do Pragi i że Olga ma rację. Jej miejsce było w Krakowie, a jego tutaj. I nigdzie indziej.

## Rozdział 17

Jadąc do Jacksonville, uzgodnili we czwórkę, że dwa razy w tygodniu będą rozmawiać na Skypie. Z reguły łączyli się około ósmej wieczorem czasu polskiego. Dzieciaki szykowały się do tych rozmów jak na święto. Maksio przynosił wszystkie zabawki, którymi akurat się bawił, Fiśka zmuszała biedne koty do tego, żeby godnie się prezentowały przed kamerą, czesała je, a Kiszce kiedyś nawet zawiązała czerwoną wstążkę na szyi.

Oczywiście Oldze też nie darowały i obowiązkowo uczestniczyła w każdej rozmowie, choć raz nie było jej do śmiechu, gdy zobaczyła po drugiej stronie Alice. Zamieniły parę słów, ale obie wiedziały, że już nigdy nie będą się dobrze czuły w swoim towarzystwie, nawet takim wirtualnym i przez krótką chwilę.

Zbliżała się połowa sierpnia, a Olga coraz bardziej obawiała się, że Konrad jednak pojawi się w Polsce. W tajemnicy wykupiła dwutygodniowe wczasy w Kołobrzegu i dwudziestego oznajmiła dzieciom, że zakończą wakacje jeszcze jednym pobytem nad morzem, tym razem nad Bałtykiem.

– Chyba zwariowałaś? – Iza nie kryła zaskoczenia. – Prawie dwa miesiące nie było cię w Krakowie i znów gdzieś gnasz? Zwolnią cię, zobaczysz – zażartowała, w duszy ciesząc się, że Olga nie uciekła w pracę i że wreszcie spędza więcej czasu na świeżym powietrzu.

Nie uszło jej uwadze, że przyjaciółka wygląda i zachowuje się inaczej niż przed pobytem w Stanach. Czasem w jej oczach nieoczekiwanie pojawiały się łzy, by za chwilę zniknąć, zastąpione czymś na kształt nadziei.

– Mam zastępców – odparła Olga. – Jadę, bo dzieci powinny jak najwięcej czasu spędzać nad wodą. Okazało się, że Maksio ma alergię na niektóre pyłki, a Fiśce przydałoby się troszkę schudnąć. Będziemy spacerować, pływać i będzie super. A może wybiierzecie się z nami? – zaproponowała, ale Iza wytłumaczyła, że nie dostanie urlopu, i plan spalił na panewce.



Kołobrzeg powitał ich tłumami. Dobrze, że przy hotelu wydzielono część plaży i Olga nie musiała biec rano z parawanem, żeby zająć miejsce, jak to robiło wielu urlopowiczów. W pierwszy dzień dzieciaki prawie nie wychodziły z wody i oczywiście mimo smarowania kremem z wysokim filtrem i próśb Olgi, żeby posiedzieli choć przez chwilę pod parasolem, znów, jak w New Bern, poparzyli sobie plecy, zwłaszcza Maksio.

– Dzisiaj nie zdejmujecie koszulek – oznajmiła im po przyjsciu na plażę.

– A ty jesteś w samym stroju! – burknął niezadowolony chłopczyk.

– Bo ja mam inną skórę. Szybko się opalam i nigdy nie mam oparzeń. Poza tym siedzę pod parasolem – wyjaśniła. – Ale... – Sięgnęła po swoją bluzkę i włożyła ją ku uciesze i satysfakcji Maksymiliana.

– Teraz jest sprawiedliwie – podsumowała Faustyna.  
– Okej – zgodziła się Olga. – Lećcie. Tylko żebym was widziała – ostrzegła.  
Ułożyła się na zacienionym leżaku i obserwowała, jak dzieciaki z chwilową nieśmiałością wchodzi do dosyć chłodnej wody, by dość szybko zacząć się chlapać i pisać. Nagle zadzwonił telefon. Wyjęła komórkę i aż ją oblała fala gorąca.  
– Hej – przywitała się z Konradem. – Coś się stało, dlaczego dzwonisz?  
– Zero wstępu? Miłego powitania i pytania, jak się czuję? – Zaśmiał się. – Dzwonię, bo jestem w Krakowie i chciałem...  
– Miałeś być później – przerwała mu. – I nie w Krakowie, a w Pradze.  
– Przesunęli sympozjum o tydzień wcześniej.  
– Aha.  
– Wiem, że...  
– Posłuchaj... – Znow nie pozwoliła mu skończyć. Przeważała aparat na tryb głośnomówiący i wyciągnęła przed siebie dłoń, żeby Konrad mógł usłyszeć nie tylko gwar rozmów otaczających ją ludzi, lecz także szum fal. – Jesteśmy nad morzem do końca wakacji – wyjaśniła po chwili.  
– Uciekłaś?  
– To ty powiedziałeś.  
– Olga... Naprawdę nie musisz się obawiać, że zrobię coś niewłaściwego. Chciałem was tylko zobaczyć.  
– Widujesz nas co parę dni.  
– To nie to samo.  
– Owszem, nie to samo. I bardzo dobrze.  
– A co, jeśli tam przyjadę? Nie na długo. Maksymalnie trzy dni.  
– Nie wiesz, gdzie jesteśmy – skwitowała nieco złośliwie, ale na jej twarzy zaczął się malować delikatny uśmiech.  
– Wiem. W Kołobrzegu. Przyjechałem do Krakowa, a gdy was nie zastałem w domu, pojechałem do LABBE i tam mi powiedzieli, dokąd wybyłaś.  
– Zadałeś sobie wiele trudu.  
– Nie da się ukryć.  
– Niepotrzebnie. Nie chcę, żebyś tu przyjeżdżał. Swoją drogą, Alice wie, że jesteś w Krakowie?  
– Nie, ale zamierzam jej powiedzieć – odparł po dłuższej chwili.  
– To umówmy się tak: zadzwoń do niej i poinformuj o swoich planach, a ona niech wyśle mi SMS-a, jeśli nie będzie miała nic przeciwko temu. Wtedy podam ci nasz adres. Okej? A teraz sorry, ale kończę, bo zaraz rozładuje mi się komórka. Pa.  
– Rozłączyła rozmowę. – Jezu... – jęknęła, pocierając czoło. – To jest chore. To jest chore i trzeba z tym skończyć...



Konrad rzucił telefonem. Przez chwilę siedział i wpatrywał się w leżącą na hotelowym łóżku komórkę. „Ona ma rację. Niech to do ciebie dotrze, idioto!” – pomyślał z goryczą, ale dobrze wiedział, że nie odpuści. Z ociąganiem podniósł aparat i wybrał numer Alice. Ledwie wybrzmiał pierwszy sygnał, a Konrad się rozłączył.

– Co robisz, debilu? – warknął.

Od dwóch tygodni nie mógł sobie poradzić z burzą uczuć. Straszliwie tęsknił za Olgą i dziećmi i nic nie pomagało. Alice wychodziła ze skóry, żeby przestał myśleć o bratowej i jej rodzinie. Nie była głupia. Gdy nazajutrz po pamiętnej wizycie z muffinkami zobaczyła Konrada, jego pobladłą twarz skrzywioną grymasem żalu, zmarszczone czoło i smutne oczy, od razu wiedziała, że Olga i dzieciaki wyjechały z New Bern.

Pokłóciła się z nim. Na początku chciała spokojnie pogadać, ale gdy Konrad zaczął ją obwiniać, że to z jej powodu Olga podjęła decyzję o wyjeździe, nie wytrzymała i chociaż prawie nigdy nie podnosiła głosu, tym razem ją poniosło.

– To jest żona twojego brata! – krzyknęła.

– No właśnie! Żona mojego zmarłego brata! I mam obowiązek jej pomóc! Kocham te dzieci jak własne, a one kochają mnie! Jeśli mogę choć trochę zastąpić im ojca, będę to robił. Czemu tego nie rozumiesz?

– Rozumiem! Doskonale rozumiem! Nie pamiętasz? Przecież ci mówiłam, że te dzieci są bardziej twoje niż jej. Każdy to widzi. Lgną do ciebie, bo to naturalne. Ona nie jest ich matką, zna je dopiero półtora roku, a ty? Łączą cię z nimi więzy krwi, a te są najsilniejsze. Powinieneś pogadać z Olgą o tym, żeby mogły zostać z tobą. Jeśli naprawdę je kocha, zrozumie.

– Czy ty oszalałaś?! – Aż nim zatrzęsło. – Czy ty siebie słyszysz?

– Ale o co ci chodzi? A może nie o dzieci, lecz o Olgę? – Alice założyła ręce na piersi.

– Przestań! Skończ wreszcie z tą zazdrością. Kocham cię, wkrótce bierzemy ślub, a mnie chodzi wyłącznie o dobro dzieciaków.

– Jeśli masz na uwadze wyłącznie dobro dzieci, los Olgi nie powinien cię jakoś szczególnie interesować. Poza tym uważam, że ona szybko znajdzie pocieszenie. To nie jest kobieta, która długo będzie sama. A co, jeśli zwiąże się z jakimś dupkiem, który będzie niedobry dla Maksa i Fausti? Co wtedy? Dlatego uważam, że to ty powinieneś je wychowywać. Przysięgam, że ci pomogę i będę je traktować jak własne. Konrad, nie złość się na mnie. Ja też bardzo cię kocham i jedyne, czego pragnę, to twojego szczęścia. – Podeszła do niego i przytuliła się ufnie do jego piersi.

Przypomniał sobie ten moment i znów ogarnęło go dziwne uczucie, że Alice nie była do końca szczerą wobec niego. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że choć nigdy tego przy niej nie okazał, ona podskórną wyczuwa, co tajemniczego dzieje

się w jego sercu. A działało się „niewątpliwie”, jak to mówiła Faustynka.

– Nie odbiorę jej dzieci. Wiem, że je kocha, a one kochają ją – powiedział wtedy ostro.

Miał jeszcze dodać, że nawet proponowanie tego Oldze byłoby nieludzkie, ale ugryzł się w język.

Ostatecznie jakoś doszli do porozumienia, choć Alice była bardzo niezadowolona, gdy oświadczył, że jedzie do Pragi na sympozjum dla grafików. Chyba wyczuła, że przy okazji będzie chciał odwiedzić Kraków. Kusilo ją, żeby zaproponować, że poleci z nim do Europy, ale po rozmowie z matką uznała, że ma swój honor i skoro Konrad nie zaproponował jej wycieczki, nie będzie się przed nim płaszczyć. W końcu to ona była tą atrakcyjniejszą partią w ich związku.

Nagle ciszę przeszył ostry dźwięk dzwonka. Konrad skrzywił się, widząc, kto do niego dzwoni.

– Cześć, kochanie! – zaszcebiotała Alice. – Dzwoniłeś? Czyżbyś zapomniał, która u nas godzina? Szósta! Obudziłeś mnie.

– Przepraszam, księżniczko. Ciągle o tym zapominam – odpowiedział, starając się, żeby w jego głosie zabrzmiała choć odrobina czułości. – Dzwoniłem, żeby ci powiedzieć, że...

– Gdzie jesteś? Co tak cicho?

– Jestem w hotelu. W Krakowie – dodał spokojnie. – Sympozjum wczoraj się skończyło i pomyślałem, że skoro już jestem tak blisko, odwiedzę dzieciaki. Pastor dał mi wolne do końca sierpnia, więc mógłbym tu jeszcze trochę pobyc.

– No cóż, chyba nie jestem zaskoczona.

– Wiem, że powinienem cię uprzedzić.

– Umówiliście się? Powiedz prawdę. Planowałeś to!

– Nie! – Tak samo jak Alice podniósł głos. – Nie planowaliśmy. Na dowód powiem, że nie ma ich w Krakowie. Olga zabrała dzieci na urlop nad morze.

– A ty chcesz tam pojechać? – domyśliła się.

– Tak. Na kilka dni. Maksymalnie trzy, może cztery.

– Mam się zgodzić czy tylko mnie informujesz?

– Hm... Raczej to pierwsze – zażartował, próbując nieco zmniejszyć dystans. Słyszał wyraźnie, że Alice jest zdenerwowana.

– Więc ci oświadczam, że się nie zgadzam – powiedziała. – Szczerze mówiąc, mam tego dosyć. Nie zamierzam do końca życia konkurować z Olgą i dziećmi twojego brata.

– Rozumiem – odezwał się po chwili namysłu Konrad. – Postawisz mi jakieś ultimatum?

– Chyba żartujesz? Za kogo ty mnie masz? – Gdyby mógł teraz zobaczyć twarz Alice, szybko cofnąłby swoje słowa. Oczy dziewczyny ciskały błyskawice, a czoło przecięła zmarszczka gniewu. – Czego ty chcesz, Konrad?! Nie pojmuje,



o co ci chodzi!

– Nie wiem – odpowiedział bez namysłu. – Nie mam pojęcia, czego chcę od życia. I czy w ogóle czegoś oczekuję. Chyba już niczego.

– Słucham?! – krzyknęła, aż zatrzeszczało w telefonie.

– Przepraszam. Sam nie wiem, co mówię. Przepraszam, Alice.

– To kiedy wracasz? – zapytała po chwili.

– Zaraz potwierdzę lot – mruknął. – Za trzy godziny mam samolot z Balic do Monachium.

– Okej. To do zobaczenia. Przyjadę po ciebie na lotnisko. Pa. Kocham cię – dodała sekundę przed kliknięciem w słuchawce.

– Pa. Ja też cię kocham, Alice – zakończył.



Pierwszy raz w życiu lekarz zaproponował Oldze zwolnienie lekarskie. Oczywiście nie na nią, a na biednego Maksia, który już w trzecim tygodniu września złapał w przedszkolu jakiegoś paskudnego wirusa. Inka przyjechała na Zwierzyniec wezwana w trybie natychmiastowym, bo mały pacjent wydalął jednocześnie i górą, i dołem, a spanikowanej Oldze niewiele brakowało, żeby pójść w jego ślady. Z nerwów dostała biegunki, a gdy widziała na posadzce kolejną kałużę wymiotów, czuła, jak wszystko podchodzi jej do gardła.

Na szczęście Inka nie tylko przyjechała od razu po alarmującym telefonie, ale nawet została na weekend, żeby wesprzeć Olę.

– Wypiszę ci zwolnienie – zaproponowała w niedzielny wieczór. – Wprawdzie sytuacja opanowana, ale on powinien jeszcze z tydzień zostać w domu, bo ten wirus lubi zaatakować powtórnie. Choć znacznie słabiej, z reguły to tylko jeden dzień. I bez wysokiej temperatury.

– Nawet mi nie mów! – Olga chwyciła się za głowę.

– Spokojnie. I tak masz dużo szczęścia, że ty i Fiśka nie jesteście chore.

– Nie chcę żadnego zwolnienia. Wezmę urlop.

– Kto bogatemu zabroni? – zażartowała Inka. – A ty jak się czujesz?

– Różnie. – Olga wzruszyła ramionami. – Raz lepiej, raz gorzej.

– Minęło osiem miesięcy...

– Uhm. Zaskakujące, gdy się pomyśli, jak nieoczekiwane zwroty potrafi wykonać ludzki los. Jeszcze dwa lata temu żyłam zupełnie inaczej... – Olga rozejrzała się wokół. Wszędzie widać było ślady bytności dzieci: zabawki Maksia, bluzę Faustynki wiszącą na oparciu kanapy, puste opakowanie po monte leżące na blacie ławy. – Ale nie żałuję, choć nieraz...

– Oczy zalewa kolejna fala łez, kontury się zamazują, a wszystko wygląda jak przez mgłę – dokończyła Inka.

– Nie sądziłam, że taka z ciebie romantyczka. – Olga parsknęła zduszonym

śmiechem.

– Czasami błysnę. Moja Sabcia lubi takie teksty. – Mrugnęła porozumiewawczo.

– Tęsknię za nim.

– My też tęsknimy. Choć bywał czasami okropnie irytujący. Jakiś taki nadpobudliwy. Ale nawet tego mi brakuje. Nieraz bardzo mnie to drażniło, ale było w nim coś jeszcze. Jakaś nieprawdopodobna siła, pewność siebie i własnych przekonań.

– Nie jestem wierząca, ale czasami czuję się porzucona przez Boga – wyznała Olga ze skrępowaniem. – Gdy Kamil żył, wiedziałam, że się za mnie modli, a teraz? Chyba mi brakuje tej świadomości, że ktoś się za mnie modli. Ot, paradoks. Przecież nie powinno mi na tym zależeć. Zastanawiałaś się kiedyś nad tym?

– Myślę, że nie powinnaś zaprzętać sobie tym głowy. Dzieci na pewno się modlą za ciebie. I ja. I Sabcia, Konrad, pani Wicia i jej mąż, i pewnie sporo osób, których nawet o to nie podejrzewasz. Kamil kiedyś powiedział, że gdy na tym świecie jest chociaż jeden człowiek, który cię kocha, który się za ciebie modli, Bóg istnieje. Ładnie, prawda?

– Ładnie. On umiał mówić o Bogu.

– Umiał, i nie tylko o Bogu. A opowiedział ci, jak się zaprzyjaźniliśmy? Na pewno. – Inka machnęła ręką.

– Nie.

– Nie?

– Nie zdążył? A może nie chciał? Kto to wie. – Olga przełknęła ślinę. – Tylu rzeczy nie zdążył zrobić. Opowiedz za niego.

– Uhm... – mruknęła Inka. – Znałam się lata z Anią, chodziłyśmy razem do szkoły podstawowej.

– To wiem.

– Ale po jej ukończeniu nasze drogi się rozeszły. Nie utrzymywałyśmy bliższych kontaktów, ot, wymiana „cześć, cześć” na ulicy. Anka wyszła za mąż, ja zajęta byłam pracą, potem poznałam Sabinę, jakiś czas korespondowałyśmy, bo Sabcia pochodzi z Poznania. W końcu postanowiłyśmy, że się do mnie wprowadzi. Trochę bałam się, co powiedzą sąsiedzi, ale jakoś przywykli. Niedługo potem dowiedziałam się, że Anka zmarła. Było o tym głośno na osiedlu, bo Ania była bardzo młoda, a większość ludzi wiedziała, że Fiśka ma białaczkę, że Kamil został z małym dzieckiem i tak dalej. Mimo że się znałyśmy z Anią, nie byłam na pogrzebie.

– Dlaczego?

– Bo dokładnie w tym samym czasie Sabina przeszła bardzo trudny zabieg i praktycznie nie wychodziłam ze szpitala.

– Jaki zabieg? – Olga zmarszczyła czoło, próbując sobie przypomnieć choć jedną rzecz, jakąś wskazówkę, która pozwoliłaby jej skojarzyć fakty.

– Przeszczep serca. Kamil ci nie powiedział?

– Sabcia jest po przeszczepie? – Olga była tak zaskoczona, że zabrakło jej słów. Nagle zrozumiała, dlaczego Kamil czasem mówił o Sabinie „Serduszko”, a partnerka Inki rzadko sięgała po alkohol i prowadziła dosyć oszczędny tryb życia.

– Wreszcie kapuję, czemu tak jej zabraniasz podjęcia dodatkowej pracy.

– A ja nie kapuję, jak to się stało, że nikt z nas ci tego nie powiedział. – Inka była równie zaskoczona.

– Pewnie wszyscy myśleliście, że wiem. W życiu bym nie wpadła. Ale chyba teraz jest dobrze? – zatroskała się Olga.

– Teraz tak. Saba zachorowała wkrótce po tym, jak zaczęła dojrzewać. Im była starsza, tym bardziej wada dawała się we znaki. Mam kumpli w klinice w Ochojcu, tam Saba się leczyła. Próbowali łątać jej serce, ale się nie udało. Gdy już prawie straciłyśmy nadzieję, znalazł się dawca, a raczej dawczyni.

– Nie powiesz, że to Ania...

– Nie sądzę, żeby to Ania była dawcą, choć nie wykluczam. Operacja Sabiny odbyła się na Śląsku, a Ania zmarła w Krakowie. Nigdy się nie dowiemy, kto był dawcą. Próbowalam, ale nawet ja mimo sporych znajomości wśród lekarzy nie dotarłam do tych informacji.

– A Kamil?

– No właśnie, Kamil. Jak słusznie się domyśliłaś, Ania podpisała deklarację dawcy. Gdy odeszła...

– On próbował odnaleźć kobietę, która dostała jej serce?

– Tak. Jakiś miesiąc po jej śmierci zarejestrował się na forum dla osób po przeszczepach. Założył, że biorcą musi być ktoś z Krakowa, kobieta w wieku zbliżonym do Ani.

– I tak znalazł Sabinę?

– Uhm. Ona też tam pisała. Miała nick „SerduszkoKrk”. Zaprzyjaźnili się, pisali na privie, Kamil w końcu opowiedział jej o śmierci Ani.

– A wtedy Sabina skojarzyła fakty?

– Nie. W tym czasie, gdy to wszystko się zdarzyło, była w Ochojcu. Wróciła do domu prawie miesiąc po operacji. To ja skojarzyłam fakty, bo w końcu pokazała mi te rozmowy. Można powiedzieć, że Kamil zaczął trochę randkować z Sabiną, zwierzał się jej, chciał się z nią spotkać, a ona była tym coraz bardziej skrupowana. Odmawiała mu, w końcu spytał, czy ma chłopaka lub męża, więc odpowiedziała zgodnie z prawdą, że nie. To nie pomogło, a raczej go rozochociło i ośmieliło.

– I co było dalej?

– Gdy przeczytałam jego listy, od razu mi zaświtało w głowie, że to musi być mąż Ani. Któregoś dnia poszłam tam w tajemnicy przed Sabcią, przedstawiłam

się i wszystko mu powiedziałam. Kiedy skończyłam, on zaczął mówić, że nie daje rady, że tęskni. Wymyślił, że gdy znajdzie kobietę, która otrzymała serce Ani, ona znów do niego w pewnym sensie wróci. Wierzył, że ta osoba zakocha się w nim, że będzie go pamiętać, a on odnajdzie w niej Anię. Jak bardzo on wtedy rozpaczał... Płakał, a ja nie mogłam nic zrobić. Boże, to było takie straszne.

– Rozumiem. – Olga zagryzła wargi. Ona też to przeżyła. Przecież jeszcze niedawno płakała aż do utraty tchu. Bolało ją ciało, całe jestestwo, każdy najmniejszy strzęp, a ona myślała wtedy, że to się nigdy nie skończy. Zresztą nawet teraz łapała się na tym, że chce choć na chwilę „uciec” z życia, skryć się i oddać rozpaczy.

– Wtedy żałowałam, że do niego przyszłam. Pożegnałam się, z ulgą wróciłam do domu i poprosiłam Sabinę, żeby zlikwidowała konto na tym forum. Chciałam o tym jak najszybciej zapomnieć. Jakiś miesiąc potem spotkałyśmy go przypadkiem w kościele. I tak późno, zważywszy na fakt, że mieszkaliśmy tak blisko siebie. Na początku trochę dziwnie układała się ta nasza znajomość. – Inka parsknęła pod nosem. – Wiesz, para lesbijek i ortodoksyjny heteroseksualny katolik to nie rokuje zbyt dobrze...

– Ale po kilku latach...

– Po latach? Po trzech tygodniach byłyśmy kupione.

– Dzieciaki?

– Głównie, ale Kamil też. Myślę, że on gdzieś tam głęboko w duszy wierzył, iż w piersi mojej Sabci bije serce Ani. Z czasem my też chyba zaczęłyśmy w to wierzyć. Nieraz próbowałam się dopatrzeć jakichś podobieństw między Sabiną a Fisią, która była bardzo podobna do swojej mamy.

– I co?

– I nic. Nie zauważyłam niczego szczególnego.

– Inka... – zająknęła się Olga. – Ja...

– Co?

– Nic, przepraszam. Chciałam tylko powiedzieć, że to jedna z najpiękniejszych historii, jakie słyszałam. – Olga odwróciła wzrok i wlepiała go w swoje splecione na podołku dłonie.

– Chyba jednak chcesz mi coś powiedzieć? Chodzi o Konrada?

– Domyślna jesteś.

– No cóż, siedziałaś tam półtora miesiąca, a my nic nie wiemy... – Zawiesiła głos. – To znaczy trochę wiemy, ale wszystko od dzieci. Zupełnie jakbyś je tam tylko zawiozła, a sama została w Krakowie.

– Nieprawda. Mówiłam wam o brodatych drzewach.

– O tak! – zaśmiała się Inka. – Wspominałaś jeszcze o wypadzie dzieciaków na zajęcia z czytaniem Biblii, na których to zajęciach Maksio zasnął z nudów, o precudnej urody marinie w New Bern i pysznym hinduskim żarciu. Jak

nazywała się ta knajpa? Przypomnij mi.

– Bay Leaf.

– Okej, to o co biega z Konradem? Zadurzyłaś się w nim?

– Chyba tak. – Olga wzruszyła ramionami. – Ale nie w Konradzie, a w Kamilu, którego w nim widzę. Och! Ależ jestem durna! – Złapała się za czoło. – Uciekłam stamtąd. – Popatrzyła na Inkę. – Im dłużej tam siedziałam, tym trudniej było mi się oprzeć myślom, uczuciom. Wiesz, zrobiłam w życiu wiele złego, skrzywdziłam sporo osób, ale to? To takie okropne, że... Że nie mam słów. To jest wstrętne, ohydne i złe. On jest zaręczony, Alice bardzo go kocha, a ja... Na dodatek czuję się jak ostatnia szmata, bo przecież zdradzam Kamila, zdradzam jego pamięć. Jeszcze nie minął rok! Inka, ja nie potrafię sobie z tym poradzić! Chyba z niczym nie umiem. Gdziekolwiek się ruszę, tam zaliczam uderzenie w ścianę. To jakiś przeklęty szklany sufit. Wyżej nie polecisz. Co chwilę los stawia mnie w sytuacji bez wyjścia, a każdy mój ruch powoduje krzywdę innych. Co ja mam zrobić? – zapytała, przetykając pierwsze gorzkie łzy.

– Przede wszystkim przestań się obwiniać o całe zło tego świata. – Inka chwyciła ją za rękę i mocno uściśnęła. – Przestań, bo zwariujesz. Masz prawo do każdego z tych uczuć. Masz prawo widzieć w Konradzie Kamila, bo to bracia. Myślisz, że ja tego nie dostrzegłam? Choć był tu tak krótko i widzieliśmy się raptem raz. Oni są niewiarygodnie podobni i dlatego miałaś prawo tak zareagować. Wcale a wcale ci się nie dziwię. Popatrz, Kamil próbował doszukać się Ani w mojej Sabinie, a ty? Jak masz być obojętna, skoro nie musisz szukać podobieństw, bo leżą jak na tacy?

– Może i tak, ale to nie zmienia faktu, że czuję się z tym podle. – Bezwiednie uniosła ramiona. – On tu był niedawno – wyznała.

– Konrad? Kiedy?

– Pod koniec sierpnia. Byliśmy wtedy w Kołobrzegu. Chciał do nas przyjechać, ale mu nie pozwoliłam. Stoję między jego miłością do dzieciaków a moimi uczuciami do niego. Gdybym powiedziała wtedy Faustynce i Maksiowi, że wujek był tak blisko, a ja nie zgodziłam się na jego przyjazd, wiesz, jaki żal mieliby do mnie? Oni go kochają, jest dla nich kimś bardzo ważnym. Czasem myślę, że kochają go bardziej niż mnie i to wcale nie dziwne, bo łączą ich więzy krwi. Czy mam prawo przedkładać mój komfort psychiczny nad ich uczucia i potrzeby? Jak długo będę stała między nimi? Gdybym choć czuła do Konrada to, co się czuje do kogoś bliskiego: do brata, ojca, przyjaciela... – Przymknęła oczy. Spod powiek wypłynęły łzy. – Ale ja... ja wcale tak o nim nie myślę. Podświadomie odrzucam to wszystko, co go różni od Kamila i zostawiam wyłącznie podobieństwa, i cierpię, gdy dociera do mnie, że to nie mój mąż, nie człowiek, z którym spałam, kochałam się. Ale chyba dobrze mi z tym bólem, bo wcale mi nie przeszkadza myśleć, że chcę dotknąć Konrada, pocałować. Pragnę

go, tak najzwyczajniej w świecie, zwykłą ludzką chucią. Chcę, żeby mnie wziął w ramiona. I powiedział, że mnie kocha – wykrztusiła z trudem. – Wiem, jestem potworem.

– Szczerze mówiąc, właśnie próbuję to sobie wyobrazić: Sabina odchodzi, a ja poznaję ludzako podobną do niej jej siostrę bliźniaczkę. Sytuacja koszmarna, ale przecież to się dzieje w twoim życiu. A ja? Nie wiem, co bym zrobiła. Co bym czuła? Gdybyś wcześniej go знаła, wtedy byłoby ci łatwiej. A tak? Pojawił się przecież jak duch – przypomniała jej. – Podziwiam cię. I uważam, że masz absolutne prawo czuć to wszystko. I jeszcze powiem jedno, nie zdradzasz Kamila, bo on nie żyje. Nie zdradzasz pamięci o nim, wręcz przeciwnie, to, co powiedziałaś, jest dowodem na twoją miłość do niego. Nie rozumiesz?

– Nie rozumiem, nic nie wiem i gdyby nie dzieci...

– Ale masz dzieci. I bardzo dobrze. Wiem, że to głupie pocieszenie, ale pomyśl, co byś teraz zrobiła bez nich?

– A jak myślisz? – Olga podniosła opuchnięte powieki. – A jak myślisz?

– Boże, daj mi cierpliwości! – Inka przewróciła oczami. – Nie wolno ci tak gadać! Pojmij to wreszcie. Zapomnij o Kamilu, jego już nie ma, ale ty żyjesz i kiedyś musisz znów spróbować odnaleźć szczęście.

– Kiedyś byłam bardzo nieszczęśliwa, a teraz jest mi sto razy gorzej. Mam świadomość tego, co straciłam. I wiem, że już nigdy, przenigdy nie spotkam człowieka, który byłby choć w połowie tak wspaniały jak Kamil. Całe życie sobie powtarzałam, że miłość wiąże się z ryzykiem zranienia i straty, a mimo to najpierw zostawił mnie Hugo, a teraz? Kamil... – Zawiesiła na moment głos. – Swój odejściem zniszczył we mnie jakąkolwiek nadzieję na szczęście. I nie mów, że mam o nim zapomnieć, bo nie zapomnę. I nie chrzań, że warto próbować kolejny raz, bo nie warto. Bo ja mam już dość rozczarowań, cierpienia i bólu. Wykorzystałam cały mój życiowy limit. Dość. Sama myśl o tym, że znów się zaangażuję i za chwilę to się skończy, niszczy mnie i zabija. A ja nie mam siedmiu żywotów. Mam jedno życie. Jedno smutne i tragiczne życie okraszone w paru momentach radosnymi chwilami, ale wolę, żeby nie było ich wcale, bo gdy są, całe to beznadziejne tło, czyli moja nędzna egzystencja, wydaje się jeszcze gorsze! – Podniosła głos.

– A ja ci powiem, że to ty chrzaniysz. Ot, co! – Inka zerwała się z kanapy i przez moment krążyła po pokoju. W końcu stanęła przed Olgą i wysunęła wskazujący palec. – Posłuchaj! – Potrząsnęła nim. – Nie wiem, kim był ten Hugo i pal go lichem. Zostawił cię? Trudno. Widocznie to jakiś debil. Kamil zginął w wypadku, więc się nie liczy, bo cię nie zostawił z rozmysłem. Masz dzieciaki i całe życie przed sobą! I musisz wziąć się w garść, a jeśli oczekiwałaś, że będę się nad tobą roztkliwiać, możesz o tym zapomnieć!

– Nie oczekiwałam. Gdybym na to liczyła, zwierzyłabym się Sabinie –

odburknęła Olga.

– Mogłaś tak zrobić! – fuknęła Inka.

– Ale nie zrobiłam.

– No właśnie.

– No właśnie! – powtórzyła dobitnie Olga. Przez moment obie mierzyły się wzrokiem. – Musisz być taka wredna?

– Nie jestem wredna.

– Jesteś! – upierała się Olga.

– Czasami tak trzeba!

– Jezu! – krzyknęła i prawie natychmiast zanosła się dzikim chichotem. – Jesteś wstrętna. Jak mogłaś tak na mnie nawrzeszczyć?! – spytała. Jej głos brzmiał jak bulgot gotujących się ziemniaków.

– Widocznie mogłam – odparła Inka. Zakryła usta, próbując zachować powagę, ale jej też udzielił się nastrój Olgi. – Pięć złotych. Za Jezusa – dodała, idąc w jej ślady i wybuchając niepowstrzymanym śmiechem.

– A ty za „Boże”, myślisz, że nie zauważyłam? – spytała, zginając się wpół na kanapie.

– Jesteś okropnie małostkowa – skwitowała Inka, siadając po chwili na swoim miejscu.

– A ty wredna. Sama przyznałaś. To wrodzone czy nabyte? I jak Sabcia z tobą wytrzymuje?

– Wystarczy dać człowiekowi dużo czasu, a do wszystkiego przywyknie. To jak? Zgoda? – Wyciągnęła rękę.

– Zgoda. – Olga przybiła jej piątkę. – Zrobię ci awanturę, ale później, bo teraz mam pomysł.

– Wczoraj mówiłaś coś o winach twojego ojca?

– Otóż to...

## Rozdział 18

Jesień poczynała sobie coraz śmieiej. Mijał tydzień za tygodniem, a każdy kolejny brzydszy od poprzedniego. Nawet kotom udzielił się zły nastrój, bo większość dnia przesypiały przed kominkiem, a próby wciągnięcia ich do zabawy kończyły się dla Maksia rozczarowaniem. Dobrze, że choć wujek Konrad go nie zawodził i systematycznie co trzeci dzień rozmawiał z nim przez Skype'a. I oczywiście Alice, chociaż ona raz w tygodniu, nie częściej.

Faustyna nieraz dołączała do tych pogawędek, ale obciążona dodatkowymi zajęciami pozaszkolnymi nie miała zbyt wiele czasu. Chodziła na lekcje angielskiego i francuskiego, Olga zapisała ją też do prywatnej szkoły artystycznej, gdzie ćwiczyła balet, choć po prawdzie więcej tam było lekkiej gimnastyki niż samego tańca. Mimo to Fisia wracała zmęczona, a przecież jeszcze należało odrobić lekcje, ale nie narzekała, bo nauka tańca była jej pomysłem.

Olga lubiła jej pomagać, nieraz spędzały godzinę lub dwie nad jakimś zadaniem domowym. Nawet Maksymilian przyłączał się do nich, kiedy uczyły się słówek.

– Będę znał wszystkie języki świata – przechwalał się. – Będę pogilgotą.

– Pierwsze, co zrób, to naucz się mówić po polsku – fukała Faustyna.

Już przywykli do mieszkania w domu Olgi, choć nadal nie chcieli mieć osobnych pokoi. Czasem zdarzało się im przywędrować w nocy do sypialni swojej opiekunki, żeby tam spędzić noc, gniotąc się we trójkę na niezbyt szerokim łóżku. Na szczęście coraz rzadziej tego potrzebowali, co było jasną informacją, że zapominają o nieszczęściu, które wydarzyło się na początku roku.

Pod koniec października Olga jak zawsze zadzwoniła do matki i spytała, czy chce odwiedzić grób męża, a pani Becker jak zawsze odmówiła. Tak samo uparcie nie chciała widzieć się z córką, więc Święto Zmarłych Olga spędziła z dziećmi i Sabinkami. Najpierw pojechali w piątkę na cmentarz, gdzie leżał Eryk Becker, później do Kamila i Ani, a nazajutrz, w Zaduszki, wybrali się do Myślenic, do rodziców Kamila. Wszędzie szybko i krótko, nie tylko ze względu na korki i tłumy.



– Mamolko! – Z salonu dobiegł krzyk Maksia. – Chodź tu szybko, bo wujek chce z tobą mówić!

– Ale ja nie chcę mówić z nim – westchnęła Olga, wycierając rękę. Z ociąganiem opuściła łazienkę.

– Wujek chce z tobą gadać – powtórzył malec na jej widok.

– Już idę. A ty czasami nie powinienes iść się kąpać? – Uniosła brwi, widząc, jaki jest usmarowany. – Faustynka już dawno po kąpieli.

– No dobrze... – jęknął Maksio. – Ale będę mógł jeszcze pogadać z wujkiem? – Zerkał to na ekran laptopa, to na sadowiącą się na jego miejscu Olgę.

– Tak – obiecała.

– Hej! – Konrad pomachał jej z monitora.

– Hej.

– Dawno cię nie widziałem – powiedział, gdy zostali sami.

– Jakoś się nie składało. Wieczorami mam sporo pracy – wyjaśniła, próbując opanować głos, żeby nie drżał. Rzeczywiście, nie widzieli się chyba miesiąc, bo unikała tych rozmów jak ognia. – Rano zawożę dzieci do szkoły i do przedszkola, potem jadę do laboratorium, tam siedzę przeważnie do drugiej, później trzeba odebrać Maksia, podrzucić Fiškę na zajęcia i gdy w końcu wszyscy jesteśmy w domu, jest już siódma wieczór. A kolacja? Lekcje? Nie narzekam na brak zajęć. – Uśmiechnęła się blado.

– Przemęczasz się.



– Tak źle wyglądam? – zażartowała, myśląc, że on też prezentuje się mizernie z podkrążonymi oczami i pochmurnym czołem.

– Nie. Wyglądasz... – zająknął się.

– Nieważne. – Olga machnęła ręką. – Nie miałam okazji ci powiedzieć, że gdy byliśmy na grobach, widziałam wiązanki od ciebie. Były naprawdę śliczne.

– Dobrze, że dostarczyli je na czas. I że nikt nie ukradł. Zamówiłem takie same jak w zeszłym roku – dodał.

– Uhm – mruknęła Olga, przypominając sobie, co czuła, gdy znów zobaczyła te imponujące białe kompozycje z kalii, goździków i różyczek. – A o czym chciałeś ze mną rozmawiać?

– O świętach. Wiem, że to za pięć tygodni, ale gdybyście chcieli do mnie przylecieć, już trzeba zarezerwować bilety – oświadczył wesoło.

– Ale nie wybieramy się do ciebie... – odpowiedziała Olga i zrobiła minę, jakby połknęła muchę. – Czy ja o czymś nie wiem? Maksio coś wymyślił? Coś ci obiecał?

– Nie. To mój pomysł – odparł Konrad.

– Aha.

– Moglibyście przylecieć, założmy koło dwudziestego grudnia, i zostać na dwa lub trzy tygodnie. Zapraszam. Będzie super. Organizujemy specjalne przyjęcie bożonarodzeniowe, będą prezenty, wspólne pieczenie ciast i wiele atrakcji.

– Czyli cudowne rodzinne święta? – skwitowała Olga, starając się mimo wszystko nie zabrzmieć jak stara zgorzkniała baba. – Dzięki za zaproszenie, ale obawiam się, że nie przylecimy. Pod koniec grudnia mam w pracy urwanie głowy. Zamykamy budżet, księgowość robi sprawozdania, podpisujemy nowe kontrakty na następny rok, przedłużamy umowy i tak dalej... – Chrząknęła, bo nagle poczuła się głupio, mając świadomość, że trochę go oszukała, na wyrost szacując swoje obowiązki. – Na pewno nie przylecimy. Nie gniewaj się. A może ty nas odwiedzisz? – zaproponowała, wiedząc, że Konrad na pewno odmówi, bo przecież nie może opuścić wspólnoty w najgorętszym okresie roku.

– Szkoda. Może innym razem. – Pokiwał głową. – A jak w ogóle się czujesz? – podjął z innej beczki.

– Ja? – Olga szybko zamrugła oczami. – Ale o co pytasz?

– Tak ogólnie – wyjaśnił, wyraźnie skrępowany. – Jak twój nastrój? Jesteś zdrowa? Maks mówił, że miałaś grypę – zagadywał najwyraźniej zdeterminowany, żeby podtrzymać ich wątłą konwersację.

– To zwykłe przeziębienie. Katar, nie grypa. Dobrze się czuję. A ty?

– U mnie też wszystko w porządku – odparł szybko.

– Uhm. To fajnie. A co u Alice? Pewnie nie może doczekać się stycznia?

– Stycznia? – Konrad przymrużył oczy.

– Przecież macie brać ślub. Zapomniałeś? – Olga potrząsnęła głową.

– Ach, styczeń! No tak. Faktycznie. Oj, kiepski ze mnie narzeczony... – Mrugnął do niej porozumiewawczo, ale może przez zniekształcenie obrazu Olga zarejestrowała to jako dziwny grymas.

– Pozdrów ją ode mnie.

– Dziękuję, przekażę. A ty pozdrów te swoje Sabinki i państwa Walczyków, choć Maksio niewątpliwie robi to na bieżąco.

– Gdy nie zapomni – zażartowała. – A jak twoje kazania?

– Kiepsko. Nikt ich nie czyta i dopiero gdy pastor puszcza w eter moją radosną twórczość, stwierdzam, że znów dałem płamę.

– A widzisz! Jego też pozdrów.

– Z przyjemnością – obiecał Konrad.

– Jestem!!! – Nagle do pokoju wpadł Maksio. W jednej chwili znalazł się na kolanach Olgi. Spontanicznie ją uściskał i cmoknął w policzek.

– Ty moja drobinko – powiedziała i wolno wypuściła powietrze z płuc, czując niewymowną ulgę, że wrócił.

– Kieszonkowy chłopczyk – dodał Konrad.

– Bo z figury podałem się na mamę, a z gęby na tatę. Tak mówi ciocia Wicia – wyjaśnił Maksio. – A Fiśka z gęby i włosów jest jak mama, a z figury jak Buka – szepnął konspiracyjnie. – Taka grubaśnica z Muminków.

– Ciocia Wicia tak powiedziała? Nie wierzę. – Olga stłumiła śmiech.

– To o Buce to ja wyślimiłem.

– Aha.

– Jaki odjazdowy ten płyn do kąpieli! Wujku, Mamolka mi kupiła zielony płyn do mycia i specjalną farbowaną pastę do zębów! Popatrz, jaki ma kolor! – Maksymilian wystawił język.

– Masz niebieski jęzor!!! Wyglądasz jak kosmita! – Zaśmiał się Konrad.

– No! Ręce też mam kolorowe, ale to zniknie za chwilę – powiedział, prawie dotykając monitora rozcapierzonymi palcami.

– To wy sobie gadajcie, a ja pójdę popracować – oznajmiła Olga, ale w pierwszej chwili nikt jej nie usłyszał.

Musiła podnieść głos, żeby przedrzeć się przez trajkotanie Maksia. Dopiero wtedy chłopczyk zszedł z jej kolan, a Konrad pomachał wesoło na pożegnanie. Zajrzała do Faustynki, żeby spytać, czy nie chce porozmawiać z wujkiem, ale mała zajęta była czytaniem, więc Olga zeszła na parter i skryła się w gabinecie. Przyniosła plik dokumentów i przez chwilę wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w ciągi cyferek. Mogła oszukać każdego, ale nie siebie. Niezle nią trzepnęło, gdy zobaczyła Konrada.

– Jestem głupia... – powiedziała cicho do siebie. – Głupia! Głupia! Głupia! – Uderzyła się kilka razy pięściami w głowę.

Czuła, że unikanie Konrada to straszny błąd. Ale z drugiej strony, gdy go nie widziała, była spokojniejsza. Starła się o nim zapomnieć, lecz bez skutku. Jakby tego było mało, widok jego twarzy natychmiast przywołał Kamila, a to zawsze rozkładało ją na łopatki. „Od dzisiaj będę z nim rozmawiać. Choć przez pięć minut. – Postanowiła w duchu. – To będzie jak szczepionka, jak leczenie alergii słabymi dawkami alergenu”.

Niestety, minęły trzy dni, a ona stchórzyła. Siedziała dokładnie w tym samym miejscu, bezsilnie zaciskając pięści, gdy przez drzwi docierały do niej chichot Maksia i daleki śmiech jego wujka.



– Proszę przyjechać – nalegał doktor Jarczuk. – Rzadko panią o to proszę, ale tym razem sprawa jest poważna. Najlepiej dzisiaj.

– Jasne – odparła Olga, myśląc, co robi z dziećmi. – Będę na pewno.

– Przypuszczam, że dojedzie pani dosyć późno, więc może proszę zabrać ze sobą jakiś mały bagaż. Obawiam się, że tak szybko nie skończymy i chyba będzie pani musiała tu przenocować.

– Rozumiem.

– To ja kończę. Do zobaczenia.

Olga odłożyła telefon, żeby sekundę później wziąć go ponownie i wyświetlić kontakty.

– Co za pieprzony pech – sarkała.

Rzeczywiście, wyjątkowo niefortunnie się złożyło, bo na nikogo nie mogła liczyć. Sabinki wyjechały na tydzień w Góry Stołowe, a Iza wybyła z mężem w tropiki na spóźniony miesiąc miodowy.

– Końcówka listopada, jest wstrętne, a wy wszyscy, zamiast siedzieć w domu, gdzie się pałętacie – jęknęła, wybierając numer telefonu stacjonarnego pani Wici. Nikt nie odbierał, pomyślała więc, że spróbuje za chwilę, i wtedy skojarzyła, że przecież wujostwa Ani nie ma w Krakowie, bo pan Dzidek dostał wreszcie skierowanie do sanatorium. – Zajebicie! Po prostu zajebicie! Ciekawe, co ja mam teraz zrobić?!

Przesuwała palcem listę znajomych, ale nikt się nie nadawał. Oprócz jednej osoby. Tej, która była na pogrzebie Kamila, a potem kilka razy zadzwoniła, pytając, czy nie mogłaby jakoś pomóc. Tej samej, która zapraszała Olę i dzieci do siebie na wieś i którą Olga kolejny raz zbyła, i do której i tak by nie pojechała, nawet nie mając wymówki w postaci wyjazdu do New Bern.

– Boże, co za wstyd. – Zagryzła dolną wargę do bólu. – Koniec jęków, Becker, spróbuj. Zgodzi się, to super. Nie zgodzi się, zabierzesz dzieci ze sobą.

– Łucja? – wyjąkała. – Cześć, tu Olga.

– Olga! Jak miło cię słyszeć! – zaszczębiotało po drugiej stronie słuchawki.

– Mnie też miło. Bardzo cię przepraszam, ale mam poważny problem. Czy jesteś może w Krakowie? Muszę zostawić z kimś Faustynkę i Maksia. Na noc – dodała.

– Ojej! A oni nie będą się bali? Tylko raz widzieli mnie na oczy. Nie wiem, czy pamiętają.

– Nie będą – stwierdziła stanowczo Olga, choć wcale nie była tego taka pewna, zwłaszcza w odniesieniu do Maksymiliana. – Oboje są przecież duzi. Fisia ma dziewięć lat, a Maksio pięć, ale z nią niczego się nie boi.

– A to super! Z przyjemnością ci pomogę. Wprawdzie Hugo wyjechał, a ja jestem w Podolu u babci, ale to nie problem. Jeśli możesz poczekać, do dwóch godzin będę na miejscu. Podaj mi adres.

Olga przewróciła oczami. Ten entuzjazm Łucji do niesienia pomocy całemu światu znów ją zszokował.

– Bardzo ci dziękuję. Nie dzwoniłabym, ale naprawdę tak się pechowo złożyło...

– Nie ma sprawy. Nie tłumacz się. Muszę już wyjechać, żeby zdążyć jak najszybciej. Aha! Wolałabym ich zabrać do Podola, bo Marysia jest przeziębiona i nie chcę jej wlec w taką pluchę, a taki się z niej cycek zrobił ostatnio, że sama z babcią na noc nie zostanie – wyjaśniła, trajkocząc szybciej niż telegraf. – I spakuj im jakieś ciepłe i brzydkie ubrania na zmianę, bo na pewno się uwalają. Okropne błoto w tym roku. Całe obejście brudne. Kury wyglądają jak murzyńskie dzieci – zachichotała. – Sorki, już kończę, puść mi adres SMS-em, a pogadamy później.

– Okej. Zaraz ci wyślę. Mieszkam przy parku Decjusza.

– Wiem. Hugo mi mówił. To ja się rozłączam. Widzimy się za dwie godziny.

– Ona jest nienormalna. – Olga potrząsnęła głową, gdy kliknęło w słuchawce. – Absolutnie i niezaprzeczalnie nienormalna...

W ciągu godziny zdążyła odebrać dzieciaki. Przyjechali do domu, Olga spakowała naprędce ich plecaki, posłusznie wypychając je zapasem ciepłych ubrań. Sama też się przygotowała do drogi, a na koniec zadbała o koty.

– Macie być grzeczni – powiedziała, sypiąc do misek potrójną porcję karmy.

– My? – zapytał Maksio, który właśnie z trudem ciągnął swój plecak w stronę drzwi wyjściowych. – My zawsze jesteśmy grzeczni.

– Wiem. – Olga wstała, podeszła do niego i przytuliła mocno. Pierwszy raz od śmierci Kamila rozstawała się z nimi na tak długo i nagle poczuła dziwne, bolesne ukłucie w sercu. – Zawsze jesteście grzeczni. I kochani. Jesteście moimi skarbami. Wiesz? – spytała.

– Uhm. A ty naszą Mamolką – odparł, zadzierając głowę.

– A gdzie Fisia?

– Poszła na górę po jakąś książkę. I po kokona, bo jakby się tam posikała, byłby okropny wstyd... – wyszeptał konspiracyjnie Maksio.

– Aha. Nie będziesz się bał? – Kucnęła przed nim, żeby lepiej go widzieć.

– Nie. Pamiętam tamtą panią. To mama Marysi. Będziemy się bawić, zjemy pyszną kolację, a potem pójdziemy spać, a potem będzie jutro, zjemy śniadanko, a ty po nas przyjedziesz – powtórzył plan.

– Dokładnie tak. – Olga cmoknęła go w czoło. – Oho! Słyszysz? Chyba Łucja po was przyjechała?

– Fiśka! Bo przyjechała pani Łujca! Schodź, spóźnimy się! – Malec wrzasnął w stronę schodów na piętro.

– Łucja – poprawiła bezwiednie Olga.

Kwadrans później już mogła wyjechać z domu. Opuszczała Kraków, mając przed oczami krótki moment pożegnania z dziećmi. Parsknęła śmiechem, przypominając sobie specyficzny żart żony Hajduka: „Moja babcia ma wprawę w wychowywaniu sierot, na pewno da sobie z nimi radę”. W pierwszej chwili Olę aż zmroziło, tak bardzo wydał jej się niestosowny, ale szybko się zorientowała, że tym niezbyt wybrednym dowcipem Łucja rozładowała sytuację. „Pewnie uznała, że niedużo mi brakuje, żeby się rozbeczeć” – stwierdziła w duchu.

– Ech... Jakoś to będzie – westchnęła, włączając radio.

Mijały kilometry, a Olga coraz mniej myślała o dzieciach, bo jej głowę zaprzętało to, co zastanie w ośrodku. Doktor Jarczuk nic nie powiedział, nie zdradził żadnych konkretów, a to nie zwiastowało niczego dobrego. Gdy w końcu w oddali zamajaczyła zwalista sylwetka starego pałacu, Olga skrzywiła się boleśnie, bo dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że już od trzech godzin bezwiednie zaciska zęby.

Wysiadła i rozprostowała kości. Sięgnęła do torebki po telefon, szybko zadzwoniła do Łucji, żeby powiedzieć, że jest już na miejscu i spytać, czy z dziećmi wszystko w porządku. Oczywiście przez minutę rozmowy zdążyła usłyszeć, że jej pociechy są wspaniałe, cudowne, „takie mądre”, nie sprawiają żadnych kłopotów i ogólnie cud-miód, że Marysia je uwielbia i od początku ich wizyty cała trójka się grzecznie bawi. Łucja nawet przeprosiła za to, że nie będą mogli nazajutrz iść na sanki, bo przecież śniegu nie ma, i dla śmiechu zacytowała babcie: „W łośkim roku nasypało za trzy lata najprzód”.

– Bardzo ci dziękuję. Muszę się jakoś odwzajemnić – odparła dosyć powściągliwie Olga.

– Chyba żartujesz? Za co? Za to, że moja Marysia ma towarzystwo? – pisnęła Łucja. – To ja ci dziękuję, bo była okropnie marudna przez ten katarek, a teraz ma rozrywkę!

– Uhm.

– Ojej! Każ mi przestać! Pewnie chcesz jak najszybciej zobaczyć się z mamą.

– Owszem. Gdyby coś się działo, dzwoń o każdej porze. Odbiorę. A teraz

do usłyszenia. – Wsunęła komórkę do kieszeni palta, wyjęła z bagażnika torbę i pomaszzerowała, a raczej przebrnęła przez grząskie podwórko.

Doktor Jarczuk już na nią czekał w swoim gabinecie. zaproponował coś ciepłego, bo właśnie podawano podwieczorek, ale Olga podziękowała.

– Zjadłam po drodze. Tankowałam przed niecałą godziną – wyjaśniła. – Proszę mówić, co z mamą. – Poprawiła się nerwowo na krześle.

– Oczywiście, już mówię. Pani Julia odmawia posiłków. Ósmą dobę nic nie je. Zgadza się jedynie na przyjmowanie nieposłodzonych płynów. Pije wodę, czarną kawę i herbatę. Próbowaliśmy zabielać kawę mlekiem, ale mleka też nie pozwala sobie podać.

– Rozumiem. – Olga wzięła głęboki wdech. – Czy coś jej grozi? Mówiła, dlaczego nie chce jeść?

– Niestety, nie udało nam się skłonić jej do rozmowy. Na razie wszystko z nią w porządku, bo ta nagła i niespodziewana głódówka zbyt krótko trwa, ale wkrótce poczuje się gorzej. Doktor Krewniak, nasz internista, martwi się o jej serce. W napojach brakuje odpowiedniej zawartości elektrolitów, choć woda, którą podajemy pani mamie, jest wysokozmineralizowana. Gdy poziom potasu spadnie, zaczną się kłopoty z sercem. Magnez zapobiega skurczom, a pacjentka nieraz skarżyła się na bolesne skurcze łydek. Poza tym pani Julia jest bardzo szczupła i nie ma skąd czerpać energii. Nie ma zapasów.

– I co teraz? – Olga bezwiednie zagryzła wargę. – Nie możecie jej jakoś zmusić? Podłączyć kroplówki z glukozą? Są przecież odpowiednie preparaty. – Przypomniała sobie, jak pompowali w nią leki, gdy leżała na onkologii.

– Dobrze pani wie, że pani Julia jest tu dobrowolnie. Nikt jej nie zmusza, żeby u nas przebywała. To nie szpital psychiatryczny, tylko prywatna klinika, a pani mama jest w pełni władz umysłowych. To nie jest jakaś niepoczytalna osoba, żebyśmy mogli zastosować środki przymusu. – Rozłożył ręce. – Zresztą tu nie ma nikogo takiego. Nasi pensjonariusze, bo tak właśnie powinniśmy ich nazywać, mieszkają tu z wyboru.

– No dobrze, ale chyba ma pan jakiś plan? – Olga nieznacznie podniosła głos. – Ktoś próbował z mamą rozmawiać? Ona wie, że mnie pan wezwał?

– Rozmawiałem ja i doktor Puczyńska, psycholożka. Na pewno ją pani kojarzy, niska, kasztanowe włosy...

– Tak, pamiętam.

– Mama przeważnie milczy, nie odpowiada na żadne pytania. Zaprzeszała również kontaktowania się z innymi pacjentami. Szkoda, bo zaprzyjaźniła się z kilkoma osobami i może ktoś spoza personelu dotarłby do niej. Nie rozmawia z pielęgniarkami, nie chodzi na masaże. Od początku głódówki nie opuszcza pokoju. Samodzielnie korzysta ze swojej łazienki. Nie ogląda telewizji i nie słucha radia. Nic nie czyta. W zasadzie od tygodnia jej jedyna fizyczna aktywność to

wizyty w toalecie. Większość czasu spędza, leżąc na łóżku. Nie wie, że panią tu zaprosiłem – zreferował.

– Aha. Czy to nawrót katatonii? – Olga bezwiednie zwinęła dłonie w pięści.

– Nie. Mama wyraża zdecydowany sprzeciw, gdy próbujemy jej podać coś do jedzenia. Wtedy się ożywia. Jasno i wyraźnie prosi, żeby zabrać posiłek. Weźmy chociażby przykład z mlekiem. Wylała zawartość dzbanka do umywalki i poprosiła, bardzo grzecznie, lecz stanowczo, żeby przynieść jej kawę bez mleka. Codziennie bierze prysznic i zmienia ubranie na świeże. Czesze się i robi makijaż. To nie są zachowania typowe dla katatonii.

– Więc czego to są objawy? Depresji?

– Mama zachowuje się tak, jakby chciała...

– Zagłodzić się na śmierć?

– Raczej zwrócić na siebie uwagę. Pani uwagę.

– Gdy ostatnio z nią rozmawiałam, powiedziała, że absolutnie nie chce, żebym ją odwiedziła. Proponowałam, żeby wróciła choć na kilka dni do domu, ale odmówiła. Jak mam zwracać na nią uwagę? Myśli pan, że gdy teraz do niej pójde, ucieszy się?! – Olga nachyliła się nad biurkiem i przez chwilę patrzyła w twarz lekarza. Jego spokojne, profesjonalne oblicze doprowadzało ją do pasji.

– Mimo wszystko musimy spróbować. Sądzę, że nie mamy nic do stracenia. Rozmawiałem z doktor Puczyńską i razem ustaliliśmy, że najlepiej, gdy pani tam pójdzie i choćby nie wiem co się działo, zmusi matkę do rozmowy. Proszę ją sprowokować. Czy jest coś, czego mama nie znosi w pani zachowaniu?

– Owszem. Mama nie toleruje wulgaryzmów.

– Doskonale. Proszę iść i spróbować zachowywać się inaczej niż zwykle.

– Aha. Mam iść i ją skłąć? Czy pan siebie słyszy? Dyplom kupił pan na bazarze? – Olga potrząsnęła głową.

– Pani Olgo, jestem lekarzem psychiatrą. Jak sama nazwa wskazuje – lecę. Lecę chorych ludzi – dodał z naciskiem. – A pani mama jest całkowicie zdrowa. Tak uważam.

– Dlatego umywa pan ręce?

– Nie potrafię uleczyć kogoś, kto nie jest chory. Proszę iść do mamy i... zrobić jej z dupy jesień średniowiecza... – Chrząknął w kułak, bo wyjątkowo bawił go ten zwrot.

– Słucham?! – Olga wytrzeszczyła oczy.

– To powiedzonko mojej córki – wyjaśnił.

– Aha. – Olga nadal nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. – Proszę mi powiedzieć, a może coś się wydarzyło, zanim mama zaczęła tę głodówkę?

– U nas na pewno nie zdarzył się żaden incydent, wszędzie są kamery. Co do jakiegoś impulsu z zewnątrz, nie wiemy. Pani Julia ma telefon komórkowy i czasami gdzieś dzwoni, ale nie możemy sprawdzać, z kim rozmawia. To samo

dotyczy tajemnicy korespondencji. Mogę pani przedstawić listę nadawców, od których otrzymała listy w ciągu ostatniego kwartału, bo prowadzimy taki rejestr.

– Proszę.

– Sekunda. – Doktor Jarczuk uruchomił laptop. Przez chwilę wpatrywał się w ekran swoimi nieco wylupiastymi oczami, kilka razy kliknął myszką, podrapał się po błyszczącej łysinie, by w końcu odwrócić komputer w stronę Olgi. – Proszę. Część listów przychodzi bez nadawcy na kopercie, to te zarejestrowane z sygnaturą NP.

– Hm... Nic szczególnego tu nie widzę. Wyciągi z banku, coś od prawnika... – mruzczała do siebie Olga. – A to? Sprzed dwóch tygodni? – Wskazała palcem na monitor.

– Jeśli ma dopisek NP, na kopercie nie było danych nadawcy.

– Uhm. No cóż, nic nie wymyśliłam.

– Pójdziemy do pani Julii?

– Tak. Chodźmy.

Po chwili znaleźli się pod drzwiami apartamentu numer osiem. Lekarz dosyć głośno zastukał, a gdy zza drzwi dobiegło „Proszę”, uniósł do góry kciuk i szepnął: „Powodzenia”. Po drodze uzgodnili, że Olga wejdzie sama, choć teraz ten pomysł nagle wydał jej się beznadziejny.

– Dobry wieczór – przywitała się, wchodząc do saloniku. Od razu dostrzegła, że matki nie ma w pokoju, zajrzała więc do przylegającej doń sypialni. – Cześć, mamó, to ja, Olga. – Zauważyła, że plecy matki, którymi była obrócona w jej stronę, lekko drgnęły. Podeszła bliżej i usiadła w fotelu, żeby widzieć twarz matki. – Co się dzieje? – spytała po chwili.

– Po co przyjechałaś? – odezwała się beznamiętnie Julia. Leżała na boku, przykryta lekką kołdrą, spod której wystawały stopy w grubych, ciepłych skarpetkach. – Nie chcę, żebyś tu przyjeżdżała. Wracaj do dzieci, do domu.

– Nie. Nie wrócę, jeśli ze mną nie porozmawiasz – oświadczyła Olga.

– Jak chcesz – odparła matka i po chwili odwróciła się do córki plecami.

– Jak ty mnie... – zająknęła się Olga. – Jak ty mnie czasami potrafisz wkurwić. – Ledwie to powiedziała, uznała, że pomysł doktora Jarczuka był idiotyczny. Tym bardziej że matka w ogóle nie zareagowała. – Nie wrócę do domu, będę tu siedzieć i mówić do ciebie. To od czego zaczniemy? – zapytała. W jej głosie zabrzmiała sztuczna wesołość. – Może opowiem ci, jak sobie radzę jako wdowa? Dobrze pamiętam, jak mówiłaś, że Kamil mnie zostawi. I patrz! – Plasnęła w rękę. – Miałaś rację. Zostawił mnie, choć pewnie stawiałaś na zwykły, banalny rozwód. Najlepiej bolesny, zwłaszcza dla mnie. Jakie miłe zaskoczenie! – Olga uderzyła płasko dłonią o swoje udo. – Jestem wdową tak jak ty. I tak samo wychowuję nie swoje dzieciaki. Jak to czasami życie potrafi z nas zakpić! – parsknęła pod nosem. – Okej, a teraz do rzeczy. Jak sobie radzę? Nie mam pojęcia.



Pewnie do dupy. Gdy do ciebie wyjeżdżałam, uświadomiłam sobie, że jestem beznadziejną matką. Dlaczego? Bo... – Przełknęła ślinę. – Bo czasem nienawidzę moich dzieci. Ty pewnie tak nie miałaś. Gdy zmarł tato, mogłaś robić, co chciałaś. Zachlać się na śmierć, skoczyć z mostu, powiesić się na klamce albo uciec. Ja też bym tak chciała. Też czasami mam ochotę uciec, a miesiąc po śmierci Kamila próbowałam sprawdzić, jak się skończy przepijanie koniakiem tabletek na depresję. Och! Chyba cię zainteresowałam! – skwitowała, bo zauważyła jakiś delikatny ruch ręki leżącej na kołdrze.

– Przestań... – Po chwili dobiegło Olgę ciche westchnienie. – Przestań wymyślać te bzdury i idź sobie.

– Bzdury?! – Jawnie się oburzyła. – Jakie bzdury? To wszystko prawda. Wstydliva prawda, bo jak powiedzieć komuś, że się nienawidzi własnych dzieci? To najgorsze, co może czuć matka. Ale to prawda. Czasami ich nienawidzę, bo jestem za nie odpowiedzialna. Pierdolona, gówniana odpowiedzialność. Jej też nienawidzę. To jak kajdany, jak więzienie. Nie wiem, czy ktokolwiek lubi być odpowiedzialny. I wiesz, czego jeszcze nienawidzę? Tego, że gdy teraz ci to mówię, wiem, że tak naprawdę wcale tego nie czuję. To nie ja. To jakiś kawałek, taki ohydny fragment mnie, który czasem dochodzi do głosu. I tego nienawidzę najbardziej. – Zamilkła. Przez chwilę wpatrywała się w nieruchome plecy matki. Bładozielona polarowa tkanina podnosiła się miarowo, jakby Julia spała. – Zostawiłam dzieciaki na noc u Łucji! – krzyknęła nagle. – Na noc! Na całą noc! Łucja je zabrała i pojechała do Podola. To taka wiocha, gdzie mieszka jej babcia. Rozumiesz?! To daleko od Krakowa, a Łucja to gówniara. Ma dopiero dwadzieścia lat i prawko pewnie od roku. Wyobrażasz sobie, jak się bałam?! Całą drogę tutaj nie dzwoniłam do Łucji, bo nie chciałam jej przeszkadzać! Pomyślałam, że lepiej do niej nie dzwonić, gdy prowadzi. Uwierzysz?! Jestem głupia, bo przecież nie da się uniknąć losu. Po cholere się bałam? Kretynka! – stuknęła się w czoło. – To przez tę pieprzoną odpowiedzialność! – warknęła. – Czemu tego gówna nie da się wyłączyć? Do końca życia będę to czuć? To koszmar. Nienawidzę tego. Nienawidzę, bo... Ech... – jęknęła. – Miałam mówić o tym, jak sobie radzę jako wdowa. Mogłaś mi przerwać. – Odpowiedziała jej głucha cisza, więc podjęła: – Chyba masz w dupie to, co mówię, ale okej. Niech tak będzie.

Wstała i podeszła do okna. Odsunęła muślinową firankę i przez chwilę próbowała wypatrzeć coś w ciemności. Po chwili zauważyła majaczącą w oddali wielką parkową fontannę. Przypomniała sobie, jak ją zachwycił ogród wokół ośrodka, gdy pierwszy raz tu przyjechała, i nagle poczuła, że najchętniej zostałaby tu na zawsze, jak jej matka. Ale to uczucie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

– To tak cholernie gniecie. I uwiera. Jak drzazga w palcu – westchnęła. – Choć taka mała, dokucza, aż się ją wyjmie. – Odwróciła się i zatrzymała wzrok

na leżącej matce. Z powrotem siadła w fotelu, nalała wody do szklanki i wypła ją duszkiem. – Tak sobie teraz myślę, że to okropne wychowywać nie swoje dzieci. Chyba kocham je za bardzo, bo nie są moje. Ciągłe mi się wydaje, że im to przeszkadza. Bo jestem gorsza od Kamila. Jestem jak żywiciel, a oni jak pasożyty. Drzewo i kula jemioly, a raczej dwie kule. Pijawki i człowiek. A co najśmieszniejsze, im bardziej ze mnie czerpią, wysysają, tym lepiej się czuję. Kocham to. Kocham to ich wysysanie. Czasami padam na twarz, jestem wykończona, a oni chcą jeszcze i jeszcze. Cały dzień biegam, jeżdżę z nimi tam i z powrotem, do szkoły, do przedszkola, na zajęcia, do lekarza, bo przecież co chwilę któreś choruje, a ja umieram ze strachu, że to coś poważnego. Że Faustyna ma wznowę białaczki albo że Maksio właśnie zaczyna chorować na coś okropnego. Wieczorem szykuję kolację. To, co lubią. A każde lubi co innego. Pomagam przy myciu włosów, pilnuję, żeby dbali o zęby, odrabiam lekcje z Faustynką, bawię się z Maksiem. Modlę się z nimi! Wyobrażasz sobie? Mówię pacierz, klepię zdrowaśki i wnoszę modły do Anioła Stróża, bo tak robił Kamil. I tak dzień w dzień. W nocy przychodzą do mnie, bo lubią ze mną spać. Budzę się rano, o ile oczywiście uda mi się zasnąć, przywalona nogami, rękami, głowami, wszystkim. W ustach mam piętę Maksia, na szyi rękę Fiśki. I jeszcze nasze durne koty... A mimo to mam stale wyrzuty sumienia, że daję im zbyt mało siebie. To jakiś obłęd. Nienawidzę siebie za to, że okazuję im za mało czułości. To nie znaczy, że w ogóle im nie okazuję! – Potrząsnęła głową. – Okazuję. Nieustannie. Zwłaszcza Maksiowi. Od początku lubił siedzieć mi na kolanach, jeszcze gdy... – Chrząknęła, bo coś zadrapało ją w gardle. Ponownie napełniła szklankę wodą i upiła kilka łyków. – Faustyna mniej się tuli. Za to, gdy ze mną śpi, potrafi tak się przykleić, że rano obie mamy piżamy mokre od potu. I nie tylko. Ciągłe zdarza się jej posikać w nocy. Inka mówi, że to moczenie wtórne wywołane traumą. Ponoć przechodzi bez śladu. Już jest lepiej, bo zdarza się może raz na dziesięć dni albo rzadziej – stwierdziła. – Nie mówimy zbyt wiele o tym, żeby jej nie zawstydząć. Maksio wymyślił nawet specjalną nazwę na pampersy. Faustynka śpi w kokonie. Ładnie, prawda? Ale ja nie o tym. Śpisz? – spytała nagle.

– Nie – mruknęła cicho jej matka.

– Uhm. Z tymi czułościami coś u mnie nie tak. Po prostu zapominam o nich. Zapominam. Rozumiesz? Gdy czasem widzę w parku te wszystkie mamuśki tarmoszące godzinami swoje dzieci, nie pojmuję, skąd się to u nich bierze? Nie czuję potrzeby, żeby podejść i przytulić Maksia czy Fiśkę. Żeby to zrobić, muszę sobie przypomnieć: „Dzieci się tuli, dzieci się tuli, dzieci się tuli...”. Powtarzam to jak głupia, a i tak wiecznie zapominam. I gdy sobie przypomnę, doskakuję do któregoś z nich, ściskam i całuję. No istna kretynka! Jak jakaś idiotka! Ale gdy już je tulę, wtedy czuję się cudownie. Nie chcę wypuścić ich z rąk. Kiedy śpią ze mną, jest okropnie niewygodnie, ale samej? Czasami wyłażę z łóżka, idę do ich

pokoju i siedzę przy łóżeczku Maksia jak pies. Kiedyś zasnąłam na podłodze! – Parsknęła śmiechem i pokręciła głową. – Wiesz co? Miałam ci opowiedzieć, jak czuję się jako wdowa, a co opowiadam? Dzieci, dzieci, dzieci... To jak śmiertelna choroba. Zawirusowany organizm już nigdy nie wyzdrowieje, nie pozbędzie się wirusa. Okropne, prawda?

– Olga...

– Wiem, wiem! Masz mnie dość. Miałas mnie dość, ledwie tu weszłam, ale i tak wszystko ci opowiem. Bo co mam tu robić? – Olga rozejrzała się na boki. Pokój tonął w dyskretnym świetle nocnej lampki. Był bardzo przytulny, choć skromnie umeblowany, ale to dodatki tworzyły ciepłą, miłą dla oka całość: kwiaty doniczkowe, obrazki, regał z równiutko ustawionymi książkami. – Więc co u mnie, wdowy? Ach! Jeszcze nie powiedziałam ci najważniejszego. – Zmarszczyła czoło. – Bo ja tak narzekam i może pomyślałaś, że nie chcę dzieci, ale to nieprawda. Chcę. Już odczuwam głód. Jak narkoman. Może dlatego tyle mówię? Zagadać głód. To jak z papierosami albo z pracą? Uzależnienie. Gdy codziennie robisz to samo, przywykasz. Czuję się nieswojo. – Zerknęła na zegarek. – Właśnie kładliby się do łóżek. Ciekawe, czy śpią? Pewnie nie. Myślałam, żeby tam zadzwonić, ale skoro Łucja nie dzwoni, to ja też nie będę. Pomyśli, że jestem wyrodną matką. Nie jestem. Po prostu wolę nie dzwonić, bo jak ich usłyszę... – Przełknęła ślinę. – Mówiłam ci o tej pani Wandzie? To matka Ani, żony mojego... Ona chciała zabrać dzieci do siebie. Mieszka niedaleko Piły, w Złotowie. Nie byłam tam, ponoć piękne miasteczko. Mieszka razem z mężem u córki, siostry Ani. Pomaga jej wychowywać dzieciaki. Jedno z nich jest chore, ma autyzm, ale nie znam szczegółów. Przyjechała z mężem w święta wielkanocne i wiesz, co powiedziała? Że chcą zabrać mi dzieci. Uznali, że sobie nie radzę. Rzeczywiście, wtedy trochę sobie nie radziłam. Powiedzieli, że dziadkowie mają większe prawa do dzieci niż jakaś tam macocha, erzac matki. Swoją drogą, słowo „macocha” jest przewstrętne. Wszystko przez Kopciuszka! Uwielbiałam, gdy czytałaś mi na głos. Pamiętasz? Gdy miałam osiem lat, czytałaś mi wieczorami całe *Dzieci z Bullerbyn*, a tato podsłuchiwał. Kiedyś musiał wyjechać na trzy dni i poprosił, żebyśmy poczekały na niego. To samo było przy *Małej księżniczce*. Pamiętasz? Musisz pamiętać!

– Pamiętam. Olga...

– O nie! Jeszcze nie skończyłam. Nawet nie zaczęłam. A tak w ogóle, to przepraszam, że użyłam brzydkich wyrazów. To był pomysł Jarczuka. Boże! Znów zgubiłam wątek. O czym mówiłam?

– O dziadkach dzieci. – Dobiegło zza pleców Julii.

– No właśnie. Nic nie wskórali, bo pani Wicia stanęła w mojej obronie. To siostra pani Wandy, sąsiadka. Mieszka naprzeciw. Ale nawet gdyby podali mnie do sądu i ten wniosek trafiłby na wokandę, nie pozwoliłabym ich sobie odebrać. Teraz to wiem, chociaż wtedy przez ułamek sekundy poczułam ulgę, ale tylko

przez moment. To był trudny czas. Faustyna noc w noc sikała do łóżka. Zanim się zorientowałam, zniszczyła cały materac. Do dzisiaj czuję ten zapach. Gdy ta kobieta poinformowała mnie o swoich zamiarach, nagle zrozumiałam, że mam szansę odzyskać wolność. Ot tak, pstryk i już! Nikogo nie ma. Nie ma Olgi Polskiej, nie ma Kamila Polskiego, nie ma dzieci, a ja z powrotem jestem Olgą Becker. Przez chwilę napawałam się tą myślą, a potem... Nagle mnie coś ukłuło... Jakby ktoś dotknął mnie rozżarzonym prętem. Na szczęście nie zdążyłam nic zrobić. Wtedy na pewno odebraliby mi dzieciaki – westchnęła. – Dobrze, że pani Wicia była pierwsza. Boże! Chyba nie będę ci opowiadać, jak sobie radzę! – zachnęła się. – Ciągłe dzieci i dzieci. A przecież nie tylko one istnieją. Okropnie tęsknię za Kamilem. – Zagryzła wargi. – Okropnie. Powiedziałabym ci coś, ale to jest takie straszne... Nie powiem. Dopiero teraz rozumiem, jak musiało ci brakować taty.

– Olga...

– Nic nie mów. Zawiodłam. Nie myślałam o tobie. Skupiłam się wyłącznie na własnym cierpieniu, a przecież ty... Teraz wiem, jak musiałaś cierpieć. Dopiero teraz. Przepraszam, powinnam była...

– Dość! – Nagle Julia usiadła. Odrzuciła kołdrę, wstała i obeszła łóżko, żeby sięgnąć naprzeciw córki. – Posłuchaj mnie.

– Ale mam... – Olga skuliła się na fotelu, jakby ktoś usiadł jej na plecach.

– Już dosyć – ucięła.

– Jeszcze ci nie powiedziałam o Ince. Była u mnie niedawno. Piłyśmy wino, to od taty. Ona mówi, że upadek jest początkiem czegoś nowego. Im boleśniejszy, tym szybciej wstaniemy i otrzepiemy się z kurzu, a potem przed nami jest tylko nowa droga. A ja tak bardzo chciałabym w to uwierzyć, ale mi nie wychodzi – wyznała żałośnie. – Mamo, wróć do domu. Pomóż mi...

– Olga, dziecko... – Julia wstała, podeszła do córki i mocno ją objęła. – Ja cię przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam... – łkała. – Nie chciałam być dla ciebie ciężarem. Nie mieszkam tu dlatego, że mam tak silną potrzebę niezależności, lecz dlatego, że... – Przerwała, żeby otrzeć łzy spływające po policzkach. – Że chciałam, żebyś mnie jak najdłużej kochała. Zostać dla ciebie ciężarem czy smutnym obowiązkiem to najgorsze, co mogło mnie spotkać. To wszystko.

– Dlatego się głodzisz? Chcesz szybko umrzeć, żeby nie sprawiać mi kłopotu?

– Ja...

– O nie, nie wierzę ci! – Nagle Olga ją odepchnęła. – Gdzie byłaś, gdy cię potrzebowałam? Nie odtrąciłabym cię, jak ty mnie. A tak strasznie mi wtedy brakowało pomocy! Żyłam jak w sennym koszmarze, gdy człowiek brnie przez błoto, wpada w nie coraz mocniej i głębiej, suchy brzeg powoli znika przed oczu. Co się z tobą stało? Dlaczego mnie odtrącasz?! A teraz co wyprawiasz?! Siebie też

odrzucaś?

– Nie wiem... – Julia na moment zakryła usta. – Coś ci pokażę. – Wyszła z sypialni. Wróciła, trzymając dużą brązową kopertę. Przyciskała ją do piersi niczym najcenniejszy skarb. Dopiero widząc pytający wzrok córki, wręczyła jej przesyłkę. – Jest otwarta.

– Co to? – zapytała Olga, wyjmując kserokopię aktu zgonu. – To mojej mamy? – Zerkała to na matkę, to na trzymany w drżących dłoniach dokument.

– Tak. Nazywała się Marzena Sędzik – odparła Julia, siadając na brzegu łóżka.

– Zmarła piątego listopada?

– Tak.

– Co się stało? Rak? – Olga, choć mocno poruszona, szybko obliczyła, że jej biologiczna matka ukończyła zaledwie pięćdziesiąt siedem lat.

– Nie. Ta pani... Prowadziła dosyć mocno wyniszczający tryb życia.

– Piła?

– Między innymi. Bezpośrednią przyczyną śmierci była marskość wątroby wywołana żółtaczką typu B. Ktoś ją zaraził. Przechodziła również kiłę i ogólnie...

– Aha. – Olga przełknęła rosnącą coraz szybciej gulę. – Dlatego głodujesz? To ma być jakaś pokuta? O co ci chodzi? – wykrztusiła z trudem. Nadal trzymała w ręku dokument i co chwilę na niego zerkała.

– Przed śmiercią obiecałam twojemu tacie, że odszukam tę kobietę i pojedę tam z tobą. Eryk prosił mnie o to.

– Boże! – Olga złapała się za czoło. – Czy to takie ważne?! Całe życie jej nie znałam. Jakie to ma znaczenie? Przecież mojego biologicznego ojca też nie znam. Czemu akurat matka? Po co miałam ją poznać? – Rzuciła dokument na blat stoliczka. Prześlizgnął się po nim i spadł na podłogę.

– Znałaś biologicznego ojca – powiedziała Julia, podnosząc kartkę.

– Znałam? – Olga wzięła głęboki wdech. – Czyli on też...

– Tak. Zmarł sześć lat temu. To Eryk był twoim ojcem. Dowiedziałam się o tym od niego. Powiedział mi krótko przed śmiercią. Ta kobieta... Urodziła cię w domu, w Stubnie. To małe wioska blisko Przemyśla. Umówiła się z tatą, że gdy się urodzisz, będzie mógł cię zabrać. Nie wiem, jak ojciec to załatwił, pewnie komuś solidnie posmarował, żebyś to akurat ty trafiła do nas. Złożyliśmy wniosek o adopcję zaledwie rok wcześniej.

– On... On zrobił to specjalnie?

– Czy z premedytacją cię spłodził? Nie sądzę. Ta pani... Ojciec często jeździł w tamtym kierunku. Miał wtedy interesy we Lwowie, a ona...

– Była prostytutką?

– Tak. Pracowała w jakimś spelunie w Przemyślu. Zaszła w ciążę, a gdy Eryk znów tam się pojawił, powiedziała mu, że spodziewa się jego dziecka. Oczywiście

tato sprawdził, czy jest twoim ojcem. Trzy dni po twoich narodzinach zabrał Marzenę i ciebie do szpitala, opłacił badania, a potem...

– Czemu mnie oddała? Dał jej pieniądze? – wychrypiała Olga.

– Tego nie powiedział, ale wiem, że długo jej pomagał. Przyznał się. Może dlatego, że ona nie potrafiła zadbać o siebie. Nie zabezpieczała się i...

– Chcesz powiedzieć, że mam rodzeństwo?

– Tak. Jesteś jej czwartym dzieckiem. Po tobie urodziła się jeszcze dwójka, ale to ostatnie, chłopiec, zmarło wkrótce po narodzinach.

– Boże... – jęknęła Olga. – Mam czwórkę rodzeństwa?

– Tak. Dwóch braci i dwie siostry. Najstarsza, Irena, ma czterdzieści lat. Marzena urodziła ją jeszcze jako nastolatka.

– Skąd to wiesz? Byłaś tam? – domyśliła się Olga.

– Byłam. Wynajęłam detektywa, szybko odnalazł tę kobietę, bo do końca życia mieszkała w Stubnie. Pojechałam tam z nim. Ja... ja naprawdę chciałam spełnić obietnicę, ale gdy zobaczyłam ten dom, a potem twoją... Nie mogłam. – Spuściła głowę, żeby nie patrzeć Oldze w oczy. – Nie mogłam cię tam zawieźć. Postanowiłam, że najpierw pomogę Marzenie stanąć na nogi. Zostawiłam jej pieniądze i nie tylko, przyrzekła, że wyremontuje dom, a sama pójdzie na odwyk. Gdy wróciłam po trzech tygodniach... Wszystko przepiła. Nawet to, co kupiłam dla jej wnuków. Irena i Joanna, twoja druga siostra, mieszkają w tym domu i moim zdaniem prowadzą takie samo życie jak Marzena. Każde dziecko z innym tatusiem.

– Nie mam do ciebie żalu. Mamo! – krzyknęła Olga i chwyciła ją za rękę. – Nie mam do ciebie żalu, rozumiesz? – Potrząsnęła jej dłonią.

– Nie wiem, czy nie powinnaś go mieć. Tak bardzo się wstydziłam za tatę... Eryk...

– Wiem. Ojciec miał kochanki, ale to nie twoja wina – wychrypiała Olga.

– Wina zawsze leży pośrodku. A zdrada? Zdrada niszczy wszystko. Zabija w człowieku szacunek do samego siebie, dumę, honor, poczucie uczciwości. Z sercem partnera dzieje się to samo. Gdy pierwszy raz dowiedziałam się, że Eryk mnie zdradza, poczułam, jak coś we mnie umiera. Gdyby powiedział, że się zakochał w tej kobiecie, zrozumiałabym, ale on mówił, że to nie ma znaczenia, że to jak mycie zębów, higiena. Czysta fizjologia. Nic więcej. Ubłagał, żebym wybaczyła, a rok później znów to się stało. Pewnie zdradzał mnie ciągle, tylko kolejny raz to wyszło na jaw, a ja znów wybaczyłam... I tak po prostu było. Do końca. Tak samo, jak do końca wypierałam świadomość, że Eryk mnie zdradza, do końca go kochałam, a on mówił, że to odwzajemnia. Gdy dotarło do mnie, że to ty jesteś najjaskrawszym dowodem jego niewierności... Nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Dlatego tu uciekłam. Przez moją dumę odebrałam ci szansę poznania własnej matki – szepnęła Julia.

– Ty jesteś moją własną matką. – Olga poderwała się i usiadła obok niej,

żeby ją objąć.

– Ty też masz wątpliwości. Przecież mówiłaś... – Julia podniosła na córkę szkliste spojrzenie. – Pamiętasz? Mówiłaś o tym, że czujesz się gorsza. Bo nieprawdziwa. Póki nic nie wiedziałam, nie myślałam o tym, ale gdy Eryk wyznał mi prawdę... To okropne być oszukiwaną całe życie. Nagle zaczęłam się z nim porównywać, szperać w zakamarkach pamięci, żeby stwierdzić, że coś w tym jest. To on był twoim rodzicem, a ja tylko opiekunem. Pamiętasz, jak tato zawsze do ciebie mówił: „Jesteś moją królewną, tylko moją”.

– Ale tak się po prostu mówi! A pamiętasz, jak pytałaś: „Czyja ty jesteś”, a ja odpowiadałam: „Mamusina”.

– Pamiętam. – Julia ścisnęła dłoń córki. – Zawsze dodawałaś: „Ale tatusina też!”, żeby Erykowi nie było przykro, gdy nas słuchał.

– No właśnie, gdy nas słuchał, i tylko dlatego, żeby tacie nie było przykro, że to ciebie wolę.

– A wolałaś? – szepnęła Julia.

– Wolałam. Ty byłaś zawsze, a tato... Tato był jak weekend po długim i pracowitym tygodniu. Jak lodowy deser po sytym obiedzie. Taki z parasolką, bitą śmietaną i cukrową posypką. – Olga parsknęła śmiechem. – Ale to ty, mamo, spędzałaś ze mną więcej czasu. Dlatego tak mi ciebie brakuje, brakuje mi dni od poniedziałku do piątku, twoich obiadów, wszystkiego. Wróc ze mną do domu. Nie chcę innej matki, nie potrzebuję braci i sióstr, przywykłam do myśli, że jestem jedynaczką. Chcę, żebyś ty wróciła do mojego życia. Ty i tylko ty.

– Olga, ja nie wiem, czy potrafię jeszcze normalnie żyć? A co z dziećmi? Czy one mnie zaakceptują? – Julia ścisnęła wargi, aż pobieleały.

– Spróbuj. Wszyscy spróbujmy.

– A jeśli się nie uda? Mam tu wrócić?

– Musi się udać. Choćby nie wiem co się działo.

– Na pewno tego chcesz?

– A jak myślisz, po co tu przyjechałam?

– Może powinnam była wcześniej zdecydować się na tę głodówkę. – Julia zaśmiała się cicho.

– Może i tak.

– Intencje naszych poczynań i ich efekty nie zawsze idą w parze. Często rozjeżdżają się w dwie różne strony.

– Czasami zbaczając w najlepszym możliwym kierunku...

## Rozdział 19

– Boję się – powiedziała cicho Julia.

– Czego?

– Nie jestem ich babcią. Nie czuję się nią w żaden sposób.

– A ja? Mam nie czuć się mamą?

– Nie! – natychmiast zaprzeczyła. – To co innego.

– Ale tak samo jak ty nie mogę mieć własnych dzieci. I cierpię z tego powodu, choć mam Faustynę i Maksia.

– Myślisz, że ja nie cierpiałam, gdy widziałam ciężarne kobiety siedzące na ławkach w parku i głaszczące swoje brzuchy w ten specjalny sposób, oznaczający, że czekają na kogoś wytęsknionego, kochanego? Cierpiałam, choć miałam ciebie. I rozumiem, co czujesz. Doskonale to rozumiem.

– To czemu wcześniej mi tego nie powiedziałaś?

– A czemu wcześniej nie powiedziałam ci wszystkiego innego? Bo byłam głupia.

– Przyjechali – powiedziała nagle Olga, wstając z kanapy.

– Może...

– Może co?

– Pójdę do siebie? – spytała Julia. Siedziała, wyłamując palce. Jej twarz wykrzywiona dziwnym grymasem wyrażała nie tylko obawę, jak przyjmą ją dzieci, lecz także niepokój, że jednak podjęła złą decyzję, wracając z córką do Krakowa.

– I będziesz tam siedzieć, aż...

– Masz rację. Przepraszam – westchnęła Julia.

– Idę przywitać się z Łucją, a ty, jeśli chcesz, chodź ze mną.

– Tu na nich poczekam, dobrze?

– W porządku.

Olga wyszła z pokoju, a po chwili w korytarzu słychać było jedynie piski dzieciaków, które na wyścigi próbowały opowiedzieć, co zdarzyło się w Podolu.

– Wejdiesz na chwilę? – spytała Olga Łucję po tym, gdy już kolejny raz podziękowała za okazaną pomoc i nawet zdążyły się lekko posprzeczać o zwrot pieniędzy za paliwo.

– Chętnie bym weszła, ale Marysia dzisiaj nie ma dobrego dnia. Okropnie się rozpląkała, gdy wyjeżdżaliśmy, i babcia kazała mi jak najszybciej wracać. Oj, jak ta moja królewna wpadnie w histerię, nikt nie może jej uspokoić! Chyba jedynie Hugo, ale on wraca za trzy dni.

– To może wpadnij w przyszłym tygodniu? Razem z małą. Już będziecie w Krakowie?

– Tak! Tak! Niech ciocia przyjedzie! – krzyknął Maksio.

– Dzięki za zaproszenie. Skorzystamy – oświadczyła z uśmiechem. – A teraz pa, muszę lecieć. – Wspięła się na palce, żeby cmoknąć Olgę w policzek. –



Dzieciaki! – pisnęła, kucając. – Pożegnacie się z ciocią Łucką?

Od razu rzucili jej się na szyję.

– Ale na pewno do nas przyjedziesz? – upewniła się Faustyna.

– Na pewno. Z Marysią.

Pożegnali się z żalem. Dopiero gdy za Łucją zamknęły się drzwi, a oni zdążyli zdjąć niemiłosiernie ubłocone buty i niewiele czystsze kurteczki, Olga powiedziała im, że mają gości.

– A kogo? – Maksio zerkał to na Olgę, to w stronę salonu. Już miał spytać, czy to wujek Konrad, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Zaraz zobaczycie – odpowiedziała, prowadząc ich za rękę.

– Dzień dobry – przywitała ich Julia. Stała przed kanapą i nerwowym ruchem wygładzała wełnianą spódnicę, a potem poprawiała włosy. Wyglądała tak żałośnie, że Olgę ukłuło coś w sercu na jej widok.

– To moja mama, Julia Becker. Pamiętacie?

– Tak. Ja pamiętam – potaknęła Faustyna.

– Ja też – oznajmił dumnie Maksio. – Dzień dobry pani.

Podeszli do Julii i uścisnęli jej dłoń, a Faustyna zdobyła się na to, żeby ostrożnie ją przytulić. Chyba intuicyjnie wyczuła, że ta szczuplutka starsza pani w ślicznej bluzce z kremowego jedwabiu jest bardzo delikatną osobą.

– A może mówcie do mnie po imieniu?

– Po imieniu? – zdziwiła się Olga.

– A możemy mówić babcia? – zaproponował Maksio. – Marysia ma taką zajefajną babcie. Zosia ma na imię.

– To jej prababcia – doprecyzowała Fiśka. – Babcia Zosia jest babcią ciotki Łucji. Nie Marysi.

– To jak, mamu? Zgadzasz się? – Olga parsknęła śmiechem. – Siadajcie. Musicie koniecznie nam opowiedzieć, jak było w Podolu.

– Zaraz, bo ja chcę pitu! – krzyknął Maksio i pobiegł w stronę kuchni.

– Pić mu się chce – wyjaśniła Olga.

Wszystkie trzy usadowiły się na kanapie, a chwilę później dołączył do nich Maksio, oczywiście jak zawsze ładując się Oldze na kolana.

– Będziesz z nami mieszkać? – spytał w przerwie między kolejnymi głośnymi siorbnięciami truskawkowego jupika.

– Tak.

– Na zawsze?

– Hm... – Julia zagryzła wargę i zerknęła na Olgę, licząc, że córka pomoże jej odpowiedzieć, ale ta chyba nie miała takiego zamiaru. – Na pewno do świąt, a później się okaże.

– A gdzie będziesz spała?

– W swoim pokoju. Na piętrze.

– Super! Będziemy mieć prawdziwą babcie! – ucieszył się malec. – A babcie dają najlepsze prezenty. Tak mówi Japuk.

– Japuk? – Julia uniosła brwi.

– Jakub. To jego najlepszy kolega z przedszkola. – Faustyna posłużyła za tłumacza.

– Nasz Maksio ma lekką dysleksję. – Olga poczochna włoski malca. – Inwersja dynamiczna. Czasem mu się coś przestawi.

– Mówi Kapcer albo Japuk – dodała Fiśka. – Ale pracujemy nad tym. Chodzimy do logopedy – oznajmiła z poważną miną, która nijak nie licowała z wyjątkowo skołtunioną fryzurą i krzywo zapiętym sweterkiem.

– A jak byłem mały, to podobno mówiłem kuwra zamiast... – Nagle zakrył usta i zachichotał.

– Ale błysnąłeś! – sapnęła Fiśka, przewracając oczami. – A tak w ogóle, to gdzie Kiszka i Pasztet?

– Śpią na górze.

– U mnie w pokoju, ale bez obaw, wiem, że to wasze kotki – wyjaśniła Julia.

– Ja nie jestem zazdrosna – powiedziała Faustyna. – Jak pani... jak babciu chcesz, to moja Kiszka może zawsze z tobą spać. No, chyba że nie lubisz kotów?

– Lubię. Bardzo ci dziękuję. – Julia rozciągnęła usta w delikatnym uśmiechu.

– Mielicie nam opowiedzieć, co robiliście w Podolu – przypomniała Olga.

– Tak! Już mówimy! – ucieszył się Maksio. – No więc przyjechaliśmy, zjedliśmy kolację i bawiliśmy się z Marysią, i kąpaliśmy się we trójkę! Oni mają taką starą, brzydką wannę, ale babcia Zosia mówi, że najważniejsze, żeby była czysta, bo jak obłuczona, to nic nie szkodzi – zaczął trajkotać.

– Maksieur! – warknęła Faustyna. – Jesteś okropny.

– Nie jestem – odparł niezrażony.

Przez kolejne dziesięć minut referował jak najęty, czasem wspomagany przez siostrę, ale rzadko, bo jak zawsze nie dopuszczał nikogo do słowa.

– Ale dzisiaj to naprawdę było super, bo rano ciocia Łucja zadzwoniła gdzieś i potem przyszła taka okropnie gruba ciocia Irenka. – Malec rozpostarł szeroko ręce, żeby zobrazować, jak wyglądała krewna Łucji. – I ona nam przyniosła zająca!

– Zająca? – Julia wybałuszyła oczy. – Żywego?

– Żywego! – potaknął malec. – Wielkiego żywego zająca. Miał ogromne żółte zęby i mnie ugryzł!

– To był królik – sprostowała Faustyna. – I wcale nie był jakiś ogromny.

– I co z nim? – zaniepokoiła się Olga. Już widziała oczami wyobraźni, jak przy jej dzieciach dokonuje się mordy biednego zwierzęcia, żeby podać je na obiad.

– Nic. Karmiliśmy go siankiem. Ta ciocia Irenka przyniosła go do zabawy. Obsrał cały korytarz! A Marysia chciała zjeść jedną kupę! Bo te kupy to wyglądały

jak czekoladowe nesquiki! – zaśmiał się, odwracając głowę, żeby zobaczyć minę Olgi.

– Maksiu, nie kłam. Wcale tak nie było. Ona nie chciała zjeść kupy! – zdenerwowała się Faustyna.

– Nie?! A po co wkładała ją do buzi? A babcia Zosia powiedziała, że Marysia wszystko zjada. Mówiła, że kiedyś, jak była mała i chodziła na czworakach, zjadała wszystkie muchy z podłogi. Nawet te nieżywe.

– Obawiam się, że żywe by uciekły – wtrąciła się Julia.

Siedziała i chłonęła słowa chłopca, a z każdym było jej lżej. Zupełnie jakby ten blondwłosy malec ją odczarował. Pozwolił wyjść ze skorupy obojętności i dojmującego smutku.

– Uciekły? A czemu? – Maksio zmarszczył nos.

– Chyba nikt nie chce być zjedzony?

– Ja to bym wolał być zjedzony, niż jeść kupy. Bo muchy jedzą kupy – wyjaśnił Julii. – Całe życie. Nic, tylko kupy i kupy. Okropieństwo.

– Dobrze, że już po obiedzie. Dzisiaj na pewno nic nie przełknę. – Olga aż się wzdygnęła. – Może zmienimy temat?

– A babcia Zosia to powiedziała, że Mamolka jest brzydko. – Maksio przez przypadek spełnił prośbę Olgi, bo właśnie przypomniał sobie to, co go mocno zafrapowało.

– Mamolka? – Julia przechyliła głowę.

– Tak dzieci mówią do mnie – wyjaśniła jej córka. – Kiedyś mówili mama Olga, zaraz po... – przełknęła ślinę. – Zaraz po ślubie, ale to było zbyt długie i chyba Maksio skrócił do Mamolki.

– Ale już nie będziemy tak mówić – oznajmiła Faustyna poważnie.

– A jak będziecie? – spytała Julia.

– Mamo albo mamusiu – uzupełnił Maksio. – Bo tak jest ładnie. Podoba ci się? – Znow spjrzał na Olę.

– Podoba. – Pocałowała go w czoło. – Ale Mamolka też mi się podobało, więc gdy się czasami pomylicie, nie będę się gniewać.

– Nie będziemy się mylić. – Faustyna pokiwała głową.

– Chyba musimy to uczcić. Jak sądzisz, mamo? – zapytała Olga. – Niecodziennie zostaje się babcią.

– I mamusią – dodał Maksio.

– A jak uczcić?

– Lody? – Olga znacząco uniosła brwi.

– Super!!!



Zbliżała się dwudziesta druga, wszyscy już spali. Olga wyszła ze swojego

gabinetu, zamierzając wziąć kąpiel, a potem coś zjeść, ale gdy rozejrzała się po salonie, westchnęła do siebie:

– Kiedyś oszaleję. Od jutra wprowadzam reżim. Całej trójce. – Zebrała zabawki Maksia, wyłączyła konsolę i ku niezadowoleniu Kiszki odniosła do kuchni pusty pojemnik po serku Danio. – Nie możesz jeść słodkiego, a już serek homo to bardzo zły pomysł – burknęła do kota, który za nią przybiegł. – Zapomniałaś, jak się to ostatnio skończyło? Bo ja pamiętam doskonale.

Wróciła po bluzę Fiśki porzuconą na kanapie, żeby zabrać ją do prania, gdy nagle usłyszała sygnał w telefonie komórkowym.

„Konrad? Czego on chce o tej porze? – Zmarszczyła czoło, widząc wiadomość: *Jeśli masz możliwość, wejdź na Skype'a.* – I czego chce ode mnie?”

Przysiadła na boku kanapy i przez moment wpatrywała się w ekranik komórki, myśląc, co powinna zrobić. Konrad nigdy wcześniej nie inicjował żadnej rozmowy wyłącznie z nią. I to wydało jej się bardzo dziwne. Uznała szybko, że raczej nic poważnego się nie stało, bo przecież kilka godzin temu gadał z dziećmi. „Może sobie podaruję? Raczej za późno na pogawędki...” – stwierdziła w duchu.

Trochę głupio się czuła, bo styczeń się kończył, a ona od świąt ani razu nie zamieniła z Konradem jednego marnego zdania. Nie zdecydowała się nawet na złożenie mu życzeń z okazji ślubu, choć, co dziwne, Konrad też o nim nie wspomniał bratankom. Jakby to w ogóle się nie wydarzyło.

– Ech... No dobrze. – Usiadła przy ławie, podniosła klapę laptopa, uruchomiła Skype'a, wybrała jego kontakt i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że wiadomość od Konrada była po angielsku. Od razu się rozłączyła, ale parę sekund później w głośniku zabrzmiał sygnał przychodzącego połączenia. – Niech to szlag... – zmeła w ustach przekleństwo.

– Hej, Olga? Jak miło, że dzwonicz. – Konrad uśmiechał się z ekranu. – Coś się stało? Czym sobie zasłużyłem na ten zaszczyt? – Mrugnął do niej porozumiewawczo, choć widział doskonale, że jej mina raczej nie wskazywała na to, iż cieszy się tą niespodziewaną rozmową.

– Hej. Przed chwilą wysłałeś mi wiadomość, że bym weszła na Skype'a. Pewnie przez pomyłkę, bo po angielsku. Niestety, zanim na to wpadłam... – Wzruszyła ramionami. – Sorry, już znikam, ale najpierw chciałam cię przeprosić, bo jeszcze nie złożyłam ci gratulacji. Niniejszym to czynię: wszystkiego dobrego na nowej drodze życia. Powodzenia, spełnienia marzeń i planów. Prezent wysłę pocztą. – Posłała mu wirtualnego całusa.

– Dzięki. – Pokiwał głową. – Faktycznie, pisałem do kolegi. To Olgierd, kumpel. Też rysownik. Kiedyś ci o nim wspominałem, mieszka w Jacksonville.

– Pamiętam. To może ja przeszkadzam? Na pewno przeszkadzam.

– Ależ nie. W sumie fajnie, że się pomyliłem – powiedział, przeczesując

dłonią włosy. – Skoro tak się złożyło, powiedz, co u ciebie.

– Nic nowego. Na szczęście. – Zaśmiała się cicho. – Dzieci rosą, Faustyna zdrowa, ja też, nawet moja mama całkiem niezłe sobie radzi, ale to na pewno wiesz od Maksia i Fiśki. O! A nasza Kiszka zamierza dotrzymać nam towarzystwa. – Olga odwróciła wzrok, zerkając na kotkę, która właśnie wskoczyła na kanapę.

Musiała choć przez moment nie patrzeć na Konrada. Gdy tylko ujrzała jego rozwichrzone włosy, umięśnione ciało odziane w obcisłą białą bokserkę, oczy spoglądające na nią z dziwnie niepasującą fascynacją, znów poczuła ten okropny ucisk w żołądku, który towarzyszył jej prawie stale pod koniec pobytu w New Bern.

– Kici, kici – zamruczał Konrad. – Znamy się z Kiszką bardzo dobrze i lubimy, ale chyba nie dzisiaj – zażartował, bo kot skrył się za plecami Olgi. – A tak poza tym? Co słyhać?

– Nic. Mówiłam ci. Żyję, pracuję, jesteśmy zdrowi. Na szczęście – dodała po chwili, przeniósłszy z powrotem wzrok na monitor. – To raczej ty powinieneś się pochwalić. Twoje życie poważnie się zmieniło.

– O tak. Masz rację – odparł.

Nagle zapadło między nimi milczenie. Dopiero teraz Olga spostrzegła, że chyba nigdy nie widziała w domu pastora tej lampy, stojącej obok łóżka, na którym siedział Konrad. Zresztą takiego łóżka również nie widziała: nowoczesnego z ciemnym, prawie czarnym wezglowiem wykończonym u góry listwą z matowej stali.

Już zamierzała spytać: „Gdzie jesteś?”, bo pierwsza myśl, jaka pojawiła się w jej głowie, była taka, że Konrad jest w jakimś hotelu, ale wtedy pojawiła się kolejna: „To podróż poślubna! Oni są w podróży poślubnej”. I nagle coś boleśnie ukłuło ją w serce. Choć to przecież było kompletnie irracjonalne i idiotyczne. Ale i tak nie mogła się oprzeć temu uczuciu. Co innego myśleć o Konradzie i Alice, gdy jeszcze byli narzeczeństwem, a co innego, gdy jako małżonkowie sypiali ze sobą. Świadomość, że są razem, kochają się, całują i pieszczą, uderzyła w nią jak obuchem.

– A gdzie Alice? – wykrztusiła z trudem i prawie od razu pożałowała tego pytania, widząc reakcję Konrada, który wyraźnie się zmieszał.

– Alice... – mruknął, poprawiając leżący na kolanach laptop. – Alice... – Nagle Olga usłyszała głos reporterki, spostrzegła, jak Konrad próbuje szybko odszukać pilota zawieszzonego gdzieś w kołdrze, tuż pod jego udem. Znalazł go i natychmiast wyłączył telewizor. – Alice... – powtórzył kolejny raz, ale nie pozwoliła mu skończyć.

– Włącz telewizor – powiedziała. – Włącz i na chwilę obróć komputer tak, żebym go zobaczyła.

– Olga... Ja... – Konrad pokręcił głową.

– Zrób to. Proszę – nalegała.

Przez chwilę patrzyła na wiadomości regionalne. Chyba ze trzy razy słyszała dzisiaj w radiu, że w Krakowie jest smog i krakowscy radni wreszcie uchwalili jakąś dosyć restrykcyjną uchwałę o piecach węglowych. Od razu poznała charakterystyczny głos reporterki. Zasadniczo Konrad nawet nie musiał spełniać jej prośby, a właściwie żądania.

– Gdzie jesteś?

– Hotel Best Western, na Opolskiej.

– Sam? – zapytała Olga, choć przecież знаła odpowiedź.

– Tak. Posłuchaj...

– Nie wiem, czy chcę – przerwała mu.

– Mogę do ciebie przyjechać? – Zaciął wargi, aż pobiełały.

– Teraz? Nie.

– To ty przyjedź do mnie – poprosił.

– Mam do ciebie przyjechać? Chyba... – Chciała powiedzieć, że oszalał, ale dotarło do niej, że pragnie go zobaczyć. Jak najszybciej. Natychmiast. – Będę za pół godziny – rzuciła, zanim do głosu doszedł rozsądek.

– Dzięki, że się zgodziłaś.

– Wyślij mi numer pokoju.



Już w samochodzie żałowała, że podjęła taką decyzję. Ale gdy wyobraziła sobie, że w perspektywie ma nieprzespaną noc, uznała, że to jedyne wyjście. Musieli pogadać. Osobiście i bez świadków. Zwłaszcza bez tych małoletnich.

Weszła do hotelu i od razu skierowała się w stronę windy, odprowadzana podejrzliwym spojrzeniem recepcjonisty. Na szczęście jej nie zatrzymał, choć już było po dozwolonym czasie odwiedzin. Gruba wykładzina tłumiła odgłos kroków. Zatrzymała się przed drzwiami pokoju Konrada i zanim cicho zapukała, wzięła kilka głębokich oddechów.

– Cześć – powitał ją gospodarz. – Zapraszam.

Weszła do środka i omiotła wzrokiem pomieszczenie. Od razu spostrzegła, że Konrad musiał tu przebywać dłuższy czas, bo wskazywał na to nie tylko brak walizki, lecz także rozłożone na blacie biurka rysunki i przybory.

– Wody? – zaproponował, gdy zdjęła płaszcz i usiadła w niezbyt wygodnym designerskim fotelu.

– A mogę prosić kawę?

– Tak. Już zamawiam. – Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer recepcji. – Nie odpowiadają – sarknął po chwili. – Zjadę i przyniosę z kawiarni. Daj mi pięć minut.

Ledwie wyszedł, a Olga wstała i podeszła do okna, pod którym stała oparta

o parapet wielka teczka na rysunki. Rozchyliła ją ostrożnie i zajrzała do środka, ale nic nie było widać, więc wyjęła pierwszy z brzegu rysunek. Od razu go poznała. To był ten szkic, który Konrad wykonał niedługo przed ich wyjazdem z New Bern. Dotru... i *Za dużo pustych miejsc*. Zadrżały jej ręce, gdy wsuwała go z powrotem do teczki.

– Jestem! – zawołał Konrad, wchodząc do pokoju. – Nie mieli mleka.

– Może być czarna – powiedziała, biorąc od niego filiżankę. – To od kiedy tu jesteś? – zapytała, gdy usiadł naprzeciwko, na brzegu łóżka.

– Przyleciałem kilka dni po Nowym Roku – wyznał, nerwowo zaciskając skrzyżowane palce.

– Ach tak? – Olga z niedowierzaniem przechyliła głowę. – Trzy tygodnie?

– Ponad – doprecyzował. – W niedzielę będą cztery.

– No tak.

– Posłuchaj...

– Ślubu nie było? – Nie dała mu dokończyć.

– Nie.

– Dlaczego?

– Alice ze mną zerwała.

– Kiedy?

– W październiku, a w zasadzie to pod koniec września. Powiedziała, że musi się zastanowić, poprosiła o dwa tygodnie do namysłu i...

– Czemu mi nie powiedziałaś?

– A czemu miałbym ci mówić? – Przymrużył oczy. – Naprawdę cię to interesuje? Nie sądzę. Przecież rozmawiamy przez przypadek. To zbieg okoliczności sprawił, że zadzwoniłaś, więc jak mam uwierzyć, że interesują cię moje życie i moje sprawy?

– Masz rację. To nie powinno mnie interesować – przyznała po dłuższym namyśle. – Co zamierzasz? Na długo przyjechałeś?

– Na zawsze. – Wstał, podszedł do biurka i nalał sobie wody. – Nie wrócę do New Bern.

– Aha. – Olga bezwiednie objęła się ramionami, bo ta informacja jeszcze mocniej nią wstrząsnęła niż poprzednia.

– Jesteś zaskoczona? – zapytał.

Podnosząc szklankę do ust, pomyślał, że ta rozmowa jest znacznie trudniejsza, niż mógł przypuszczać. A już na pewno nie wróżyła niczego, co utwierdziłoby go w mniemaniu, że dokonał właściwego wyboru. „Ale czy ja miałem jakikolwiek wybór?” – Nagle się zasepił, przypomniawszy sobie, co działo się w New Bern, gdy Alice rozgłosiła wszem wobec zerwanie ich zaręczyn. „Przecież to była jakaś pieprzona równia pochyła. Wszyscy się odwrócili, jedynie ojciec Matthew próbował mnie zatrzymać”. Gdy Konrad tu leciał, przez całą

podróż jego serce było napelniane nadzieją, że będzie dobrze, że kiedyś znajdą do siebie drogę. On i Olga. Teraz nie był już tego taki pewien.

– Tak, jestem zaskoczona – przerwała mu rozmyślania Olga. – Jak mogę nie być? A co z twoją pracą? – Zerknęła na teczkę. – Gdzie zamierzasz mieszkać? A co z... Przecież w maju mieli cię mianować pastorem? – przypomniała, choć zdawała sobie sprawę, że Konrad o tym pamięta, bo to stanowiło sens jego życia, funkcjonowania, wszystkiego.

– Będę pracował zdalnie. Zresztą przeważnie tak pracowałem. Mam podpisanych kilka długoterminowych kontraktów. Co najmniej trzy lata nie muszę się martwić o zlecenia – odparł, z powrotem zajmując swoje miejsce. – Już w listopadzie korespondowałem z kilkoma polskimi wydawcami i oni też bardzo chętnie podejmą ze mną współpracę. Co do mieszkania, albo coś wynajmę, albo kupię jakąś kawalerkę. Już przeglądałem oferty. Ceny straszne. – Pokręcił głową.

– A czemu nie w Myślenicach? – Olga uniosła brwi. – Tam na pewno taniej.

– Brałem to pod uwagę, ale...

– Okej, rozumiem, że ze względu na dzieciaki wybrałeś Kraków? – Nie poczekała na odpowiedź, bo od razu zadała kolejne pytania: – A kościół? A wspólnota?

– Mogę prosić o inny zestaw pytań? – Parsknął pod nosem.

– To może wróćmy do Alice? – Olga rozparła się w fotelu i spojrzała na Konrada spod w półprzymkniętych powiek. – Dlaczego z tobą skończyła?

– Co to za stwierdzenie? – zachnął się. – Nie skończyła ze mną, tylko z naszym związkiem.

– Kwestia semantyki, ale skoro to takie dla ciebie ważne... – Wydęła usta, ale Konrad ją zignorował, udając, że nie widzi wyrazu jej twarzy.

Nie musiał się starać. Faktycznie, jego myśli wypełniły wspomnienia ostatniej kłótni z Alice.

„Ja chcę, żeby było normalnie! Jak kiedyś! Rozumiesz?! – krzyczała mu prosto w twarz. Nie kontrolowała się, nie zwracała uwagi na wyraz twarzy Konrada, który zszokowany patrzył na nią i jedyne, co widział, to nabrzmiałe gniewem purpurowe policzki. – Chcę, żeby tamten Konrad wrócił do mnie! – wrzeszczała. – Czemu nic nie mówisz?!”

„Tamtego Konrada już nie ma, a ten, który stoi przed tobą, nie ma ci nic do powiedzenia” – odburknął.

Kiedyś nie wyobrażał sobie bez niej przyszłości, choć czasami było ciężko, ale słodkie momenty wypierały te chwile. Chciał założyć rodzinę, mieć dzieci z Alice. Poczul, że to koniec. Jego życie właśnie rozpadało się na kawałki. Ogarnął go strach, że już go nie poskłada. Chciał chwycić Alice za ramiona i mocno nią potrząsnąć. Ale nie zrobił nic.

– Brak zaangażowania – powiedział oschle, wracając do teraźniejszości



i do Olgi, przyglądającej mu się bardzo uważnie. – Za mało się starałem. Uznała, że nie zależy mi na niej jak kiedyś. I... chyba miała rację. Może zbyt długo trwało to nasze narzeczeństwo? Minęły prawie cztery lata od zaręczyn. – Wzruszył ramionami, jakby to było nieistotne.

Udawał. Nie zmartwił się jakoś szczególnie, gdy Alice poprosiła najpierw o czas do zastanowienia. Wstrząsnęło nim dopiero wówczas, kiedy oświadczyła, że z nimi koniec. Sądził, że zmieni zdanie. Starał się być miły i uwodzicielski, gdy natykał się na Alice, a musiał przyznać, że robił wszystko, żeby te sytuacje zdarzały się jak najczęściej. Biegał w tych samych miejscach i porach co eksdziewczyna, zachodził do sklepu pani Hawk, bo nagle czuł silną potrzebę wymiany całej garderoby, aranżował rozmaite sytuacje, żeby tylko wspomóc los.

– A kiedy zaczęło się psuć? – Olga przerwała mu wspominki.

– A co, jeśli powiem, że po waszym wyjeździe? – Popatrzył na nią, jakby czekał na jakąś reakcję. Chciał ją sprowokować za dziwną satysfakcją, którą dostrzegął w jej oczach i słyszał w jej głosie.

– Czasami tak bywa. Jakieś zdarzenie jest katalizatorem zmian w naszym życiu. – Udała, że nie rozumie przesłania. – Nie dała ci drugiej szansy?

– Nie – skłamał.

Wkrótce po świętach Bożego Narodzenia Alice przyszła do niego i znów poprosiła o rozmowę. Powiedziała, że się myliła, że nie potrafi bez niego żyć. Ale było za późno. Już postanowił, że wraca do Polski i nic nie było w stanie odwieść go od tej decyzji.

Usłyszał, że jest wstrętny, że zmarnował jej młodość, że zniszczył szansę na szczęście, że poświęciła mu najpiękniejsze lata życia, a to wszystko przez „bachory” jego brata i tę manipulantkę Olgę, ich macochę. W pewnym momencie wykrzyczała: „To z nią chcesz być? Wiesz, że ona jest niepłodna? Jest jałowa jak pustynia Sonora! A ty do końca swoich dni będziesz wychowywał cudze dzieciaki! Mogłam dać ci wszystko: rodzinę, dom, szczęście, ale wolisz tę nędzną Polskę, wybrakowaną wdowę po swoim bracie i dzieciaki, dla których będziesz tylko namiastką prawdziwego ojca”.

Po tej rozmowie przestał się wahać. Choć tyle dobrego przyniosła.

– Konrad? Gdzie jesteś? – zagadnęła Olga. Uśmiechnęła się, widząc, jak odpłynął.

– Daleko. Ale już wróciłem – skłamał ponownie. Wcale nie wrócił. Przed oczami nadal miał Alice.

– I co teraz?

– Będę tu mieszkał. Teraz to również moje miejsce do życia. Mam nadzieję, że pozwolisz mi widywać się z dziećmi?

– I po co zadajesz takie głupie pytanie? – zachnęła się.

– Może dlatego, że jestem głupi? – Popatrzył na nią. – Przepraszam, widzę,

że cię zdenerwowałem.

– Nie zdenerwowałeś – skłamała, czując swoje serce, które raz po raz przyspieszało, zwalniało, żeby po chwili dudnić mocno, aż bała się, że Konrad je usłyszy. – A może chcesz wynająć mieszkanie na Prądniku? Stoi puste, bo... – Zawahała się. Jak miała mu wytłumaczyć, że ciągle nie zrobiła porządków z rzeczami Kamila. – Stoi puste, bo w sumie nie wiem, co z nim zrobić. Chyba kiedyś zamieszka tam Faustyna albo Maksio. Ale to pieśń przyszłości.

– Hm... Serio, chciałabyś, żeby tam mieszkał?

– A czemu nie?

– Skoro tak, zgadzam się.

– Oczywiście żadnego odstępnego – dodała zapobiegawczo.

– Ale jak to? Nie chcę mieszkać za darmo.

– A ty wzięłaś od nas pieniądze? – Przymrużyła oczy. – Nie ma dyskusji. Albo tak, albo szukaj innego lokum.

– Okej. Umowa stoi.

– Dzieci się ucieszą. Wiesz co? Wracam do domu. Rano im powiem, że wróciłeś na stałe do Polski. Już widzę, jaki będzie szal. – Rozpromieniła się jak nigdy wcześniej przy nim. Chłonał ten widok, starając się wyryć go w pamięci na zawsze.

– A może wpadnę na śniadanie? Niespodzianka będzie jeszcze większa – zaproponował.

– Chcesz ukraść mi show, ale niech będzie. – Wyciągnęła dłoń i poczekała, aż przybije jej piątkę. – To do jutra – pożegnała się, wstając.

– Do jutra.

## Rozdział 20

Według pani Wici Olga już dawno powinna była przygotować mieszkanie do wynajęcia, przynajmniej teraz nie musiałyby aż tak się spieszyć. Oddelegowała męża, żeby razem z Konradem powynosili większość niepotrzebnych rzeczy do piwnicy, a całą resztę przydatną dzieciom i Oldze zawieźli na Zwierzyniec. Zostały tylko meble, wyposażenie kuchni i... I coś, czego Olga bała się tknąć. Odsuwała to w czasie, ale przecież kiedyś musiała pozbyć się ubrań i innych drobiazgów należących do Kamila.

Myślała, kogo poprosić o pomoc. Najchętniej widziałaby Izę, ale przyjaciółka całkiem niedawno, bo tydzień wcześniej, zobaczyła się z nią, żeby oznajmić radosną nowinę. Wprawdzie Olga poczuła lekkie ukłucie żalu, że jej to nigdy nie spotka, ale szybko się opanowała, by po chwili cieszyć się prawie tak samo jak Iza.

A co do porządków w mieszkaniu, jak zawsze pomogła jej Inka. Wygospodarowała trochę wolnego czasu i we dwie spakowały wierzchnie okrycia, garnitury, obuwie. Upchnęły to do kilku worków i... Inka musiała wracać pilnie

do prywatnej kliniki, gdzie dorabiała od listopada, bo jej koleżde coś wyskoczyło. Olga dosyć szybko uznała, że nie jest w stanie sama ogarnąć reszty. Brakowało jej trzeźwego podejścia przyjaciółki. Zadzwoiła do Konrada, a gdy mu powiedziała, co się wydarzyło, natychmiast zaoferował pomoc. Zresztą od razu ją oferował, uzasadniając: „Przecież to ja będę tam mieszkał”. Ale Olga wolała Inkę, a teraz myślała: „Mogłam od razu go poprosić”, bo faktycznie – spisywał się bez zarzutu.

Nie gadali zbyt wiele. Wymieniali jedynie suche uwagi. Pracowali szybko i sprawnie, jak ekipa sprzątająca obce mieszkanie.

– Gdzie mam to zawieźć? – spytał Konrad.

– Na Malborską, tam jest dom sióstr albertynek. W nawigacji znajdziesz adres – poinformowała go.

– To schronisko dla bezdomnych?

– Tak. Wprawdzie dla kobiet, ale rzeczy dla mężczyzn też przyjmują. Oddają je do innych placówek. Na pewno sobie poradzisz? – zapytała, łudząc się, że Konrad poprosi, żeby z nim pojechała, ale natychmiast potaknął. – Okej. To jedź, a ja biorę się do porządkowania reszty. – Rozejrzała się po pokoju, wiedząc, że zostało jej to, co najgorsze, czyli bielizna osobista.

Ledwie Konrad wyszedł z mieszkania, taszcząc ze sobą dwa wielkie, wypchane do granic worki, przypomniała sobie, że miała mu dać jeszcze jeden, z butami, leżący na balkonie. Machnęła ręką:

– I tak musi zrobić drugi kurs – westchnęła do siebie.

Przykucnęła przed komodą, wysunęła pierwszą szufladę i szybko zgarnęła całą zawartość do worka. Napełnił się do połowy, więc trochę nim potrząsnęła, żeby kulki skarpetek zajmowały mniej miejsca, i otworzyła drugą, środkową szufladę. W ostatniej, dolnej, leżały same podkoszulki, postanowiła więc wziąć kolejny worek.

Przekładała złożone w kostki podkoszulki i starała się po prostu nie myśleć o tym, co właśnie robi, nie przypominać sobie, kiedy i gdzie widziała Kamila w tych ubraniach, nie pamiętać go w nich.

– Co to? – wyszeptała, gdy nagle na dnie pustej szuflady odkryła zwykłą białą kopertę. Nie była zaklejona, a ze środka wystawała ręcznie zapisana kartka. Litery przebijały przez papier, wytłoczone zbyt mocnym dociskaniem długopisu.

Olga zastygła, gdy wyjęła list z koperty i zauważyła, że to pismo Kamila. „Przeczytać? Nie przeczytać?” – zastanawiała się, trzymając list w drżącej dłoni. W końcu ostrożnie rozchyliła złożoną na cztery kartkę.

– Boże... – szepnęła, widząc, że to list do niej. – Kamilu, mój kochany Kamilu... – wykrztusiła z trudem, a potem wybuchnęła tak długo tłumionym, gwałtownym płaczem.



– Jestem! – krzyknął Konrad, wchodząc do mieszkania. – Przepraszam, że tyle mi zeszło, ale pomyślałem, że kupię coś do jedzenia, i wstąpiłem do Subwaya. Mam nadzieję, że lubisz kanapkę z tuńczykiem – dodał nieco ciszej, bo dotarł do otwartych na oścież drzwi sypialni. – Co się stało?! – Rzucił siatkę na komodę i podszedł do siedzącej na łóżku Olgi. – Co ci jest?! Czemu płaczesz? – zapytał, kucając przed nią.

– Nic... – wyjąkała w odpowiedzi. – Nic mi nie jest, to tylko ten... list. – Sięgnęła po kartkę i podała mu. – Znalazłam go w szafce z bielizną.

– To list do ciebie – wychrypiał wzruszony, bo od razu poznał pismo brata, na pierwszy rzut oka podobne do jego, a jednocześnie inne.

– Chcę, żebyś go przeczytał – poprosiła Olga. – Chyba powinieneś. Tam nie ma nic takiego... – Nie dokończyła. Wstała z łóżka i wyszła z sypialni.

– Uhm... – mruknął Konrad, siadając na brzegu materaca.

Przebiegł wzrokiem pierwsze kilka zdań i od razu uświadomił sobie, że jego brat napisał ten list dzień przed swoją śmiercią, a szybki rzut oka na dół strony, gdzie Kamil zamieścił datę, upewnił go w tym.

*Kochana Olgo*

*Już dawno zasnęłaś, a ja, zamiast leżeć obok Ciebie i chłonąc zapach naszej miłości, siedzę tu sam i piszę ten list, chociaż nie wiem dlaczego. Przecież jeszcze zdążę Ci to wszystko powiedzieć. I zdążę zniszczyć ten list.*

*Kiedyś powiedziałaś, że gaduła ze mnie, lecz raczej prozaik niż poeta, nawet marny. Może i tak, ale pierwszy raz w życiu właśnie brakło mi słów, głównie tych zwykłych i prostych. Dziwne uczucie, muszę to przyznać. Ale co mam Ci powiedzieć? Że się boję? Mam się do tego przyznać? Zgoda. Boję się. Cholernie się boję, ale nie o siebie. Choćby nie wiem jak było, nawet przez sekundę o tym nie myślałem. Boję się o Ciebie i o dzieci.*

*I czuję żal, bo nawet nie zdążyliśmy zgromadzić odpowiednio dużego bagażu wspomnień. Oczywiście tych dobrych, cudownych wspomnień, bo te brzydkie i złe wyrzucamy na bieżąco z głowy i serca. Tak jak kiedyś postanowiliśmy. Więc sama widzisz, nie mogę niczego rozpamiętywać, przywoływać przed oczy obrazów z przeszłości, wspominać z rozrzewnieniem, jak to było dziesięć czy dwadzieścia lat temu, bo my nie mamy jeszcze tych lat. Mamy tylko miesiące: żywe, tętniące i pulsujące, jak krew w naszych ciałach, gdy kończymy się kochać.*

*Modłę się, żebym mógł zgromadzić te lata. Żebyś Ty mogła je zgromadzić, i nasze dzieci też. Żeby nasz bagaż stał się nadbagażem. Żebyśmy za sześćdziesiąt lat (Nie śmieję się! To całkiem realne!), siedząc razem na kanapie i rozmawiając, nie mogli się zdecydować, czy coś wspominać, czy skupić się na równie wspaniałej teraźniejszości, czy może snuć plany co do tego, jak spędzimy kolejny cudowny dzień.*

*Ale gdy będzie inaczej, z bólem i żalem zaakceptuję to, bo wiem, że to dla*

*mnie i dla Was najlepsze. Bo tak właśnie ma być.*

*Swoją drogą, choć jesteśmy razem tak krótko, nie mogę pojąć, jak wytrzymałem bez Ciebie tyle lat. Gdzie byłem? No co za łajza ze mnie! (Znów się zaśmiałaś? Jeśli tak, to bardzo dobrze).*

*Kocham Cię. Nie mogę powiedzieć: „Nieważne, co przyniesie jutro”, bo to nieprawda. Ważne. To bardzo ważne, czy będę mógł nadal iść przez życie z Tobą, czy zdążymy razem wychować nasze dzieci. To najważniejsze. Ale gdybym jednak nie dostał tej szansy, pamiętaj: nigdy Was nie opuszczę. Gdy zamkną się przed Tobą jakieś drzwi, otworzę drugie. Gdy będziesz samotna i opadniesz z sił, postawię na Twojej drodze kogoś, kto Ci pomoże. A kiedy będziesz gotowa na nową miłość, sprawię, że ją spotkasz. Spotkasz kogoś, kto będzie patrzył na Ciebie takimi oczami jak moje. Tak samo zakochanymi.*

*To będzie dobry człowiek, zarówno dla Ciebie, jak i dla dzieci. Będzie Was kochał równie mocno. Uwierz. Moje sito jest bardzo gęste. Samego siebie ledwie bym zakwalifikował.*

*Obiecuj, że nie będziesz się opierać temu uczuciu, bo się pogniewam (kiwam palcem).*

*Chciałbym zażartować: „A teraz uwagi techniczne”, ale zastanawiam się, czy wypada. Mam nadzieję, że Bóg ma dzisiaj dobry humor, więc je wymienię. Na szczęście są tylko dwie.*

*1) Pamiętaj o modlitwie. Wiem, że tego nie praktykujesz, ale gdy mnie zabraknie, to Ty zostaniesz przewodnikiem Faustynki i Maksymiliana. Wychowaj dzieci na dobrych chrześcijan. Proszę Cię o to, choć uczciwie przyznam, że nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzisz, ale co dziwne, jestem absolutnie pewien, że Ci się uda.*

*2) I nie płacz. Obiecuj, że nie będziesz płakać. Każda twoja łza będzie palić mnie w sercu. Pamiętaj o tym.*

*Masz rację. Gaduła ze mnie. I lubię się powtarzać. Jeszcze uwaga numer 3.*

*3) Pamiętaj, że dopóki na świecie żyje chociaż jeden człowiek, który kogoś kocha lub jest przez kogoś kochany, dopóty Bóg istnieje. Bóg jest miłością. My też jesteśmy samą czystą miłością. Ty, ja, dzieci – jesteśmy miłością. Kocham Cię. Zawsze będę Cię kochał. Na wieczność. Całuję i przytulam.*

*Twój Kamil.*

*PS Świadomie nie poprosiłem o to, żebyś była dobrą matką dla naszych dzieci. Wiem, że nie muszą tego robić. I za to też Cię kocham.*

*PS 2. Muszę Ci jutro o czymś powiedzieć, a raczej o kimś. Już dawno powinienem był to zrobić. Wybacz.*

*PS 3. Jak szczerłość, to szczerłość. Wcale się nie raduję, że może wkrótce spotkam się z Ojcem. Tak na serio – umieram ze strachu. Chciałbym mieć szybką śmierć. Oczywiście, jeśli miałbym wybór, ale gdy go nie będzie, przyjmę na klatę*

*to, co mi pisane.*

*PS 4. Czy wspominałem, że Cię kocham?*

– Bracie, niech Bóg ma cię w opiece – westchnął Konrad, dotarłszy do końca strony. – I dziękuję. Dziękuję ci za te słowa. Wiesz które. Za zielone światło. Tak bardzo go potrzebowałem...



– Zapomnieliśmy zabrać coś do picia. Nie wiem, czy chcesz. To kranówka. – Olga podała zamyślonemu Konradowi szklankę i siadła obok niego.

Wypił duszkiem zimną zawartość i odstawił puste naczynie na nocną szafkę, tuż obok listu Kamila.

– Nie wiem, co powiedzieć. Próbuję sobie wyobrazić, co teraz czujesz, ale to mnie przerasta – wyznał po chwili. – Ten list...

– Konrad...

– Tak? – Popatrzył w poczerwieniałe oczy Olgi.

– Kochasz Faustynę i Maksia. – Zabrzmiało jak zdanie oznajmujące, chociaż Olga zamierzała spytać. – Kochasz ich.

– Tak. Kocham ich nad życie. Jak myślisz, co dało mi siłę, żeby tu wrócić? Zostawić za sobą to wszystko, co też kochałem? I posłuchaj, wiem, o co chcesz mnie zapytać. Chciałbym móc dać ci to, czego szukasz, czego pragniesz, ale muszę to usłyszeć. Dlaczego tłumisz coś w sobie, zamykasz się przede mną? Zaryzykuj i otwórz swoje serce. Po prostu to powiedz.

– Chcę znów być szczęśliwa. Chcę znaleźć własne szczęście. Tylko tyle. – Spuściła głowę.

– To zrób coś w tym kierunku.

– Ja? – odparła nieco obronnym tonem. Wstała i popatrzyła na niego. – Ja...

– Nie da się czegoś znaleźć, gdy się nie szuka.

– Nieprawda. Czasami coś znajduje nas.

– Masz rację – odpowiedział po chwili, bo pomyślał o uczuciu, które samoistnie i nieproszone zagościło w jego sercu. – I nic z tym nie można zrobić.

– Można: zaakceptować. Przyjąć i cieszyć się tym.

– I kto to mówi? – Pokręcił głową, jakby nie wierzył w to, co usłyszał.

– Ja. – Olga wzruszyła ramionami. – Chyba już mi się odechciało dzisiaj porządków. Możemy wrócić do domu?

– Nie. Poczekaj!

Konrad zerwał się z łóżka, stanął przed Olgą, chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie szybkim, gwałtownym ruchem, aż głośno westchnęła. Jednak nie wystraszyła się tego. Przecież na to właśnie czekała, liczyła, że on w końcu się odważy. A na pewno czekało jej ciało, bo od razu do niego przyłgnęła całą sobą, nie zostawiając między nimi ani szczeliny odstępu.

Wsunął dłoń pod jej cienki dzianinowy sweterek, pogładził nagie plecy, wywołując u niej dreszcz rozkoszy.

– Co robisz? – wykrztusiła.

– Wiesz co – odparł, intensywnie patrząc w jej oczy. Jego pierś z sekundy na sekundę podnosiła się coraz szybciej.

– Chcę cię poczuć, dotknąć – rzuciła bez tchu Olga. Wysunęła się z jego objęć i drżącymi palcami zaczęła rozpinąć mu koszulę, bo nie mogła się doczekać, kiedy przesunie opuszkami po nagim umięśnionym torsie. – Och! – jęknęła, rozsuwając poły koszuli i czując, jak mocno bije serce Konrada. – Przytul mnie. Mocno.

– Tak długo to trwało – odpowiedział, spełniając jej prośbę.

– Długo – potwierdziła, szepcząc mu prosto do ucha.

– Gdy pierwszy raz cię zobaczyłem, wtedy, na tym parkingu... Gdy zobaczyłem twoje smutne oczy, jak niczego na świecie zapragnąłem je odmienić. Sprawić, żeby błyszczały szczęściem. Wiesz? To chyba stało się już wtedy. Zakochałem się w tobie – westchnął w jej włosy. – A potem, gdy cię rysowałem...

– Ja też cię kocham. Od dawna. Ale nie pozwalałam sobie na tę miłość. Nawet teraz, gdy już ci ją wyznałam, nie wiem, czy mam do niej prawo. Mam? Powiedz. – Spojrzała Konradowi w oczy. Jej oddech muskał jego usta gorącym powiewem.

– Masz. Jak każdy człowiek. A wątpliwości? Najbardziej boli łamanie własnych zasad. To jakby się próbowało złamać swój kręgosłup. Na szczęście ty nie musisz łamać żadnych zasad – stwierdził.

Instykt podpowiadał mu, że powinien ją pocałować. Delikatnie ujął jej twarz i nachylił się, żeby po raz pierwszy dotknąć ust Olgi swoimi ustami. Musnął jej wargi wilgotne od łez, które znów się pojawiły.

– Nie płacz. Proszę. Już nigdy nie wolno ci płakać. Mnie też to rani – mówił, całując ją coraz żarliwiej. – Chcę, żebyś była szczęśliwa – szepnął.

Odsunął się i popatrzył na nią. „Bez słów. Zrobimy to bez zbędnych słów” – postanowił. Chwycił dolną krawędź sweterka Olgi i zdjął go. Pomogła mu, podnosząc ręce. Fala zapachu jej ciała uderzyła go w nozdrza. Zaciągnął się nim jak najmocniejszym narkotykiem. Chciał powiedzieć, że jest piękna, ale nie był w stanie. Oddychał coraz szybciej, a kiedy zsunął z jej ramion rozpięty biustonosz i ujrzał stwardniałe brodawki piersi, natychmiast przytknął do nich twarz.

Olga wygięła się, przyciskając pierś do warg Konrada.

– Kochaj mnie. Już, szybko – wyszeptała, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak mocne trawiło ją pożądanie.

Pociągnął ją za sobą w stronę łóżka, ale nagle się zawahał.

– Nie chcesz? – spytała, bo dotarło do niej, że może dla Konrada wszystko potoczyło się zbyt szybko i nieoczekiwanie.

– Chcę. Bardzo chcę. Jest tu gdzieś jakaś pościel? – Zerknął na nagie materace.

– Jest koc. W szafie. – Wskazała brodą.

Zostawił ją na moment, znalazł miękki szenilowy pled i rozesłał na łóżku.

– Teraz jest dobrze – powiedział, patrząc na Olgę. – Nie pasuje do ciebie ta szorstkość. Jesteś taka delikatna. – Podszedł bliżej i pocałował jej nagie ramię. – Masz jedwabną skórę, marzyłem, że kiedyś... – Przełknął ślinę.

– Chodź. – Wzięła go za rękę.

Ułożyli się naprzeciw siebie i przez chwilę napawali oczy swoim widokiem. Konrad nachylił się nad Olgą i zaczął wędrować ustami po jej ciele. Obsypywał jej twarz pocałunkami delikatnymi jak dotyk motyli skrzydeł. Dotykał językiem płatków uszu, szeptał, że ją kocha, że pragnie. Czuł się wspaniale, widząc, jak reaguje na każdy jego dotyk, muśnięcie. Jakby całe jej ciało było jednym wielkim najczulszym receptorem.

Usiadł, rozpiął do końca koszulę, a potem dzinsy. Ściągnął je niecierpliwym gestem, ciągle nie spuszczać wzroku z Olgi. Gdy został nago, dotarło do niego, że jego piękna kochanka liczy, iż to on ją obnaży. Odsłonił. Odkryje jak coś najpiękniejszego. Jak długo poszukiwany skarb.

Rozpiął zamek jej spodni i na moment się zawahał. Wiedział, że nie ma jakiegoś imponującego doświadczenia, poza tym od ostatniego razu, gdy był z kobietą, upłynęło przecież tyle czasu. Może dlatego zdrząła mu ręka, kiedy zsuwał krawędź białych fig.

– Konrad, poczekaj. – Olga chwyciła jego dłoń. – Na pewno tego chcesz?

– Tak. Na pewno. – Na moment zacisnął wargi, aż pobieleły. – Niczego w życiu nie byłem tak pewny.

Już po chwili wymarzona, wyśniona kobieta leżała obok niego naga, a on nie mógł się napatrzeć. Prześlizgiwał się oczami po jej idealnie gładkim ciele i myślał, że nie widział w życiu niczego piękniejszego, bardziej zapierającego dech w piersiach i odbierającego zdolność myślenia. Mógł jedynie czuć. Czuć i chłonać to piękno.

– Jesteś taka... – wykrztusił.

– Nie mów nic. Proszę. – Olga opuściła powieki. Wyciągnęła do niego rękę.

– Przytul mnie. I nic nie mów. I nic nie obiecuj. Boję się obietnic. Prawie nigdy się nie spełniają – wyszeptała. W jej głosie brzmiały jednocześnie gorzkość, żal, ale też kielkująca nieśmiało nadzieja, że może tym razem będzie inaczej.

– Nie będę – obiecał jej tylko to.

Objął ją, nachylił się i pocałował. To był jakiś dziwny pocałunek, łapczywy i brutalny, jakby chcieli się zjeść, pochłonać wzajemnie. Ich języki nie potrafiły się ze sobą pogodzić. Wiły się jak w sporze, który z ich właścicieli będzie dominował. Zęby uderzyły o siebie, a w ustach oboje poczuli metaliczny posmak. „Ugryzłam



go” – pomyślała Olga, ale to wcale jej nie ostudziło. Jeszcze łapczywiej przyciągnęła Konrada do siebie. Oplotła jego łądzwie nogami.

– Weź mnie – wychrypiała. – Weź mnie całą. Jestem twoja...

– Jesteś moja – potaknął. – Jesteś tylko moja. Na zawsze. – Wniknął w nią z głuchym stęknieniem. Była taka cudowna. Mięka, ciepła i spragniona. Obawiał się, że zbyt szybko osiągnie spełnienie, że nie zdąży jej zaspokoić. Zastygł na moment. – Patrz na mnie. Nie zamykaj oczu. Patrz – powiedział.

– Dobrze – wykrztusiła z trudem. Oplotła jego kark ramionami i jeszcze mocniej przyciągnęła do siebie.

– Kocham cię – powtórzył, zaczynając ją kołysać w odwiecznym rytmie miłości.

– Kocham cię – odpowiedziała.

Widział, jak trudno dotrzymać jej słowa. Sam też chciał zamknąć oczy i oddać się rozkoszy, ale postanowił, że najpierw ona dotrze na brzeg łądu zwanego spełnieniem, a dopiero po niej on. Kołysał jej ciałem coraz szybciej, żeby dopłynęła. Żeby wreszcie dotarła do tego magicznego, cudownego miejsca, w którym każda komórka, każdy nerw gra w najpiękniejszym rytmie ekstazy.

– Ach! – jęknęła Olga. Przez jej ciało przepłynęła fala miłosnego drżenia, a potem druga i trzecia, i kolejne. Do końca nie zamknęła oczu. Do końca ostatniej fali patrzyła na Konrada, a gdy wszystkie już wybrzmiały, zamknęła oczy i powiedziała: – Kocham cię.

Dopiero wtedy on pozwolił sobie na to samo...



– Żałujesz? – spytała, obracając się w jego stronę.

– Jedyne, czego mógłbym żałować, to to, że zdecydowałem się tak późno – odpowiedział. – Jestem głupcem. Tchórzem. Już w New Bern... Już wtedy wiedziałem, że cię kocham.

– Naprawdę? – szepnęła.

– Tak. Nie mogę sobie tego wybaczyć. Straciłem... Straciliśmy tyle czasu. Oszukiwałem samego siebie, ciebie...

– I Alice.

– Tak. Ją też. I tego żałuję najbardziej. Z uczuciem się nie wygra. – Popatrzył na Olgę. – Z pożądaniem łatwo wygrać. Nawet gdy władza tak potężnym orężem, jakim jest wzajemny pociąg. O wiele trudniej wygrać walkę z własnym sercem. W zasadzie to beznadziejne.

– Beznadziejne? – Olga odwróciła się na plecy. – Dziwnie to ująłeś.

– Tak. Beznadziejne. Bez nadziei, że można się temu oprzeć.

– Aha. – Zamyśliła się na moment. – Co teraz? – spytała, obracając się z powrotem na bok, żeby widzieć Konrada.

- To zależy od ciebie.
- Ode mnie? – Uniosła brwi. – Tylko ode mnie?
- Głównie. Wiesz, o co mi chodzi. – Wyciągnął rękę i poprawił kosmyk jej włosów, zakładając go za ucho.
- A ty chciałbyś z nami mieszkać? – Domyśliła się.
- Chciałbym.
- To dlaczego nie powiedziałaś?
- Tak... Kpij sobie. – Mrugnął do niej porozumiewawczo. – Choć fakt, zasłużyłem.
- Nie boisz się?
- Boję. Boję się tej miłości. Boję się, że nam nie wyjdzie, bo przecież prawie wszystko od początku było przeciwko nam: ludzie, miejsce, czas i okoliczności. I gdyby tak się stało, gdyby nam nie wyszło, znów będę sam, bo nie potrafię czuć się z żadną inną kobietą tak blisko, jak czuję się z tobą.
- A ja chyba mniej się boję. Trochę mniej. Zanim przeczytałam list Kamila, bałam się uwierzyć, że istnieje jeszcze mężczyzna, który mnie pokocha.
- Tego możesz się już nie obawiać.
- Wracamy?
- Wracamy, ale jeszcze nie teraz. – Przysunął się bliżej i objął ją ramieniem.
- Bo teraz mam w planach coś innego.
- Poczekaj. Zadzwońię do mamy.

Z kieszeni leżących obok spodni wyjęła telefon. Krótka była ta rozmowa, może dlatego, że Julia jak rzadko kiedy zrozumiała ją bez słów. Może wyczuła matczynym sercem, że jej córka znów odnalazła szczęście, choćby ulotne, niepewne, ale jednak szczęście.

Kochali się. Powoli i łagodnie. Konrad, chociaż nie był doświadczonym kochankiem, czuł, jak ciało Olgi raz po raz drży z rozkoszy. Później leżała spokojna, wspierając głowę o jego ramię. A potem znów się pieścili, aż do północy, kiedy oboje zasnęli: spełnieni aż po brzegi.

Parę lat później...

Słoneczne promienie tańczyły na powierzchni wody jak świetliki. Olga podziwiała je przez chwilę, ale szybko przeniosła wzrok na oddalony o kilka metrów brzeg plaży. „Ależ jesteś śliczna... – pomyślała, patrząc na Faustynę. Ta właśnie obierała pomarańczę. Za pomocą plastikowego nożyka pieczołowicie zdejmowała błonki, odgarniając co chwilę lecące na twarz długie puszyste i falujące włosy. – Zeszczuplałaś i wyciągnęło cię do góry...” – westchnęła w duszy, widząc, jaka gibka i zgrabna dziewczyna wyrosła z pulchniutkiej kiedyś Fiśki.

Maksymilian też wyrósł. Choć młodszy od siostry o cztery lata, był prawie jej wzrostu. Siedział i coś czytał, ale co chwilę zerkał na Faustynę, licząc, że podzieli się z nim pomarańczę. Przecież ciągle jeszcze był jej ukochanym młodszym braciszkiem, którym należało się opiekować.

– Boże, naprawdę jestem szczęśliwa... – westchnęła Olga i popatrzyła w stronę górującego nad Rio pomnika Chrystusa. Tak samo jak on rozłożyła ręce, a po chwili spojrzała w rozświetlone niebo. Fale z cichym pluskiem uderzały o jej uda. – Jak mi dobrze... – wyszeptwała.

Już od tygodnia całą piątką odpoczywali w Rio de Janeiro. Wczasy były prezentem dla Maksia, a raczej Maksa, bo właśnie tak kazał im się zwracać do siebie. W końcu był już bardzo dużym i poważnym chłopcem. Podobnie jak jego siostra, on też mógł wybrać miejsce, w którym całą piątką uczczą jego dziesiąte urodziny. Gdy tydzień przed nimi, w trakcie kolacji, oznajmił, że chce lecieć do Rio, bo pragnie zobaczyć pomnik Chrystusa Odkupiciela, wszyscy zamilkli. Wiedzieli, że Maksymilian z roku na rok coraz bardziej kieruje się w stronę Boga, a wybór tego miejsca tylko to potwierdził.

„Mamolko, a co, gdybym został księdzem? – spytał ją kiedyś, wywołując w niej szok, konsternację i wspomnienia o pierwszym mężu. – Cieszyłabyś się?” Przełknęła kulę emocji i odparła, że tak. „Cieszyłabym się, bo twój tata też by się cieszył”.

Cztery lata temu Faustyna wybrała wyjazd do Australii, do Sydney. Tam też polecieeli razem. Wprawdzie babcia Julia chciała zostać w domu z Kiszką i Pasztetem, ale dzieci się nie zgodziły. Nie miała serca im odmówić, wszak byli jej pupilkami. Rozmawiała z nimi godzinami, bawili się we trójkę, śmiali, a czasem dzieciaki szły z nią do „Pracowni”, czyli jej sypialni, i zdołały drewniane kasetki, oklejały zakładki do książek, tworzyły przepiękne kwiaty z papieru i marszczonej bibuły, a czasem z wąskich paseczków, o niewymawialnej dla Maksa nazwie quilling.

Matka Olgi przeżywała najlepsze chwile życia. Odpoczywała razem ze swoją rodziną i czuła, że po długim okresie posuchy jej życie znów nabrało sensu. Już całkiem zapomniała o pięcioletnim pobycie w specjalnym ośrodku

niedaleko Opolu. Była potrzebna na miejscu, w Krakowie, w domu córki i zięcia. Temu ostatniemu też często przydawała się jej pomoc. Od zawsze interesowała się filozofią, którą zresztą studiowała na Uniwersytecie Jagiellońskim za panińskich czasów, sporo czytała, Konrad korzystał więc z jej wiedzy i erudycji, gdy pisał artykuły do gazety i do serwisu internetowego krakowskiego zboru baptystów „Misja Łaski”. Lubiła te ich pogawędki o Bogu i religii, choć konsekwentnie uważała się za ateistkę.

„Gdzie jesteś?” – Olga zrobiła daszek z dłoni i rozejrzała się wokół, próbując zlokalizować męża. Konrad uwielbiał pływanie, jak i wszystko, co było związane z ruchem i sportem. Tutaj, w Rio, spędzał w wodzie mnóstwo czasu. Dostrzegła go i pomachała mu ręką, chociaż był niedaleko od niej, może dziesięć metrów.

– Chodź popływać! – krzyknął. – Woda jest wspaniała.

– Może później! – odkrzyknęła, bo nie chciała znów moczyć swoich długich, sięgających prawie do pasa włosów.

Konrad nie zamierzał się poddać. Podpłynął do niej, a gdy chciała pobiec w stronę brzegu, było już za późno. Złapał ją i zaczął ciągnąć za sobą.

– Julia!!! – krzyknął. – Zrób nam zdjęcie!

– Nie! – Olga piszczała jak szalona i próbowała się wyrwać z rąk męża, ale ten oplótł ją swoimi silnymi ramionami.

– Dzisiaj twój chrzest! – Zaśmiał się, wlokąc ją w stronę połyskującego w słońcu oceanu. – W Atlantyku! Jedyna taka okazja.

Wyrwała mu się i odpłynęła, ale znów ją dopadł na płyciźnie.

– Konrad, zamorduję cię! – wyszczała, starając się, żeby jej głos brzmiał groźnie. – Zobaczysz. Wiesz, jaka w Rio jest przestępczość, jakoś się z tego wykpię...

– Nie boję się ciebie! – Uniósł ją i na chwilę przerzucił przez ramię, powodując jeszcze więcej pisków i wrzasków, i wzbudzając zainteresowanie innych plażowiczów, choć o tej porze, wczesnym rankiem, nie było ich zbyt wielu.

– I jak?! – popędził teściową Konrad. Stał po kolana w wodzie i trzymał na rękach Olę. Na szczęście już się uspokoiła. Nawet objęła go mocno i pocałowała w spocony policzek. – Co z tym zdjęciem?!

– Faustynka zrobi! Ja nie potrafię. – Siedząca na zacienionym leżaku Julia podała wnuczce aparat. Cyknęła migawka. – Już! – odkrzyknęła.

– Widzisz? I po co było tyle krzyku? – Konrad nachylił się i cmoknął żonę w usta.

– Myślałam, że naprawdę chcesz mnie ochrzcić – fuknęła, wydymając wargi jak naburmuszona pięciolatka.

– Tutaj? Za płytko. – Rozejrzał się wokół. – Przecież ci mówiłem, że poczekam, aż będziesz gotowa.

– Już dawno jestem – odparła po chwili. – Ale nie chcę.

– Nie chcesz? Dlaczego?

– To ostatnie puste miejsce, którego jeszcze nie wypełniłeś. Zatrzymam je, ale kiedyś... – Przymrużyła oczy, bo raziły ją promienie słońca odbijające się od lustra wody. – Kiedyś i to pozwolę ci wypełnić, bo cię kocham.

– Ale jeszcze nie teraz?

– Jeszcze nie teraz. Na razie niech zostanie to jedno puste miejsce – odparła i znów go pocałowała.

– Poczekam. Wiesz, że poczekam...

## CZY MOŻNA ZWLEKAĆ Z MIŁOŚCIĄ?



Trzydziestoletnia Olga jest kobietą wykształconą, majątną i atrakcyjną. Zmagając się z życiowymi problemami – chorobą i miłosnymi niepowodzeniami – stara się nie okazywać uczuć. Ale to tylko gra pozorów. Kiedy poznaje Kamila, samotnego ojca ośmioletniej Faustyny i czteroletniego Maksia, niespodziewanie odkrywa miłość. Zakochuje się w mężczyźnie z wzajemnością.

Dzieci Kamila całym sercem akceptują Olę, a ona sama dostrzega w nich dar od losu. Wkrótce para się pobiera, ale czy nowa rodzina wypełni miłością puste miejsca w sercu Olgi?



*Nie dajcie się zwieść ciepłemu i pogodnemu początkowi! Ta historia niesie ze sobą ogromny ładunek emocji. Nim zaczniecie czytać, zaopatrźcie się w chusteczki. Na pewno się przydadzą, ponieważ będziecie płakać zarówno ze śmiechu, jak i ze wzruszenia. Serdecznie polecam!*

**Edyta Świętek**, pisarka, wydała m.in.: *Miód na serce*, *Wszystkie kształty uczuć* oraz serię „Spacer Aleją Róż”

